PISMA
KAZIMIRZA
BRODZIŃSKIEGO.

WYDANIE ZUPEŁNE

POPRAWNE I DOPEŁNIONE Z NIEOGŁOSZONYCH RĘKOPISMÓW

STARANIEM

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Z WIZERUNKIEM I ŻYCIORYSEM POETY.)

TOM II.

PRZEKŁADY I NAŚLADOWANIA.

POZNAŃ.
DRUKIEM J. I. KRASZEWSKIEGO (Dr. W. ŁEBIŃSKI).
1872.

VII.

PRZEKŁADY I NAŚLADOWANIA.

PRZEMOWA

UMIESZCZONA

PRZY WYDANIU WARSZAWSKIÉM ELEGII

1829 r.

W niewielu już tylko zamożniejszych bibliotekach postrzegać się dają łacińskie poezye Jana Kochanowskiego. Zaczém literatura polska przyjdzie do stanu pożądanego, aby mogła wydać zbiór celniejszych łacińskich swoich poetów, przyjmie zapewne publiczność z pobłażaniem niniejszy przekład elegii książęcia poetów polskich, przez który pragnąłem oddać hołd drogiéj jego pamięci, na jaki zdobyć się mogę.

Powszechności dzisiejszéj, zwróconéj do smaku Anglików i Niemców, do poezyi sentymentalnéj, nie może podobać się dawny naśladowca starożytnych, po łacinie miłość opiewający, pełny zużywanych obrazów greckiéj mytologii. Każdy jednakże wiek ma swoje zalety i wady, swoje oddzielne cechy; naszemu zaś ta jest najwłaściwsza, że wszystkie płody ludzkiego rozumu i czucia, umie oceniać według ducha narodu i czasu, który je wydał; że się chroni mody i pedantyzmu, i nie rodzaj, ale wartość poezyi ocenia. Kiedy Anglicy obok czci dla Szekspirów i Bajronów dziś wydają i tłumaczą łacińskich poetów chrześciańskich, kiedy w Niemczech, we Francyi i Holandii, gdzie nowi poeci, zapomnienie dawniejszych w obcym języku piszących, usprawiedliwiaćby mogli, poszukiwane są nowe tychże wydania i przekłady, godzien jest równie pamięci Jan Kochanowski, który pierwszy

Wdarł się na górę pięknéj Kaliopy,
Gdzie dotychmiast nie było śladu polskiéj stopy.

Chociaż sławę swoją wyłącznie polskim poezyom jest winien i każdyby wolał, aby elegie niniejsze w ojczystym był języku zostawił, przecież i te zapewniają mu imię wśród celniejszych XVI. wieku poetów. Pisał je po większéj części we Włoszech i Francyi, tudzież przy dworze Zygmunta Augusta; pisał w języku łacińskim, którym z cudzoziemcami obcował, który był powszechnym podówczas i pisarzom szczególniéj sławę zapewniał. Opuściwszy obce kraje i dwór monarchy, ośmielony powodzeniem Reja i Górnickiego, zostawszy samotnym tylko rolnikiem, szczęśliwiéj do ojczystego języka lutnię swoją nawiązał. Łacińskie jego poezye krążyły tylko między przyjaciółmi i dopiero w roku jego śmierci 1584 wyszły z druku w Krakowie. Młodzieńcza swoboda, użycie świata według zasad Horacyusza, a najwięcéj duch elegików rzymskich, którzy w tym rodzaju zapewne u Greków nie mieli wzoru, są treścią tychże poezyi. Jeżeli niekiedy naśladował, a mianowicie Tybulla, naśladowanie takie czyni mu zaszczyt, jak n. p. w elegii do *Bacha*. Mimo młodzieńczéj lekkości, już w tych elegiach okazuje się przyszły miłośnik kraju i rolnictwa, czuły ojciec Urszuli, męzki poeta rycerskiego ludu. Pod tym względem, godzien jest porównania z rzymskimi elegiami Goethego, po którym nic Europa w tym rodzaju równego wydać nie mogła. Schlegel z głęboką znajomością starożytnych elegików, ocenił ten nowy utwór młodego poety, który przez lat kilkadziesiąt najrozmaitszemi płodami zajmuje. Oprócz Goethego, sami tylko Francuzi elegie w smaku rzymskich pisali. Lecz ani pieściwość i wytwór, ani lekkość i wolność obyczajów, nie stanowią jeszcze ducha téj poezyi; trzeba do niéj więcéj malownego języka i szlachetnéj prostoty, trzeba ażeby zużywane żale miłośne rozpogadzać wyższemi uczuciami, ażeby piękna i czysta dusza poety upoważniała go do zwierzenia się powszechności z tém, co jéj najmniéj narzucać przystoi. Mimo to, nowsi elegicy francuscy, aż do śmieszności zajmowali publiczność swego narodu. Kiedy w Pa-

ryżu za czasów cesarstwa, najsławniejszego wówczas poetę elegicznego do instytutu przyjmowano, prezes przy nadzwyczajnym natłoku gości, rozprawiał z największą powagą o poetach erotycznych, a zatrzymując się nad różnemi ich zaletami, przyznał nakoniec palmę przyjmowanemu, winszował Francyi poety, bez którego nie miałaby elegii, winszował poecie, że przez szczęście do płci pięknéj zyskał nieśmiertelność, a jako blizki przyjaciel, uwiadomił ciekawą publiczność, że ten dziś uwieńczony poeta, był zawsze w miłości szczęśliwy, lecz że na tém nie przestał:

Seigneur! vous savez vaincre et chanter la victoire.

Sam poeta rozbierał zalety i wady swoich poprzedników, z właściwym sobie wytwornym smakiem, a Tybul zasłużył u niego na ten jedyny wyrzut, że nie samą Cyntję opiewał; co się bardzo podobało, gdyż elegie francuzkiego Tybulla, pod jednem tylko imieniem Eleonory piękność opiewają.

Przy wydaniu elegii Kochanowskiego należałoby także objaśnić, kto była Lidja w łacińskim języku sławiona, czy umiała ten język? czy była to samo co Hanna, znana z polskich pieśni poety? ale mniéj ciekawi poprzednicy nasi, mało nam zostawili szczegółów o życiu znakomitych ludzi, a tém mniéj o kochankach, którym poeci nieśmiertelność obiecywali.

Ważniejsze są może elegie łacińskie naszego Jana przeto, iż dają wskazówki o jego charakterze i stosunkach, że dotykają zdarzeń narodu godnych pamięci, że pisane są do Myszkowskich, Tęczyńskich, Tarnowskich i Radziwiłłów.

Dziesięć elegii w tłumaczeniu wypuściłem, niektóre nie zupełnie wiernie oddałem, w czém znający oryginał zapewne usprawiedliwić mię zechcą.

Jan Kochanowski, jako poeta polski, zawsze był w narodzie ceniony i nie tylko dla pierwszeństwa co do czasu, ale i dla istotnych zalet zasłużył na imię książęcia poetów polskich. Sławny za życia, uwielbiany był i późniéj w wieku XVII., w którym przecież jego prostoty nikt już nie naśladował. Powiedział o nim Paprocki:

Gdyby ludzkim językiem mówili Bogowie,
Pewno by z Kochanowskim przestali na mowie.

Wielu naśladowało go w samych tylko trenach. Sarbiewski wolał niektóre jego pieśni na łaciński język przekładać, aniżeli utrzymać po Kochanowskim upadłą mowę ojczystą. Po wskrzeszeniu nauk pod Stanisławem Augustem, do pierwszych środków ożywienia smaku należało wydanie dzieł Kochanowskiego.

Szanował go najwięcéj Krasicki i często zwracał na niego uwagę ziomków. Po doczekanym słabym zawiązku nowego bytu ojczyzny, Niemcewicz, w r. 1808 pochwałą stosowną odświeżył pamięć pierwszego z poetów polskich i wieku XVI„ w którym zajaśniał. Tak Kochanowski we wszystkich zmianach i postępach smaku w narodzie odbierał cześć przynależną, i sądzę, że nigdy zapomnianym nie będzie, jakikolwiek weźmie nadal kierunek polska poezya.

Ponieważ jedyne obszerniéj o Kochanowskim mówiące pismo Juljana Niemcewicza przed dwudziestu laty w Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk nie dosyć jest teraz upowszechnione, nie będzie może od rzeczy załączyć tu krótką wzmiankę o jego życiu.

Polska sprawiedliwie szczyci się wiekiem XVI., w którym równie jak w innych oświeconych narodach, obudziła się powszechnie czynność umysłowa, zapał do chwały naukowéj, dotąd jedynie prawie orężem szukanéj. W tym wieku narody, które od Włoch nauki przyjęły, zaczęły je bliżéj do potrzeb życia publicznego stosować, i pod tym względem Polsce zaszczytne świadectwo oddać należy. Ta dążność, nie nadzwykłe geniusze szczególnym tylko darem natury się zjawiające, chlubę temu wiekowi przynosi. *

Ten sam wiek stanowi we Francyi najważniejszą epokę literatury, bo w nim ustalił się język ojczysty, tak pięknie późniéj rozwinięty, i smak na wzorach starożytnych wykształ-

* Wyrażenie to jest niezrozumiałe, jest jakąś omyłką druku, któréj poprawić nie umiemy. (P. R.)

cony. To samo oznacza polską tych czasów literaturę, wyjąwszy, że wiek XVII, nie był postępem, ale cofnięciem się z drogi szczęśliwie zaczętéj. Nauki we Włoszech kwitnące, spory religijne, zarówno na Polskę jak na Francyę pod względem nauk działały. Zaszczytne łupy z wojny włoskiéj, księgi i uczeni pod Ludwikiem XVII. do Francyi sprowadzeni, Katarzyna z domu Medyceuszów przy sterze rządu, przysposobiły Francyi smak starożytny, którym celowała, tak jak przyjmując dziś owoce badań i wyobraźni północnych narodów, zdoła je znowu po swojemu przekształcić i upowszechnić. Polacy nie prowadząc nigdy wojen dla oświecenia korzystnych, szukali go przez liczne do Włoch podróże, a Bona, z domu także we Włoszech naukom życzliwego, wniosla do Polski pewną kulturę, lecz razem z nią równie jak Katarzyna z Medyceuszów, przedajność urzędów i zepsucie prostemu narodowi szkodliwsze, niżeli Francyi. Ludwik XII. i Franciszek I., Zygmunt I. i Zygmunt August, w obudwu narodach ze czcią są wspominani; w obudwu kanclerzowie państwa mieli sławę uczonych, zawsze pamiętni będą w dziejach obudwu narodów Hopital i Zamojski. Za Franciszka I. we Francyi, za Zygmunta w Polsce wychodzić zaczęły akta publiczne w ojczystym języku, psalmy Marota i Kochanowskiego na obudwu dworach śpiewano. W jednym czasie Dubellay we Francyi, a Rej w Polsce, pierwsi użyli wyrazu *patrie*, *ojczyzna*, tyle uczuć obudzającego. Typhernas w Paryżu, Libanus w Krakowie, w jednym czasie wykładać zaczęli utrudzaną dotąd naukę greckiego języka, razem Saint Gelais i Jędrzéj Kochanowski tłumaczyli Wirgiliusza, Amyot Plutarcha i równie godzien pamięci Petrycy Arystotelesa. Szereg polityków i mowców postawić może Polska przeciw znanym tego wieku pisarzom Francyi w wymowie, żaden wówczas naród nie mógł się z nią porównać. Kiedy cnotliwy Hopital drżącą ręką kreślił prawa tolerancyi, cały naród polski za nią obstawał przed Henrykiem Walezym. Ciekaweby było bliższe pod innemi względami porównanie Polski z Francyą w tym wieku, gdyby tu było miejsce po temu, nie czyni go chęć śmiesznéj chluby mierzenia się z najoświeceńszym narodem, ale bolesne zapatrzenie

się, jak daleko późniejszy wiek XVII. cofnął Polaków z drogi pomyślnie zaczętéj.

Nadto nigdy w Polsce nie miały nauki same przez się tak powszechnego zapału, jak we Francyi; nigdy nie zwróciły w ogólności baczności Polaków zabiegi Greków o chwałę sztuk pięknych których czytali, ani Włochów u których się wychowali. Tak było nawet w złotym dla nauk wieku XVI. Talenta i ludzie uczeni o tyle tylko ściągali uwagę, o ile na sprawy publiczne wpływali. Kopernik zdala zgiełków sejmowych ciała niebieskie rozpoznający, mniéj był znany, niż każdy kto drobne pisemko w sprawie narodu ogłosił, albo mową na Sejmie obrady zaburzył. Sam Kochanowski mówi:

Sobie śpiewam a muzom, bo któż jest na ziemi,
Coby serce ucieszyć chciał pieśniami memi?

Żaden z poetów jako poeta nie ściągnął uwagi publicznéj, jeśli go zdatność i przypadkowe stosunki do dworu, lub do posług panów nie zbliżyły. W ubóstwie i mało znani żyli Klonowicz, Grochowski, Miaskowski; Rej z Nagłowic wesołości w towarzyskiém życiu, więcéj niż pismom, wziętość swoją był winien.

We Francyi równie jak we Włoszech poezya była przedmiotem szczególnym uwagi narodu i dworu. Zapał ten prowadził do śmieszności i pedantyzmu, lecz bez niego nie byłoby bodźca do śledzenia wszelkich zamożności języka, kształcenia talentów, które tylko ciekawość powszechna ożywia. W równym prawie wieku był Kochanowski z Ronsardem, uznanym jak on, książęciem poezyi w swoim narodzie. Obadwa usiłowali język swój przez starożytne udoskonalić i trafili na czasy najskłonniejsze do smaku Greków i Rzymian. Szczęśliwszym był na téj drodze Kochanowski, lubo Ronsarda za życia najwyższe na niéj zaszczyty spotkały. Ronsard był podziwem wieku swojego, w szczególném poważaniu u kilku panujących Francyi. W uniwersytetach niemieckich i angielskich wykładano kolejno Homera i Ronsarda. Wszędzie wielbiony i przytaczany był *Le grand monsieur Ronsard, Homere du Vendemois.* Wyniosła Elżbieta dyamentami płaciła jego

poezye i upokorzona Marya Stuart przesłała mu skałę ze srebra ulaną, wyobrażającą Parnas i źródło. Miasto Tuluza ulało dla niego srebrną Minerwę. Belon sławny botanik ocalił życie w wojnie domowéj wyrzeczeniem wśród żołdactwa, że jest krewnym wielkiego Ronsarda. Wyższy nad swój wiek Montaigne stawia go przeciw całéj starożytności i mówi: że on poezyę francuzką do najwyższego stopnia posunął. Sam wreszcie Ronsard pamiętał o sobie śpiewając: że go Kaliope wykołysała, że *rossignol* od wyrazu Ronsard pochodzi. Nie znany jeszcze Tasso drżącą ręką złożył księciu poetow w Paryżu *Jerozolimę wyzwoloną*, a Kochanowski w elegii szczęśliwym się głosi, że w nim nowego Amfiona oglądał. Krótko trwała tak wielka wziętość, nie przeto tylko, że następny wiek Francyi wi ększe wydał geniusze, lecz że język francuzki nie dał się połączyć ze starożytnemi, że nadętość i maniera na krótko tylko mamią nadzwyczajnością, że Ronsard nie trafił w charakter narodu, który prędzéj czy późniéj zawsze do tego wraca, co mu jest przyrodzone. Trwaléj się dochowała skromna sława Kochanowskigo, nietylko przeto, że wiek po nim nastąpiony nie wzniósł się wyżéj, ale że pierwszy, od razu odpowiedzieć umiał duchowi języka i charakterowi narodowemu, że nie miał dumy tworzyć osobnéj szkoły, ale po prostu szedł za natchnieniem. Kochanowski przejął się wyższym celem poezyi, zwłaszcza, gdy zaczął pisać po polsku, chociaż mniéj się zajmował krytyką. Charakter jego i w ogólności całego narodu w wieku XVI., nierównie był bliższy poważnéj starożytnych prostoty, niżeli Francyi i wszystkich jéj ówczesnych poetów. Hopital był rzadkim pod tym względem wyjątkiem. Ztąd nie tylko styl poetyczny, ale w ogólności smak starożytnych bardziéj przystał i językowi polskiemu i poezyom Kochanowskiego. Zajmuje on nie tylko jako poeta, ale jako chrześcianin i obywatel, pełen uczuć najczystszych i zdań najzdrowszych, które zaszczepiać powołanym się sądził. Cała Plejada ówczesna w Paryżu nie ozwała się z podobnemi uczuciami, jak pod gwiazdą północną z zacisza swojego, śpiewak Czarnolasu ogłaszał:

I mnie . . .
Da miejsce Sarmacya pomiędzy wieszczami,
Gdy zazdrości i dumy nie mam w obyczaju,
Lecz piersią włada tylko wdzięczna miłość kraju.

. . . .

Przeto chciejmy wziąść przed się myśli godne siebie,
Myśli ważne na ziemi, myśli ważne w niebie:
Służmy poczciwéj sławie, a jako kto może,
Niechaj ku powszechnemu dobru dopomoże,
Komu dowcipu, równo z wymową dostaje,
Niech szczepi między ludźmi piękne obyczaje;
Niechaj czyni porządek, rozterkom zabiega,
Praw ojczystych i pięknéj swobody przestrzega,
A ty, coć Bóg dał siłę i serce po temu,
Uderz się z poganinem. . . .
Nie przegra kto na sławę frymarczy z żywotem.

Kiedy Ronsard z całą Plejadą zagasł przy późniejszym blasku chwały naukowéj, jaki ciągle Francyi przyświeca, pamięć Kochanowskiego, należy do najdroższych wspomnień dawnéj sławy narodowéj. Czystość jego uczuć kazała mu się tego spodziewać i pragnąć:

A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy,
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy,
I opatrzył to dawno syn pięknej Latony,
Że popioł kości moich nie będzie wzgardzony.

Słodko i zaszczytnie jest dla ludzkości podobną ufność szanować. Kiedy we trzy wieki późniéj, po upadku i rozproszeniu narodu, już nawet język Kochanowskiego blizkim był zagłady, jednéj już tylko czułéj Polce zostało wyprzątać z ruin szczątki prochów sławnych Polaków, płaty zwycięzkich sztandarów, zardzewiałe zbroje i inne marne, lecz pełne wspomnień pozostatki: wtedy i popioły Kochanowskiego złożone zostały w urnie obok pamiątek tych mężów, których niegdyś

zagrzewał. Tam się pomieściła cała ośpiewana wielkość, i tam może zakres szlachetnie pragnionéj nieśmiertelności. *

Staranie się o koronę polską Henryka Walezjusza zawiązało bliższe stosunki Francyi z Polską. Zaszczytne są świadectwa francuzkich pisarzów, o ówczesném oświeceniu Polaków których pobyt w Paryżu poselstwo znakomitego w swoim wieku Montluca dały poznać. Tém powodowany Henryk Walezjusz, udając się do Polski, przybrał do swego orszaku osoby mające wziętość naukową albo sławę z dowcipu. Przybyli z nim prócz innych: Gui du Faure de Pibrac, który przez pobyt w Padwie i na trydenckim Soborze wszedł z Polakami w stosunki; d'Amboise, który z rozkazu króla wydał *Opis Polski*, przybył i Desport najsławniejszy po Ronsardzie poeta niższy w talencie, lecz powabniejszy od Ronsarda i więcéj narodowy.

Wzięty u monarchów, najwięcéj przywiązał się do Henryka. Weseléj niż Owidjusz lecz równie jako dworak zniewieściały, przykrzył sobie w śniegach północnych i barbarzyńskiéj dla niego ziemi Sarmatów.

Neuf mois entiers pour complaire a mon maistre.
Le grand Henry:
Pour ces deserts j'y la France laissée.

Po ucieczce z Henrykiem zostawił gładki i nie bez dowcipu, ale dziwną lekkość dworaków francuzkich malujący wiersz: *Adieu à la Pologne.* Szydzi z barbarzyńskiéj gościnności Polaków, mówiąc, iż nigdyby nie wierzył, gdyby nie widział, że tyle pić mogą, że nie groźna postawa, zawsze uzbrojone i skrzydłami sterczące ramiona czynią ich niezwyciężonymi, ale same ubóstwo, że gdyby mieli porty, bogatsze miasta, głębokie rzeki, a szczególniéj winnice, pewnoby ich męztwo daremne było. ** A jakby zawiedzionemu na facjendzie, życzy Henrykowi berła w innym kraju, gdzieby było

* W świątyni Sybilli w Puławach.

* *Choinin* i inni pochlebniejsze dają świadectwo o stanie kultury i zamożności Polski w XVI. wieku. Rokiem przed rzezią Ś. Bartło-

więcéj gotowego bogactwa etc. Dla wielkiego króla były wtedy do nabycia na tronie północnym sława i bogactwa. — Kochanowski bawił wtedy przy dworze, a jak wszyscy ziomkowie staropolskim zwyczajem przybyszów podejmowali, tak i on tém więcéj pragnął zapewne uraczyć brata w Apollinie. Taka gościnność przez Desporta wyszydzona, najwięcéj go obeszła. Napisał z tego powodu mniéj dowcipny, lecz zalecający się prostotą łaciński wiersz: *Gallo crocitanti.* *

mieja, Torquato Tasso zwiedziwszy Francyę, taki daje jéj obraz: „Pośród pól żyznych wznoszą się miasta źle zbudowane, wązkie ulice i posępne domy, często z drzewa, źle zbudowane, w których ciemne i kręte schody prowadzą do ciemnych i niewygodnych pokojów. Szlachta zawsze zbrojna, ciemiężąca swoich lenników, mdłéj postaci i słabéj budowy ciała, odznaczająca się szaloną dumą i głęboką niewiadomością, rozkazująca silnym wieśniakom. Mimo usiłowań Franciszka I. największa część kościołów mało zawiera przedmiotów sztuki etc. etc.“

* Et tamen hanc poteras mecum requiescere noctem,
Nec dubiis vitam committere, Galle, tenebris.
State viri: quae causa fugae? non Trinacris haec est
Ora, nec infames funesto vespere terrae,
Sarmatia est quam Galle fugis, fidissima tellus
Hospitibus.

. . . .

Atque ego Galle quidem fateor, neque forsitan ipse
Inficias ibis; vos summo hominumque, Deorumque
Applausu exceptos, passimque agitata per urbes
Adventu vestro convivia: nec puduisse
Sauromatam pictis redimitum tempora sertis
Ad cytharam saltare rudem, Bacchoque madere.
Quippe ut Galle fidem faceret tibi simplicis, atque
Non fucati animi: quo confidentius, et tu
Laetum ageres convivam, epulis acceptus amicis.
Tu vero ingratus fugitivus, Barbarus, hospes
Officium in vitium trahis, et temeto conspergis,
Non tantum me, sed proprios etiam ebrie versus.
Quod si peccaturus eram . . .
Est quod agam meritas diis longa in secula grates.
Hunc animi errorem in patria, non gallico in orbe
Objectum nobis: ubi Liber largius haustus

Słusznie uciekał z Polski poeta, którego za sonety do Dyanny i Hippolity trzy opactwa we Francyi czekały, któremu Henryk III. 10,000 talarów na druk dzieła wyliczył, Karól IV. każdy wiersz hojnie opłacał, a książe Joyeuse za jeden sonet ofiarował opactwo czyniące 30,000 franków.

Kiedy książe poetów polskich z podróży zagranicznych do kraju wrócił i cząstkę majętności prawnemi sporami zagrożonéj odziedziczył, zyskał porękę u szkolnych w Padwie nabytych przyjaciół, którzy już wtenczas znakomite piastowali godności. Padniewski kanclerz, a potém biskup krakowski przedstawił go Zygmuntowi Augustowi, który poetę wraz z Łukaszem Górnickim w kancellaryi swojéj z pensyą 1200 złotych umieścił. Rodzaj tych obowiązków, powierzonych mu tylko dla biegłości w języku łacińskim, nie odpowiadał umysłowi Kochanowskiego, pragnącemu się czém inném zajmować. W owym wieku tylko stan duchowny albo rycerski do fortuny prowadził, Kochanowski w obudwu nie miał upodobania. Przecież gdy Myszkowski pieczęć koronną po Padniewskim objął, wyrobił Kochanowskiemu bogate probostwo Poznańskie, mimo, że go do stanu duchownego nakłonić nie mógł. Nadto za wpływem Jana Zamojskiego zakonnicy sieciechowscy opatem go swoim obrali. Kochanowski porzucił krótko trzymane probostwo, nie przyjął bogatego opactwa, przestając na tém, że trzej najznakomitsi po sobie następujący kanclerze względami swojemi go zaszczycali. Poezya była niezbędną jego serca potrzebą, którą za swoje powołanie uważał. Nie chciał przeto zaprzedać u dworu pożądańszéj nad wszystko swobody, ani pozbawić się szacunku dla siebie samego, używaniem dochodów, które pobożność ojców na inny chrześciański cel przeznaczyła. Kochanowski nie był Desportem, pragnął on sławy z talentu tak, ażeby przezeń osobisty zyskał szacunek.

Opuściwszy dwór, osiadł na zawsze w dziedzicznéj majętności Czarnolasu, nie przyjąwszy i późniéj dostojności

Sanguine pensatur: famosaque coena . . .
Vita emitur: neque sopitos semel expergisci
Fas iterum est, sed producendi ad funera somni,
Funera per summas volvenda cruenta fenestras. . . .

kasztelana połanieckiego, mówiąc: że nie chce, aby kasztelan zmarnował to, co Kochanowski oszczędzi. Przestał na skromnym, bez żadnego dochodu urzędzie wojskiego sandomierskiego, który od wyprawy wojennéj uwalniał, a w czasie téjże do czuwania nad wewnętrznym porządkiem i spokojnością mieszkańców obowiązywał. Tak przepędzał Kochanowski dni spokojne dawno upragnione; połączony związkiem małżeńskim z Anną Podlodowską, był ojcem sześciu nadobnych córek, mieszkał przy grobach swych przodków, w sąsiedztwie krewnych, którzy miłością nauk celowali. Myszkowski i znakomite w kraju osoby porzucały dwór, śpieszyły w dni pogodne do Czarnolasu, obchodząc się wtedy bez licznéj czeredy służalców. Szczere i swobodne były u niego wiejskie zabawy, gdy kanclerz koronny był pewny, że wojski sandomierski nie myśli prosić o wyższy urząd, a Kochanowski podejmował w swojéj zagrodzie tylko miłośnika nauk i przyjaciela. W tym wieku, w którym egoizm już być zaczął sprężyną uczuć i działań, nie mogli się ludzie dosyć wydziwić, że ten mąż będący na drodze do zrobienia świetnéj fortuny, wolał ze szczupłéj ziemi pożywienie swoje wygrzebywać. Sam Kochanowski w wierszu *Marszałek* tak o tém mówi:

Mądrze to Bóg sprawił,
Kiedy ludzi różnemi sprawami zabawił;
Ten stworzywszy część ludzi chciwych na pieniądze,
Mnie, za co mu dziękuję, stworzył bez téj żądze;
Więc, kto będzie chciw na grosz, i złoto miłował,
Ten będzie mojéj radzie wielce się dziwował
Nie wiedząc, żem ja z inszéj gliny ulepiony . . .
Nie chcę tobie wyliczać rozlicznéj przyczyny,
Czemu mimo się puszczam, wielkie dziesięciny,
To tylko krótko powiem; dochody szczuplejsze,
Ale myśl bezpieczniejsza i serce wolniejsze.
Tylko jako ktoś mówi, nie trzeba się zbraniać
Pługa jąć czasem albo i wołki poganiać,
Nie lenić się, do domu nieść jagnięcia w łonie;
Albo jeśli mać kozki odbieży na stronie.

Tak mój poeta śpiewał a znać i po rymie,
Że sam roli nie orał, ani siedział w dymie,
Ale żywot spokojny i mierność miłował,
W czémbym go rad jako i w rymie naśladował.

Swobodne i chwalebne życie Kochanowskiego dwoma pamiętnemi nieszczęściami zatrute było: śmiercią najdroższéj córki Urszuli, którą najtkliwszemi opiewa ł rymami i śmierci brata żony, Podlodowskiego, który przeciw prawu narodów od Turków został zamordowany. Gdy w sprawie téj stawać miał przed królem Stefanem, nagle żyć przestał mając lat 52.

ELEGIE.

I.

DO KRZYSZTOFA RADZIWIŁŁA.

Nie Muzy mi (jeślim jest) poetą być dały,
Ni pomnę, bym aońskiéj kiedy dosiągł skały,
Miłość mię wyuczyła lekkie pienia składać
I dawnéj Kalimacha lutni odpowiadać.
Cóż na górach idajskich czynił pasterz młody?
Skromny, bez troski pasał kręto-rogie trzody,
Lecz raz tylko podróżną miłością splątany
Rzucił gaje ojczyste, opuścił cabany,
Wnet nawę wybudował, i bezślednie morze
Aż do brzegów Euroty nieznajomych porze,
I nie pierwéj opuścił Spartę uzbrojoną,
Aż uszedł z wyśmianego Menelaja żoną;
Wtedy, gdy Greki pola frygijskie niszczyły,
Posłał w Ereb Achilla niezrównanéj siły,
Achilla, co nie dawno po trojańskiéj ziemi,
Tarzał ciało Hektora końmi meońskiemi.
Nie z Jowiszać zrodzona, lecz równa bogini
Zdobna moja dziewica, co mię śmiałym czyni,
Ona niech pieśni moich wysłucha łaskawie,
A drugi się Orfeusz i Amfion wsławię;

I choć nie łatwo wyznam, jak gnozyjskie strzały,
Jako stalone zbroje mym barkom przystały,
Ale ona niech każe — wnet na dzikie zwierze,
Wnet z nieznaną odwagą na Hydry uderzę,
Hesperyd owoc porwę od smoka strzeżony
I trójpaszczęki Cerber umilknie zwalczony.
Tobie Krzysztofie! Lechów ozdobo i chwało!
Wzorem dziadów strzedz granic ojczystych przystało;
Ty umysłem niezgiętym i odważnym czynem,
Masz światu przypominać, żeś owego synem,
Co grodów Starodubu z ziemią zrównał szczyty,
Który Daki poskromił i ukorzył Scyty. —
Ja w niezłomne miłości zakuty kajdany,
Żyję surowéj władzy méj pani poddany,
Pod jéj rządem spływają dni moje i nocy,
Wszelkie moje niedole i szczęście w jéj mocy.
A wy! coście mniemali, że zatrute zioła,
Że lutnia moc miłości kiedy zwalczyć zdoła,
Tu z zielem, tu z czarami niech każdy przychodzi,
Jakie wysoki Erix, Pind i Othys rodzi,
Póki mi ona w oczach tyle będzie drogą,
Żadne zioła i żadne czary nie pomogą.

II.

DO PRZYJACIÓŁ.

Próżno we mnie drużbowie chcecie podnieść ducha,
Bo kiedyż miłość głosu rozumu posłucha?
Wszak ona ani widzieć, ani słyszyć zdoła,
A cóż wtedy dopiero, kiedy rozum woła.
Więc kiedy wszystko błądzi na przemiennym świecie,
Wy mi błąd mój powszechny: miłość, wskazujecie?
Przez nią pod zimném niebem ja twardy Sarmata,
Spokojnym sztukom młode poświęciłem lata,
Ona mię odmówiła od wojennéj wrzawy,
Ojców niegdyś nad Wisłą jedynéj zabawy,

Ona słodszych nad wszystko uczyła mię pieni,
Jakie nucą śmiertelni przez bogów natchnieni,
By kiedyś sława niosła, że nie same Traki,
Lecz i Sarmaty swoje miewały śpiewaki.

Ja, ani pragnę lasów z gór wysokich ruszać,
Ani dzikie zwierzęta za sobą przymuszać,
Jedna żądza, Lydjo! zmiękczyć serce twoje,
Aby otworzyć ryglem zaparte podwoje,
To jeśli stróny moje za czasem przemogą,
Wy lasy i zwierzęta idźcie waszą drogą!

Niech na wozie zwycięzkim inny prowadzony
Dumném okiem lud mierzy bijący pokłony,
Nięch wiedzie króle jeńce, i wydarte wrogom
Łupy ku wiecznéj chwalbie pozawiesza bogom;
Mnie, ty się o Lydjo uśmiechnij łaskawie,
Innym wozy zwycięzkie i sławę zostawię;
Bo kto na ziemskie sprawy bacznie zwróci oczy,
Widzi, jak wszystko kołem szaloném się toczy,
Wszystko ślepy traf rzuca, równa i odmienia,
Ledwie co poważnego godne zapragnienia.
Cnotliwi na pustynie wygnani z ojczyzny,
Mędrcom sąd oślepiony zastawia trucizny,
Bogów czciciel wodami ginie pochłoniony,
Zwycięzca wrogów pada z rąk zdradzieckiéj żony —

Gdzie Krezie! twoje skarby i fortunne losy,
Gdy wrogi pod spętanym zapalały stosy?
Tysiąc ukrytych przygód na śmiertelnych godzi,
A nikt nie wie, gdzie dobrą albo złą znachodzi,
A po złych, jak po dobrych, blizka, czy daleka.
Zawsze nas w drodze smutna ostateczność czeka,
Kto późniéj ku niéj zdąży, tyle tylko zyska,
Że go z większą lat liczbą cięższe złe uciska.
Starość zazdrośna winną, jakiéj Pryam dożył,
Że w chwilach fortunniejszych życia nie położył,
Że widział jako miasto zdradzone gorzało,
Jak po piasku tarzano hektorowe ciało,

Widział ołtarz zbroczony, w pętach własną żonę,
I od żarów morderczych niebo zczerwienione.

III.

Pomnę co stary mędrzec powiadał za młodu,
Tam, gdzie Antenor leży, założyciel grodu:
Że nie możny bogatym, nie ten komu pługi
Woły nie przeliczone prowadzą na smugi,
Ale ten, kto czy wiele, czyli posiadł mało,
Cicho przyjął, co Pańskie przejrzenie zesłało.
Tegom się chwycił, mówiąc: wam złoto królowie!
Mnie nie wzięta nikomu myśl wolna i zdrowie.
Teraz na wywód chciwéj dziewicy przystaję,
Teraz moje ubóstwo i błędy poznaję,
Ona inaczéj mówi: — Jeżeliś ubogi,
Wolna myśl nie nakarmi, opuść moje progi! —
Biada mi! że gdy rozum bogatym być umie
Tego bogactwa żadna dziewka nie rozumie.
Za nic u mnie starostwa, okazałe sprzęty,
I skarbiec misternemi kluczami zamknięty,
Niech się stroją w szkarłaty i jasne kamienie,
Niech im złoto tagowe przynoszą strumienie,
Ja w niestrojnym kożuchu niechaj przetrwam lody,
Z mimo płynącéj rzeki napijam się wody,
Bylem kochał, słomianą niech zamieszkam chatę,
Bo w tém ciężko ustąpić, wam! pany bogate. —
Ale trzeba ustąpić, bo przeklęte dary
Przeważą winną pamięć i stateczność wiary,
Wszak i Danaę wieża żelazna zawarła,
Jednak rygle wysokie złota rosa zżarła,
Złotu i Eurifila uległa zwiedziona,
Że mąż z tajni wydany pod ciosami kona.
Czułą była natura na śmiertelnych plemię,
Kiedy kruszec głęboko ukryła pod ziemię,
Gdy go słońce nie znało, nie bywały wrogi,
Ni tak różne do piekieł prowadziły drogi,

My nieszczęśnie dowcipni złoto wyszukali,
Nędzom z niego poczętym rozmnożyć się dali,
Ono budzi do mordów, z ziemią równa grody,
I wielkie do imienia pochłania narody.
Lecz darmo głuchym uszom z prawdą się ozywać,
Ona staréj swéj piosnki nie przestaje śpiewać:
„Próżna miłość bez złota, jeżeliś ubogi,
Za nic pieśni cnotliwe, opuść moje progi!“
A więc, gdyby nie złoto kute z gór odwiecznych,
Miłośćby nie zaznała promieni słonecznych?
Jeżeli starym wieszczom wierzy świat dzisiejszy,
Wie, że nad wszystkie bogi Amor jest dawniejszy,
On walczące żywioły przyjaźnie zgromadził
I zgodnie powiązany ten świat wyprowadził.
On jeden, gdy się wszystko staje i przemienia,
Wieczną koleją każde ogrzewa stworzenia.
Święty bóżku! któremu i morza i lądy,
I świat nieogarniony poddaje się w rządy,
Jeśli u ciebie złoto przekupne nie nada,
Jeśli dla dobra wszystkich twa potęga włada,
Gdy nagi, nic nie żądasz, o! wzrusz się prośbami,
Niech twego bóstwa złoto bezkarnie nie plami,
A ta, która kochanków szkodą się bogaci,
Niech zbiory w ogniu ujrzy i łzami opłaci,
Niech wtedy żaden sąsiad z wodą nie przybywa,
Niech je złodziej nikczemny z płomienia wyrywa,
A widzący żar dymu i złodziejskie spory,
Niech mówią obojętni: tak płoną złe zbiory!
Wnet niech się od niéj młodość z pożegnaniem kwapi,
Za nią przewlekła starość spomnieniami trapi,
Niechaj kibić wschodzącéj młodości udaje
Kiedy zdrajca włos siwy z pod zasłon wystaje,
Niech myśląc, że zachwyci, śpiewa w dobréj wierze,
I wraz z dziewic orszakiem do tańców się bierze,
Niech się śmiechem młodzieńcy obeślą koleją,
Niech ją wreszcie dziewice i dzieci wyśmieją,
Tajnie wprzód, potém jawnie, aż pozna dowodnie,

Że czas przyszedł, w proch starą obrócić pochodnię;
Już się niech drzwi nie boją swawolnych młodzieńców,
Wyschłe słońca upałem i odarte z wieńców.
Śmierć wreszcie nie łakoma nadejdzie powoli,
I przecię babskie ciało wybawi z niedoli; —
Lecz same tylko ciało, bo Cerber z daleka
Za brzegi Acherontu cień winnéj wyszczeka;
Tam do skrzyni bezdennéj przelewając wodę,
Pamięć swojéj chciwości mieć będzie w nagrodę.

IV.

DO RADZIWIŁŁA.

Śmiałżebym Radziwile, gdy idziesz na boje,
Ażebym nie wojenne słał ci rymy moje?
Stalby lepszą dziś była, lub zbroja Wulkana,
Zdradą niegdyś młodemu Achillowi dana.
Lecz jeśli mężom nad miecz jest co ku ozdobie,
Najpierwsze miejsce Muzo! przynależy tobie,
Bo póki mowna sława cnoty nie rozgłosi,
Póty ona winnego danku nie odnosi.
Cóż zostało z Atryda wojennego plonu,
Z jakim z gorejącego wracał Ilionu?
Rdza i starość wszystkiemu zagraża zniszczeniem:
Sława żyje niesiona nieśmiertelném pieniem.
Ktoby znał Antyocha, mądrego Nestora,
Nieszczęsnego Pryama, obrońcę Hektora,
Gdyby o nich poety zamilkły podania?
Ten mężów z bogi równa i umrzeć zabrania.
I twojéj Radziwile nie ujmie pamięci,
Ktokolwiek dzieje lackie potomnym poświęci,
Powie że twém staraniem w nieprzełomnéj wierze
Austrya z lackim rodem zawarła przymierze,
I ów, który inflantskie opiewa nam boje,
Jakże zdoła pominąć sławne imię twoje?
Jakoś hordy zadnieprskie u granic powalał,

Zkąd wróg zwiedzion w nadziejach nie inaczéj szalał,
Jako niegdyś zacięty ów syn Telamona,
Że nie jemu Achilla zbroja przysądzona.
A jeżeli Apollo wieszcza nie omyli,
Nie zadługo czekanéj dożyjemy chwili,
Że jak jeleń trąb głosem pędzony w odzierze,
Pierzchnie Scyta stwardziały, rzuciwszy puklerze;
Ani go Don zatrzyma ni ryfejskie skały,
Ani stepy, co wiecznym lodem zabielały,
A wkrótce, ilu krajom świeci wóz Północy,
Wszystko króla mojego zahołduje mocy;
I twoją Radziwile laur otoczy głowę,
Który muzy w gałązki przykraszą myrtowe.

V.

DO PADNIEWSKIEGO.

Z helikońskim wawrzynem staję dziś przed tobą,
Padniewski! Muzy mojéj celu i ozdobo,
Daj! niech włosów święconych dotkną czyste dłonie,
Niech wieńcem przynależnym otoczę ci skronie —
Ktoby śród tego zgiełku, okrzyków tak wielu,
Serca doczekanemu nie poddał weselu?
Że Padniewski, cnotami tylu znamienity,
Za nowe czyny, nowe odbiera zaszczyty!
Sam już Tytan ciekawy naszego wesela,
Zdobny, rychléj z nad morza promieniami strzela,
Dnia chmury nie obłóczą, dmy wiatrów ustały,
Morza ujednanego równają się wały,
Ciche pola, wół leży przy pługu złożonym,
Wszystko świętuje na dniu tobie poświęconym,
I ja nagle zapałem nie doznanym tknięty,
Śpieszę muz obyczajem ośpiewać dzień święty;
Nie wpadnę na bezdroża w pijanym zapędzie,
Równą drogą twa cnota prowadzić mię będzie;
Ona mi nocną gwiazdą, która w zdrowéj łodzi

Żeglarza z wód bezślednich ku brzegom nawodzi,
Boś ty nie z tych pocztu, co dawnych naddziadów
Herbem się zastawiają bez własnych dokładów,
Bo nie strudzon, tak dzienne, jako nocne doby,
Przemyślasz dla ojczyzny dobra i ozdoby.
Żądzą wiedzy wyzwany ku przyszłéj zasłudze,
Na żniwa umysłowe szedłeś w kraje cudze,
Młodość stracona innym w opilstwie i zbytkach,
Tobie na pracy zeszła i nauk pożytkach;
A jak może z dowcipem w przymierzu być sztuka,
Na tobie jawny przykład i nowa nauka.
Ulis jesteś na sejmach, ani Nestorowa
Płynniejszą była złotem dźwięcząca wymowa,
Jako niegdyś na tracką Orfeusza stronę,
Lwy stawały i w biegu rzeki nie cofnione,
Tak i głos twój z ust świętych uroczyście dzwonił,
I korząc mimochętnych ku twéj radzie skłonił;
Téj pewny posłowałeś po italskich grodach,
Cześć Lechom wymuszając w germańskich narodach
A nawet losów twoich nie zdało się radom,
Byś przeżył, żelaznego Gradywa nieświadom;
Bo kiedy sprawiedliwym gniewem wywiedziony,
Król nasz bojne do Inflant umyślił zagony,
I ty, gdzie białe orły wskazywały szlaki,
Byłeś w chmurze piorunnéj z mężnemi orszaki,
Ztąd nasz August nowemi ozdoby się odział,
I starań swoich z tobą rozporządził podział. —
Jako u steru państwa kierujący sprawy,
Działasz na wszystko czuły, opatrzny, łaskawy,
Rozkosz słyszeć świadomych. Zkąd inąd ci chwała
Ale ztąd miłość ludu serca ujednała.
Lecz jakokolwiek skrzętna Muza nie nadąży,
Wznieść się tam, gdzie twój umysł orlim lotem krąży,
Życzyć tylko zostało, by nowe zaszczyty,
Pod błogiém wszczęte godłem plon dały obfity;
Już Wisła uwierzbiona, niecierpliwa w biegu,
Ciebie od gór przyzywa do szklannego brzegu;

Zakończ już utrudzonych mieszkańców zawody,
I odbierz czekające od wdzięcznych nagrody:
Ciebie wzywa stolicy brama ościeżona,
W niéj zamek poprzedników i święta korona,
Za tobą tęsknią dobrzy, tobie na ofiary
Szlą Najady wiślańskie w pełnych koszach dary.
Sobieś wszystko powinien, bo nic z tobą nie ma,
Czczone od gminu bóstwo z ślepemi oczyma,
Sztuka coć dała władzę, niech uczy zażywać,
Nie wolno Padniewskiemu w drodze cnót spoczywać.
On od wilków żarłocznych swe trzody ustrzeże,
Głód odpędzi, poskromi niesyte grabieże,
Pokój wróci cnotliwym — Bóg dawcą pokoju —
Z piekła idą niezgody i hasła do boju.

VI.

Jeszcze ta w piersi mojéj mądrość nie postała,
Aby mi kiedy miłość występkiem się zdała.
Kto na ziemi bez żądzy? — ten chwałą zagrzany,
Chce być zwycięzcą w kurzu olympijskim zwany;
Ten rano żonę rzuca, na trudy wytrwały,
Za jeleniem po skałach przepędza dzień cały;
Po coby chciwiec morzem niewiernem żeglował,
Gdyby w myśli najdroższych pereł nie rachował?
I owi, co się cnoty mistrzami być głoszą,
Cnotę samą i słowem i czynem wynoszą,
Tych wszystkich mieścić mogę w kochających rzędzie,
A ich przykładem błądzić, już wstydem nie będzie,
A nawet, niechaj mędrzec w surowém pojrzeniu
Z brodą tragiczną, z laską, z torbą na ramieniu,
Przeciwko mnie walczące rozwinie rozdziały,
I surowéj Logiki wyrzuci postrzały;
Niech się wolno, z dusz jakąś miłością, rozwodzi,
W któréj tego co kochasz, dotknąć się nie godzi,
Nie będę wiele przeczył, bo znam, że on zdoła

W gniewie przez czary, rogi przystroić do czoła —
A jeszcze przed obliczem italskiego ludu,
Gdzie nad podobny nie ma złośliwszego cudu,
Skromną mu wtedy prośbą będę się zastawiał,
Aby roku kwitnącéj wiosny nie pozbawiał,
Ale młodym roślinom na zielonéj roli,
Niech listkami ku słońcu wybujać dozwoli,
Aby gdy ikaryjski pies dogrzeje w lecie,
Pełny kłos w bróg tłoczyły pracowite kmiecie.
Dziś ja Amorku! pójdę za twemi sztandary,
Gdy trąba Marsa, żadnéj nie woła ofiary.
Gdy sam tarczę złożywszy, znojne odkrył skronie,
I dzikość ułagodził na Cyprydy łonie.
Oby zawsze tak było!—niech przez wszystkie ziemie,
Pokój krążąc, skarbami darzy ludzkie plemię. —
Lecz gdy Mars porwie zbroje na chwile rzucone,
I znowu na bój wyzwie Scyty nieskromione,
Na tedy czciciel boga i jego niebianki,
Z nie mniejszą żądzą w krwawe przeciśnie się szranki.
Oby każdy z obrońców na polu zwycięztwa,
Mógł mieć lubą dziewicę świadkiem swego męztwa!
Bo ktoby się ucieczką przy kochance zmazał,
Albo lękał się umrzeć, gdyby wyrok kazał?
Wierzę, iż dzielny Hektor nie unikał zgonu,
Lecz widząc Andromachę w wieży Ilionu,
Jakże zapewne pałał, jak reszty sił użył,
Aby u wiernéj żony na chwałę zasłużył!
O wieleś jeszcze przemógł nad twardym wyrokiem,
Żeś ginąc, piękną śmiercią legł pod żony okiem;
Ona na twym pogrzebie wyrywała włosy,
Krwawiąc lice, rozpaczy wydając odgłosy,
Zakrzepłe rany twoje omywała łzami,
I do ust martwych swemi przylgnęła ustami,
Ciało na stos włożyła i najdroższe szczątki
W drogą urnę dla wiecznéj zebrała pamiątki. —
Wstaje słońce czy zchodzi, ona przy twym grobie,
Niewzruszona jak posąg, płacze cię w żałobie. —

Nie! — ja sławy Hektora nie chcę się napierać,
Lecz gdybym śmierci pragnął, takbym chciał umierać.

VII.

DO PRZYJACIELA.

Mimo z płaczem u szyi zwieszoną dziewicę,
Ty przecię za dalekie uciekasz granice. —
Ach! nigdzie nie ubiegniesz. Amor pójdzie wszędzie,
Śnieżne Alpy, przestronny Ocean przebędzie.
Jak oderwiesz pamięci, te oczy kroplące,
Te włosy po łabędziém łonie spływające?
Ilekroć śnieżna stopa złudzonego we śnie,
Tajnie niby wchodząca zdradzi cię boleśnie,
O! jak ciebie utrapi troska czuwająca,
Która w łonie ukryta sny z powieki strąca:
Jak często okłamany zwodniczym obrazem,
Marnie się rozradujesz i zasmucisz razem!
Wnet ci będą Medei pożądane smoki,
I rumak uskrzydlony porzący obłoki,
Wtedy w Alpy się wpatrzysz ku gwiazdom wzniesione;
„W którą (rzekniesz) o miła udałaś się stronę?
O! szczęśliwsze gołąbki, których wyrok srogi,
Od uciech nie rozesłał na rozstajne drogi. —
Ale które dzióbkami zwrócone ku sobie
Małżeńskim troskom w każdéj zabiegają dobie.“
Kamieniem jest, kto miłość zaprzedał zyskowi,
Nigdy on mię bacznego w sidła nie ułowi,
Mógłżebym ja żyjący nie urosić lica,
Kiedy łzy wywołując zapłacze dziewica,
Kiedy jękiem rzewliwym żalu mię nabawi.
I ręką kaleczącą jagody pokrwawi?
O! niech w nędzy doprzędę dni mego jestestwa,
Gdy tylko z tobą żyję, za nic mi królestwa.
Bo i na co się zdały perły, złote czary,
Ambrozyjskie potrawy, lutnie i nektary,

Jeśli miłość zbiegliwa serce mi rozżala,
A troska gorzéj dręczy, niźli głód Tantala? —

VIII.

DO TARNOWSKIEGO.

Nie wstydźże się Tarnowski! jeśli w mojém pieniu,
Niekiedy wzmiankę znajdziesz o twojém imieniu,
Chociaż ni Teby śpiewam, ni wozów tumany,
Troję zburzoną, ani Athos przekopany,
Przecież mi Feb nie wzbroni do kastalskiéj skały,
Dokąd stopy Mimnerma ślady wydeptały.
Już téż dawno sajdakiem uzbrojone dziecię,
Z macierzystych gałązek wieniec dla mnie plecie;
A jeśli pienia moje co u ciebie ważą,
Jakie mi dziś Kameny względne nucić każą,
Tuszę, że kiedyś w trąbę aońską uderzę,
I dawne w zgiełk marsowy przywołam Rycerze:
Że i ciebie ośpiewam, co dackie narody
Napędzasz na zdradzieckie obertyńskie brody,
Przed którym na ryfejskie uciekają szczyty,
Przy odwrocie rumaków tém straszniejsze Scyty.
Dziś póki piérwszy ogień gore w głębi łona,
Dozwól, drogę niezbędną niech miłość dokona,
Niech daleki obozów i wojennéj wrzawy,
Nocne znaki przynoszę z pijanéj wyprawy,
Wy rośnijcie tymczasem wawrzyny febowe,
Dziś dosyć skroń uwieńczyć w gałązki myrtowe.

IX.

DO KAROLA.

Taki przestwór Karolu! obu nas rozdziela,
Że nie wiem, czy cię dojdzie ten list przyjaciela,
Jeśli jednak kto szczęsny od arktejskiéj strony,

Stąpi na twoje brzegi morzem przypławiony,
Ten chociaż ci mojego nie przyniesie pienia,
Powie jednak niezmienne dla ciebie życzenia.
Rodan z Loarą moję słyszały tęsknicę,
Gdy przychodziło Gallów opuszczać stolicę;
Ale dom nieszczęśliwy rodziców zbawiony,
Głośno wołał powrotu do rodziméj strony,
Gdybym spóźnił, jak drugi Ulisses w Itace,
Ze starym psembym płakał na zniszczone prace.
Lecz choć za ryfejskiemi górami osiędę,
Z tobą zawsze Karolu! umysłem żyć będę,
Bo zacną twoją przyjaźń i chęci uznaję,
Odkąd się między obce zabłąkałem kraje;
Z tobą Belgi zwiedziłem, z tobą Akwitany,
Gród marsejlski nad samém morzem zbudowany,
Domy Celtów, Sekwanę, która modre wały,
Wartkim pędem zakrąża pod Paryż wspaniały,
Tutaj dał mi się widzieć ów Ronsard wsławiony,
Co do mowy ojczystéj nawięzuje strony,
Słysząc go, ledwom nie rzekł że to Orfej wtóry
Lub Amfion układa siedmiobrame mury,
Że rzeki zachwycone pęd swój zatrzymały,
I na głos niesłyszany ruszyły się skały.
Kiedy Marsa uniosły w Niebo wietrzne konie,
Chwałę Bogu i pokój w wdzięcznym nucił tonie.
Lecz teraz, gdy Henryka zimny grób już tłoczy,
Jakiemi łzami jego zalały się oczy!
Podobnie ptak attycki smutno się rozkwila,
Kiedy w lasach cekropskich żałuje Ityla. —
Więc Królu! kiedyś różnéj fortunie się stawiał,
Kiedyś w bojach przeważnych imię twoje wsławiał,
Kiedy zamięszanego w nieprzyjaciół roty,
Króla wielkiego ślepe szanowały groty,
Teraz, pośród pokoju, śród igrzysk zabawy,
Nagle na brzegi Styxu poszedł cień twój krwawy.
Mógłżeś myśleć, gdy twarde zakończyłeś boje,
Że w pokoju żelazo wydrze życie twoje?

Bo gdzie kratą szyszaka wchodzi blask febowy,
Padła strzała do twojéj wymierzona głowy,
Nie był wtedy wróg żaden, ale twarda Kloto
Nie skłoni się do miru przez prośby, ni złoto.
I gdy pasma zabraknie chybkiemu wrzecionu,
Nie wyprosisz dniem jednym późniejszego zgonu.
Mnie, gdy ubogim stworzyć wydało się Niebu,
Nie zapragnę bogatszym płynąć do Erebu,
Zkąd mi nigdy nie zajrzą, gdy w zaciszu wioski,
Prześpiewam lata moje wszelkiéj prόżen troski.
Bez wozu i bez koni nad Styx idą cienie,
Tu szaty i tu drogie zostaną kamienie,
Nadzy, biedni popłyniem na fatalnéj łodzi,
Tam, gdzie Krezus z Irusem pojednany chodzi.

X.

Niech mi się nikt nad moję miłość nie wynosi,
Chociażby światem władał od osi do osi.
Jako Hyppodamea, ta rozpacz kobiéty,
Jaśniała, kiedy wozem dążyła do mety,
Jaką była, za któréj bój niosące wdzięki,
Centaury z Lapitami nie szczędzili ręki,
Albo dla któréj Jowisz teraz w postać byka,
Teraz w złoto i z nowu w orła się przemyka,
Tym wszystkim Hanna moja nie ustąpi czoła,
I raczéj je przewyższyć, niż zrównać im zdoła.
Szyja śnieżna, włos złoty, jako gwiazdy oczy,
Gdzie za nią! dawnych bogiń sławny wdzięk uroczy.
Czy się śmieje, czy smuci, czy rozgniewa czasem,
Uznasz że się Wenery otoczyła pasem,
W niewieściéj pracy saméj Pallady doścignęła,
I co zobaczy, wszystko powtórzy jéj igła.
W pieśni Pieryd żadna zrównać jéj nie zdoła,
By nawet arkadyjskie wydały ją sioła.
Syrenąbyś ją nazwał, gdy miodowe tony,
Przygodzi do czarownéj Orfeusza strony,

Innych wszystkich szczegółów nie wydam obrazu.
Bo mię szczęsnego zawsze dziwiły od razu,
Jéj winna, jeśli Muza ma wzięcie jakowe,
Jéj rzymskie, jéj sławiańskie nucę pieśni nowe,
Ta niech mię szczérze w śnieżne obejmie ramiona,
I nie obcego sobie przytuli do łona.
Wtedy wyżéj się cenię, niż pogromca wrogów,
Do tarpejskich Jowisza wjazd czyniący progów.
Wtedy moje są piaski złotego Paktolu,
I żniwa ziół woniących na arabskiém polu,
Z tém prawem niech mię tylko zostawią bogowie,
I z tą koroną mojéj przysądząną głowie,
Dość mi na tém — wy Króle! użyjcie tym czasem, —
Nie chcę stolic, i nie chcę być drugim Midasem.
Lecz kolcem się zastawia róża, co się płoni,
I pszczoła słodkich zbiorów do boleści broni,
I miłość ma swe troski — już to pan nie mały,
Komu się lżejsze groty Amorka dostały,
Témi nas chłopcze sięgaj, a porzuć żelazne,
Szczędź chwile nasze, krótko miłości przyjazne,
Dosyć gdy z drobnéj kłótni jakie łzy ukaną,
Gdy cię utrapi chwilą zdradnie obiecaną,
Kiedy o nieużyte tłuc potrzeba wrota,
A sercem podejrzenie i niepewność miota,
To i wszystko przecierpi Hanno! moje serce,
Byle widzieć nadzieję choć jeszcze w iskierce.

X.

CZEKANIE.

Gwiazdy do morza ciągną, księżyc w zapad godzi,
A Lydya niespieszna dotąd nie przychodzi.
Czemu o miła spóźniasz wejść w kochanka progi,
Czy Bóg jaki cię wstrzymał, czy zawistne wrogi? —
Niebaczna! czyż ci każę nad strojem się bawić,
Długo grzaném żelazem włosy kędzierzawić?

Nie chcę ja szat sydońskich i drogich kamieni,
Ani na drobnych palcach błyszczących pierścieni,
Ciebie jedynie pragnę: niech włos nie ściągnięty,
Niechaj zostanie trzewik nie dosyć ściśnięty. —
O nie zwlekaj okrutna! — Amorek poświeci,
Z zapaloną pochodnią przed tobą poleci,
Wszak ty i męża udasz przez szaty zwodnicze,
W pas orężny otoczysz twe biodra dziewicze —
I gdzie dawny twój umysł, owe męztwo twoje,
Że mię na takie tęskne stawiasz niepokoje.
Wolniéj mi, wolniéj śpieszcie wy Śiedemtryony,
Wolniéj tocz o Menale twój wóz rozpędzony! —
Tobie chętliwie sprzyjać kochankom przystało,
Któréj w zakład miłości niebo się dostało;
Ciebie Jowisz na łowach dzierżyć postanowił,
Na górach arkadyjskich w sieci cię ułowił,
Wziąwszy na się Dyanny postać i zasłony,
Mężem ci się objawił, ztąd Arkas zrodzony,
Na to Juno zazdrośna gniewem się rozżarzy,
„Nie będziesz mieć (mówiła), bogom równéj twarzy,“
Stało się — w niedźwiedzicę czarną zamieniona,
Kalisto! do Jowisza wyciągasz ramiona,
Aż użalon, do nieba wziął matkę i dziecię,
Gdzie jasno przy północnym biegunie świecicie.
Wolniéj mi, wolniéj śpieszcie wy Siedemtryony,
Wolniéj tocz o Menale wóz twój rozpędzony.

Ty pospieszaj Lidjo! dokąd miłość woła,
Bo nocy niewstrzymane przetoczą się koła,
Sama Febe nad Iber już wychyla oczy,
W mokry dworzec Nerei w rychle wóz zatoczy, —
Mnie ona nie zadziwia że bicza nie szczędzi,
I z swego stanowiska śpieszniéj konie pędzi,
Nie zajrzę Latmanowi — niechaj całowanie,
Śpiący zyska. — O stokroć szczęśliwy młodzianie!
Przed którym wóz skrzydlaty wstrzymuje Latona,
I śpiącego przytula do śnieżnego łona,

I wonnych ust ku wargom śmiertelnym podawa,
Czego tylko jest świadkiem samotna murawa, —
A ty moja Lidjo możesz tak odwlekać,
I mnie na smutném łożu dajesz tyle czekać,
Dajesz Siedemtryony na próżno przyzywać,
I na wiecznie milczące bogi utyskiwać! —
Może i ty jak Luna, chcesz kochanka złudzić,
I śpiącego znienacka całunkiem przebudzić,
Ach! pospieszaj — Lecz nie wiem czemu czuję trwogę,
I mdłéj nadziei niczém pokrzepić nie mogę,
Już bezecny stróż zapiał miotając skrzydłami,
Gwiazda nad eojskiemi zabłysła morzami,
A ciebie nie ma jeszcze, a tu myśl się biedzi,
Płonne, albo nie płonne podejrzenia śledzi. —
Nieszczęśliwy, kto z wami na słowach przestaje,
I zdradnym obietnicom jaką wiarę daje,
Iskry ten w wodzie szuka i róży w płomieniu,
Kto nędzny kobiecemu ufa przyrzeczeniu.

XII.

DO LYDYI.

Za nic tyle ziół wonnych nie paliłem niebu,
Jakbym z tobą dni pędził aż do dnia pogrzebu,
Tyś też baczną się zdała na moje zachody,
Czegom ja prędkowierny zgadywał dowody,
Przeto u bogów miłe nadzieje mi rosły,
Że czułych modłów moich wiatry nie rozniosły;
Ale ciebie znudziła ta miłość zaczęta,
Nowa przeto, że nowa zmienia cię ponęta,
A ten, komuś stworzone serce w sobie czuła,
Gdzieś tam niepamiętany z boleścią się tuła.
Ach! taka lekkość kiedyś utrapi twą duszę,
Bo nie tak sobie bogów nieżyczliwych tuszę,
By mi nie dali dawnéj wolności się dożyć,
I jarzma niewdzięcznego bez boleści złożyć.

I nie trzeba wywodów, że nic tak nie drażni,
Jako niesłuszność staréj niepomna przyjaźni,
Gołąb w siedlisku gniewu żółci pozbawiony,
Przecież sili się oprzeć, przez płochość drażniony,
Wiele już miłość nasza przyniosła mi złego,
Przyczyna méj boleści i wstydu twojego,
To wszystko duszy mojéj wytrwać się udało,
I nie dopuścić, aby w pamięci bolało,
Często nawet na moją przyjmowałem głowę,
Krzywe twoje przysięgi i bluźnierczą mowę;
A kiedy Jowisz zagrzmiał, pomny na te śluby,
Czekałem ciosu, myśląc że mojéj chce zguby.
Był już wyrok spisany, ażebym za ciebie.
Przez czarne Styxu wody żeglował w Erebie,
Gwoli męża miłości w młode swoje lata,
Szła Alcesta do ciemnic z słonecznego świata.
A ja prośbami, ani stałością przemogę,
Abyś ku mnie na prawę cofnęła się drogę.
Póki młodość pysznią̨ca zdradnie nie ubieży,
Nie zbędzie na rachubach, na liczbie młodzieży,
Lecz ktoby jak ja dotrwał do kresu żywota,
W drogę się z tobą wybrał, pogoda czy słota,
Tego trudno upatrzyć — a jak się spodziewam,
Żal cię późny nauczy, jako prawdę śpiewam.

XIII.

DO MYSZKOWSKIEGO.

Myszkowski! gdy co żyje i konny i pieszy,
Tłumnie przed oczy swego biskupa się spieszy,
Gdy zachodząc ci drogę, tém wszyscy zajęci,
By cię widzieć, i z oczu względne czytać chęci,
I mnie także przez Wisłę z nad miłego Bugu,
Miłość wiedzie pomnego o wdzięczności długu,
Nie z tłumami służebnych, nie z zbrojnym żołdakiem,
Z lutnią idę, Pijerid otoczon orszakiem,

Z któremi ja się wdawam i sam szczycę niemi,
Jak inni złotem, albo herbami dawnemi.
Bo gdy nie tak fortuna miała mię na względzie,
Ażebym obok możnych siadł w wysokim rzędzie,
Przecię dowcipem moim przy Feba pomocy,
Zrobiłem imię moje sławném na północy;
Te ja Myszkowski, miasto wozy i orszaki,
Przywodzę ci na wdzięczne pilności oznaki.
Nie myślę, byś je okiem pogardliwém mijał,
Boś im zawsze życzliwie, jako baczę, sprzyjał,
Tak nawet, że ni wojna, ni praca wysoka,
Nie mogły z przed twojego usunąć ich oka,
Jeśliś ich nie przepomniał śród zgiełków i boju,
Niech ci teraz weselą skąpe dni pokoju.
Godna byś nam się nie zdał naśledcą być owych,
Co wyżéj równych siadłszy śród zaszczytów nowych,
Nie dojrzą już przyjaciół, żądają wywodu.
Jakie miana dzierżawią, jakiego są rodu,
Ale to innych grzechy — Tobie nuci śmiała,
Muza, choć splotem bluszczu skronie przyodziała,
Tobie śpiewa od serca: niech zajęte przędzą,
Parki, końca dni twoich na późno oszczędzą.

XIV.

DO LYDYI.

Żegnam niewdzięczne miasto! — Już na wiejskie wczasy,
Zezwoliła Lydya wstąpić do kolasy,
Ty mi odtąd Amorku! pędź wołki na smugi,
Przemyślnemi rękoma wyrąbaj mi pługi,
Ja na krzywej poręczy od światu schylony,
Krajać będę lemieszem ojczyste zagony,
Tam niezwodne nadzieje idącego roku,
Sypać będę na skiby z Lydyą przy boku,
Z nią nie będzie mi nigdy przykrą kmieca praca,

Ona odbiera siły, i ona powraca.
O! niechże zbytki miasta wyjdą jéj z pamięci,
Bogom rolniczym ze mną niech ofiary święci,
Niech zapomni świątynie od złota błyszczące,
I teatra cylickim szafranem woniące,
W cichym gaju niech słucha nie uczonych pieśni,
Jakie gwarzą po nocach słowikowie leśni,
Niech śledzi zdrój krążący przez ciche manowce,
Gdzie się bielą w dąbrowach rozproszone owce,
Gdzie w stadach boje wiodą rogate rywale,
I pasterz na piszczałce wygrywa przy skale,
Może i miło będzie szybkie płoszyć łanie,
I słyszeć z skał najwyższych ogarów śpiewanie,
Ani tak miłe cytry czarownicze zmiany,
Ani dźwięk surmy z lutnią febową zmięszany,
Jako kiedy psów sfora pewny ślad dośpieje,
Obwołując szczekaniem doliny i knieje,
Sarna pędzi zlękniona, nie cięższe ogary,
Rozgłos leci po skałach, i drżą gęste jary.
Tak niech mi spieszne lata przepędzać się godzi,
Przy tobie niech mię starość zazdrośna znachodzi.
Atalanta lubiła arkadyjskie lasy,
I łowom poświęciła dziewicze swe wczasy,
Z nią cierpliwy kochanek prowadzący sfory,
Przebywał nieodstępny urwiska i bory.
Często gdy podwojoném Feb dyszał gorącem,
Chwasty były podgłówkiem pod drzewem cieniącém,
Albo kiedy noc chytra zaszła zabawionych,
Łożnicą była grota zwierząt wypędzonych,
O po trzykroć, po cztery... bez liku szczęśliwi!
W czyich piersiach wzajemne kochanie się żywi.
Wtenczas miłe, jakie bądź przypadną wyroki,
Takbym chętnie kaukazkie zamieszkał opoki,
Wtedy trzęsienia ziemi, ni morskiego brodu,
Nibym się lękał gromów nadchmurnego grodu,
O ciebiebym się lękał, ty zostań się cało,
Niechby mnie zniszczył piorun, lub morze zalało,

Czyliż ci za szczęśliwszych w życiu będą miani.
Którzy z tyryjskich muszli purpurą odziani.
Których domy na słupach frygijskich wzniesione,
Wewnątrz zielenią krzewy zewsząd zgromadzone?
Blask to tylko zewnętrzny, co nieszczęsnych mroczy,
Aby wewnątrz niczyje nie przejrzały oczy.
Bo skryte tam jest wszystko dla obcego oka,
Ile ich dręczy zabór, lub lichwa wysoka,
Ile zbieranie kruszców udręczeń przyczynia,
Jak ciężką niesie trwogę, ciężka złotem skrzynia,
Jam bogacz twéj Lydyo nadzieją miłości,
Ta pochodnia niech w popiół zmieni moje kości.

XV.

DO MIELĘCKIEGO.

Szyszak z głowy Mielęcki! na bok miecz i tarcza,
Zdejm zbroją, co cierpiące ramiona obarcza,
Tu w cichéj włości nie znać żołdactwa swawoli,
Żaden ogień pożerczy nie zagraża roli,
Tu ni chrapliwa trąba napaści ogłosi,
Ni snów płoszy, ni trwogi nieczujnym przynosi.
Tu błogi pokój gości, przy otwartych wrotach,
Miłość igra i lutnia śpiewa o pustotach,
Cichy pająk po tarczach tkanki wiesza białe,
Rdza pożera żelazo i rzuconą strzałę,
Przy młodzieńczych biesiadach pełna kolej chodzi,
I okrzyki radości powietrze rozwodzi,
Ja sam wonnym balsamem namaszczę twe skronie,
I wieńcem białe włosy do koła osłonię,
Wnet broń i carskie orły zanucą Kameny,
I dobyty hetrurskiéj gród warownéj Seny.

Sam Jowisz z olbrzymami ukończywszy boje
Mówią, że wysłał orła pod wsławioną Troję,

By ostrożnie objąwszy w gromonośne szpony,
Przyniósł mu Ganimeda w Olymp ocalony,
Często, gdy stawiał nektar, gniewem rozogniona,
Na śnieżne jego ręce patrzyła Junona,
I smutna przy biesiadzie pomiędzy bogami,
Zaledwo ambrozyi dotknęła ustami,
Patrzyłbyś, jak ją bogi wskazują oczyma,
Gdy gniewem podżegana ledwo miejsce trzyma.

Ale i Mars nie zawsze zbroją się obwodzi,
Nie codzień mordu chciwy po ludzkiéj krwi brodzi,
Nagim był, kiedy bogom na widok przykładny,
Sztuczną siecią go nakrył Wenery mąż zdradny.

Ten co słupami znaczył zmierzone przestrzenie,
I jako Atlas niebios podźwignął sklepienie,
Kiedy lwa nemejskiego, kiedy Hydrę zwalił,
I pola arkadyjskie z potworu ocalił,
Alcyd, wreszcie się poddał skłonnéj Eurytydzie,
I bez sromu pod prawa zwyciężonéj idzie,
Złożył z lwa ogromnego odzienie kudłate.
I z płochych rąk podaną wdział niewieścią szatę,
Pałkę rzucił, i korny, jak go nauczono,
W stwardziałéj dłoni wiotkie obracał wrzeciono,
I potrzymał zwierciadła, gdy lwią skórę wdziała,
I bohatera płocha dziewka udawała.

Co więc bogi i męże czciły w owym wieku,
Ty tego za srom nie miej znikomy człowieku,
Godna po ważnych pracach płochéj chwili użyć,
I obok sławy drobne wesele wysłużyć,
Przyjdzie czas, w którym dziady naśladując twoje
Winne miłéj ojczyźnie będziesz toczył boje,
Kiedy przyprą do granic nieskromione Scyty,
Lub indziéj Mars zatrąbi na nowe zaszczyty,
Dziś, gdy wszystkie narody objął pokój złoty,
Chwytaj pod jego tarczę skąpe dni pustoty.

XVI.

DO LYDYI.

Już mię nie ciśnij, błagam! skargami twojemi,
Nie taka chęć mię ciągnie do italskiéj ziemi,
Aby łza nigdy z twojéj nie oschła źrenicy,
Abym ci świat zawiązał samotnéj dziewicy.
Wielu już miłość w nieme zasłała otchłanie,
Niechaj do tego pocztu i mój cień przystanie,
Mnie ani pył ubieli na elejskiém błoniu,
Ni na rączym pospieszę o nagrodę koniu,
Ani z tryumfem wjadę w Kapitolu ściany,
Gdy tak już chcą wyroki, bym przeżył nieznany
Gdyby miłość ku żonie zapomnieć się dała,
Ulissa nieśmiertelność w nagrodę czekała, —
Więc gdy życia mojego rozerwie się przędza,
Na twém łonie niech śmierć mię zazdrośna dopędza,
Nie chcę by długi orszak szedł za moją trumną,
Byś mi grób atalicki zdobiła kolumną.
Niech tylko łzami twoja zabłyśnie powieka,
A cień mój spanialszego pogrzebu nie czeka,
Nie chcę téż, aby grób mój jaki posąg zdobił,
Bo cobym ja nieżywy śród żyjących robił?
Niech mię kopiec gdzie w polu nakryje ubogi,
Do którego nikt z gminu nie wiedziałby drogi,
Niech jednak proste dłóto twarz moję wykowa,
I te skromnéj pamięci niech wypisze słowa:
„Tu Mopsego okrutnie zmogła śmierci siła,
Gdy czarną u miłości pochodnię zatliła.“
Tam ty przyjdziesz dorocznie kwiatów mi narzucić
I lat spolnych pamiętna godzinę przesmucić,
Użalić się na grobie smutnéj ninie doli;
Lecz mnie już nieszczęsnego płacz twój nie zaboli.

XVII.

DO BACHA.

Sam się napatrz o Bachu! twój śpiewak cię proszę,
Co ja od niezbłaganéj Cyprydy ponoszę!
Ty się zlituj, i złagodź niszczące pożogi,
Bo nie wojenny bożek drży na twoje rogi,
Ty uczysz deptać przepych, czujne troski morzyć,
Ty nauczasz biédaka, jak dumę ukorzyć,
Nieświadomych broń wodzisz, umysł zbawiasz trwogi,
Po miejscach niebezpiecznych ty prowadzisz nogi.

Tu chłopcze! z kraśnym wieńcem i pisanym dzbanem,
Przepadł, kto się ratuje życiem nie pijaném,
Nic ja nie chcę, gdy smutna uderzy godzina,
Wtedy mi ani wieńców, ani dacie wina,
Dziś je dajcie! gdy wejdę w Plutona pieczary,
Proch sam wypije wasze niepopłatne dary,
Długa nadzieja życia krótkiego nie cieszy,
Cugle koniom puściwszy szalenie rok śpieszy,
W przelocie chwile chwytaj, bo kto mądry zgadnie,
Czy za tą, którąś zronił, gorsza nie przypadnie? —
Żegnam cię twarda Hanno! ni pieśni ofiara,
Ni cię miłość zmiękczyła, ani rzadka wiara,
Jużem ja postanowił więcéj cię nie łudzić,
Ni dumnéj nasługiwać, ni żalami trudzić,
Znajdę, co mą stateczność będzie miała w cenie,
A ciebie późno gorzkie ogarnie wspomnienie. —

Ale cóż ja wyrzekłem? w co mię błąd mój wprawił,
Jażbym kiedy o tobie pamięci się zbawił? —

O błogie owe chwile, o nocy stracona,
Gdy kiedyś wierzącego tuliła do łona! —

Lecz, gdzieście puhar skryli? — nie psujcie ochoty,
Poco te Kuryuszów, te Fabrycych cnoty! —

Uczono was, że czasem i Kato uparty,
Lubił krzepiące wino i wybaczył żarty, —
Bachus idzie, ktoby śmiał od Bacha uciekać,
Ten poczuje gniew jego i będzie narzekać,
Nie darmo twarde rogi czolo jego znaczą,
Tych pilnie niech się chronią co na życie baczą,
Ci naprzód, którym w domu ryglem nie strzeżona,
Na pustém łożu sama pozostała żona,
Już on kiedyś żeglarzy pozamieniał w ryby,
Gdyś niebaczny, w kozła cię przemieni bez chyby, —
Ja błagam ojcze Bachu! innych darz rogami,
Dla mnie dość, gdy twojemi przeniknę darami.

XVIII.

S E N.

Nam skromnym wieszczom bogi idą ku pomocy,
Złotą we śnie Cyprydę widziałem téj nocy,
Jeźli taka na Idzie przed pasterzem stała,
Dziw mi, o co się Juno z Palladą spierała?
Promienistą przepaską czarny włos ściągnięty,
Oczy jasne spór wiodły z górnemi bliźnięty,
Łono śnieżnéj białości przy kraśnéj jagodzie, —
Istną się wydawała jutrzenką przy wschodzie,
Tak się wdzięcznie skłoniła ku łożu mojemu,
I te zda mi się słowa mówiła spiącemu:
„Komu jak tobie kochać rozsądnie przystało?
Którego serce miłość tak dawno zaznalo,
Żołnierz przywykły trudom przez walkę codzienną,
Niezlękniony się budzi na trąbę wojenną,
Kto często okrętami słone wody porze,
Spokojnie się kołysze przez zdradzieckie morze,
Ty od jarzma usuwasz kark już ujeżdżony,
Jakby ów buhaj świeżo od stada pędzony;
Ty łagodnie zadanym opierasz się ranom,

I niebaczny już samym złorzeczysz niebianom. —
Ach szalony ten! komu skłonne wiatry wieją,
Nie wie, że nieprzyjazne tąż przyprą koleją.
Komuż bóstwo miłości tyle szczęścia dało,
Aby dla łez jakiego miejsca nie zostało?
Tysiącom trosk uniknij, tysiące zostaną,
I oblegną twą duszę za bezpieczną mianą,
Znieść, co każe konieczność, to mądrego rada,
Śmieszy bogów, kto sobie sam cierpień dokłada,
Gdybyś innych kochanków niedole ocenił,
Dziś płaczący, sambyś się fortunniejszym mienił,
Małoż to, myślisz, płacze przy bramach Erebu,
Którym bożek złośliwy przyspieszył pogrzebu?
Albo którym bogate podziadowskie miana,
Przefrymarczył na włości nieznanego pana, —
Twojéj jak wdzięczne lica, tak umysł łagodny,
Więcéj może cię kocha niżeliś sam godny,
Ale u ciebie wszystkie nieskromne, lub zdradne,
Choćby żona Ulissa lub tkliwa Ewadne,
Sam téż zmiarkuj nieliczne twéj wiary zalety,
I śmiéj więcéj zażądać od słabéj kobiety.“
To rzekłszy, na wóz z kości słoniowéj gdy siędzie,
Wnet złotym lejcem skrzydła spłoszyła łabędzie,
Mnie téż i sen opuścił na ten widok boski,
I tak przecię natrętne odleciały troski.

XIX.

DO ZYGMUNTA AUGUSTA.

Fiołków chłopcze na stół i arabskiéj woni!
Precz z wodą, winem pełna niech czara zadzwoni!
Mdły ja dotąd poeta, wodnego napoju
Nie chcę, choćby go czerpać z aońskiego zdroju.
Geśl podaj! do wesołych pieśni godźmy strony,
Dzień ten do uroczystych będzie policzony, —

Oto dziś Król mój August z godły zwycięzkiemi,
Wielbiony w gród swój wraca od arktejskiéj ziemi,
Kędy zaczepne wrogi liwońskie dogonił,
Dumne karki pod stopy zwycięzkie nakłonił,
Skarał zdrajców, co w domu, na królewskie posły,
Wbrew prawu wszystkich ludów zbrojną dłoń podniosły,
Za którą zdradę, gdy Król karny bój objawia,
I wróg z zebraną tłuszczą zaczepnie się stawia,
Lecz różny skutek chęci, bo tłuszcza zuchwała,
Tył podaje niezwrotny, nim trąba zabrzmiała.
Jak gdy buhaj wyzuwa nieobecne wrogi,
Wściekle ryczy i ostrzy po krzemieniach rogi,
Lecz kiedy lwa pustyni z przestrachem postrzeże,
Niepomny walk pragnionych w ucieczkę się bierze,
Tak i Liwończyk w polu otwartém go czekał,
Zdradą dysząc póki Król z bojem się odwlekał,
Lecz kiedy do strzał siejby, uszykował roty,
Ani na pierwsze nawet odważył się groty,
Ale o łaskę żebrał z postacią nikczemną,
I prośba u nóg Króla nie była daremną,
Dałeś pokój Auguście! zmiękczon prośby głosem,
Jakiego sambyś nie miał z mniéj fortunnym losem.
I nie na tém przestałeś, bowiem wrogi twoje,
W sprzymierzeńce zmieniłeś, byś za nie wiódł boje.
Świetny szczepie Jagiełłów, co zwycięzkie dłonie,
Z sercem ojcowskiém niesiesz w zwalczonych obronie
Tém sława ojca twego obłoków dosięga,
Nie samą siłą jego wzniosła się potęga,
Bo jak straszny był w boju, tak w mirze łaskawy,
To zaświadczą teutońskie i pruskie wyprawy.
Ty naśladując jego cnoty i przykłady,
Prosto ku niebu zdążysz ojcowskiemi ślady,
Jak w pokoju objąłeś Sarmacyi ziemię,
Tak długie gotuj wczasy na późne jéj plemię,
I jako teraz czynisz, tak scytyjskie tłuszcze,
Z nad granic zawsze wpędzaj w zadnieprzańskie puszcze.
W pokoju dziki buhaj kark pod jarzmo daje,

I ziemię do zasiewu ciężkim pługiem kraje,
W pokoju po dolinach bieleją się stada,
I pastérz na fujarze wdzięczną pieśń układa,
Las polom miejsce daje, step w kłosy porasta,
Na zwierząt legowiskach podnoszą się miasta,
Młodzież w szrankach się ćwiczy, hoduje nauki,
Kwitnie przemysł i dawne zwabiają się sztuki,
W pokoju i arktejski śnieg Muzy nie trworzy;
Ta nie ostatni wieniec na skronie ci włoży.

KSIĘGA DRUGA.

I.

DO OSSOLIŃSKIEGO.

Jakiem ci Ossoliński! winien jest podzięki,
To wszystko z serca wydać nie mojéj rzecz ręki,
To jednak będą moje Kameny świadczyły,
Póki krew nie ustanie okrążać me żyły.
Ty toż Muzo! gdy w smutne popłynę otchłanie,
Zdarz! niech ta pieśń na czasy dalekie zostanie,
Niech pozna wiek potomny ku mnie jego chęci,
Niech sława starożytna imię jego święci,
Bo kiedy na mnie nieszczęść zmówiło się mnóstwo,
I miłość niepozbędna i twarde ubóstwo,
On mię jeden od czarnéj rozpaczy wybawił,
I w nieszczęśliwém dla mnie miejscu nie zostawił,
Wszelakich dróg próbował, by mię z ran uleczył,
Któremi do szaleństwa bożek mię skaleczył;
Lecz wtedy taki ogień gorzał w mojém łonie,
Jakim Etna wybucha lub apońskie tonie,
I jakobym w cudownym zakosztował Locie,
Anim myślał o miłym do kraju powrocie.
Wszak i o tobie mówią Febie pięknowłosy!
Żeś woły krnąbrne pasał, rzuciwszy niebiosy,

Dla piękności ziemianki — choć ty znałeś zioła,
I sztukę, co miłośne rany leczyć zdoła,
Nie jeden szedł do Delfów by wyrocznie badał,
Nie wiedząc żeś ty w nędznej lepiance przesiadał.
Któżby się i Achilla winy nie użalił,
Gdy za brankę porwaną w sercu gniew zapalił,
„Czyż cię (rzekł) na to grecki lud wodzem ogłosił,
Byś branki najpiękniejsze sam w łupach odnosił?
Oto Hektor w obozy niesie bój zacięty,
Jedne nadzieje nasze, już płoną okręty,
Czyż nas twoje od zguby piersi zasłoniły?
Czyliż na swoich tylko ochraniasz twe siły?“
Tak Achil na Atryda słuszny gniew wywierał;
W Trojan Jowisz tchnął ducha i siły ich wspierał,
Już i Patrokl groźnego Achilla wdział zbroję,
Postać jego udając postrach miotł na Troję,
Lecz smutny koniec wzięła tak szlachetna zdrada,
U nóg bowiem Hektora jako wieża pada,
Odarł Trojanin zbroję, dar bogów tak drogi,
Ledwo zwłoki w Achilla uniesiono progi —
Płacząc nieszczęsny Pelid po piasku się wala,
Ale dawny gniew zemsty spełnić nie dozwala,
I dopiero gdy brankę wróconą obaczył,
Krwią Hektora trojańskie podmurze oznaczył.
  Gdy tak króle błądzili i wielcy wodzowie,
Ktoż śmiały miłość moją występkiem nazowie?
Którego jasny szyszak miedzią nie trze głowy,
Ale tylko ją miękki obszedł liść myrtowy,
Jakże mnie śmiertelnemu przed tym czoło stawić,
Z którego jarzma nie mógł i Bóg — się wybawić?
Teraz łaski twe wspomnieć wdzięczność mię przyzywa,
I Muza, czego pełna, zmilczyć niecierpliwa,
Tyś godzien jaśnieć w perłach najdalszego wschodu,
W złocie, jaki Tag rzuca z głębokiego brodu,
Godzien paryjskich stołów i Mentora miedzi,
Której się Greków niegdyś dziwili sąsiedzi,
Lecz dobrze opatrzyła fortuna życzliwa,

Że ty nie stoisz o to, na czém u mnie zbywa,
Te przeto, które cenisz, choć szczupłe ofiary,
Pienia szlę Ossoliński! za hojne twe dary,
Niech inni Piramidy, posągi stawiają,
I na twardych marmurach imiona kowają,
W proch z czasem marmur pójdzie i skała opadnie,
Samych tylko Muz chwałą żadna śmierć nie władnie.

II.

DO DZIEWIC.

Pyrrhy rodzie! naturze niewdzięczne dziewice,
Którym jéj kształt nie miły i rumiane lice,
Po co drutem kędziornym włos niewinny parzyć,
I nowém prawem dziwnie uploty kojarzyć,
Po co ucho eojskim obciążać kamieniem,
I śnieżne palce drogim roziskrzać pierścieniem,
Brwi czarnym pisać prochem, lub dziwaczną sprawą,
Usta krokodylową namazywać strawą? —
Przyrodzenia posagiem niech każda się zdobi,
Czego ono nie skończy, sztuka nie wyrobi;
Sztuką sadzony nie tak rozmai się jesion,
Jak od saméj natury na swéj ziemi wzniesion,
Skałom krzemiennym czystsze odtryskują wody,
Niż które sztuka wiedzie drążonemi kłody.
Kiedy Apelles boskie wydawał utwory,
Jakież na obraz jego składały się wzory,
Czy te, które się wdziękiem natury rumienią,
Czyli, których jagody maściami się mienią?
Ale ani Apelles ni sławni rzeźbiarze,
Tak surowo w piękności osądzali twarze,
Ni tak ostrym był Parys w frygijskiéj dolinie,
Gdy pod sąd jego przyszły trzy nagie boginie,
Jako wymyślnik Amor brakuje w piękności,
Sam on piękny, do pięknych słuszne prawa rości,
Sam młody, młodość tylko w oczach jego ładną,

Nie schyla się po ciernie, gdy róże opadną,
Nagiemu, nienawistną zbyteczna zasłona,
Gorzéj jeszcze zmyślone zokrąglenie łona,
On strojom prawa daje, w nim wdzięków nauka,
On wie, w czém się z naturą nie pokłóci sztuka.
Kiedyś, gdy wiek zazdrośny podstąpi nieznacznie,
Gdy po licach jesiennych bruzdy orać zacznie,
Wtedy on już wybaczy na wszelkie sposoby,
Walkę z czasem zwodzoną o wasze ozdoby,
Wtedy niech mu się sztuka usłużna zastawi,
Niech pokrywa to, czego skąpy wiek pozbawi.
Dziś kiedy lica wolne od czasu napaści,
Po co je szpecić mają bielidła i maści?
Płeć téż wcześnie bielona swoją białość traci,
I w kwiecie wieku młodéj zbywa się postaci,
Ta co białą być mogła, jako śnieg téj skały,
Na który prochy ziemskie nigdy nie powiały,
Dzisiaj stara za świeżość, a za białość blada,
W dwudziestym jeszcze roku z babkami już siada.
Która chce długo istną pięknością się zdobić,
Niech nigdy nie przemyśla piękniejszą się zrobić;
Piękność z natury daną niech szanuje młoda,
Bo w miłości nic nie ma, jak świeża uroda.

III.

DO LYDYI.

Nie tak się smuci żeglarz wśród neptuńskiéj toni,
Gdy noc zazdrośna gwiazdy do jednéj zasłoni.
Nie tak tęskni wędrowiec, kiedy niespodzianie
Błądzącego noc w puszczach hercyńskich zastanie,
Jako mnie niepozbędna boleść serce tłoczy,
Kiedy Lydyo moje nie widzą cię oczy.
Wtedy mi Hebe sama niech czary nie stawi,
Wtedy ani Apollo złotą lutnią bawi,
Wszystko Lydyo moja! niczém, gdy nie z tobą,

Wtedy napój trucizną, wesele żałobą. —
Przeklęty, kto mi w mojém kochaniu zazdrości,
Niech go ściga gniew bogów, gdziekolwiek przygości,
I nie próżno wyklinam: już bowiem zbolały,
Na morzu się mocuje z grożącemi wały,
Już niewdzięcznéj miłości długie znosząc rany,
Ku wyspom anticyrskim dąży utroskany. —
Neptunie! jeśli morzem twoje rządzą prawa;
Niech u skał cyaneńskich utkwi jego nawa,
Lub w mieliznach samotnych niech zdrajca osiędzie,
Niech w nim wieczna pamiątka wiarołomstwa będzie,
Mnie już Wenus z wszystkiemi oswoiła losy,
Zatwardziały, już wszelkie znosić umiem ciosy,
Już ja się wyuczyłem śród gromów i słoty,
Noc pod nieużytemi przewartować wroty,
Ustąpić szczęśliwszemu nocy obiecane.
I uśmiechem pogodzić lica zapłakane.
Nic nie ma, czegobym ja dla ciebie odbiegał,
Czylim życzliwość twoją, czy niechęć postrzegał,
Teraz niech łono moje ostre przedrą noże,
Jeślim godzien, jeśli ci śmierć moja pomoże,
Lecz jeślim nie zasłużył, a ty krwi nie lubisz,
Za co mię nieszczęśliwa, wolną śmiercią gubisz?

IV.

DO LIGURYNA.

Przestań się dla niewdzięcznéj Ligurynie smucić,
Może Amor na lepsze koleje nas wrócić,
Zmienną duszę niewiastom przyrodzenie dało,
Równie u nich nienawiść, jak miłość niestałą,
Lepiéj w sobie utaić co człowieka boli,
By nie znała okrutna, że cię ma po woli,
Twarz wesoła, choć wnętrze cierpi od pożogów,
W tém zbawienie, to tylko dumie przytrze rogów,
Alboż ty jeden takie opłacasz przygody? —

Jeśli cudze cierpienia umniejszają szkody,
Mnie także (obym nie był w poświęconych rzędzie!)
I mnie Cypru bogini nie miała na względzie.
Ja com najczystszą palił Lydyi ofiarę,
Com dawno bezprzykładną zachował jéj wiarę,
Ja równie na jałową ziemię ziarno sieję,
A mój zasiew wyśmiewa cierpliwą nadzieję.
Jakżeś często samego widział Ligurynie!
Jakom się chroniąc ludzi uchodził w pustynie,
Nie szedłem tam w głębokie myśli się zadawać,
Gwiazdy, lub drogę słońca szybkiego poznawać,
Świat stawiać Epikurze z atomów zebrany,
Wyśledzać rogów, Luny rosnącéj, przemiany,
Ona była na myśli — na siebie niepomna,
Chce obcego nademnie przenieść wiarołomna,
Ona wzięła mi pokój, teraz śpi kamieniem,
Gdy żale u jéj płotu obwołuję pieniem.
Lecz nie darmo z piórkami bożek malowany,
Ślepo z wiatrem się błąka, wiatrem kołysany,
A każdy coś dziś panem, miejże się na względzie,
Może ta co dziś twoją, jutro moją będzie.

V.

DO MYSZKOWSKIEGO.

Ni ja u wieszczów pytam, ni przykrzę niebiosom,
Abym poznał kres moim wyznaczony losom,
Bo kto nie zna, choć się gwiazd wysokich nie radzi,
Że czas każdemu zachód niechybny prowadzi,
Daléj śledzić ni nasza siła, ni potrzeba,
Śmiertelnych do rad swoich nie przypuszczą nieba.
Mnie jakkolwiek noc skrzętna konanie przyśpieje,
Nigdy nie zdąży mojéj prześcignąć nadzieje,
Bo ja ni żądzy złota w piersi mojéj budzę,
Ani z gminem niebacznym bogi o nie trudzę;
Błoga mnie mierność moja; przy niéj ani stoję

Przemożny niegdyś Krezie! o królestwa twoje,
Inny do gnuśnych królów niech podchodzi granic,
Inny dla zysków chytre morze waży za nic,
Ja lemieszem ubogą włość przewracać wolę,
I ufną ręką ziarno na wierną siać rolę,
I nadziejom się oddać, aż w upały letnie,
Pochylone starością żniwiarz kłosy zetnie.
Bogi! którym wieśniacy składamy oblaty,
Wy skromne niwy moje, uchrońcie od straty,
Niech zamróz nie przypada na kłos niedojrzały,
Ni grady za letniemi idące upały.
Ale wdzięczna, prac moich rosą umiękczona,
Z lichwą niech rola wraca zwierzone nasiona,
Wtedy niech moje kmiotki napełniwszy brogi,
Przy ognisku rodzinném siądą prożni trwogi,
Niech zwyczajne biesiady w późną noc przedłużą,
Bez sromu, że im nogi pijane nie służą.
Tu gdy cię miejska wrzawa już cieszyć nie zdoła,
Zawróć Myszkowski! wartkie twéj kolasy koła
Progiem lichego domku nie wzgardzisz bogaty,
Bo mają Lary swoje i ubogie chaty;
Indziéj niechaj przysionek zadziwi cię złoty,
I paryjskiego Skopa kunsztowne roboty,
Tu masz pokój nadobny, bez musu zabawy,
Owoc prosto z gałązek i lekkie potrawy,
Ranne ptaków przetwory i powietrze czyste,
Zwierciadlane jeziora i gaje cieniste,
Tu zabawią jeleniom zastawione sieci,
Albo lep, w który ptastwo nieobaczne leci,
A wdzięczna Hanna moja, co przez lato zbierze,
Tak miłemu gościowi poznosi w ofierze,
Przy stole na skinienia twoje będzie czuwać,
I z winem napoczęte kielichy posuwać,
Skromnie poprosi, byś chciał ubóztwu przebaczyć,
Gdyby mogła, radaby nektarem cię raczyć.
Nie źle i wtedy żyli i dobrze się mieli,
Gdy ludzie o głębokiém złocie nie wiedzieli,

Nie był Irus ni Krezus; wzorem dobréj matki,
Ziemia jednakim chlebem obdzielała dziatki,
Kłótnie, ani graniczne sprawy nie bywały,
Ni miecze obosieczne, ani chybkie strzały;
Ale skoro raz złoto wstąpiło na ziemię,
Wnet chciwość wszelkich zbrodni rozrodziła plemię,
Wtedy zniknęła ufność, podniosły się wieże,
Grody murem warowne, zdrady i grabieże.
  U mnie zatém przynajmniéj szczęśliwy ubogi,
Że na niego ni złodziej, ni czatują wrogi;
On pośród zbójców leśnych przejdzie bez przygody,
Śpi snem słodkim, spokojny na zdrady i szkody,
Na śmierć samą, bo (czego tak żal odumierać)
Nie mógł włości nakupić, ni skarbów uzbierać.

VI.

DO LYDYI.

  Czarno mi ową chwilę jakiś wróg oznaczył,
Kiedym ciebie Lydyo! raz pierwszy zobaczył,
Wtedym serce postradał, wtenczas to o droga!
Długa moim boleściom wysnuła się droga,
Biada mi! gdym się okiem do lica przyczepił,
Żem twoje obyczaje i umysł prześlepił,
Ślepa miłość broniła, nie ślepa w téj dobie,
Kiedy palmę zwycięzką oddawała tobie.
  Te oczy niewolące, to nadobne ciało,
Godne było, by inne w niém serce mieszkało,
Lecz i ta obniesiona wdzięków twoich chwała,
Mnie należy, bo moja miłość cię wsławiała.
Dziś to już zobaczyłaś, ale czas nie długi,
Przyjdą ci na myśl, moje chęci i wysługi,
Przyjdzie dzień, choć kamienne serce w piersiach nosisz,
Że kiedyś gorzkim płaczem twe lica urosisz,
Lecz ja uciekać będę, choćby morskie wały,
W gniewie wściekłym o głazy rozedrzéć mię miały.

Wiecznie mi już żegnajcie nienawistne strony,
Morzem tułać się będę wiatrami pędzony,
Na morzu głuchém prędzéj cierpienia ukoję,
I skały tkliwsze będą, niźli serce twoje,
A gdy wrócić zażądam, utopcie gdzie chcecie,
O wy! Eolskie wiatry, co morza sieczecie.

VII.

DO TĘCZYŃSKIEGO.

Czwarte podobno lato Tęczyński nastaje,
Odkąd ciebie dalekie zatrzymują kraje,
I dopóty powrotu ku nam nie oznaczysz,
Aż wielkiéj Hesperyi granice zobaczysz.
Choćbyś skrążył pohubne oceajskie wały,
Drogi, któremi błądził Ulisses bywały,
I te, któremi Jazon pelijacką nawą,
Po złote runo dzielną zasłynął wyprawą,
Od wschodu czy na zachód słońce wóz swój toczy
Nic milszego nad kraje auzońskie nie zoczy,
Tym polom, ni upały, ani zimy szkodzą,
Chłody ciepłem, upały chłodem się łagodzą,
Tutaj z życzliwym niebem w przymierzu zagony,
Wielokrotne wieśniakom rozwijają plony,
Tu mało pilnéj pracy Ceres się uiści,
Tu się lubi rozcieniać Bachus gęstoliści,
Tu lasy owocowe — od Pallady dane,
Niosą dary, oliwki po polach rozsiane,
Choćby górą Perseusz niósł głowę Gorgony,
Chmura gradu nie puści na auzońskie plony,
Tu ani droga wężów przechodem znaczona,
Ni syczy żmija zdroju letniego spragniona.
Ani się lwów lękają wypaszone stada,
Swobodnie igra w gajach trzodzista gromada;
Tu skłonne morze nosi kupieckie zamiany,
Którém kraj ten szczęśliwy z obu stron oblany,

Tu gęste widzisz porty, gdzie próżen obawy,
Słyszy majtek ryk morza, i skrzypiące nawy, —
Ale niech pieśni moje i rzek nie pominą,
Co w skrętach łazurowych przez te kraje płyną,
Tu Wulturnus w tyreńskie morze szybko dąży,
Tu Sarnes, ówdzie Siller przezroczysty krąży,
Tu Liris, chciwa Makra i Arna rogata,
Dalej Tyber się toczy ku stolicy świata,
Ztąd się Aufid ku brzegom adryackim wdziera,
Tam Senna i z siostrami złączona Izera.
Mamże wspominać murem obwiedzione grody,
I tylu sztuk nadobnych czarujące płody?
Starożytne oszczątki i złote świątynie,
I mury tylowieczne płaczące w ruinie? —
To jest wielkich Kwirytów matka niegdyś wielka,
Stolica panów ziemi i cnót żywicielka,
Ta zwalczyła Pyrrusa, ta zmogła Kartagę,
Ztąd Antyoch potężny haniebną wziął plagę;
Ziemie, gdzie słońce wstaje, gdzie na zachód bieży,
Wszystko pod jéj nogami okowane leży,
Lecz czegóż czas długiemi laty nie pokona,
Gdzie przed dni żarłocznemi bezpieczna uchrona?
I ty bogów siedzibo, głowo święta, Rzymie!
Ledwo na pół zapadły, uchowałeś imię,
Bo tak ludzkiemi losy zdradne prawo władnie,
Że co najwyżéj pójdzie, najsromotniéj padnie,
Tak się tobie dostało, bowiem ani grody,
Ani śmierci uchodzą największe narody,
Chwała jednak cnym dziełom umierać nie daje,
Ona przebędzie wszystkie i morza i kraje;
Póki Feb lat odwrotnych toczyć nie przestanie,
Świat cały swém imieniem zapełnią Rzymianie, —
To i więcéj, Tęczyński będzie mógł oglądać,
Niźli od prostéj Muzy godzi się zażądać. —

O nieszczęsny młodzianie! — już ty włoskich krajów,
Ani więcéj zobaczysz rodzicielskich gajów,

Bo gdy płyniesz po żonę z królewskiego rodu,
Wrogi cię zatrzymały wśród morskiego brodu;
Ztąd ból, miłość tęsknemi dręczona przewłoki,
Ztąd i chciwa śmierć nagle pospieszyła kroki.
Nie tak cię witać miała matka utroskana,
Z macierzyńskiém staraniem gotująca wiana,
Lecz z dziewicą dostojną na pysznym rydwanie,
O jaką godne było za morzem staranie;
A teraz zimne kości, nagie członki ściska,
Miasto łożnicy, smutne zdobi grobowiska, —
I gdzie nasza nadzieja, gdzie obietnic tyle? —
Tyle pociech w tak szczupłéj zamknięto mogile.

VIII.

Znowuż matko Amorka wyzywasz do boju? —
Nigdy ty zemną nie chcesz długiego pokoju,
Zaledwie serce z jednéj wyzdrowiało rany,
Znowu mi je skaleczył syn twój niezbłagany, —
I pocóż teraz na mnie dawne błędy wznowić?
Dość było niebacznego raz w sieci ułowić,
Nie mnie już przy zamkniętych drzwiach odprawiać czaty,
Zaczém rano obwoła słońce ptak czubaty,
Tłuc o drzwi nieprzyjazne, lub udawać groźby,
Lub w sprawie amorkowéj skuteczniejsze prośby,
Niegdyś to przystać mogło, ale dni dzisiejsze,
Inne wskazują trudy, czyny poważniejsze.
Oto ryfejskim wrogom zapowiedział boje,
Święte za przymierzeńców Król mój zawdział zbroje
W kwiecie wieku arktejskie otacza go plemię,
Pod zbrojnym ludem jęczą pograniczne ziemie.
I na co jeszcze wrogu ważysz się zajadły?
Już ci z pamięci klęski zadnieprskie wypadły?
Na walkę Starodubu nie pomnisz pożerczą,
Gdzie w polach dotąd kości ubielone sterczą?
Cofaj się, jeśli piekło twéj rady nie miesza,
Ten to sam wielokrotny twój gromca pośpiesza,

Ani zaufaj liczbie, ni tłuszczy bez męztwa,
Silna, nie liczna ręka odnosi zwycięztwa. —
Ale mnie się nie zdało w obce mieszać wojny,
Mnie wewnątrz nieprzyjaciel burzy niespokojny,
Temu się nie zasłonię ni bronią, ni tarczą,
Ni tu ucieczka nada, ni siły wystarczą,
Ty! za którąby sama Wenus szła do boju,
Ty przybądź miła Hanno! kochanko pokoju,
Jam nie z tych, którzy czując miłośne pożogi,
Fałszywe na świadectwo przyzywają bogi,
Nieważne tych przysięgi, których miłość suszy,
Jowisz niewysłuchane puszcza mimo uszy.
Ty! gdy szczerych kochanka nie pogardzisz chęci,
On ci posługi swoje do grobu poświęci,
Ty panią samowładną będziesz w mėj chudobie,
I co mam, choć mam mało, niechaj służy tobie.
Niech inny zwiedza Athon, oceańskie tonie,
Niechaj rzeki, wojsk jego wypijają konie,
Póki ty w domu moją troską i rozkoszą,
Niech królowie z wysoka swe berła podnoszą,
Z tobą nie przykro będzie wyprowadzać pługi,
Spędzać trzodę pierzchliwą na cieniste smugi.
Cóż mi skarby wiecznemi troski zakupione,
Lub konchy w erytrejskiéj głębi znalezione?
Nie dźwignie tego złoto kogo troska tłoczy,
Wszystko kołem zawrotném na świecie się toczy;
Z tobą chcę, jakie padnie, dzielić przeznaczenie,
By tylko na twém łonie ostatnie zdać tchnienie.

IX.

Wiatry! co się ku niebu pogodnemu pniecie,
Jeśli wzdy i wy ogień miłości czujecie,
Nieście twardéj Filidzie wyrazy tęsknoty,
Te wyrazy ostatnie smutnego Lykoty:
— Żadna mi straty twojéj słodycz nieopłaci,
Bo co tego pocieszy, kto ciebie utraci?

Czyli dzień, czy noc chłodna dzierży panowanie,
Ni on we dnie, ni w nocy płakać nie ustanie,
Snu wyprosić nie może, siły próżno trawi,
Ani już odstrojoną cytrą się zabawi,
Próżno z twoją pamięcią oddawa się wczasom,
Ciebie się dopomina i łąkom i lasom,
Oddajcie mi Filidę (woła), *srogie łany!*
Tu ona śnieżną stopą wywodziła tany!
Tu przyśpiewując, stada pędziła w dąbrowy,
Lub zwyczajem Dyanny szła ze mną na łowy,
Teraz, które ją skały, które macie niwy?
Daremnie po was okiem wodzę nieszczęśliwy.? —

Takiemi do skał głuchych przemawiał wyrazy
A głos jego szydzące podrzeźniały głazy,
Trzodę jego lwy teraz roznoszą bez kary,
I wilcy ośmieleni podchodzą obszary,
A Lykote porzucon przy samotnéj wodzie,
Ni sobie radzić umie, ni ginącéj trzodzie,
Jego już płaczą sosny i lasy zielone,
I skały aż pod niebo czołami wzniesione,
A ty jedna Fillido, twardsza od kamienia,
Nie umiesz się użalić ludzkiego cierpienia,
I znosisz, że Lykote z swym smutkiem się kryje,
Obojętna na wieści, czy umarł, czy żyje.
Którego, jeśli zgubisz, kto cię będzie głosił,
I pieśniami nad same obłoki wynosił?
Już on flet na wysokim zawiesił jaworze,
I te smutne wyrazy zostawił na korze:

— Gdy mię Filis kochała, miłym byłeś flecie,
Bez niéj tyś mi żałobą, jak wszystko na świecie,
Jeżeli tak zostanie, może mojéj nędzy,
Wolne Parki ostatniéj dociągną już prędzy,
Wtedy może zapłaczesz — ale ja niestety,
Już się wtedy napiję niepowrotnéj Lety.

X.

DO STANISŁAWA.

Gdyby Thalia moja zbyt prostą się zdała,
Wybacz miast miłośniku! — wieś ją wychowała,
Bo ledwo się za bramę posunęła krokiem,
Stanęła zatrwożona obcym jéj widokiem,
Tłoczył się lud okolnie nawzajem tłoczony,
Jeździec sajdaczny z owéj, pieszy z tamtéj strony,
Syczą szyny i tętnią na kowadłach młoty,
Jak gdy Etna wytapia dla Jowisza groty,
To widząc Muza moja zdumiała przy wschodzie,
Bo nic takiego w cichéj nie ujrzy zagrodzie,
Gdy dopiero z gwiazd zajściem ciżba się uśmierza,
Ledwo spokojniejszemu miastu się powierza,
Tym cię wymowcą stary pozdrawia towarzysz,
Jeśli trosk próżen wolną chwilką go udarzysz,
Gdyć u dworu poważna nie dozwoli praca,
Niech Muza pozdrowiwszy, bez odwdzięki wraca.—
Może nie wczas dworuję, może u podwoi,
Zamkniętych, Mojżesz jaki na załodze stoi,
I coś ważnego bardzo chce wsunąć do ucha,
Chytrze naprzód probując, czy ręka twa słucha.
Co do mnie, w sześciu wierszach wypowiedzieć mogę,
Czemu moja Thalia wybrała się w drogę:
Jak młodzian gorejący, gdy zwodnica miła,
Z osłonną przybyć nocą tajnie się zmówiła,
Upornie świecącemu słońcu wciąż złorzeczy,
Sądzi że ono samo szczęściu jego przeczy,
I już snami się łudzi, gdy południe grzeje,
Ledwo pierś objąć zdoła przestronne nadzieje, —
Już się i słońce stacza, zwiastują się zorza,
Wybrnęły nocne konie z zachodniego morza,
A zdrajczyni nie przyszła, w utrapionéj ciszy,
Za wietrznem drzwi ruszeniem przychodzącą słyszy,
Pola głuchość zaległa, już się las zamroczył,

Sen na czołach znużonych swe skrzydła roztoczył,
On sam czuwa; nadzieja wierna sny odgania,
Lecz i ona z obawy już bliska skonania, —
Tak ze mną Stanisławie! tak i ja niszczeję,
Żywiąc twem obiecaniem drażniącą nadzieję.
Ach wybadaj myśl skrytą i natrąć królowi,
Bo nic nie ofiaruje, kto wcześnie odmówi.

XI.
DO MYSZKOWSKIEGO.

Czas Muzo! Anienu miłe brzegi rzucić,
Już dawno każe Krępak pod swe cienia wrócić,
Każe ojczystym pieniem Lechię ozdobić,
Jeśli ciebie stać będzie jéj chwały przyrobić,
Łaski niech ją łupami ubogaca zbrojny,
Na zginioną z Scytami niech prowadzi wojny,
Dla mnie jedna nadzieja w Helikonek względzie,
To mój łup, to broń moja i czuwanie będzie,
Nie piérwszy do nich dążę; już mię Rej poprzedził,
On naprzód z skłonnym Febem te skały prześledził,
I chwałę wysługuje, czyli smutno kwili,
Jak małego Józefa bracia porzucili,
Lub kiedy idąc w Muzy Palingena ślady,
Występków i cnót męzkich opiewa przykłady. —
I Trzecieski natchniony śpiewa hymn nadobny,
W trojakich mowach obcych jednako sposobny,
A to, co Mojżesz dojrzał o początkach świata,
To słyszy w własnéj mowie od niego Sarmata.
I Gornicki mojego nie ujdzie wspomnienia,
On co wytwarza godne Orfeusza pienia,
On, co do spraw marsowych nawięzując stronę,
Opiewa ciężką walką Niemcy poskromione,
I mnie téż idącemu zdaleka za wami,
Da miejsce Sarmacya pomiędzy wieszczami,
Gdy zadrości ni dumy nie mam w obyczaju,
Lecz piersią włada tylko wdzięczna miłość kraju.

Przeto ty tęskniącego za wczasy wiejskiemi,
Nie wstrzymuj, o Myszkowski! rady życzliwemi,
Ale pozwól, niech nadal zbywające lata,
Płyną wśród Muz orszaku, przy księgach Sokrata.
Nic wielkiego nie pragnę, w kochanéj swobodzie,
Z małéj roli wyżyję przy źródlanéj wodzie,
Złota chciwi niech w ziemi wnętrze się zakopią,
Niech ku krajom indyjskim po morzach się topią,
Ja niech śledzę w przyczynach ten świat niezmierzony,
I tór gwiazdom wędrownym wiecznie naznaczony,
Czem w zimowéj ostawie słońce rączéj pędzi,
Noc przeciwnie na wolne konie bicza szczędzi?
Czemu księżyc zakrytą lub pełną twarz nosi?
Co gasi wielkie światła na niebieskiéj osi?
Co miota łyszczącemi piorunami z góry?
Zkąd obłoki i czemu gradem sieją chmury?
Zkąd różnobarwa tęcza, która nieba dzieli?
Co prowadzi szumiących morza burzycieli?
Jaka moc ziemią trzęsie, morską ciszę zrywa,
Zkąd krynicom i rzekom wiecznie woda spływa?
Gdzie duch z ciała wędruje? czyli gdzie w strumieniu
Stoi Tantal w okropném dręczony pragnieniu?
Czyli wreszcie są wieczne te gwiazdziste nieba,
Czy w piérwsze Chaos wrócić wszystkiemu potrzeba? —
To dni moich zabawą — a wy skarbów chciwi,
Niech was złoto niosąca rzeka uszczęśliwi. —

XII.

DO PETRYCEGO.

Wojna grozi Petrycy! czyż i my do boju
Poniesiem szable nasze, my syny pokoju?
Dla tych wojny popłatne, co pysznych kamieni,
I niepozbędnym głodem złota są ciśnieni;
Mnie, co bez trosk i szabli nawykłem do mała,
Niechby starość przy progu rodzinnym zastała.

Gdzie na wiejskiém ognisku płomień nie zgorywa,
Gdzie Ceres macierzyńska błogosławi żniwa.
Tu czy zbieram owoce, czy napełniam brogi,
Niech mię odwiedza żołnierz niegdyś w polu srogi,
Niech dzbanami oznacza rozstawione roty,
Opisuje po zbiegłych łupione namioty,
Tysiącami wylicza i trupy i brańce,
Zamki z gór postrącane i przeparte szańce,
Ja sam z krzepiącym Bachem dzierżąc w ręku czarę,
Milcząc, przeważnym dziełom rycerza dam wiarę,
Czeladź w koło słuchając odumiała stanie,
Minie uszy każdego, pańskie zawołanie.
 Nędzneż ludzkie rozumy! po co nawet z mieczem
Śmierć gonić, któréj z domu nigdzie nie ucieczem?
W koło murem się opasz, przyodziéj żelazem,
Ona zdobycz pochwyci za stalą i głazem,
Kamienne ten miał serce, kto w braterskim łonie,
Pierwszy dla zysku złota śmiał zakrwawić dłonie,
Nie ma tego zwyczaju między tygrysami,
My bracia, my rozumni mordujem się sami.
 Jak nędznych okłamała zdradliwa Bellona!
Że przez boje do bogów przedrzemy się grona,
Że Herkules i Bachus i ów Kwiryn w Rzymie,
Żelazem tylko bogów zasłużyli imie?
Ten raczéj godzien zasiąść do Jowisza stołu,
Czarą Heby z bogami dzielić się pospołu,
Kto bój w koło utłumi, pokona niezgody,
I oliwnym łańcuchem połączy narody;
Temu przystało pyszne wystawiać kościoły,
Wonne dymy poświęcać, wieńczone bić woły.

XIII.

 Łan ojczysty obsiewam, bądź mi dworze zdrowy!
Zwodne twe obietnice już wyszły mi z głowy,
Wolność u mnie nad perły, czysty strumień w polu
Milszy od libijskiego bogactwa Paktolu,

Obcych skinień nie słucham, w drzwi się nie napieram,
Ani plec mych za miękkich o ściany wycieram,
Bezobiednim godzinom nie złorzeczę z głodu,
Ni się dla kogoś w tłumie dobijam przechodu;
Do cudzéj woli mego czasu nie przyprawię,
I jak je myśl przynosi tak godziny trawię,
Więc albo Sokratesa wartuję rozmowy,
Które uczą i serce i umysł mieć zdrowy,
Lub słucham pieni, jakie Sarmata wywodzi,
Których głos miękki łatwo z latyńskim się godzi,
Ani się wstydzę drobne jagnięta hodować,
Gorzéj u mnie, u pańskiéj klamki gdzieś pocztować.
Rolnik pokarm żołędzi na lepszy zamienił,
Pola żniwami okrył, sady rozzielenił,
Wprzód był rolnik, nim zamki na górach osiadły,
Bez niego wieżonośne miastaby upadły,
Ztąd żołnierzy nawykłych upałów i zimy,
Ztąd konsulów surowych na tronach widzimy, —
Jeźli skała tarpejska u Jowisza cenna,
A gród cekropski Pallas zaszczyca wojenna,
I naszéj biała Ceres nie wzgardzi ofiary,
Gdy jéj w wieńcach kłosianych żniwne niesiem dary,
Podobnie kiedy latem dojrzeją ogrody,
Wynalazcy w dań winne poniesiem jagody,
Mleko Pales, a Pryap owoce przekłada,
Ten sadów opiekunem, ten stróżem jest stada,
Wspomnęż Nimfy, którym straż gór i rzek oddana,
Wspomnęż Fauna szybkiego i koziego Pana?
Wszystko nam równie święte; czy bóg, czy bogini,
Radzi darom jak duszę, które rolnik czyni,
A za ubogie śluby oddając nagrody,
Lub siewy jego plenią, albo mnożą trzody.
Ty rolniku! już snopy znaszaj na klepiska,
Niech ziarno nieustanną cepą bite pryska,
Póki sprzyja Boreasz, zimném ścięte wody,
A drogę ugładzają i śniegi i lody,
Teraz czas do okrętów zdatne ścinać drzewa,

Choć Satyr ugniewany twa pracę pośmiewa,
A skoro wolna Wisła z gór wodą wzmocniona,
Twardo ciężącą zimę na wiosnę pokona,
Niech się puszczą Cererą bogate komiegi,
By nieść życie zamorcom na baltyckie brzegi,
Już one nie powrócą, dość będzie gdy pieszy.
Flis ze złotem za zboże do domu pośpieszy.
I ty Merkury naszéj pobłogosław pracy,
Bo jak mowcy, tak ciebie żądamy wieśniacy.

XIV.

NA ZGON JANA TARNOWSKIEGO.

Nie pójdę ja Tarnowski! za tobą ze łzami,
Ni twéj śmierci smutnemi onucę pieśniami,
Wolen jarzma śmiertelnych żyjesz dziś w swobodzie,
Zamieszkały w bezpiecznym, napowietrznym grodzie;
Tam już zima nie wieje, nie trzaskają gromy,
Tam wieczne widzisz światło, nocy nieświadomy;
Z nami bezsenne troski i czujna obawa,
Z nami praca, choroba i starość przestawa;
Szczęsny, kto już naszego morza przebył skały,
I w pogodę do portu przywiózł okręt cały.
Nam Ocean niepewny jeszcze nawy nurza,
Niesie gdzie dzika Notu rozkazuje burza,
Ty z rycerzami, jakich wydawał świat stary,
Spokojny niebieskiemi poisz się nektary,
Pod nogą widzisz ziemię, grzmiące Oceany,
I po niebieskich polach obóz gwiazd rozsiany.
A cnotą wyszukana, wbrew śmierci twa chwała,
W ustach mężów bezzgonny swój pobyt obrała,
Bo mogąc się naddziadów sławą przyozdobić,
Wolałeś przy jéj blasku na własną zarobić,
Boś znał, że kto własnemi nie wzmoże się sprawy,
Tém go czarniéj okryje cień ojcowskiéj sławy,
Przeto alcydowemi zagrzany przykłady,

Przez lądy i przez morza szedłeś w jego ślady,
Ile przemogłeś nieszczęść, ileś zwalczył trudów!
Przeszedłeś nawet stepy barbarzyńskich ludów,
Do tego, ni Eurysthej, ni chytra macocha,
Ale sława cię wiodła, co zapasy kocha,
Tak wyuczony w sztukach wojny i pokoju,
Przeważałeś w obradach, wyprzedzałeś w boju,
Jak żołnierz wprawny, z obu rąk wyrzuca gromy,
Tak ty w każdéj potrzebie dzielny i świadomy.
Tyś wierny tłumacz prawa, sędzia nie ujęty,
Tyś ginących kotwica, zbłąkanych port święty,
W najwyższych sprawach państwa, gdyś roztaczał słowa,
Nie wiedzieć co zwalczało, rozum czy wymowa?
Togę rzuciwszy, gdy wróg zachrzęszczał puklerzem,
Wodzem byłeś przezornym, jak dzielnym żołnierzem.
To co śpiewam, libijskie powtórzą mi brzegi,
I tarczą twoją Maurów odparte szeregi,
Świadczą ze skał ryfejskich grody postrącane,
I pola, dzikich wrogów trupami zasłane,
I brody obertyńskie, które krwią zasiękły,
Gdy przed piorunną ręką pierzchał Dak ulękły,
Ten dzień prawdę zapisał, że w boju nie tłumy,
Lecz serce wojsk zwycięża i wodzów rozumy. —
Gdyś ty był zachowawcą, wroga, ni przemocy,
Nie zaznały powiaty na naszéj północy,
Jak Atlas gwiazdzistemu dał wsparcie sklepieniu,
Tak błyszcząc Polska na twém ciężała ramieniu.
Z czynów nie z słów Wiecznemu składałeś ofiary,
Ani byłeś odstępcą pradziadowskiéj wiary,
Tobie gwoli Astrea wróciła ku ziemi,
I cierpliwie pobyła jeszcze z śmiertelnemi,
Szczęsny los, czyli smutny, nie zatrząsł twą cnotą,
Bogaty, przyjaciela ceniłeś nad złoto,
W tobie tarcza ciśnionym, miecz ostry bezbożnym,
Potém my tylko czuli jako byłeś możnym!
Tém będzie twoja sława żyła nie zmorzona,
Ta nad gwiazdy do bogów zaniosła cię grona.

Czyliż poglądasz ztamtąd na nasze wygnanie?
Gdzie twoje niesiem ciało w kurzawym tumanie? —
Tu Sarmacya, tu młodzież teutońskiego kraju,
Tu cię płakać przybyli męże z nad Dunaju!
Wszystkich serca żal chwyta, a najwięcéj syna,
Co postawą i duszą ojca przypomina,
O! nie płacz zbawionego — łzy po tych niech płyną,
Co nędznie kończąc życie bez nadziei giną,
Twój rodzic zasługami oznaczywszy ślady,
Poszedł gościć na wieki pomiędzy pradziady;
Trosk zapomniał jak żeglarz, co z morskich obiegów,
Z bogactwami dopłynie do rodzinnych brzegów,
Ach! strzeż się jego płakać, lecz trwający wieki,
Staw mu pomnik paryjski u wiślanéj rzeki,
Kędy naród Lechitów corocznie się zbierze,
Dank powinny popiołom przynosić w ofierze,
Boje niegdyś zwiedzione i wrogi pobite,
Niech dłutem Fidjasza zostaną wyryte;
Ja dodam: *Tarnowskiego tu złożone kości,*
On sam śmierci nieświadom nad słońcami gości!
Dość tyle, resztę bowiem zostająca chwała,
Będzie niewyliczonym wiekom podawała.

XV.

DO PAWŁA.

I Paweł chmuronośne chce Alpy prześledzić,
Chce brzegi starożytnéj Partenopy zwiedzić. —
Cóż Thelezja pocznie sama zostawiona,
W osieroconym domu nowo ślubna żona?
Płakać będzie jak słowik gdy dzieci postrada,
Jak turkawka samotna, gdy za lubą biada,
On dowolny wygnaniec za rodzinne progi,
Zniesie setne przykrości powietrza i drogi.
Nie tak Ulisses niegdyś mądrością sławiony,
Skwapliwie się oddalał od domu i żony,

Lecz kiedy morze niosło liczne Greków nawy,
Zniszczyć Troję na pomstę Menelaja sławy,
On jeden miłość domu szaleństwem pokrywał,
Pragnąc, by go zbór królów do boju nie wzywał;
Lecz gdy zdrady przemogły i chytre namowy,
Jak wieść niesie, do żony temi mówił słowy:
Z tobą dni wszystkie wyżyć chciałem droga żono!
Wszystkom czynił, – lecz nie tak w górze naznaczono,
Trzeba Lary porzucić, i ciebie i syna,
I płynąć, gdzie surowy wyrok napomina.
By jednego Atryda żona nie zdradzała,
Cała Grecya będzie z mężów owdowiała.
A więc żegnam cię żono! wzmóż duszę żałosną,
Jeśli losy dozwolą, wrócę z pierwszą wiosną. —
Tak mówił, i płaczącą uściskawszy nagle,
Rozpięte rączym wiatrom poufał swe żagle.
W Aulidzie po raz pierwszy nawy mitrężyły,
Kiedy wiatry naglące skrzydła opuściły,
Poczém nie pierwéj rudel bród morski zapienił,
Aż krwią Ifigenii ołtarz się zrumienił.
A gdy przyszli pod Troję, ile znieśli trudów!
Jako lądy spływały krwią walczących ludów!
W dziesiątym ledwo roku, gdy Hektor już w ziemi,
W popiół spłonęła Troja żary doryckiemi.
Gdy już flota zwycięzka drogie łupy niosła,
Gdy ku brzegom rodzinnym dopierały wiosła,
Nagle zagrzmiało niebo i spiętrzone wały,
Skołatane okręty gruchoczą o skały,
Zwycięzców morze zwalcza, połowę zanurza,
Połowę po rozstrzeniach rozsypuje burza,
Uliss wiatrem zaniesion na brzegi Cykony,
Miasto ogniem zdradzieckim zapalił szalony;
Walczą w otwartém polu rozdrażnione Traki,
I nie bez klęski, ledwo uszedł król Itaki.
Znowu z burzą wynikłą szalejące flagi,
Wyrzuciły tułacza na brzeg Latofagi,
Tu młodzież upojona słodyczami Lotu,

Zapomniała do miłéj krainy powrotu,
Ni wymowie posłuszni, ni grożącéj stali.
Ledwie w spóźnioną podróż nakłonić się dali.
Ztąd płynących ku wyspom nawróciły wody,
W których żyją okrutne Cyklopów narody,
Tu Polifem żeglarzów przyjął nieszczęśliwych,
Lżąc prawu gościnności sześciu z nich zjadł żywych·
Szawłok z skóry Ulissa i resztę ocalił,
Gdy winem upojony olbrzym z nóg się zwalił.
Upłynionych na morze z okrutnéj przygody,
Wparły fale szalone na eolskie brody,
Tu Ulisses w gościnne zabłąkał się kraje,
Gdzie Hyppodates srogim wiatrom prawa daje,
Ten wdzięcznie w dom przyjmuje znanego tułacza,
I co każe potrzeba, wspaniale oznacza.
Dodał darem i wiatry w burdzuku zamknięte,
Zefirom rozkazawszy dąć w żagle rozpięte,
Już się morzu oddawszy, dniem i nocą śpieszy,
Wódz u steru, we wszystkiém wódz przodkuje rzeszy,
Jużci i brzeg Itaki widział nie daleki,
Aż sen nieszczęsny przymknął Ulissa powieki,
I ludzie złotym zamku uwiedzeni splotem,
Zgadując że burdzuki napełni one złotem,
Grzbiet skórzany otwarli — wiatry z szumem nagle,
Pną się ku Eolii odwracając żagle;
Porwana flota pędem szybuje przez wały,
Męże w piersi się tłukąc jęki wydawały,
I tak do Hyppodata wrócili się progów,
Który zdziwion, uznał ich wyklętych od bogów.
Wypędzonych w nie lepsze los prowadził strony,
Do wielkich murów Lama między Lestrygony,
Tam szpiega Antiphates zębowa rozrywa,
Reszta zaledwo z życiem na okręt przybywa,
Ten w stal uderzył, wnet tłum olbrzymów wypadnie
I okręty z mężami pogrążyły na dnie,
Jedyna nawa uszła, którą Uliss płynął,
Tak go szczęsnym wyrokiem zgon niesławny minął.

Ztamtąd brzeg Cyrcy, córy Apolla znachodzi,
Dwudziestu ku bogini wybranej szle młodzi,
Mile w dworcu przyjęła nadchodzące grona,
Szczecistemi zwierzęty pani otoczona,
Czary pamięć trujące wnet przed gośćmi kładzie,
Wdzięczni ręce ściągnęli nie myśląc o zdradzie,
Wtém, wszystkich gdy czarowną gałązką uderza,
W plugawe z dziczym ryjem zamieniła zwierza,
I do chlewa zamkniętym leśną żołądź daje,
Inny pokarm, bo inne gości obyczaje.
Sam Euriloch ostrożny za próg się nie kwapił,
On się jeden zdradnego napoju nie napił,
Gdy więc ani sam nie śmie do swych towarzyszy,
Ani z dziwnego domu wychodzących słyszy,
Wrócił do Ulissesa; ten za miecz porywa,
I gniewem rozżarzony do Cyrcy przybywa,
Śmiało wychylił napój dany od bogini,
Lecz gałązką dotknięty mieczem groźby czyni,
I gdy nakoniec wszystkie przezwyciężył czary,
Mężów zyskał odklętych, i hojne wziął dary.
Straszna droga zostaje, bo nie wróci wprzódy
Do domu, nim stygijskiéj nie zobaczy wody,
By od Tyrezyasza odebrał przestrogi,
Któréj się trzeba chronić, któréj trzymać drogi;
Tak się smutny zapuścił w cymmeryjskie kraje,
Przy których niezmierzony Ocean ustaje,
Te miejsca wiecznéj nocy cienie przyodziały,
Ani tam ludów, kiedy pokrzepi dzień biały,
Ni, gdy słońce na Olymp gwiaździsty się wznosi,
Ni, gdy pod ziemię wraca na lecącéj osi.
Tu gdy przybył, dwie czarne wnet owce wybierze,
I bogu stygijskiemu poświęca w ofierze.
Aż oto, kiedy ciepłą krew bydląt poczuły,
Zwabione cienie z ciemnych gajów się wysnuły,
Równie chmura szarańczy, niszczycielka kłosów,
Czarno pędzi i jasność zaciemnia niebiosów,
Napatrzyć się tam było najstarszych rycerzy,

I tych co u Skamandru polegli nadbrzeży,
Tu nędzna Antiklea, którą śmierć zmyślona
Ulissesa, zagnała do krain Plutona.
Jeden był Tyrezyasz, w którym pamięć władła,
Reszta miga jak cienie i marne widziadła;
Ten przyszłe Ulissowi odsłonił wyroki,
I drogę do itackiéj oznaczył opoki,
Co gdy ten wyrozumiał, od stygijskiéj toni,
Wrócił do czekających towarzyszów broni,
A opuszczając smutne cymmeryjskie kraje.
Eackim znowu wiatrom swe żagle podaje,
Ztąd, gdy na dalsze morza wypadało dążyć,
Zdradliwych brzegów Syren nie zdołał okrążyć;
Tam, gdy kogo z niebacznych na brzeg naprowadza,
Śpiewu czarującego niepozbędna władza,
Już on wyrosłych dzieci, utroskanéj żony,
Ani zagród ojczystych widział ucieszony,
Ale złudzon, wiek cały na ohydne wczasy,
Zmarnował przy niewiastach z rybiemi podpasy,
Aż z śmiercią dusza inne mieszkanie obrała,
A zwierz nie pogrzebione poroznosił ciała,
Te już gdy Ulissowi znane były sztuki,
Wszystkie morskiéj bogini wykonał nauki,
Woskiem uszy zalepia towarzyszów trwogi,
Sam u masztu za ręce związany i nogi:
Tak podejrzane brzegi omijali nagle,
I cudem bez przygody przemknęły się żagle.
Gdy Syreny przebyli i zdradne uroki,
Z drżeniem serca postrzegli dwie groźne opoki,
Mgła obie okoliła, wody w okrąg wrzały,
I bałwanami bite grzmot oddają skały,
Na prawéj Scylla była otoczona psami,
Z otchłani głos wydaje sześcioma paszczami,
Tam Charybdis, co morze aż do dna pożera,
I znowu je gwałtownie z wnętrzności wypiera;
Pomiędzy te dwie skały, albo śmierci prawie,
Pomiatani na kruchéj przepływali nawie,

Gdy Charybdę mijając ku Scylli się wdarła,
Ta w chwili sześciu mężów zarwanych pożarła,
Innych na brzeg sykulski dostawiły wody,
Gdzie w polu córka słońca pasła ojca trzody,
Tych nie wolno się tykać. Dał Ulis rozkazy,
Pomnąc Tyrezyasza i Cyrcy wyrazy,
Ale głód nie ma uszu, ni bogów pamięta,
Jego radą zgwałconą padła trzoda święta,
Pełzają zdarte skóry, a z ostrego rożna,
Ryczy mięso, idących nieszczęść wróżba trwożna,
Gdy więc syci ku morzu poruszyli wiosły,
Gdy już wiatry życzone białe żagle niosły,
Z oczu znikło zgwałcone sykulskie przestworze,
I same widać tylko niebiosa i morze,
Nagle, jakby w noc czarną niebo się zachmurza,
W szumie morzem szerokiém zakręciła burza,
Wiatr wyrwał żagle, a maszt zważon na okręcie,
Opada na sternika, i nurza w odmęcie,
Wnet piorunem Jowisza tknięty okręt płonie,
I chroniących się żaru mężów woda chłonie,
Jeden tylko Ulisses przed śmiercią uchodzi,
I na tramie dni dziewięć pośród wałów brodzi,
W dziesiątym ląd uchwycił; wdziękiem znamienita,
Kalipso w dom spaniały przyjmuje rozbita,
A co każe gościnność i co miłość czyni,
I łoże kochająca podziela bogini,
I gdyby nie uporną była męża siła.
W nagrodę nieśmiertelne życie mu ślubiła, —
Po siódmém wreszcie żniwie, gdy ją niebo nagli,
Dozwoliła bogini rozwinięcia żagli.
Ledwo nieco upłynął, wnet maszt zgruchotany,
Szarpią znowu okrętem stęsknione bałwany,
Ale pomoc w Leukocie — z jéj dzielną obroną,
Ulisses piersią przylegl ziemię upragnioną.
Przyjął go w domu sługa Alcineusz stary,
Poczém jeszcze bój przebył, nim uściskał Lary.
Tak przez dwa lat dziesiątki i ziemskie przestworze,

I wszerz i wzdłuż przebywał niezbłagane morze, —
Ale to nie są wróżby — wy skłonniejsze bogi, —
Zdarzcie! niech Paweł rychło wita swoje progi.

XVI.

W A N D A.

Teraz Muzo zwyczajném zaśpiewaj nam pieniem,
Bitną Wandę, co polskiém władała plemieniem.
Syn młodszy, skoro Krakus ojciec zszedł ze świata,
Wstąpił na tron zdradziecko uprzątnąwszy brata,
Ten potém z zagniewanych bogów dopuszczenia,
Dzień i noc braterskiego lękając się cienia,
Uległ furyom mściwym — zdradnie odzierżoną,
Nie dłużéj nad rok jeden cieszył się koroną. —
Jedyna po Krakusie córa pozostała,
Wanda dzielna z umysłu i postaci ciała,
Nie dla niéj z wełny przędza, ani kołowroty,
Ani mienistą barwą utkane roboty,
Ale z szybką Dyanną uzbrojona w strzały,
Ścigać lubiła zwierze przez jary i skały,
Ztąd w nienawiści twoja pochodnia Hymenie,
A swobodne dziewictwo w najwyższéj jest cenie,
Ta nad wszystkie rozkosze tajnie w sercu tleje,
Gdy tym czasem lud wielkie buduje nadzieje,
Że kiedyś najpiękniejsza z pomiędzy Sarmatek,
Zyska męża możnego w sławę i dostatek,
Tak zgodą zobopolną i lud i ojcowie,
Berło państwa oddali pod straż białogłowie,
Ona chociaż z krwi książąt, ani mogła sądzić,
Aby ludem rycerskim przystało jéj rządzić,
Lecz przemogły namowy i prośby Senatu,
Wdziała młoda dziewica godło majestatu.
A czy przyszło bój toczyć, czy sprawować sądy,
Przypominała królów najdawniejszych rządy,
Wielu z młodzi arktejskiéj o jéj rękę prosi,

Ale serca życzenia marnie wiatr roznosi,
Z nich Rytygier ofiarę najgorętszą święci,
Ale i Rytygiera nie słuchane chęci.
Znamienity bogactwem, wsławiony przez boje,
Aż od Renu wywodził pochodzenie swoje,
Niczém u niéj ród, skarby i rycerskie dzieła,
Wanda w czystem dziewictwie umrzeć przedsięwzięła.
Obrażony Rytygier zadrżał na te wieści,
I miłości i dumy drażnią go boleści,
„Zmieńmy, rzekł, sposób,—kiedy nie ważą nic prośby,“
I za zbroję porwawszy zapowiada groźby.
Nie był tajnym dla Wandy zamiar Rytygiera,
Sama więc ku obronie pilnie poczty zbiera.
Już oboje chęć jedna na plac boju niosła,
Gdy przed Wandą stawiono teutońskiego posła,
„Wnet (rzekł) przyjdzie Rytygier z potęgą oręża,
Wybieraj w nim królewno wroga albo męża!“
„Wybrałam, rzekła Wanda, ty do Rytygiera
Wróć śpiesznie, niechaj równie co sądzi, wybiera.“
Tą odpowiedzią rycerz w ostateczność pchnięty,
Miłość na wściekłość zmienia, śpieszy w bój zawzięty,
Naprzeciw niemu zbrojna wyszedłszy królowa,
Podnosi ręce w górę i te mówi słowa:
„To, co u mnie najświętsze, w najwyższéj jest cenie,
„Piorunie! po zwycięztwie przyjm za dziękczynienie.“
Skłonny piorun przyjmuje śluby uczynione,
I z grodu wysokiego w prawą zagrzmiał stronę,
Tą wróżbą ucieszona wnet daje znak rotom.
Pierwszą koń niesie przeciw nieprzyjaciół grotom,
Za nią błysły oręże, za nią tentent koni,
Niestrwożonym umysłem stanęli Teutoni,
Jużci starły się wojska, w chwili krew się leje,
Chmura strzał zaświszczała, i gradem śmierć sieje,
Aż przeparte germańskie rozpierzchły się roty,
Już i wodza przy orłach obaliły groty,
Wanda obnażonego pogrzebać młodzieńca,
I wolnego do domu każe puścić jeńca,

A na brzegu wiślanym, gdzie zwycięztwo głosi,
Świetny wojenny pomnik dla rycerza wznosi.
Tu nieść każe dziryty i wrogów puklerze,
I do rzeki zwrócona,. taki głos zabierze:
„Wisło, wody królowo! rzek wszelkich źrenico,
Jakie tu pod północną płyną niedźwiedzicą;
Ja Wanda, która niegdyś na twoje nadbrzeże,
Kwiat niewinny i kłosy znosiłam w ofierze,
Dzisiaj miasto fiłki i drobne barwinki,
Te ci w darze skrwawione składam upominki,
Łupy nieprzyjaciela, który mimo bogi,
Szalony niósł wojenne na twój brzeg pożogi,
I co nie mógł prośbami, chciał wymódz przez boje,
Legł nędzny, i pod niebo wyniósł imię moje.
Bogi! od których przyszła odwaga i siła,
Żem napaść wroga w sprośną ucieczkę zmieniła,
Niech nie mówią, że w trwodze wyrzeczone śluby,
Przepomniałam niewdzięczna, gdym wolna od zguby,
Cóż droższego nad życie? — to dziś z waszéj ręki,
Przy sławie odzyskane wam daję w podzięki."
Rzekłszy, w niebo trzymając wyniesione dłonie,
Z ostrego brzegu, w rzeki rzuciła się tonie. —
Zdumieli na to wszyscy — załośnemi głosy,
Jęki wydając, szarpią i szaty i włosy.
Wandę Wisła pod modrém przyjęła sklepieniem,
Bóstwa rzeki ojczystéj, cześć każe imieniem.
Długo lud usiłował z nurtów dobyć ciało,
Pragnąc, by z czcią pogrzebną na stosie zgorzało,
Wreszcie, próżny grób wielką mogiłą okrywa,
I po trzykroć z nad Styxu cienie przywoływa,
Gdy ten głos powtarzany pod Wisłę podpada;
Błąd taki wdzięcznie nowa przyjmuje Najada,
A jako w tym dniu smutnym wszystkie Lechy płaczą,
Tak pamięć jego, wieki potomne zobaczą.
Dotąd na lewéj stronie mogiła się wznosi,
Przeglądając się w Wiśle, która brzeg jéj rosi.

EPIGRAMMATA ŁACIŃSKIE

z

JANA KOCHANOWSKIEGO.

O NEREI.

Ten śpiewa Teby, ten Troję,
Ja tylko niedolę moję,
Mnie nie koń z drewna, nie roty,
Ni zgubiły greckie floty,
Ale z gwiazdami walczące,
Nerei oczy błyszczące.

DO FAUSTA.

Ciężką miłość chorobą, ja choć nie miłuję,
Ale żem niegdyś kochał, przeto boleść czuję.

DO MEGO OBRAZU.

Takim ja byłem, kiedym wolną gorzał raną,
Przez Lydyę pieśniami memi ośpiewaną,
Bałem się u malarza siedząc przed obrazem,
Aby z twarzą i westchnień nie malował razem.

DO WIEŃCA.

Teraz uwiądł niestety ów kwitnący wieniec,
Który z szczytu Parnasu przyniosłem młodzieniec.
Doczekał się nie wiedząc, niewdzięcznego czasu,
Teraz się Muzy wstydzę i was i Parnasu.

NAGROBEK MIKOŁAJOWI FIRLEJOWI.

Ta ciebie urna zgasły Firleju schowała.
Ległeś samego Marsa włóczniami przebity,
Ale wolna od przygód żyć będzie twa chwała,
Dopóki będą strzały, miecze i dziryty.

NAGROBEK N. KRETKOWSKIEMU.

Tuś Kretkowski na koniec ostateczny zdążył,
Kiedyś i ziemie wszystkie i morza przekrążył,
Ciebie widziały zimne brzegi Borystenu,
Ciebie rączego Tagu, Dunaju i Renu,
Siedmioramienne ujścia Nilowego źródła,
Teraz cię do Olimpu przygoda powiodła,
I do domów powietrznych, gdzie złączony z Bogi,
Wyśmiewasz naszą podróż, nadzieje i trwogi.

NA WIEŚ DĄBROWICĘ.

Uszanuj gościu cienie tutejszego domu,
Firlejów ród tu mieszczą marmurowe progi,
Których przeważne dzieła nie tajne nikomu,
Jeśli ziomki zamilczą, opowiedzą wrogi.

DO PRZYJACIÓŁ.

Póki wesele
Próżne przygody
Tu przyjaciele
Sprawujmy gody.
Ni się zieleni
W Orku winnica,
Ani się pieni
Pełna szklannica.
Siarką Styksowe
Trącą strumienie,
Drzewa cisowe
Rzucają cienie.
Tu na tym świecie
Drużbowie moi,
W młodości kwiecie
Kochać przystoi.
Bo gdy raz Kloto
Nieubłagana
Przetnie nić złotą
Życia młodziana,
Przyjdzie dziewoje
Lube zostawić,
Przez czarne zdroje
Styksu się pławić,
Gdzie postać nasza
W mgłę się zamieni,
Jaką rozprasza
Eur po przestrzeni.

DO BEKUARA LUTNISTY.

W lasach Orfeusz, w wodach Aryon rej wodził,
Tamten dzikie zwierzęta, ten ryby łagodził,

Ciebie zaś Bekuarze miasto niechaj słucha,
Twój bowiem śpiew ludzkiego najgodniejszy ucha.

DO AMORKA.

Czylim ogniem pieczony, czy mrozem ściśnięty,
Choćbyś na niezgłębione popchnął mię odmęty,
Bo miłością zgnębiony wszelkich trosk świadomy,
Nie zniszczeję, choćby sam Jowisz rzucał gromy.

NAGROBEK SZELISŁAWSKIEMU.

Szczątki Szelisławskiego w tym złożone grobie
Wierni drużbowie łzami oblali rzewnemi,
Wam okrutni zabójcy niechaj nikt w żałobie
Niechaj ani łzy zroni, ani garści ziemi.

AMFION.
Przekład z Sarbiewskiego.

Exteros mores prohibete...

— Obce zwyczaje Tebanowie znieście,
Pamięci ojców dajcie dostęp w mieście,
Cnoty naddziadów, stare obyczaje,
Niech skłonna dziatwa poznaje.

Świętość w kościele, sprawiedliwość w grodzie,
Prawda i miłość niech służą swobodzie,
Do czystych siedlisk o przybysz niecnota,
Zawarte niech znajdzie wrota.

Przystępu zbrodni twierdza nie ustrzeże,
Trojnite zamki, niebotyczne wieże
Skrzydłem przebędzie, za nią czujne kary
Miotają gromy i żary.

Precz od was chytrość słodyczą barwiona,
Precz duma, plemię piekielnego łona,
I chciwość zysków, których owoc marnie,
Przy żniwie zbytek zagarnie.

Ojczyźnie rolnik niech podatki znosi;
On, który ziemię krwią i potem rosi,

Niech czuje, widząc zbytkiem lśniące Teby,
Ulżone swoje potrzeby.

Żałobnie błyszczy pień spróchniały w nocy,
Wewnętrznym sokiem dąb nabiera mocy,
Im głębszy w ziemi, tym silniejszy w górze,
Ramieniem roztrąca burze.

Strój sprowadzony i przyjęta mowa,
Siłą nie wzmoże, ducha nie przechowa,
Spokojne męztwo, jak czas nie omylne
Pracuje tajne, nieustanne, silne.

I bratnie nawy wichrem rozproszone,
Złączą się kiedyś, w jednę dążąc stronę,
Jeżeli bacznych jedna strona wszędzie
Do celu prowadzić będzie. —

Na ten głos dźwięcznéj lutni Amfiona,
Trzykroć stanęła Dirce* zapieniona,
Trzykroć Citeron tłukąc się po brzegu,
Brzeg zlękły odwrócił w biegu.

Głazy się snuły, a dalekie skały,
Skacząc z bezdroża ku polu zdążały,
Lasek cienisty wesoło przyskoczył,
Krzemień się chętny z gór ztoczył.

* Dirce druga żona Lykusa, króla Teban, zazdroszcząc Antiopie, wtrąciła ją do więzienia, lecz ta wkrótce oswobodzona przez Jowisza, ukryła się na górze Citeron, gdzie powiła dwoje bliźniąt Amfiona i Zetusa, którzy lat dorosłszy, zabili Lykusa, a Dircę uwiązawszy do ogona dzikiego byka, rozdrażnionego wypędzili między skały. Ten, tłukąc ją po opokach, rozszarpał jéj członki w drobne części. Bachus zdjęty litością, nasłał obłąkanie umysłu na Antiopę, nieszczęśliwą zaś żonę Lykusa, przemienił w źródło, od jéj imienia Dirce nazwane.

A skoro umilkł, wzruszone opoki,
Zgodnie się jęły równać w mur wysoki,
I twardą miedzią warowne, stubrame,
Teby podniosły się same!

HIOB.*

(Na osnowie Pisma Św.)

I.

Był mąż w Suzy krainie Hiobem nazwany,
Dobry, szczery, niewinny i Bogu oddany;
Siedmiu synów wychował, trzy córy kwitnące,
Pięćset oślic, wielbłądów trzy liczył tysiące,

* W rękopismach ś. p. Brodzińskiego znalazł wileński wydawca przy Hiobie ostrzeżenie, obcą ręką dopisane, które tu całkowicie umieszczamy: „Dzieło z Biblii pod tytułem Hiob, wierszem zupełnie ukończone i na czysto przez autora Kazimirza Brodzińskiego przepisane i przygotowane do druku, przed wyjazdem do wód Karlsbadzkich autora w r. 1835, sam widziałem, — w listach do żony przed śmiercią swoją z Drezna, często Brodziński wspominał i upominał, żeby tak uporządkowane dzieło mieć pod ręką i zachować od zatracenia, bo sam wyjeżdżając osłabiony i zmartwiony, zapomniał oddać go w ręce żony lub moje — lecz mimo wszelkich poszukiwań rękopismu tego znaleść nie mogliśmy; domyślamy się, że albo go pożyczył komu wkrótce przed swym wyjazdem, lub czytając u kogo zostawił, — lub wreszcie ktoś w czasie odwiedzin literackich tajemnie ściągnął, — zwłaszcza, że charakter Brodzińskiego, jak sam szczery i poczciwy, nigdyby o drugich inaczéj sądzić nie przypuszczał, — a jego papiery, tak jak czyny osobiste, były zawsze na widowni, bez ukrycia i bez zamknięcia. — To, co znalazłem, zebrałem, dla dowodu w razie przyswojenia, — ostrzegając, iż późniejsze rozdziały są tylko pierwszą próbą do poprawy, czyli tematem wiersza.“ *Pisałem w Grudniu, tysiąc ośmset trzydziestego siódmego roku, w Załężu małém.* F. Holli.

Siedem tysięcy owiec i czeladzi siła,
Pięćset jarzm wołów jego na role wodziła.
Był to mąż najbogatszy pomiędzy wschodniemi, —
A z siedmiu synów jego dniami kolejnemi
Każdy uczty wyprawiał, — a zawsze pospołu
Wszystkie z niemi trzy siostry siadały do stołu;
A gdy koléj obeszła, Hiob dzieci zwołał,
Za nie całopalenia Bogu ofiarował,
Z bojaźni by z nich który w zbytku nie zawinił —
Tak Hiob z dziećmi swemi po wszystkie dni czynił.

II.

Dnia jednego się zeszli niebiescy synowie
Przed tronem wiekuistym cześć składać Jehowie.
W rychle do nich i szatan, śledzca świata zdążył —
„Zkąd idziesz?“ Pan zapytał. — „Ziemięm w szerz okrążył.“ —
„Nie widziałeś Hioba, rzekł Pan, mego sługi?
Zaiste jemu równy nie zrodził się drugi,
Szczery, prosty, pokorny, bliźnim dobroczynny,
Choć mię często skłaniałeś, by cierpiał niewinny.“ —
Na to szatan: „Czyż on się darmo Ciebie lęka?
Czyż go nie błogosławi, nie broni Twa ręka?
Kwitnie mu dom i stada igrają po łanie;
Lecz weź mu co ma; ujrzysz jak wiernym zostanie.“ —
I rzekł Pan: „Wszystko co ma, daję pod twą wolę,
Na niego tylko ręki ściągnąć nie dozwolę.“

U najstarszego z synów, gdy była biesiada,
Wbiegł poseł do Hioba i tak zapowiada:
„Gdyśmy oślice paśli i wołmi orali,
Wpadli Sabejczykowie i wszystko zabrali,
Czeladź mieczem wysiekli, ja życie uniosłem,
Abym ci to oznajmił i smutnym był posłem.“ —
Ledwo skończył, wbiegł drugi i tak zapowiada:
„Ogień spadł z nieba, zabił twą czeladź i stada.“

Gdy kończył, przybył trzeci: „Chaldejczycy wpadli
W trzech hufcach i trupami twą czeladź pokładli,
I wielbłądy zabrali.“ — Wnet czwarty przypada:
„U brata najstarszego, rzekł, była biesiada,
Syny twoje i córki siedziały przy winie,
Alić wicher gwałtowny wpada przez pustynie,
Trzęsie węgłami domu, walą się podwoje,
Gruzami zasypane leżą dzieci twoje.“

Tu Hiob szaty rozdarł, wstał i ostrzygł głowę,
I na kolana padłszy tak błagał Jehowę:
„Nago z matki wyszedłem i nago powrócę,
Pan dał i Pan odebrał, przeto się nie smucę;
Niech czyni, jak się jego mądrości podoba.“
Dotąd nic złego usta nie rzekły Hioba.

Gdy odszedł, śledzca świata, od stóp aż po głowę,
Zjadłym wrzodem zaraził ciało Hiobowe,
Że jedną raną było: — on usiadł w popiele,
Wziął skorupę i rany odzierał na ciele.
Ongi rzekła mu żona, kiedy go ból trawił:
„Jeszczeż i teraz będziesz dobroć Boga sławił?
Sławże ją i umieraj!“ — „Nie waż się złorzeczyć,
Mamyż dobre przyjmować, a we złém mu przeczyć?
O niebaczna niewiasto!“ — Tak Hiob powiadał,
I dotąd jeszcze ducha pokory nie stradał. —

Trzej jego przyjaciele gdy o tém słyszeli,
Obaczyć nieszczęsnego i pocieszyć chcieli,
Ci się zwali: Elifas stary Thenamita,
Zofar z Nemathitu i Bildad Suchita.
I razem się zebrawszy z ziem swoich przybiegli,
Lecz go poznać nie mogli, gdy z bliska dostrzegli;
Głośno płakać zacząwszy szaty swe targali,
I prochem ziemi głowy swoje posypali,
Przez siedem dni i nocy siedzieli w milczeniu,
Nie śmieli mówić, jego dziwiąc się cierpieniu.

III.

HIOB.

Przeklęty ów dzień, gdym na świat przychodził,
I noc, co rzekła: człowiek się narodził.
Niech ten dzień wieczne przyodzieją chmury,
Niech Bóg o niego nie zapyta z góry,
Niechaj go żaden promień nie doścignie,
Niech na swą czarność, jak na grób się wzdrygnie.

Niech ta noc przeklętą będzie,
Niech z dniem żadnym nie graniczy,
Niech się w liczbę lat nie liczy,
I wieczny cień ją osiędzie.
Od mistrzów Lewiatana,
Niechaj wiecznie wyklinana
Nadaremnie światła żąda,
Rannéj jutrzni nie ogląda,
Że matki mojéj otworzyła łono,
I mnie zakryła, co mi naznaczono.

Czemuż jam w matki żywocie nie zasnął,
Albo ujrzawszy światło sam nie zgasnął!
Po co mię pierś karmiła, trzymały kolana,
Byłby mi pokój został i noc nieprzespana;
Razem z królami spałbym do téj chwili,
Co groby swoje w chmury powznosili.
Razem z możnymi, co skarby władali,
Co i dom śmierci złotem zasypali, —
I jabym zniknął jak płód niedojrzały
Dzieciom podobien, co świata nie znały.

Tam śpi spokojny, który tu rozpacza,
Tam odpoczną spracowani,
Tam z swych więzów wypętani

Już nie usłyszą głosu wyciągacza
Tam nie ma oddzielnych stanów;
Słudzy są wolni od panów.

I po co nędzni to życie zaznali!
Na co jego ciężar znoszą?
Próżno ciągle o śmierć proszą,
Z ziemiby ją wygrzebali.
Grzebią z oczyma chciwemi
Jak za skarbem skrytym w ziemi,
I gdy ją przecię zobaczą,
Weseli nucą i skaczą.

I po co jam się urodził?
Mnie do koła Bóg ogrodził,
Łzami roszę pożywienie,
Skargi płyną jak strumienie,
Okropność ściga mię wszędzie,
Czego się lękam?... przybędzie.
Wiecznie wzdycham za pokojem,
A drżeć przeznaczeniem mojem!

IV.

E L I F A S.

To, co powiem, niech twojéj rozpaczy nie mnoży,
Trudno ustom zamilczeć to co myśl ułoży,
I twoje niegdyś usta nauczały,
I ty wspierałeś ręce, które mdlały,
I tyś pociechę opuszczonym wmawiał,
I padających na nogi postawiał;
A gdy na ciebie teraz spadła plaga,
Ty sam zwątpiłeś i trwoga cię zmaga,
Aniż cię twoja pobożność zasłania,
I w twéj czystości nie masz spodziewania!
Gdzieżeś niewinnych widział bez obrony?

Gdzie sprawiedliwy bywał potępiony?
Jam się napatrzył, że kto złe zasiéwa,
Sam zawsze musiał pożyć własne żniwa.
Za Boga piorunném tchnieniem,
Padł wieczném rażon zniszczeniem.

Głosem okropnym już lew nie ryczy,
Stępiała jego paszczęka,
I w sile wieku skonał bez zdobyczy,
Dzieci rozpierzchłe głód nęka.
Raz, pomnę, pogłos zaleciał mię ducha,
Ciche wyrazy powziąłem do ucha:
W nocy gdy ludzi porywa uśpienie,
Wtedy mi kości przejął strach i drżenie.
Duch się przesunął, włosy mi powstały,
I stanął... oczy moje nigdy go nie znały,
Było przede mną jak wietrzne widziadło,
Jak cichy powiew, tak do mnie zagadło:
„Czyż się stworzenie czystszém chce sądzić od Boga?
Czyż mu więcéj niż Twórcy sprawiedliwość droga?
Oto i w tych, co Jego spełniają rozkazy,
W aniołach sługach swoich, on dostrzega skazy.
Bez tego, ci, co chaty mieszkają gliniane,
Padaliby jak w pyle robactwo deptane.
Dowolności oddani od rana do nocy,
Ginęliby wszelakiéj zbawieni pomocy;
Pasmo życia wszystkiemu wnetby się przerwało,
Nie tak, jak Pana mądre przejrzenie mieć chciało.“

V.

Teraz śmiéj twe skargi głosić,
By z czynów Bóg ci się sprawił,
Lub którego z świętych prosić,
By ciebie przed nim zastawił?

Niebacznych dręczy tęsknota,
Złymi tylko rozpacz miota.

Widziałem ja grzesznika, co się w złém zanurzył,
Zaraz jam jego domowi złe wróżył:
Dla dzieci jego uchrony nie będzie,
Padną na nie jego wrogi,
Roztrącać będą o progi,
A na to zamilkną sędzie.
Głodny, jego zagon zsiecze,
W koszach poroznosi plony,
Skarby wypije spragniony,
A jego, żołdak powlecze.

Nic bez przyczyn nie pochodzi,
Ziemia boleści nie rodzi,
Przecięż nie jeden stworzon do wzdychania,
Jak ptaszęta do latania. —
Natury jedna otucha została,
Zdać się w boleściach na Pana,
Którego moc niezbadana
Niezliczone cuda działa.

On nad przestronną ziemią deszcze niesie,
Zdroje prowadzi po samotnym lesie,
Dumnych poniża, gnębionych panoszy,
Chytrych od niecnéj obrady rozproszy.
Zdrajców obłudnych w własne wici łowi,
Przewrotne sprawy krzyżuje mędrcowi,
Tak, że w dzień biały ku ciemności dąży,
Oślep w południe, jak w północy krąży,
Tak on ubogich z sideł złych wybawi,
Tak ich przed paszczą łakomych zastawi,
Przyjdzie ciśnionym z nadzieją
I złośliwi zaniemieją.

Szczęśliwy, komu Bóg nasyła kary,
I ty je przyjmij, jako boskie dary;

On cię dotknie i uleczy,
On zagoi, gdy skaleczy;
Z sześciu pocisków cię zbawi,
I przed siódmym cię zastawi.
On cię w głodzie ubezpieczy,
Z pod wojennych wydrze mieczy.

Od ust potwarczych, w nim zbawienie twoje,
Ani się lękaj, gdy wyjdziesz na boje.
Wesoły będziesz, gdy cię grad zuboży,
Dziki zwierz lasu ciebie nie zatrwoży.
Z polnym kamieniem uczynisz przymierze,
Że tobie kłosy urodzi,
Przy tobie się polne zwierze
Oswoi i ułagodzi.
Jeśli wrócisz w twoje progi,
Bezpieczność wszelka w nich będzie,
Obejdziesz stajnie i brogi,
Pomyślność obaczysz wszędzie.
Dziatwa się twoja rozplemi,
Jak kwiat weselący pole,
Lat syty zalegniesz w ziemi,
Jak snop dojrzały w stodole.
Tak my o Bogu sądziemy,
Byś ty sądził, z serca chcemy.

VI.

HIOB.

Ach! włóżcie tylko na szale
Cierpienia moje i żale,
Cięższeby były, niż piasek od wody,
Więc aby w słowach szukam ochłody.

Nie tkwiąż we mnie jego strzały?
Jad ich wyssał siły moje,

Strachów i udręczeń roje
W koło mnie się osiedziały.

Jakże łatwo w dobrym bycie
Z powolnością kochać życie!
Alboż ryczy wół przy strawie,
Osieł leśny na murawie?

A mnie na pokarm zostało,
To, co wstrętem razi ciało;
A ja to pożywać muszę,
Co moję zabija duszę.

Oby mym prośbom do woli się stało,
Gdyby raz Mocarz na mnie okiem rzucił,
Skinieniem ręki na proch skazał ciało,
Aby już prędzéj w niwecz mię obrócił!

Na tedy wszystkobym znosił,
Wtedybym Go jeszcze prosił,
Ażeby ciosów przyczynił,
Choć jam nic mu nie zawinił.

Bo gdzież mi siły, abym jeszcze czekał,
Gdzie cel wytknięty, bym trud mój przewlekał,
Czyż serce moje z kamienia powstało,
Albo z miedzi moje ciało?

Zkądże mam wytrwać, wszelkiéj obrony,
Wszelkiéj nadziei zbawiony?

Nie prawdaż, że ten z Bogiem się pokłócił,
Który pod ciosem bliźniego porzucił?...
A moi bracia minęli mię zdradnie,
Jak leśny potok, co ze śniegiem spadnie,
Lub wyschły w lecie krętym torem płynie,
Ustaje w biegu i w pustyniach ginie;

Podróżni Theman za nim się błąkali,
Pielgrzymy Saby za nim wyglądali;
Ale gdy przyjdą, wstydzą się i płaczą,
Gdy swe nadzieje zdradzone zobaczą.
Tak i wy teraz jesteście mi niczém,
Widząc mię drżycie przed mojém obliczem,
Albożem mówił: dary dla mnie złóżcie,
Dobytkiem waszym wspomóżcie,
Lub wykupcie mię z rąk Pana,
Lub zbawcie z więzów tyrana,
Uczcież mię, palec położę na wargi,
Bezrozumnemi zwiecie słuszne skargi,
Słowa ważycie śledząc w nich niecnotę,
Wybyście widzę przebili sierotę.
Ach! milszém, słodszém rzućcie na mnie okiem,
Mówcie słuszności wyrokiem,
Pokażcie mi w czémem zbłądził,
Ktoby z was za to mię sądził;
Słowa cierpiących używają tchnienie,
I przyjaciela dali na stracenie! —
Czyż zbyt gwałtowne są skargi moje,
Bo ja przy prawie łez aż dotąd stoję.

VII.

Bojem jest życie człowieka,
Dniem najemników, dni jego pracy,
Jako niewolnik na spoczynek czeka,
A najemnik na dzień płacy,
Tak na mnie teraz padły złe miesiące,
I nocy smutkiem ciężące.
Do snu idąc czekam rana,
Że mi przecię ulgę wróci,
Że mi boleść moję skróci;
Noc przeminie nieprzespana,
Ni poranek cierpień skróci!

Jak łódka skacze po płótnie,
Dni moje mijają smutnie;
Za cóż się pastwisz nad nędzną ofiarą,
Wszak mój żywot tylko parą;
Raz mi naciśniesz powieki,
A już ja ziemi nie ujrzę na wieki.
Widzący będą szukać mię oczyma
Ty szukać będziesz, ale mnie już niema,
Jako się obłok rozprasza i ginie,
Tak człowiek znika w cieniów krainie:
Już nie poznany nikomu,
Nie wróci do swego domu.
 Więc też mym ustom nie wzbronię,
 Niech duch co cierpi, wyzionie.
Czyż to ja morze, lub morska potwora,
Żebyś mi stawiał i tamy i straże?
Jeżeli mówię z wieczora,
Że mi folgę noc okaże,
A ty mię dręczysz i we śnie
I sny mię dręczą boleśnie;
Tak że we wszystkiém, co znoszę,
Jak o łaskę, o śmierć proszę! —
Syt jestem życia, krótkie już dni moje,
Czemuż się srożysz nade mną?
Wszakżem ja parą nikczemną,
Odwróć, odwróć oczy twoje!
Czémże jest człowiek, że się tak wielmożysz,
  Potęgą twoją nań srożysz,
Że mię szukasz z wschodem słońca
I na chwilę nie porzucisz,
Śledzisz i dręczysz bez końca,
Nigdyż ode mnie tych oczu nie zwrócisz?
Com ci zawinił, ludzi śledzicielu,
Ja nędzarz, pośród cierpienia bez celu
Ja ciężar sobie samemu!
Mogęż być wrogiem tobie potężnemu?

Wszak ja proch jestem, ty rzucisz oczyma,
Szukać mię będziesz: — a mnie już niema.

VIII.

Pókiż chcesz bluźnić niebacznie,
I Boskie nicować rządy?
Chcesz by działał Bóg opacznie,
I sam własne łamał sądy.
Gdy Twoje zgrzeszyły syny
Karę poniosły za winy;
Ty gdy się zwrócisz ku Bogu,
Gdy korne wzniesiesz błaganie,
Gdyś nie stwardział w złym nałogu,
On twoją tarczą zostanie.
On twe niewinne plemię uszczęśliwi,
Choć nowy wszczątek zbyt mały,
Ale z czasem w blasku chwały
Nowym wzrostem świat zadziwi. —
Przeto zapytaj dawne pokolenia,
I rozmów się z ich ojcami,
Bo my wczorajsi, my bez doświadczenia,
I dni nasze są cieniami. —
A w nich pociecha gotowa,
Bo z ich serca mądre słowa.
Sitowie bagno urodzi,
Wśród wody rogaże wschodzi;
Jeszcze zielone, jeszcze nie dojrzeje,
A rychléj niżli wszelki chwast więdnieje.
— Taka obłudników droga:
Taka nadzieja bez Boga,
Ufność jego pajęczyna,
A podporą krucha trzcina.
Wesprę się na niéj i zdradnie
Tém pewniéj na ziemię padnie.
— Przed świtem stoi drzewo pełne siły,

Gałęzie jego ogród obramiły:
Korzenie jego nad zdrojem splecione,
Jako podstawa muru umocnione,
Lecz niech mu słońce śmiertelnie dopiecze,
Wyprze się miejsca, — nie znałem cię, — rzecze;
To jest jego przeznaczenie,
A przecież jego korzenie
W nowe za czasem gałęzie odrosną,
I to cieszy śmierć żałośną.
Tak Bóg prostego zasłoni,
Obłudnym nie poda dłoni,
I tobie pociech udzieli,
Twoje usta rozweseli,
Wrogi twoje wstyd owładnie,
I dom bluźnierców zapadnie.

IX.

Ach! wiem, że tak jest, bo gdzież porównanie, —
Tak, tak, poznaję i to mię nie dziwi,
Bo którzyż przed nim będą sprawiedliwi,
Gdy człowiek z Bogiem do rozprawy stanie?
A gdyby przed nim mógł przyjść ku rozmowie,
Na tysiąc pytań i raz nie odpowie.
I nasz rozjemca jeszcze się nie zrodził,
By wśród nas stanął i zgodził;
Niech on swą laskę położy,
Niech mię swą siłą nie trwoży,
A śmiało z nim się rozprawię
I niewinnością zastawię. —
Mocny w swéj sile, w przedsięwzięciu stały,
Ktoż się mu stawił i kto wyszedł cały?
On góry zniesie, a żadna z nich nie wie,
Że on je zniszczy w swym gniewie:
Drżącą ziemię z miejsca ruszy
I posady jéj pokruszy.

On sam rozciąga niebios przestworza
I chodzi po wałach morza:
Przykaże słońcu i słońce nie wstanie,
I gwiazdom zamknie mieszkanie!
On spełnia cuda, niepojęte dzieła,
Których myśl ludzka nigdy nie objęła,
Minie koło mnie i któż go postrzeże,
Nim się obaczysz, wszystko ci zabierze,
I ktoż go zatrzymać zdoła?
I kto, *co czynisz?* zawoła. —
Ktoż się mu oprze, kto mu odpowie,
Drżą przed nim ziemscy panowie;
A ja któż jestem, bym prawo z nim czynił,
Abym z nim wchodził w rozprawę;
Milczałbym przed nim, choć dobrą mam sprawę, —
Łaskibym prosił, chociem nie zawinił.
A choćby moje słyszał wołanie,
Do rozmów ze mną nie stanie,
W chmurce się na mnie uzbroi,
Tysiące ran we mnie złoży,
Duszę goryczą upoi,
Tysiącem cierpień zatrwoży!
Pójdę na siłę, cóż z mocnym dokażę,
Pójdę do prawa, gdzież na niego sędzie?...
Choć ja bez winy, on przecież mię skarze,
Choć prawo za mną, on mym sędzią będzie.
Lecz po co mam się przy cnocie upierać,
Wszystkie dni moje w nędzy poniewierać;
Choćbym sam, jak śnieg był biały,
On mię w kał wmięsza i tak ohydzi,
Że się mną moja szata obrzydzi.
Ach! i dni moje jako goniec miną,
I znikną próżne słodyczy,
Śpieszą jak łódź między trzciną,
Jako orzeł ku zdobyczy.
A chociaż myślę, że mém zabaczeniem
Wygładzę czoło i ulżę méj doli,

Lecz wnet się wzdrygam nad mojém cierpieniem,
Bo wiem, że on mię nigdy nie wyzwoli.

X.

O jak mi tęskno w tém ciele!
Więc śmiało, śmiało skargi me głoszę,
Że ja niewinnie tak wiele,
Tak gorzkich cierpień ponoszę.
Wstrzymaj twą rękę (tak go będę prosić)
I powiedz: za co tyle muszę znosić, —
I zkądże tobie się wzięło
Potępiać własne twe dzieło.
Czy widzisz jak my widziemy,
Tak czujesz, jak my czujemy?...
Czyś chwilowym panem świata,
Jak nasze krótkie twe lata,
Że za każdym moim krokiem
Tak surowém śledzisz okiem;
Choć ty wiesz dobrze, żem się źle nie sprawił,
Że nie masz, ktoby od Ciebie mnie zbawił,
Twoje mię ręce zewsząd ulepiły,
Teraz przemożne srożysz na mnie siły:
Pomnij żem z gliny, że się rozkruszę,
I znowu w proch wrócić muszę.

Wylałeś na mnie łask zdroje,
Oddechu strzegło miłosierdzie twoje,
A przecie myślą tajemną,
To uradziłeś nade mną:
Że gdybym zgrzeszył, ty mi to naznaczysz,
I że mi żadnéj winy nie przebaczysz;
A choćbym był bez nagany,
Jakżebym mógł podnieść głowę,
Przez twe wyroki surowe
Wstydem i nędzą znękany?

— Gdybym ją podniósł, jak lew byś się rzucił,
Dopędziłbyś mię i wrócił.
Wtedybyś mi zagniewany
Zadane rozjątrzył rany,
Straszniejszebyś męki sprawił,
I nowe w koło straże postawił.

I na cóż tak żyć się zdało?...
Ach! czemuż matki nosiło mię łono,
Oby me oko nic tu nie widziało,
Oby martwe moje ciało
Prosto od matki w ziemię zaniesiono!

Lecz kiedy mi ten wyrok już był Boży,
Wszak i tak rychło mój koniec obaczę,
Niechże swój pocisk choć na chwilę złoży;
Niech wolniéj nieco nad sobą zapłaczę!
Zaczém pójdę, zkąd nie cofnę kroku.
W krainy wiecznego mroku.
Tam już dla mnie noc bezpieczna,
Bo niezawodna i wieczna;
A tu w południe noc mamy,
Tu się bez ładu błąkamy,
Zwodne światełek promienie,
A istotne nocy cienie.

XI.

Nie będzież końca téj zuchwałéj mowie?
Niktże cię nie upokorzy,
Będąż przed tobą siedzieli starcowie,
I żaden ust nie otworzy?
Mówiłeś: prawdą są moje wyrazy,
Czuję się w sercu bez skazy.

Gdyby Bóg jednak na ten spór się stawił,
Gdyby tajoną swą mądrość objawił,

Wnetbyś poznał z zawstydzeniem,
Jak wiele win twych pokrył zapomnieniem.
Czy sądzisz, że twój rozum, to, co Bóg osięga?
I że w to trafisz, co jego potęga?
Ona się wznosi nad niebios sklepienia,
Głębiéj dosięga niż piekielne cienia,
Ona jest szerszą nad morza,
Dłuższą nad ziemi przestworza!

Niech nawet przed sąd człowieczy,
Spętanych ludzi postawi,
Wszystkie ich czyny wyjawi,
I ktož mu wtedy zaprzeczy?
On zna tajnie śmiertelnika,
Których żaden nie przenika,
I przed Jegoż to oczyma,
Człowiek się pychą nadyma,
Który się mniema zrodzon do swobody,
Jako na łąkach źróbek jeszcze młody.

Wypowiedz służbę niecnocie,
Wyprzątnij łupy w twoim namiocie,
Puść z ręki nieprawe zbiory,
Wznieś ku niebu głos pokory;
A wtenczas spojrzysz śmiałém obliczem,
Wolny prawdziwie, nie strwożony niczém,
I wnet ci każda przejdzie przygoda,
Jako mijająca woda. —

. . . .

XII.

Zaprawdę, wy za cały lud staniecie,
Z wami już mądrość wynurzę na świecie,
Ale w rozumach ludzkich mały przedział,
I któżby tego, co i wy, nie wiedział?

7*

Urągowiskiem przyjaciół zostałem,
Ja, który z Bogiem przymierze trzymałem!
Ta jest niewinnych nagroda,
Ta nieszczęśliwych ochłoda.

Szczęśliwy, zawsze w swéj dumie,
Nieszczęście winą rozumie,
I tego, kogo Bóg dręczy,
Dodanym ciosem domęczy;
Tak jest, powtarzam! — zuchwali
Szczęście tylko otrzymali. —
Łotra jaskini nikt nie napada,
Bezpiecznie łupy posiada;
Ten ma pokój przed swym progiem,
U którego pięść jest Bogiem.

To ci ptak z góry wymieni,
To ci zwierzęta powiedzą,
I krzewy ziemskiéj przestrzeni,
I ryby, co w morzu siedzą.

I ktoż tego nie pojmuje,
Że to jest Boga zrządzenie,
Który w swych dłoniach piastuje
Życie istot — ludów tchnienie.

Starzy, mówią, rozum mieli,
Starzy mądrze powiedzieli:
On, mówili, wszystkiem włada,
U niego mądrość i rada.

Co on raz zburzy, nikt już nie postawi,
Kogo on spęta, tego nikt nie zbawi,
On wodę zamknie i wszystko omdleje,
Wody rozpuści i wszystko zaleje.
On jest kierownik, on cel naznaczony,
Za nim iść musi zwodzca i zwiedziony,

Z mieczów rozbroi rycerze,
Ślachetnych ze czci obierze;
Często z rozumu on obierze możnych,
Każe im błądzić po stepach bezdrożnych,
Że jak w nocy, ociemnieją,
I jak pijani się chwieją:
On, co ukryte, na światło wyjawi
I w miejscu światła, ciemności postawi,
Wzniesie narody i znowu je zrzuci,
Inne umorzy i znowu ocuci, —
Z pasu obierze przemożne książęta,
Postronkiem lędzwie ich spęta,
Usta zarazi starych uczcicieli,
Że zmilkną, jakby mówić nie umieli;
Czci pozbawione więzi kapłany,
Ze szczytu obala pany.

XIII.

To ja widziałem na świecie.
To moje ucho słyszało,
Wiem to wszystko, co wy wiecie,
Z wami się spierać nie zdało.

Z samym Wszechmocnym chciałbym się rozprawić,
Z nim tylko na sąd się stawić.

Chcecież wy Boga przez wybiegi bronić,
Chcecież go kłamstwem zasłonić,
Jednéjże stronie mają służyć sędzie,
Czyż Bóg w nich tylko obrońców mieć będzie?...
A gdy on kiedyś na sąd was powoła,
Gdy rzecze: czyż Panu nieba
Jak ziemskim pochlebstwa trzeba?
Czyż stronność wasza obronić was zdoła?...
— Poznacie wtedy gniew Boga,

Struchlałych, przejmie was trwoga,
A mądre wasze zdania w proch zwiane zostaną,
Bo te twierdzenia wasze, są twierdzą glinianą.

I na cóż mi się przydało,
Jak zwierze w zębach unosić me ciało,
I w ręku życie, jako skarb ukrywać,
Czegoż ja mam się spodziewać?
Czy dłużéj, czy krócéj żyję,
Wszak wiem, że on mnie zabije.

Jabym chciał tylko powiedzieć mu w oczy,
Że mnie niewinnie tak tłoczy,
Już i to za mną, bo kto przewinił,
Gdzieżby tak śmiało z nim czynił?

A więc niech każdy z was słucha,
Śmiało niech mi staną sędzie,
Co powiem, przyjmie do ucha,
Wiem, że prawo za mną będzie;
Miech więc wystąpi, kto wie na mnie winę,
Gdy mu zamilknę, niech zginę.

Dwie tylko Boże mam do Ciebie prośby:
Zdejm ze mnie rękę i usuń twe groźby;
Wtenczas odpowiem: ty badaj,
Lub mnie daj pytać, a ty odpowiadaj.

Jakiż występek mnie maże,
Niech moje zbrodnie okaże.

XIV.*

O! jakże smutne życie śmiertelnika!
Skąpa dni liczba w goryczy mu płynie,

* W noworoczniku *Jutrzenka* toż samo, ale z wielkiemi odmianami, które jako bardzo nauczające, dla porównania dajemy w całości:

Jako kwiat zejdzie i minie,
Jako cień leci i znika.

I mnież ty sięgasz twojemi oczyma,
I chcesz do sądu z sobą mię wodzić?
Mógłżem się czysty z nieczystych urodzić,
Któż się przed Tobą utrzyma?

Tyś człowiekowi dni jego odliczył,
Ty ich liczbę masz na oku,
Tyś mu zakres ograniczył,
Za który nie ruszy kroku.

Odwróć więc oczy, aby w cień pośpieszył,
By jak wyrobnik swym dniem się ucieszył.

O jakże smutne życie człowieka!
Skąpe dni gronko w goryczy mu płynie,
Jako kwiat zejdzie i ginie,
Jako cień leci i znika!

I mnież ty ścigasz śledczemi oczyma?
I mnie chcesz z sobą na sądy wywodzić?
Mógłżem się czysty z nieczystych urodzić?
Nigdzie przed tobą niewinnego niema.

Tyś człowiekowi dni jego odliczył,
Ty ich miarę masz na oku;
Tyś mu zakres ograniczył,
Za który nie stąpi kroku. —

Drzewo ziemi, chocia ścięte,
Jeszcze się cieszy nadzieją;
Że z pnia jego rozwinięte,
Liściem się prątki odzieją.
Ale gdy ziemia zawrze człowieka,
Któż się domodli aż wstanie?
Oto już morskie stęchły otchłanie.
Z spiekłych łożysk uszła rzeka,
On leży, grobu nie rzuci
Chmury zjedzone deszczu już nie leją;
Już się i nieba starzeją.
A jego nikt nie ocuci. —

Drzewo gdy zostanie ścięte,
Jeszcze mieć może nadzieje,
Że w gałązkach rozwinięte,
Na nowo zazielenieje; —
Jeśli korzenie w ziemi wysuszone,
Jeśli pień jego na proch się roztoczy,
Wnet gdy je wonny deszcz zmoczy,
W nowych gałązkach zakwitną zielone.

Lecz gdy śmierć złoży człowieka,
Cóż mu zapewni byt przyszły?...

Gdybyś ty kiedyś w téj śmierci krainie,
Ukrywał nędznych aż gniew twój przeminie,
Wtedybyś może i mnie wspomniał sobie,
Możebyś dla mnie inny cel naznaczył,
Czekałbym, czekał, w mym grobie,
Aż byś, co przeszło, zobaczył.

Może się stęsknisz za dziełem rąk twoich,
Ty mnie zawołasz, ja wstanę;
Będę stróżem kroków moich,
Już winy moje nie będą pisane;
Com zgrzeszył, będzie zwinięte
Pod mą pieczęcią zamknięte.

Lecz ach! jak góra z czasem się pogrąży,
Jako opoki się skruszą,
Jak woda kamień wydrąży,
I wiatry morza wysuszą;
Tak dach twój z czasem rozwieje,
Choćby najtrwalsze nadzieje.

Ty wpadniesz na człowieka, powalisz o ziemię,
Oszpeconego, rzucisz w dół głęboki,
On, jeniec wiecznéj pomroki,
Nie wie, co nad nim cierpi jego plemię;
I póki żyje, boleje,
I sam nad sobą łzy leje.

K. z. Kr.

Oto z morza wody wyszły,
W śpiekłych polach wyschła rzeka;
On leży, grobu nie rzuci, —
Już chmury deszczu nie leją,
Już się i Nieba starzeją,
A jego nikt nie ocuci.

Obyś mię ukrył gdzie w cieniów krainie,
Obyś mię ukrył aż gniew twój przeminie,
Wtenczas o mnie wspomnij sobie,
Wtenczas mi, wtenczas wytknij zawód nowy.
Ale ach! złożony w grobie
Nikt już nie podniesie głowy.

Więc chcę jeszcze żyć w nadziei,
Boleści zbywać milczeniem,
Może się stęsknisz za twojém stworzeniem
I mnie zawołasz z kolei;
Nie będziesz potem liczył mych bezdroży,
I mimo puścisz, jeżeli przewinię,
Twa ręka dawne me grzechy zawinie
I pieczęć na nich położy.

Lecz ach! jak góra z czasem się pogrąża!
Jak skała z miejsca odwiecznego ruszy,
Jak woda kamień wydrąża
I tamy na proch rozkruszy;
Tak téż twój oddech rozwieje,
Choćby najdłuższe nadzieje.

Ty nań nacierasz, rzucisz go o ziemię,
Twarz mu oszpecisz, wyślesz w kraj daleki,
A czyli szczęsne rośnie jego plemie,
On o tém nie wie na wieki;
Czy wzgardę cierpią Jego synowie,
On się już wiecznie nie dowie,

Jednak na ciele cierpi każdą dobą
Dusza w nim płacze sama nad sobą.

XV.

Po cóż próżnemi słowy się szerzysz,
Daremna, daremna praca,
W niedościgniony cel mierzysz,
I wiatr ci pociski wraca.

Tłumisz w ludziach Boską trwogę,
Bezbożnym wskazujesz drogę,
Przewrotne wszystkie twe słowa,
Nie ja, lecz własna potępia cię mowa,
Czyś ty syn pierworodzony,
Wprzód, niźli góry, stworzony?
Czyliś się Boskim przysłuchał obradom
I wszelkiéj mądrości świadom?
Któż ci uchylił zasłonę
Tego, co nam zatajone?
I nam wiek świadczy, siwy włos na głowie,
Znamy już starszych, niż twoi ojcowie,
A ciebie drażnią ich słowa cieszące,
I rzucasz oczy iskrzące;
Czy wiesz ty, że twa mowa zuchwała,
Na Boga prosto powstała?
Cóż to jest człowiek, by był niezmazany,
Z niewiasty na świat wydany?
Przed nim świętéj wiary niema,
Niebo nieczyste przed jego oczyma,
Dopieroż człowiek, który w złém żyje,
Który jak wodę, nieprawość pije!
Słuchaj mię teraz, albowiem
To, com ja widział opowiem: —
Jam to od dawnych słyszał uczycieli,
Oni to jeszcze od ojców powzięli,

Co jeszcze sami dzierżyli te ziemie
I obce na niéj nie postało plemie:
— Nędznaż duma zuchwalca, przędłszy on swe życie
Nie wie, która z chwil jego ugodzi go skrycie,
Przestrach brzmi w uszach jego, a w chwili pokoju,
On wałem otoczony, wciąż gotów do boju —
Pośród nocy zbłąkany, podejrzliwie krąży,
Drżąc czy po zawieszony miecz zemsty nie zdąży.
Gdy dzień przyjdzie żądany, niepewność go nęka,
Czy posiłek, czyli śmierć, do ust niesie ręka,
Coraz ciaśniejszym wałem okrąża go trwoga,
Coraz na bój śmiertelny mocniejszy głos wroga,
Bo króla królów wzywał. — Ten pomimo tarczy
Pomimo twardéj zbroi, z góry go obarczy.

— Chociaż w miasta zwaliskach sadowić się będzie,
W domach wyrzniętych ludzi, jak w grobach osiędzie;
Nie podniesie państw nowych na skrwawionéj ziemi,
Ni trwale lud osadzi, ni zboże rozplemi,
Jego zły duch omroczy, zbiory ogień spłonie,
I Bóg kwitnące rózgi zarazą ozionie;
Na nic dumnie nie buduj, jak próżna potęga,
Tak i zawsze znikome owoce osięga,
Próżne, ale dalekie, zawsze nie w czas skona,
Ani latorośl jego zakwitnie zielona.
Z winnic jego otrącą owoc niedojrzały
I oliwki kwiat młody będą otrząsały;
Niepłodne bowiem będą obłudników rady,
Ogniem spłoną namioty przekupstwa i zdrady:
Nieszczęściami brzemienni, z własną zgubą chodzą,
I boleściami parci, fałszywy płód zrodzą.

XVI.

Już takie słowa słyszałem od wielu;
Lecz ty nędzny cieszycielu,

Co ciebie mówić niewoli,
Abyś urągał méj doli? —
Walczcie jak ja z boleściami,
Ja wtedy stanę nad wami,
I rozpuszczę się z wymową,
I będę potrząsał głową,
I dla tego, który łaknie,
Przemądrych słów mi nie zbraknie.

Ja chociaż mówię, boleść się nie zmniejszy,
Jeśli zamilknę, jestżem spokojniejszy?
O Boże, Boże! na moje cierpienie,
I sędziów usta przejmuje milczenie.
Bo w pętach przed nich wlecze mię twe ramię,
Kłamca za świadka przeciw mnie staje,
Sromotnie w oczy mi kłamie,
A on mi rany zadaje,
On zgrzyta zębem, połyska oczyma,
I znękanego mię przed niemi trzyma.
To widząc wszyscy powstali,
Zgodnie mnie winnym uznali,
Miotając na mnie potwarze,
Każdy mię, jak sądzi, karze;
A przecież Bóg mię z rąk złych nie wybawił,
I przed niesłusznym sądem mię stawił. —
Mnie przed tych sędziów wiedzie zelżywie,
Znaki ohydne wyrył na méj twarzy,
On się natrząsa i świadczy fałszywie,
Z ust zapienionych nié szczędzi potwarzy.

Szczęsny ja byłem, ale on mię zoczył
I schorzałego do ziemi przytłoczył,
Za cel na swoje wystawił mię groty,
Ostąpiły mię jego strzelców roty,
Ranę zalegała rana,
Ziemia moją żółcią zlana.

Wtedy się ukazałem w żałobnéj zasłonie,
I popiołem na popiół sypałem na skronie,
I czerwoność od płaczu twarz moję osiadła,
I pomroka na oczy wypłakane padła,
I częste modlitwy święcę;
A przecież łupu, moje nie dotknęły ręce.

Nie zmyj krwi mojéj, ciebie ziemio! proszę,
Nie utłum głosu, który teraz wznoszę,
Jest jeszcze świadek ku mojéj obronie,
Tam mię zna sędzia na niebieskim tronie.

Do niego dusza moja się ucieka,
On nie tak sądzi, jak człowiek człowieka;
Krótkie już, krótkie dni moje przesmucę,
Bo pójdę ścieszką, którą już nie wrócę.

XVII.

Słaby mój oddech, dni moich już mało,
Wnet ziemi oddam unękane ciało.

Oby przynajmniéj umilkli szyderce,
Ażeby wolniéj dobiło to serce,
Obyś Ty Boże! przy sobie mię stawił,
Tybyś mię jeden od siebie wybawił.

Tych bowiem czarną okryłeś zasłoną,
Nie chcesz, by tacy Twą byli obroną,
Za cel mnieś oddał podłych złorzeczeniom,
Smutne me oko, ciało równe cieniom.

Na to co cierpię, zadrżą ludzie prości:
Sama niewinność nawet pozazdrości,
A przecież prawy z swéj drogi nie zboczy,
Silną dłoń będzie, co się krwią nie broczy;

Wy tylko jedni, chętni rozprawiacze,
Pomiędzy wami mądrego nie baczę,
Im się noc łatwo w dzień zamienić zdaje,
I światło widzą, gdy już noc nastaje, —
Gdy z znikłym dla mnie światem nic nie dzielę,
I już w ciemności łoże sobie ścielę; —
Zgnilizno, mówię, tyś jest moim światem,
Robactwo matką i siostrą i bratem!
I po cóż jeszcze mam żywić nadzieje,
I kto mi powie, gdzie ona dośpieje,
Tam do ciemnego pójdzie za mną lochu,
Tam z nią pospołu odpoczniemy w prochu.

XVIII.

Patrzcie, jak zapamiętały
W swojéj wściekłości się pieni,
Czyż się dla ciebie ziemia odmieni,
I z swych posad ruszą skały?

Blask bezbożników nie długo świeci
I zapał jego płomień roznieci,
Dla niego gwiazda nieba nie jest jasną,
A światła własne w przybytku nie gasną;
Ścieśnion w postępkach, sam w sidła swe wpada,
I własna pozrze go rada,
W drodze postronek uwikła mu nogi,
Żelezcem własne zastawią mu progi;
Zewsząd przed trwogą uchodzi,
Zewsząd zniszczenie nań godzi,
Skórę jego i ramiona
Toczy śmierć pierworodzona. —
Kiedy spokojny w namiocie zasiędzie,
Przed króla trwogi wywleczony będzie,
Strach odziedziczy jego mieszkanie,
I siarki narzucą na nie;

Korzeń się jego wyruszy,
Gałązki upał pokruszy,
Pamięć jego zakazaną,
Wspominać w miastach przestaną;
Z ciemnic swojego wygnania
Nie ujrzy światła mieszkania,
Nie będzie po nim synów i rodziny,
Obcym zostawi dziedziny;
Śmierć jego z trwogą spółczesny wspomni,
Zdumieją nad nią potomni,
Te bezbożnego domowi,
Wyroki niebo stanowi.

XIX.

I pókiż czczemi wyrazy,
Chcecie doraniać to serce,
Skaleczone tysiąc razy.
O wy bezwstydni bluźnierce!
Bo wreście, jeślim pobłądził,
Jużem sam siebie osądził.
— Lecz wy nademną wielmożyć się chcecie?
A czylim winien nie wiecie?
Ale widzicie, że Boga potęga
W sieć mię złowiła i biczami sięga;
O prawo wołam, a prawo nie słucha,
Litości proszę, a litość jest głucha;
Drogę mi moję zagrodził,
Ścieszki cierniem poobwodził,
Zdjął ze mnie szaty godowe
I z wieńca obnażył głowę;
On mię zewsząd wykorzenił,
Że bez otuchy niszczeję,
Jak drzewa, które wyplenił,
Odebrał wszelką nadzieję!
Policzył mnie między wrogi,

Zbrojne na mnie wysłał siły,
Że zaległy wszystkie drogi
I mój namiot otoczyły.
Od domu mego odstraszył braci,
Chwastem do koła zarosły już ślady,
Któremi do mnie chodziły sąsiady,
A kto mię zaznał, ten pamięć dziś traci;
W domu jestem jako cudzy,
Nie znają mię moi słudzy,
Ja, com wydawał rozkazy,
Do prośb układam wyrazy;
Duch méj choroby odstraszył mi żonę,
Gdym ją nadzieją daremnie błagał,
I wychowańce moje ośmielone,
Szydziły ze mnie, gdy się jęk mój wzmagał. —
Po znikłém ciele twarda kość oblega,
I warga z zębów odkrytych się zbiega.
Wy się przynajmniéj żalcie mojéj męki,
Gdy od Pańskiéj cierpię ręki,
Wy się do Boga jeszcze przykładacie,
Pastwiąc się na waszym bracie.
— Oby te skargi zapisane były!
I w księgę sądów wciągnięte,
Bogdajby rylcem na kamieniu rznięte
Na wieczną pamięć służyły! —
Żyje mój mściciel i on mię wybawi,
On w końcu ze mną do szranek się stawi,
Niech cierpi, niechaj niszczeje to ciało,
Lecz kiedyś będzie na Boga patrzało:
W tryumfie się przypatrzę Wybawcy mojemu,
Czuję go w sercu mojém, bo tęsknię ku niemu.
Wtenczas wy sprawę moję dokładnie poznacie,
Za cośmy go dręczyli? z wstydem zapytacie?
Wtenczas błyśnie miecz zemsty, trwoga was posiędzie,
Drżyjcie na to, co mówię, albowiem sąd będzie!

. . . .

XXIV.

Czemu Bóg usuwa kary,
I źli dopełnią swéj miary.

Kamień za obce posuną granicę,
Sieroty zajmą oślicę,
Ubogich z drogi do jarzm swoich zgonią,
Jeśli się w puszczę nie schronią;
Ztąd oni w puszczach żyją wzorem dziczy,
Okrutni przez niedostatek,
Tłumnie się na nią zlecą ku zdobyczy,
I żywność niosąc dla dziatek;
W jaskiniach jako zwierzęta,
Tulą swoje niemowlęta,
A bici dżdżami jesieni,
Drżą do skały przytuleni,
Kłosy sieką bez wytchnienia,
Nago zbędą nocne wczasy,
Zimę przedrżą bez odzienia,
Ci pod ciosem zieją ducha;
Z miast zdobytych słychać jęki,
A litość w około głucha,
A mściwéj nie widać ręki.

Ztąd oni światła są wrogi,
I nie znają jego drogi.

Ledwo światło dzień urodzi,
Morderca w pole wypadnie,
I bezbronnemu zachodzi,
I w nocy jak złodziéj kradnie;
Cudzołożca, nocy cienia
Czeka do zbrodni spełnienia;
W nocy podkopują domy,
Ktore w dzień jasny naznaczą;

W nocy czynią ślub kryjomy,
I drżą, gdy światło zobaczą.

Niech taki miotany będzie
Po wałach morza burzliwych,
Niech nigdy dóbr nie posiędzie,
Przeznaczonych dla cnotliwych.
Jak przed słońcem śniegi płoną,
Tak niech go piekła pochłoną;
Niech go opuści rodzina,
A robaki z nim zostaną;
Niech nań wszystko zapomina,
Jako na laskę złamaną; —
Niechaj z niepłodną śpi żoną,
Wdową od męża wzgardzoną.

Ale on chociaż zwątniały,
Trwa w swojéj sile i szydzi,
Zawsze spokojny i cały,
Choć Bóg jego kroki widzi;
Wysoko w górę się wzbije,
I za chwilę już nie żyje,
Za jednym ciosem upada,
Jak kłos dojrzały do żniwa.
Teraz niechaj odpowiada,
Komu ta mowa fałszywa.

XXVIII.*

Człowiek srebro dobył z lochu,
I żyły złota wytropił,
Żelazo oczyścił z prochu,
I z kamienia miedź wytopił.

* W wydaniu Wileńskiém braknie, wypisane z Noworocznika Jutrzenki.

On się w swéj matki zagrążył ciemności,
Tam jéj żyły rozpatrywa,
Kamień graniczny odsunął ciemności,
W krainie śmierci skarbce zdobywa.

Kruszcem opoki przedrąży;
Przejdzie głębie głuchych cieni,
Na samotnéj wód przestrzeni,
Po bezślednich wałach krąży.

Pod skałą która na grzbiecie chleb rodzi,
Któréj pieczary ogniem wypalone,
Człowiek, złotem opylone,
Łoże szmaragdu znachodzi.

Tam, kędy oko sępa nie dosięże,
Gdzie nie pojrzał orzeł śmiały,
Gdzie w jaskini zwierz nie lęże,
Ani kiedy lwy ryczały;

On tę przekowa przez twarde krzemienie,
Góry z korzenia wysadzi,
Z opok wypuści strumienie,
I kędy zechce prowadzi;

Wystąpić każe zdrojom z pod granitu,
Wyniesie wszystko, co ukryte nizko,
Ale gdzie szukać mądrości pobytu,
Gdzie jest rozumu siedlisko?

Próżno człowiek o nią bada,
Nie u ludzi jéj mieszkanie,
Nie masz jéj we mnie! morze odpowiada;
Nie masz jéj u nas wołają otchłanie.

Próżne za nią ludzkie żądze,
Nie kupić jéj za pieniądze.

My jéj tu w sobie nie mamy!
Wołają góry i jamy.

Pytać się o nią u Pana,
Bo jemu droga jéj znana;
Bo on na wskroś przejdzie słońce,
On okrąży świata końce.

On kiedy wiatrom wydzielał wagi,
Gdy morze brzegiem osaczał,
Kiedy deszczowe rozwieszał flagi,
Piorunom drogi oznaczał;
Wtedy ją widział, wybadał,
Rozpoznał i imię nadał;
Wtedy rzekł: „Bojaźń Boga, mądrość śmiertelnego;
A rozum: „chronić się złego.“ —

XXXVIII.

Któż jest, który bezrozumnie
Śmie wikłać moje układy,
Opasz twe biodra, jak mąż zbliż się ku mnie,
I pytać będę, ty wskaż twoje rady.

Gdzie byłeś wtedy, gdym ziemię zakładał;
Powiadaj, kogom się radził;
Powiedz, kto jéj długość nadał
I kto po niéj wszérz prowadził?

Na czém oparł jéj posady,
Kto jéj założył kamień węgielny,
Gdy mu Aniołów poczet nieśmiertelny,
Gdy mu gwiazd samych śpiewały gromady.

Kto zawarł morze w warownem korycie?
Kiedy się z matki łoża wyrywało,

Kiedy chmurę za powicie,
A mgłę za odzienie miało.

Kto skalnym kozom skreślał czas do płodu?
Kto krzepi łanie rodzące,
Naznaczył ilość porodu,
Zliczył ich ciąży miesiące?
Kto łosia puścił pomiędzy lasy
I odjął pęta zbiegowi,
Że w pustyniach jego wczasy
W skałach mieszkanie stanowi.
Tam on szydzi z miejskiéj wrzawy,
Nie zna głosu poganiaczy,
Lasem, górą, ślady znaczy,
Uroszone wietrząc trawy.
— Czy zmusisz Zebra do twojéj posługi,
By nocą stał ci przy żłobie,
By na roli służył tobie
I w jarzmie ciągnął ci pługi?
Czyli przez ciebie koń życiem natchniony,
Kark jego w piękny włos otoczon grzywy,
Jako szarańcza przesadza zagony
I nozdrzem parska dla wrogów straszliwy,
Rwie grunt kopytem siłą wesoły,
Tętniąc rzuca się na wrogi,
Rżeniem natrząsa się z trwogi,
Nie drży gdy błyśnie miecz goły;
Nad nim poświst strzał szeleszczy,
Szabla błyska, tarcza chrzęszczy,
Piaski wyrywa, strzyże uszyma,
Trąbę posłyszał, już miejsca nie trzyma;
Trąba głośniejszy znak dała,
Już się puścił jako strzała,
Wietrzy zdala boju szyki,
Głosy wodzów, wojsk okrzyki.

Alboś ty wiedział śniegowe zapasy,
Czyliś poznał skarbiec gradów,

Który na ciężkie zachowuje czasy,
Na czasy zbrojnych napadów;
Kto bywa ojcem powodzi,
Kto wydaje krople rosy,
Czyje łono lód urodzi?
Kto mrozem iskrzy niebiosy,
Kiedy pod lodem ukryją się morza,
Jak kamień morskie stwardnieją przestworza

Czy ty ułowisz lwicę ze zdobyczą,
Albo nakarmisz lwięta, kiedy ryczą,
Albo leżąc przed jaskinią,
Na zwierza zasadzki czynią?.

Czyliś ty drogi naznaczył sokoła,
Że on na południe leci,
Czy twój głos orła ku obłokom zwoła,
Aby na skałach słał gniazdo dla dzieci?
Na skałach mieszka wysoko,
Tam twierdzę swoję zakłada,
Zdala mierzy jego oko,
Jako strzała na łup spada,
Krwią napawa swoje dzieci,
Gdzie trup leży, tam przyleci.

XL.

Bechemet z tobą stworzony pospołu,
Trawą żyje równy wołu,
Patrz jak mocne jego żyły,
Jakie w biodrach jego siły.
W koło strumienia wabi go pasza,
Cień mu dają Lotu drzewa,
Nagłe wezbranie wód go nie ustrasza,
Stoi, choć Jordan paszcze wyziewa,
I widząc da się ułowić w niewolą,
I nos mu sznurem przekolą.

Lub czyli wędą Lewjatana zdradzą,
I ozor ścisną mu liną,
I nozdrze przekolą trzciną,
I za żelazną obręcz poprowadzą.
Lub czyli płacząc będzie płakał szczerze,
I skomleć, jakby zawinił,
Czy z tobą wejdzie w przymierze,
Byś go twym sługą uczynił?
Czyż go dłoń twoja, jak ptaszka uchwyci
Dziewicom k'woli uwiąże na nici,
Czy go czarami przywabisz do dołu,
Gości nim twoich uraczysz u stołu.
Czyli go przeszyjesz grotem,
Niewód na głowę zarzucisz,
Ściągnij nań rękę, już potém
Do walki z nim nie powrócisz,
Patrz na jego uzbrojenie,
Kto zwlecze z niego odzienie,
I kto śmiały ściągnie ręce
Ku jego dwojnéj paszczęce?
Kto jego gardło rozczepi,
Gdy straszne zęby najeży,
Grzbiet jego jak dach puklerzy,
I łuska z łuską się lepi.
Ogień bucha z jego pary,
Oko jako ogień błyska,
Z paszczy kłębem miota żary,
Gdy parska, iskrami pryska,
Jak z naczynia wary wrzące,
Z nozdrzy jego dym się wali,
Duch jego węgle rozpali.
W karku jego siła siedzi,
Przed nim strach zatacza koła,
Ciało ulane jak z miedzi,
Piorun go wstrząsnąć nie zdoła,
Gdy się dźwignie, drżą mężowie,
Pierzchną, gdy na brzegu lęże,

Miecz nie utkwi w jego głowie,
Grot ni oszczep nie dosięże,
Stal się na nim jak źdźbło kruszy,
Żelazo jak próchno drzewa,
Pocisk procy jako plewa,
Sto żagli z miejsca nie ruszy,
Źdźblem zowie dzidę morderczą,
Natrząsa się twojéj sile,
Pod spodem kolce mu sterczą
I bruzdy orze po ile.

. . . .

Czyjeż to oczy obłoki zliczyły.
Kto z chmur żywota deszcz sączy,
Że z bryłą, spłyną się bryły,
A proch jak kruszec się łączy,

Kto morze opasał wałem,
Kiedy gwałtownie się parło,
I z łona matki wydarło,
Gdy je jak dziecię odziałem,
Mgły mu dając za powicie
Nocne mroki za okrycie,
Gdy mu rozmierzyłem tamy,
Warownem naznaczył bramy,
Rzekłem: tu kres twéj drogi,
Nie postąpisz za te progi!

Czyś doszedł skał w Oceanie,
Śledził dno jego głęboko,
Czyś otwarł śmierci otchłanie,
Czy twoje oko świadome
Zmierzyło szerokość ziemi?
Powiedz, gdzie do światła ścieszka,
Powiedz, kędy ciemność mieszka?

XLI.

Chceszże jeszcze prawom przeczyć
I dziełom moim złorzeczyć? —
Jeśli mnie równym się szczycisz,
Czemuż piorunów nie chwycisz,
Przyodziej się majestatem;
Nad zlęknionym wznieś się światem,
I zatop w gniewie powodzi
Wszystko, co z granic wychodzi,
Spraw, niech się dumny zapadnie,
Wiecznie przykowaj go na dnie,
Wtenczas ja cię będę sławił,
Żeś dzieła przeważne sprawił.

XLII.

To wszystko do Hioba gdy skończył Jehowa,
Potém do Thenamity te przemówił słowa:
— Na gniew mój zasłużyłeś i ty i ci oba,
Nie widzę w was szczerości mojego Hioba,
Tak siedem dano jagniąt — siedem wołów sfornie,
A gdy ogień ofiarny złożycie pokornie;
Niech za was Hiob błaga, a może ofiary
Przyjmę wasze dla niego i przebaczę kary,
Bo nierozumem gniew mój ściągnęliście sobie,
W was niema téj szczerości, co w moim Hiobie! —

Wszyscy trzej uczynili wedle woli Pana,
A tak prośba Hioba była wysłuchana,
Że Hiob za przyjaciół swoich się ukorzył,
Wrócił mu Pan dostatki i nowych przysporzył,
Nawiedzali go znowu krewni, przyjaciele,
Jedli z nim w jego domu, dziwili się wiele,
A litość wyrażając, potrząsali głowy,

Na wszystko, co ucierpiał z zesłania Jehowy;
Każdy mu jednę owcę i pierścień zostawił,
Bóg starości Hioba więcéj błogosławił,
Czternaścieset miał owiec za poślednich rządów,
Tysiąc oślic, dwa wołów, a sześćkroć wielbłądów
Miał siedm synów, trzy córki, nazwane Jenima,
Kiesja i Kerenhapach z czarnemi oczyma,
W całym Maju piękniejszych dziewic nie obaczył,
Im Hiob wraz z synami dziedzictwo naznaczył,
A jeszcze w sto czterdzieści lat swe życie złożył,
Gdy syt świata, czwartego pokolenia dożył.

SULAMITKA.

I.

Niech on mię całuje całunkiem ust swoich,
Bo jego kochanie jest słodsze od wina,
Olejem rozlanym jest imię twoje,
Ztąd ciebie kochają dziewice wszystkie.

Pociągnij nas z sobą, pobieżym do ciebie;
I mnie król wprowadził do swoich podwoi,
My w tobie się cieszym, twéj pełni miłości,
Nad wino pierś twoja, od serca kochany.

II.

Czarnać ja jestem, lecz miła,
O córki Jerozolimskie!
Jako Kedaru namioty,
Jak Salomona kobierce.

O! nie patrz na mnie żem czarna;
To słońce mię opaliło.
Źli mojéj matki synowie,

Winnicy strzedz mi kazali;
Ja za to w mojéj winnicy
Nie byłam pilną.

O! powiedz duszy kochanku!
Gdzie pasiesz, gdzie śpisz w południe?
Bym nie błąkała się sama
Za trzodą twych rowienników.

Czy nie wiesz ty tego,
O! z dziewic najmilsza?
Idź tylko w ślad trzody,
I twoje paś kozy
Przy budkach pasterzów.

III.

Zaprzęgom moim w wozie Faraona
Równałem ciebie, o miła!
Miłe twe lica przy tych zausznicach
I szyja przy tym łańcuchu.
Łańcuszek złoty zrobić ci każę,
Srebrnemi ćwieczki skrapiany.

Gdzie król mój lica odwrócił,
Tam kwiat mój wonie roztoczył;
Mój miły wiązką jest mirrhy,
Na mojéj piersi zatknioną;
Mój miły pączkiem palmowym,
Z Engeddi wonnych ogrodów.

IV.

„Jak piękną jesteś kochanko!
Jak piękną!
Twe oko okiem gołąbki.“

„Jak piękny jesteś kochanku!
Jak hoży!
Nasze się łoże zieleni.

Z cedru belki naszych domów
A ściany z cyprysu,
A ja jestem różą polną,
Liliją doliny.“

„Jako lilija między cierniami,
Tak miła moja, między córkami.“

„Jak jabłoń między drzewami w lesie,
Tak jest mój miły między synami.
Pod cieniem jego wypocznę sobie,
I owoc jego słodki mym ustom.

On mię wprowadził do domu wina,
A sztandar jego nade mną,
Jest miłość...

Wzmocnijcie mię winem,
Posilcie jabłkami,
Bom chora z miłości.

Lewica jego pod moją głową,
Prawica jego mię obramiła.

Błagam was córki Jerozolimy,
Błagam na sarny, polne jelonki,
Ani jéj budźcie, ani jéj ruszcie
Aże się sama obudzi.

V.

To głos mojego kochanka, —
Widzicie! oto przychodzi.

Wzgórki przeleciał,
Doły przeskoczył;
Chybki jak sarna, mój miły,
Jako jelonek pędliwy.

Patrzcie! już zdążył,
Stoi za węgłem;
W okno zagląda,
Sięga za kratę,
Mój miły mówi,
Do mnie to mówi:
Wstań o kochanko,
Wstań miła moja,
I pójdź...

Bo oto już zima minęła,
Bo oto już deszcze zszumiały,
Na polach się kwiaty rumienią,
Do pieśni, do pieśni czas nastał
Czas wino obcinać w ogrodzie,
Turkawka już grucha na łące,
Już figa swój owoc zmiodziła,
W winnicy już grona wonnieją,
Wstań o kochanko!
Wstań miła moja,
I pójdź...

O! wyleć ze skalnych rozpadlin,
O! wyleć gołąbko ty moja!
Niechaj zobaczę,
Niechaj usłyszę,
Miłe twe lica
I głos.

VI.

Moim jest miły
A ja miłego;

On w kwiatach pasie,
Aż dzień ochłodnie,
I cień zaleci.
O! powróć miły,
Bądź mi jak sarna,
Jak jeleń żywy
Pośpiesz przez góry,
Które nas dzielą.

VII.

Przez całą noc go szukałam,
Kochanka mego:
Na mojém łóżku szukałam,
Lecz jego nie ma!

Ach! wstanę, miasto obiegnę,
Ulice wszystkie,
I rynki miasta;
Szukałam wszędzie,
Kochanka mego,
Szukałam, lecz nie znalazłam,

I miejskich stróżów spotkałam,
Strzegących miasta:
Widzieliżeście
Mego kochanka? —
Zaledwo prześli,
Spotkałam mego kochanka.

Już trzymam, już go nie puszczę,
Aż wejdzie ze mną
Do matki domu,
Do matki méj komory.

Błagam was córki Jerozolimy!
Błagam na sarny, polne jelenie,

Ani jéj ruszcie, ani jéj budźcie,
Aże się sama obudzi.

Ktoż to jest ona,
Co z puszczy wychodzi,
Jako słup dymu,
Jak wonia kadzidła?

VIII.

Oto łoże Salomona,
Sześćdziesiąt mężnych w około,
Mężnych, szczepu Izraela,
U wszystkich dłoń na orężu,
Wszyscy w boju wyćwiczeni,
U wszystkich oręż przy boku,
Oręż gwoli nocnéj trwogi.

Wspaniałe łoże Salomon
Z libańskich cedrów wystawił;
Filary ze srebra,
Ze złota sklepienie,
Z szkarłatu pokrycie;
A środek nasłał miłością,
Dla córek Jerozolimy.

O wyjdźcie córki syońskie
Widzieć króla Salomona,
W koronie, którą w dzień ślubu
Matka jego mu włożyła;
W dzień wesela jego serca.

IX.

SALOMON.

O! jakoś ty piękna, o miła!
O jakoś piękna!

Twe oczy pomiędzy splotami,
Oczami gołąbki;
Twe włosy są trzodą kóz dzikich,
Pasionych w Gilead.

Twe ząbki są trzodą owieczek,
Po strzyży z kąpieli,
Z nich każda prowadzi bliźnięta,
Żadnego nie zbywa.

Szkarłatu tkaniną twe usta
I głos twój miodowy,
Twe lica jak jabłko czerwone,
Pomiędzy włosami.

Twa szyja jak wieża Dawida,
K' obronie stawiona,
Tysiącem puklerzów obwisła,
Puklerzów rycerskich.
Twe piersi jak sarnie bliźnięta
Śród lilii pasione.

SULAMITKA.

Póki nie minie dzień,
Póki nie zbiegnie cień,
Pójdę do mirrhy gór,
Pójdę na wzgórki ziół.

SALOMON.

Nadobną mi jesteś kochanko!
Nadobną bez zmazy;
Ty ze mną się spuścisz z Libanu,
Od góry Amana,
Z wierzchołka Seniru, Hermona,
Będziemy patrzali:

Od lwicy legowisk i rysiów,
Będziémy patrzali.

O! siostro i moja kochanko,
Zraniłaś mi serce!
Podbiłaś mię sobie spojrzeniem,
I splotem twych włosów.

Twe usta, o! siostro kochanko!
Są słodsze od wina:
I wonność co z ciebie wydycha,
Nad wonie wszelakie.

Tyś ogród, zamkniony zdrój święty
I studnia warowna,
Tyś jabłoń jest rajska nietknięta.
Z kosztownym owocem.

Cynamon i krokosz i mirrha
I wonie rozliczne,
I zdroje wód żywych Libanu
I studnie ogrodu.

Héj! wiatry z północy powstańcie,
Z południa się zbierzcie,
Przewiejcie mój ogród dokoła,
Niech płynie woń jego.

SULAMITKA.

Pójdź więc kochanku mój,
Ogród odemknij twój:
Pożyj owoców twych.

SALOMON.

Wszedłem do mego ogrodu,
O siostro! oblubienico.

Mirrhy wonności zbierałem,
Zbierałem miody najsłodsze,
Piłem i mleko i wino;
A teraz, wy przyjaciele,
Jedźcie i pijcie z ogroda,
Wy się upójcie kochani.

X.

Śpię ja, ale serce czuwa,
Słyszę głos kochanka mego,
On puka:
Otwórz siostro, przyjaciółko!
Mój gołąbku, moja miła,
Ach! otwórz!

Szata moja zewleczona,
Jakże ja wstanę?
Nogi moje są umyte?
Jakże ja pójdę?

On ściągnął rękę za kratę,
Aż serce we mnie zadrżało.
Pośpiesznie wstałam, miłemu,
Miłemu memu otworzyć.

Pełne woni palce moje,
Z ręku mirrha mi kapała.
Przewonna.
Otworzyłam drzwi miłemu,
Ale miły, nie widziany,
Już zniknął.

Gdzieś mi dusza odleciała
Znikła jakoś baczność moja,
Gdy prosił.

Biegłam za nim, nie znalazłam,
Obwołałam: on się nigdzie
Nie ozwał.

Mnie stróże znaleźli
Co miasto obchodzą,
Oni mię zbili,
Oni zranili.
Z głowy mi wzięli zasłonę;
Murów stróżowie.

Ja was zaklinam, córki syońskie,
Jeśli znajdziecie mego kochanka,
Powiedzcie odemnie,
Żem chora z miłości.

I któż jest twój miły nad miłych,
O najmilsza z dziewic?
I któż jest twój miły nad miłych,
Że nas tak zaklinasz?

Mój miły jest biały, rumiany,
Naczelnik tysiąców,
Jak złoto najszczersze ma głowę,
Włos jego czarniejszy od kruka,
Wzrok jego jak oczy gołębi
Co w mleku kąpane pływają,
A lica jak grzędy
Woniami osute,
A usta jak róże
Myrrhami woniące,
A ręce jak złoto
Turkusem osute;
Jak słupy z marmuru
Na złotéj podstawie,
Są nogi jego.
Postawa, jak góra Libanu;

Wyniosły, jak drzewo cedrowe.
Słodycze ma w uściech,
I cały jest słodki.
Ach! ten jest mój miły,
Wy córki Syońskie!

„I gdzież poszedł twój kochanek,
O najmilsza z dziewic!
I gdzież poszedł twój kochanek,
Wnet go szukać będziem."

Mój miły szedł do ogrodu,
Pomiędzy grzędy kwiatów;
Tam będzie paść jagnięta
I wonne róże zbierać.
Ja jestem miłego,
Mój miły jest moim,
Co w różach pasa.

XI.

Piękną ty jesteś o miła moja!
Piękną jak Thyrsa jak Jeruzalem;
Straszna jak wojsko stojące w szyku.
Odwróć ode mnie, ach! odwróć oczy..
One mocniejsze ode mnie.

Twe włosy są trzodą kóz dzikich,
Pasionych w Gilead;
Twe zęby są trzodą owieczek,
Po strzyży z kąpieli;
Z nich każda prowadzi bliźnięta,
Żadnego nie zbywa;
Twe lica, jak jabłko czerwone
Pomiędzy włosami.

Sześćdziesiąt żon królewskich,
Ośmdziesiąt jest nałożnic,
A dziewic liczby nie ma.

Jedna dla mnie jest gołąbką,
Jedynaczka swojéj matki,
Matki swojéj najkochańsza!

Widziały ją córki,
Szczęśliwą sławiły,
Wszystkie królowe
I nałożnice
Jéj wdzięki wielbiły.

XII.

Ktoż jest? co błyszczy jak zorza,
Miły jak księżyc
Czysty jak słońce
Straszny, jak wojsko śród boju?

Ongi szłam ja ku leszczynie
Widzieć owoc na dolinie,
Czy jabłka kwitną?

Nie wiedziałam ja na tedy,
Że mię kiedyś dusza moja
Wojowniczym wozem stawi,
Mojego ludu.

Odwróć się, odwróć o Sulamitko!
Odwróć się do nas, niech cię widzimy.

SULAMITKA.

Co widzieć chcecie na Sulamitce?

Taniec wojsk boskich widzieć pragniemy.

Jak piękne twe stopy w obuwiu,
Jak piękne o córko szlachetna!

Zagięcia twych bioder, jako łańcuch
Ukuty ręką misterną.

Twój pępek, jak puhar okrągły,
Co zawsze swą pełność dotrzyma:
Twe łono, jak wzgórek pszenicy
Różami wkoło obrzucon.

Twe piersi, jak sarny bliźnięta,
Za jednym porodem wydane;
Twa szyja jest wieżą słoniową,
A oczy stawem Hesbonu.

A nos twój, jak zamek Libanu,
Ku stronie Damaszku patrzący;
Twa głowa, jak Karmel nad tobą;
A splot twych włosów, jak szkarłat
Fałdzistéj szaty królewskiéj.

O jakżeś piękna,
O jakżeś wabna!
Twa kibić sarnie podobna,
Twe piersi gronu winnemu.

Ja rzekłem: wejdę na palmę
Za jéj gałązki pochwycę;
Twe piersi będą gronami,
A woń twego oddechu
Wonnością będzie jabłoni;
Z ust twoich słodycz pić będę
Jak wino.

Ach! słodkie wino! kochanka mego
Zwolna zmogło,
Słodyczy pełne usta jego
Marzą we śnie.

Jam jest miłego,
Jam jego rozkosz,
O! pójdź kochanku
Ze mną na polach,
Na wsi zamieszkać:
Rano wstaniemy
Pójść do piwnicy,
Czy wino kwitnie,
Grona dojrzeją,
Tam ci o luby!
Miłość poświęcę.

Kwitną już kwiaty miłości,
W około mieszkania,
Tam wszystko jest piękne
I stare i nowe;
Tobiem to wszystko chowała!

Ktoby mi ciebie dał bratem
Ach! bratem co jednéj
Pierś ze mną ssał matki.

Gdziebym cię w dworcu znalazła,
Całunek bym dała;
Od wzgardy bezpieczna,
Powiodłabym ciebie
Do matki komory.
Tybyś mię nauczał,
Jabym cię poiła
Sokami drzew moich.

Jego lewica pod moją głową,
Jego prawica by mię objęła.

Ja was zaklinam! córki syońskie,
Ani jéj ruszcie,
Ani jéj budźcie,
Aże się sama obudzi.

XIII.

Cóż to za jedna od puszczy idąca
Słodko na ręku kochanka oparta?

Tam pod jabłonią jam cię obudził,
Tam urodziła cię matka,
Tam się rodziła twa matka.

Jak pieczęć w twoje wciskam się piersi,
Jąk pieczęć w twoje ramiona,
Bo miłość jak śmierć jest silna,
Jak piekło jéj żar nie zgasa,
Jéj węgiel, węglem jarzącym,
Płomieniem Pana.

Miłości ogień nie zgasi,
Ni rzeki schłonąć jéj mogą;
Niech mąż za miłość da dobra i mienie,
Będzie i wyśmian i wzgardzon.

XIV.

Nasza siostra jeszcze mała
I w pączku jéj piersi,
Co my z siostrą uczynimy,
Gdy o nię starać się będą?

Jeśli ona murem,
Na niéj zbudujemy

Pałac srebrzysty;
Jeśli ona bramą,
Bramę obwarujem
Drzewem cedrowém.

Tak jest bracia! murem jestem
I wieżą moje są piersi;
Przeto byłam w obec niego,
Jako pokój wskazująca.

Król Salomon miał winnicę
W Baal Hamonie,
I wyznaczył do niéj stróżów,
Każdy wnieść miał za owoce
Tysiąc srebrników.

Moję winnicę przede mną,
Widzę oczyma,
Tysiąc srebrników przynieśli;
Lęcz przy stróżach Salomona
Dwieście zostało.

O ty mieszkanko ogrodu!
Twe rówiennice pragną twych pieśni,
Niech cię usłyszą.

Uciekaj mój miły jak sarna,
Uciekaj jak jeleń z gór wonnych.

ODEBRANIE MŁOTA.
(Z Eddy skandynawskiéj.)

Thor się obudził, nie znalazł młota,
Szuka daremnie, gniewny się miota,
Potrząsa brodą, dłońmi silnemi
Rzuca w około, gniewny syn ziemi.
I taką mową do Loka mówi:
— Usłysz przygodę zaszłą Thorowi!
Niebu i ziemi zbrodnia nie znana!
Oto skradziono młot Asa pana.
Poszli do Frai błyszczącéj sali,
I taką mową z nią rozmawiali:
— Obdarz mię Fryggo ptaszęcym lotem,
Bo muszę śpieszyć za Thora młotem. —

FRYGGA.

— Żądaj ode mnie srébra i złota,
Wszystko mieć będziesz, a szukaj młota —

Szybkiemi pióry, leci Lok z góry
I wnet się z granic bogów dostaje,
Między olbrzymie przybywa kraje.
Thrym, król olbrzymów siedzi na górze,
Wiąże psom swoim złote obróże.
I koniom rżącym na głuche niwy,
Czesze ogony i gładzi grzywy.

THRYM.

Coż robią duchy, co bogi w niebie,
Co w kraj olbrzymów sprowadza ciebie?

LOKE.

Duchom i bogom biada i trwoga!
Powiedz czyś młota nie widział boga!

THRYM.

Jam go zakopał dłońmi własnemi,
Leży mil osiem głęboko w ziemi,
Ale go w niebie nikt nie posiędzie,
Póki mi Fraja żoną nie będzie. —

Szybkiemi pióry, pędzi do góry,
Wnet Lok zostawia olbrzymie kraje,
I w grodzie bogów z piorunem staje;
W dworcu Thor drogę zaszedł posłowi
I taką mową do niego mówi:

— Jeśli poselstwo dobrze sprawione,
Powiedz z powietrza wieści pragnione;
Często siedzącym urywa się mowa,
Często leżących kłamliwe są słowa.

LOKE.

Nie nadaremne moje szukanie,
Thrym, król olbrzymów ma twój młot panie!
Rzekł, iż go w niebie nikt nie posiędzie,
Póki mu Fraja żoną nie będzie. —

Wnet oba poszli do Frai sali
I taką mową z nią rozmawiali:
— Frajo! wdziéj szaty weselne twoje,
Do Jethunhejmu pójdziem oboje! —

Fraja zgrzytnęła, wstrzęsła się cała
Posada bogów pod nią zadrżała:
— Jeśli co Fraję w tę podróż skłoni,
Rzekną, że ona za łożem goni. —

Wszyscy do sali przyszli bogowie
I z boginiami w długiéj rozmowie,
Myślą i radzą, godzą się, kłócą,
Jak młot Thorowi wzięty, powrócą.

Aż Hejmdall wyrzekł światłem odziany,
On znał już wszystko, jak inne Wany:
— Thor niech w niewieści strój się osłoni,
Klejnot błyszczący weźmie do dłoni.

Niech wiązka kluczów będzie mu dana,
Szata niewieścia słoni kolana,

W drogie kamienie strojny w około,
Niechaj przepaską okoli czoło. —

Kiedy tę mowę słyszą bogowie,
Thor bóg przeważny tak do nich powie:
— We wszystkich Asach szydny śmiech wzniecę,
Gdy na mnie zoczą szaty kobiece. —

Na to rzekł Loke, syn Laufejowy:
— Milcz lepiéj Thorze z takiemi słowy;
Jeśli wrócony młot ci nie będzie,
Wnet ród olbrzymów Asgard posiędzie. —

W niewieście Thora ubrano szaty,
Rękę ozdobił w klejnot bogaty,
I wiązka kluczów była mu dana,
Szata weselna słoni kolana,
W drogie kamienie strojny w około,
Świetna opaska okola czoło.

A na to Loke syn Laufejowy,
Z takiemi jeszcze ozwał się słowy:
— Ja służebnicy wnet szatę kładę,
Do Jethunhejmu z tobą pojadę. —

Z paszy na dworzec spędzają kozły,
Gdy Thora szybko w Jethunheim wiozły,
Jęczały góry, trzeszczały skały,
Płomienie ziemię obejmowały.

Na to król Thursów tak zapowiada:
— Wstańcie olbrzymy spędzajcie stada,
Bo z Noathumu w hołdzie od Thora
Do mnie przybywa Nioerda córa. —

I złotorogie spędzają woły,
Każe słać łoże olbrzym wesoły:
— Mam ja bogactwa nieocenione,
Zbywało tylko Frai za żonę. —

Wczas przed wieczorem stoły nakryją,
Olbrzymy jedzą i piwo piją;
Jeden największy olbrzym o stołu,
Zjadł ośm szczupaków, całego wołu,
Wszystkie łakocie dla bogów rodu,
Mąż Sifi wiadro wyciągnął miodu.

Na to Thrym olbrzym zachmurzył lice,
— Kiedyż, rzekł, tyle jadły dziewice?
Gdzie narzeczone boskiego rodu,
Tyle przy ślubie wypiły miodu? —

Wtém się przybliża chytra służąca
I do rozmowy zdradnie się wtrąca:
Osiem dni całych Fraja nie jadła,
W żądzy by z Thrymem do stołu siadła. —

Gdy Thrym zalotny chciał tknąć zasłony,
Odskoczył — wszystkie wstrzęsły się strony,
Jakim, rzekł, gniewem Frai twarz błyska
Zda się, że z oczu płomienie ciska. —

Wtém jeszcze bliżéj staje służąca,
I do rozmowy chytrze się wtrąca:

— Osiem dni całych Fraja nie spała,
Na Jethunhejmu łoże czekała. —

Na to olbrzyma siostra przybywa,
O dar weselny surowo wzywa:
— Daj mi z téj ręki złote pierścienie,
Jeżeli łaskę moją masz w cenie. —

Wtedy król Thursów ten rozkaz daje:
— Młot mi przynieście, niech uczczę Fraję,
Złóżcie miazgacza na Frai łonie,
Niechaj nas Warry poświęcą dłonie. —

Rozśmiał się w sercu Thor ucieszony,
Kiedy zobaczył młot swój wniesiony.
Chwyta go, naprzód mści się na Thrymie,
Potém druzgoce ludy olbrzymie.

Téj, co wołała o dar weselny,
Siostrze olbrzyma, dał cios śmiertelny,
Piorun jéj błysnął na miejscu złota;
Tak syn Odina wrócił do młota.

POSELSTWO SKIRNERA
CZYLI
ZWIADY THORA.

(Z Eddy skandynawskiéj.)

SKACLE.

Wstań i pójdź Skirnerze do naszego syna
I donieś mi szczerze, jaka jest przyczyna
Smutku i złości, Boga mądrości?

SKIRNER.

Obelgi jedynie, wieczne zagniewanie,
Wzbudzi w twoim synie, takie zapytąnie;
O smutku i złości, boga mądrości.

SKIRNER (do Fraja.)

Ty panie nad pany, boskich ludów boże!
Jeśli twój poddany tyle wiedzieć może,
Powiedz mi o Fraju, zkąd ci dziś w zwyczaju,
W samotne twoje, kryć się podwoje?

FREIR.

Zkąd tobie młodzianie te o bogów troski?
Jesteś-li ty w stanie pojąć smutek boski?
Słońce, co dzień wznieca, cały świat rumieni,
Dla mnie nie przyświeca, mej nocy nie zmieni.

SKIRNER.

Może nie tak wielkie są Freju twe żale,
Jam troski twe wszelkie, miał niegdyś w podziale
W młodości chowani, wzajem sobie znani,
Dziś w smutku dobie, zwierzmy się sobie.

FREIR.

W Gymmeru ustroniach widziałem dziewicę,
Chodziła po błoniach, a wdzięczne jej lice,
Tak mi się zdało jak ranne zorze,
Co oświecało lądy i morze.

Dziś ona Frajowi bardziej zda się miła,
Niżby młodzieńcowi przed wiekami była,
A duchy i bogi tak chcą koniecznie,
By ten skarb drogi, ominął mię wiecznie.

SKIRNER.

Niech na koń twój siędę; czarowne cienie,
Straszne płomienie, na nim przebędę;

Daj mi twego miecza, co się sam wywija,
Bogi ubezpiecza, olbrzymy zabija.

FREIR.

Koń ci dany będzie; przez czarowne cienie
I straszne płomienie, poniesie cię wszędzie,
Dozwolę ci miecza, co się sam wywija,
Bogi ubezpiecza, olbrzymy zabija.

SKIRNER.

Już też noc nastaje, czas w zamglone góry,
Przez rosiste chmury, iść w olbrzymów kraje.

Powiedz chłopcze drogi, który z tego wzgórza,
Pilnujesz podwórza, przełazek i drogi,
Jak dostąpić mogę, dziewicy mieszkania,
Gdy przez całą drogę, słyszę psów szczekania?

PASTERZ.

Czyś ty już nie żywy, czyś śmierci zażądał,
Pragnąc nieszczęśliwy, byś Gerdę oglądał?

SKIRNER.

W takim odwaga trwogę przemaga,
Kto czeka Gotów, śmiertelnych grotów,
Mnie życie dano, i dni onego,
Do ostatniego, odrachowano.

GERDA.

Jakiż tent podkowy, wpada w uszy moje?
Zadrżał mur zamkowy, wstrzęsły się podwoje.

SŁUŻĄCA.

Śmiały młodzieniec, wjechał w dziedziniec,
Zsiadł teraz prawie, i konia swego
Zapienionego, pasie po trawie.

GERDA.

Nie broń mu wchodu, proś go w podwoje,
I przynieś miodu; niech za stół siędzie,
Chociaż się boję, że to on będzie,
Co mego brata zgładził ze świata.

Czyś ty syn niebianów, czy duch nieśmiertelny,
Czyś ty jeden z Wanów? mów rycerzu dzielny,
Co przez nocne cienie i straszne płomienie,
Niosło w te ustronia, twojego konia?

SKIRNER.

Ni ja syn niebianów, ni duch nieśmiertelny,
Ani mędrzec Wanów; przecię koń mój dzielny,
I przez nocne cienie i straszne płomienie,
Nieuszkodzony, niósł mię w te strony.

Mam siedem i cztery złotych jabłek z sobą,
Dziewico Gymery, odbierz je tą dobą.
A kochaj wzajemnie Freja, syna Skady,
On mię to do ciebie przysyła na zwiady.

GERDA.

Siedem i cztery jabłek przysłanych,
Córka Gymery nie chce mieć danych;
Ani téż wzajem, kiedy być może,
Ażeby z Frejem dzieliła łoże.

SKIRNER.

Więc od Skady syna, weź pierścień złocony,
Co z synem Odyna, był razem palony,
Jest on takiéj mocy, że dziewiątéj nocy
Rodzi osiem osobnych, pierścieni podobnych.

GERDA.

Nie chcę ja pierścienia, choć ma takie siły,
Chociaż go płomienia, z Balderem paliły,

Gerdzie w ojca domu na niczém nie braknie.
Nie zajrzy nikomu, ani złota łaknie.

SKIRNER.

Widzisz ten miecz srogi, co nam się wywija,
Wkrótce mi pod nogi, spadnie twoja szyja,
Gdy syna Skady, odrzucisz zwiady.

GERDA.

Żadne mię twoje groźby nie skłonią,
Gdy miłość moją chcesz zyskać bronią,
Niech na olbrzyma miecz twój naciera,
Wnet przed oczyma, ujrzysz Gymera.

SKIRNER.

Widzisz ten miecz srogi, co się nam wywija,
Spadnie mi pod nogi, twego ojca szyja;
Olbrzym twój stary, nie ujdzie kary.

Ty mocą pręta, z czarów natchnienia,
Zostań zaklęta, na me skinienia,
W świat ciemny, daleki, wyrwę cię z téj ziemi,
Żegnaj się na wieki z synami ziemskiemi.

Na orléj skale wiecznie osiędziesz,
O świecie wcale wiedzieć nie będziesz;
Na śmierć powieki zwrócisz zbolała,
Śmierć cię na wieki będzie mijała,
Jak, gdy wśród trawy węża kto zoczy,
Tak ty od strawy odwrócisz oczy.

Gdy wrócisz ze skały, będziesz podziwieniem,
Świat cię nazwie cały powtórném zjawieniem,
Ród olbrzymów wszędzie w drodze cię oskoczy,
A każdy będzie w ciebie wlepiał oczy,
Będziesz więcéj znana, niżeli stróż bogów,
Wyć będziesz znękana, u piekielnych progów.

Nesmak, dni samotne, tęskność i niedole,
Pomnożą stokrotne twe hańby i bole. —
Siądź! zacznij rozpacze i płacz niewieści,
Słysz, jakieć przeznaczę srom i boleści.

Zgrozą i przestrachem codziennie dręczona,
Pod olbrzymów dachem żyć będziesz stęskniona,
Do olbrzymów grodu przybędziesz co rana,
Śród nędzy i głodu z wszystkiego obrana,
Miasto pieszczoty będziesz w ich domu,
Lać łzy tęsknoty, wzgardy i sromu.

Z Tharsem trójgłowym, żyć musisz koniecznie,
Lub w łożu mężowém, nie postaniesz wiecznie
Z rana do rana, żądzą nękana,
Tak wyschniesz żałośnie, jak szyszka na sosnie.

W bory się udałem, drogą tajemniczą
I tam wyszukałem, rózgę czarowniczą. —
Thor się tobą brzydzi, ściągniesz gniew Odina,
Frej cię nienawidzi; ciężka twoja wina.

Lecz zaczém niebianie dopełnią karanie,
Niech usłyszą wprzódy, olbrzymy, bogowie,
Hrymthursów narody, Suttunga synowie,
Jako w téj dobie, zabraniam tobie,
Uciech dziewicy, i snu w łożnicy.

Hrimm-grimner ma miano, olbrzym który na dnie
Umarłymi władnie; temu będziesz daną,
Tam sługi jego, w drzewnym korzeniu,
Miotu koziego, dadząć w pragnieniu.

To zawsze wszędzie, napój twój będzie,
To wola twoja, to wola moja,
Thursa naznaczę tém piętném trojem:
Żądzą, niemocą i niepokojem.
Lub wszystko spędzę łyskiem oręża,
Skoro wybierzesz Freja za męża.

GERDA.

Więc bądź pozdrowiony, o młodzianie błogi,
Przyjmij puhar drogi, miodem napełniony,
Nigdym nie myślała o rodzie niebianów,
Abym kogo z Wanów, kiedy ślubić miała.

SKIRNER.

Niechże boski goniec, wiem poselstwa koniec
Zaczém od ciebie, stawię się w niebie,
Kiedy z tobą łoże, Frej podzielić może?

GERDA.

Barri jest nazwany, gaj Frejowi znany,
Tam córka Gymery, za dni pięć i cztery,
Niorda synowi, łoża nie odmówi.

FREJ.

Nim siędziesz Skirnerze, zaczém zdejmiesz siodło,
Opowiedz mi szczerze, jak ci się powiodło?
Czy Gerda swe chęci, Frejowi poświęci?

SKIRNER.

Barri jest nazwany, gaj Frejowi znany,
Tam córka Gymery za dni pięć i cztery
Niorda synowi, łoża nie odmówi.

FREJ.

Pierwsza noc długa, nieznośna druga
Jakże trzecia nudną, do przespania trudną!
Ach! przez miesiąc cały, krócéj nocy trwały,
Niźli takowa, nocy połowa.

Z ANTOLOGII GRECKIÉJ.

ZDRÓJ WYSCHŁY NAD GROBEM.

Gdzieście nimfy uciekły, gdzie dźwięczne strumienie,
Których zniszczyć nie mogły gorące promienie? —
Wszystkie do Agrikoli wsączyły się dołu,
Aby łzami urosić dzban jego popiołu.

DO CZARY.

Przy tobie czaro gliniana siędę,
Czém teraz jesteś, jam był i będę,
Z prochu się napije
Proch, co jeszcze żyje.

KONIK POLNY.

Musisz polny koniku dom Acisa rzucić,
Nie dla ciebie to słońce, przestaniesz już nucić,
Odtąd łąka Plutona będzie łąką twoją,
Tam kwiaty elizejskie rosą cię napoją.

JOWISZ I AMOREK.

Jowisz gromił Amorka: strzały wezmę tobie! —
Jowiszu! rzekł Amorek, łabędziem się zrobię.

GROBOWIEC.

Wstrzymaj się z pługiem oraczu,
Nie wzrusz popiołu w twym grobie,
Ta ziemia w ciężkiéj żałobie,
Dawno mięknieje od płaczu.
Choć przyjdzie pora po wiośnie,
Żaden z niéj kłos nie wyrośnie.

CHĘCI.

My śmiertelni, znikome tylko chęci mamy,
Smutek i roskosz mija, albo my mijamy.

MOTYL I RÓŻA.

Motyl różę całuje, ale przyjdzie chwila:
Nie będzie więcéj róży, nie będzie motyla.

WINO I KOZIEŁ.

Ach! nielitościwe zwierze!
Zgryzłoś mi grona i korę,
Przecie jeszcze soki zbiorę,
Co się poleją w ofierze.

SZLACHETNA EMULACYA.

Na wyższym krzyżu widząc swego drucha,
Ścisnął Thrax zęby i wyzionął ducha.

NADZIEJA I OBAWA.

Nadziei i obawy serce moje życzy:
Pierwsza żądze uskrzydli, druga ograniczy.

GRÓB SPRAWIEDLIWEGO.

Tu leżą zwłoki prawego człowieka,
Jeżeliś winny, mijaj je z daleka,
Jeśliś poczciwy, śmiało spocznij sobie,
Nawet zaśnij na tym grobie.

UBOGI I UBÓSTWO.

Nie mnie, ubóstwu memu czynisz poniżenie,
Jowisza ubogiego w równéj miałbyś cenie.

ROLA.

Niegdyś Ahamenida, wnet Menippa rola,
Wnet przedana Acisowi:
Każdy zwie się panem pola,
Które zmiennemu należy losowi.

SAMOCHWAŁ.

Pokaż mi lwa pasterzu! rzekł strzelec zuchwały,
Zabiję go tém żelazem. —
— „Oto leży u téj skały —
— „Dziękuję — lecz innym razem.“

NIMFA ŹRÓDŁA.

Milcząc czerpaj — dla czego? — więc nie czerpaj! —
czemu?
Ja daję napój tylko milczącemu.

GŁOŚNY ŻAL.

Głośno płaczesz turkawko! psujesz sen biednemu,
Tę ostatnią pociechę sercu strapionemu,
To co ty, i ja cierpię, lecz moje boleści
Ranne serce głęboko w zatajeniu mieści;
Srogo raz miłość dzieli; tobie wolne pienie,
Mnie zostawia bez folgi nieznośne milczenie.

ZAWISTNY.

Zawistny z niebem o los idzie w zwady,
Ten mu niemiły, kogo lubią bogi,
Z kwiatów najsłodszych wyszukuje jady;
Kto bogom miły, ten i dla mnie drogi.

AMOREK.

Kwiatek żyje z soków ziemi,
Pszczółkom napój dają kwiatki,

Amor się karmi z ust matki,
A poi łzami mojemi.

JOWISZ DO ALCIDA.

Nie ja, dając ci nektar, spółbogiem cię robię,
Ale nektar ci dała boska siła w tobie.

ZNIKOMOŚĆ.

Nago na świat przychodzim, nago trzeba wrócić,
Trzebaż by nago wracać, troskać się i smucić?

NĘDZA.

Nędza rodzi wstyd u świata,
Wstyd nędznego umysł tępi,
Stępionych troska przygniata,
A ucisk życie zasępi,
Posępność czucie osłabia,
Słabość się w podłość wyradza:
Tak ubóstwo zgubę zwabia,
Tak w nas niknie bozka władza.

RAKI.

W twym chodzie, rzekła matka, ni sensu ni smaku,
Idź przecie prosto, naprzód, pomnij, czém-eś raku!
— Więc proszę mamo naprzód! pójdę twoim śladem,
Nie pojmując nauki, pójdę za przykładem;
Ruszają więc oboje godni podziwienia,
Raczym krokiem. — Krytyka natury nie zmienia.

MŁYN WODNY.

Już niech praca młynarki! rąk waszych nie trudzi,
Spocznijcie! niech was kogut poranny nie budzi,
Już Nimfom od Cerery zlecona ta praca;
Skaczą po szczeblach koła, koło się obraca;
Żyjmy tak, jako ojców obyczaj był stary,
Próżni pracy, bogini pożywajmy dary.

LATA NESTORA.

Trzy razy lat trzydzieści wróżą gwiazdy tobie,
Tak mię mędrzec zapewnił. — „Dosyć lat trzydzieści,
Bo dotąd kwitnie życie, co nadto się mieści,
To jest wiekiem Nestora i Nestor już w grobie.

MÓWCA.

Nie gań mówcy nie mając pojętnego ucha,
On obudza, rozwija, lecz nie tworzy ducha;
Kiedy ziemia sposobna, gdy pora dośpieje,
Wtedy co on zasiewa, zejdzie i dojrzeje.

GRÓB CICHY.

Cicho niech smutne życie upływa,
I czas w milczeniu drogę odbywa,
Ty jak on idąc, cicho żyj w sobie,
Bo i tak w cichym zamilkniesz grobie.

CO WARTO TROSKÓW?

Rodzinie, narodowi, poświęć życie społem,
Reszta nie jest już życiem, lecz próżnym mozołem.

DANAE
Z DZIECIĘCIEM NA MORZU.
Z Simonidesa.

Jakież synu nieszczęście na twą matkę godzi!
A ty śpisz snem spokojnym w skołatanéj łodzi,
W kruchym domku, miotanym przez burzliwe wały,
Gdy noc prują co chwila piorunowe strzały.
Śpisz cicho na pościeli z uroszonych wrzosów,
Nie pomne na plusk wody, co sięga twych włosów.
O gdybyś ty nieszczęście grożące nam znało,
Tybyś przynajmniéj matki jęczenia słuchało —
Ale śpij; niech nad tobą te błyski pogasną,
Niech z tobą wiatr Neptuna i twe wrogi zasną.

Wczoraj wijąc wianki,
Schwytałem Amorka,
Oskubałem piorka,
Puściłem do szklanki,
Wypiłem z napojem!
Biednaż moja dusza!
Siedzi w sercu mojém,
Skrzydełkami rusza!

ELEGIA TYBULLA DO BACHA.

(Księgi III. Elegia 6.)

Bachu! przybądź żądany, niech bluszczem twe skronie,
Niech tajemniczym liściem winnicy osłonię,
Ty nawzajem lekarzu zagój moje rany,
Często tobą był srogi bożek pokonany.
Śpiesz chłopcze! niech dłoń hojna sok Falernu toczy,
Niechaj Bachem szlachetnym puhar się umoczy.
Zdala ztąd twardy rodzie, wy prace i troski!
Szczęśliwemi nam wróżby Feb zajaśniał boski;
Wy sprzyjajcie w czuwaniu drodzy przyjaciele!
Bądź każdy towarzyszem, ja na waszém czele.
Kto spokojny wyzwania nie przyjmie odemnie,
Niech go zdradna kochanka oszuka wzajemnie.
Amor bogaci dowcip, dzielna jego władza,
Dzikość samą pod rządy piękności sprowadza,
On armeńskie tygrysy, lwice nie głaskane,
Zwycięży i złagodzi przez miłośną ranę;
Tak on silny! Lecz Bacha szanujcie ofiary!
Komu, na co się zdały nie mokre puhary?
Pijmy więc! sprawiedliwy Bachus temu sprzyja,
Kto korny, każdą kolej na cześć jego spija.
Ale obrażonego groźna zawsze ręka.
Niech więc pije, kto gniewu strasznego się lęka.
Jaki to Bóg, jakiemi zagraża obawy;
Niech każdego nauczy Penteja* los krwawy.

* Różne są starożytnych podania o losie Penteja, syna Echjona i Agawei, następcy na Królestwo tebańskie, Kadmusa, który był jego dziadem po matce. Według jednych, chcąc ukrócić swawole podczas świąt bachusowych, napadnięty był przez szalone Bachantki, które go rozszarpały: według innych, pragnąc dowiedzieć się, co się dzieje podczas tajemnic świąt Bachusa, którego wprzód zuchwale był zelżył, wdarł się skrycie na jedno drzewo, góry Cytheron, a postrzeżony od Bachantek, rozszarpany został przez nie na sztuki. Eurypides w tragedyi swojej „Bachantki“ połączył oba te podania.

Ale precz smutne myśli! Jeżeli jest trwoga,
Ona zdradna niech pozna co może gniew boga.

Lecz co mówię kłamliwy? Te słowa zuchwałe
Roznieście chmury, wiatry rozbijcie o skałę!
Choć ty głucha Neero na me niepokoje,
Żyj szczęśliwa! niech błogie będą oczy twoje.
My pewniejszym puharom święćmy czas swobodny,
Po tylu smutnych, błysnął jeden dzień pogodny.

Ach! trudno naśladować zmyślone wesele,
Trudno radość udawać, gdy smutek na czele,
Ani ustom przystoją uśmiechy udane,
Ani dobrze brzmią w smutnym, wyrazy pijane.
Czego płaczę nieszczęsny! Precz odemnie troski!
Nienawidzi słów smutnych Semeli syn boski.
Aryadno! przysięgą Tezeja zdradzona,
Płakałaś na nieznaném morzu zostawiona,
A ja was napominam, ja was chcę ostrzegać,
Uczcie się z cudzych nieszczęść własnym zapobiegać.
Niech was nie ćmi u szyi zawieszone ramię,
Ani prośba uwodzi, co pochlebstwa kłamie,
Niech przysięga na oczy sztuką umilone,
Na Wenery opiekę, na mściwą Junonę,
Nie dajcie wiary! Jowisz z kochanków się śmieje,
Ich przysięgi, ich żale, wiatr tylko rozwieje —
A ja — czemuż już słowa wspominam daremnie?
Słowa zdradnéj kochanki — precz idźcie odemnie?

O jakżebym rad z tobą długie nocy trawić!
Jak z tobą podzielone wszystkie dni przebawić!
Niepamiętna mych zasług o Neero sroga!
Niewierna, choć niewierna, zawsze jednak droga.

I Bach kochał Najadę — Chłopcze! do posługi!
Wino marcejskie niechaj złagodzi ból długi;
Niech nieczuła uchodzi od naszego grona,
Próżno, za nieznajomym młodzianem stęskniona;

Nie będę już nie spanéj nocy się użalać,
Ty spiesz się gnuśny chłopcze! prędzéj wina nalać!
Spiesz się wonią syryjską włosy mi umoczyć,
Wiązankami z jasminu i róży otoczyć.

DO POKOJU.

Elegia Tybulla.

Któż był ten, co zabójczéj pierwszy dobył stali?
Dzikie, żelazne serce bogowie mu dali;
Ztąd to klęski śmiertelnych, ztąd wojen pożoga,
I chciwéj śmierci krótsza otwarła się droga.
Lecz on nędzny nie winien. Człowiek sam wymierza
Przeciw bliźniemu, ostrze wykute na zwierza;
Złoto bogate winno. Ani wojen znano,
Kiedy bukową czarę do stołu stawiano,
Nie było wież i murów, a pasterz w swobodzie
Spokojny sen wysypiał przy paszonéj trzodzie;
Wtenczas mi żyć przystało; próżen zbójczéj sławy,
Ani z bijącem sercem słuchałbym trąb wrzawy;
Dziś do boju mię wiodą; może wróg morderca,
Już trząsa dzidą, co krew wytoczy mi z serca.

Brońcie Lary ojczyste! wyście pomoc dały,
Kiedym przy stopniach waszych igrał jeszcze mały,
Nie wstydźcie się wy z prostych pni ciosane bogi!
Takeście niegdyś ojców zamieszkały progi.
Lepiéj trzymano wiarę, kiedy Bóg drewniany,
Skromną cześć miewał między ubogiemi ściany;
Tu dawał się ubłagać, czy kto rozlał wonie,
Czyli kłosisty wieniec kładł na święte skronie,
Czy po spełnionym ślubie sam wino lał z czary,
A drobna córka miodu składała ofiary.

Wy bogi! wy żelazne odpierajcie ciosy,
Doczeka z pełnych obszar ofiara na stosy,
Za nią ja pójdę, w czystą szatę się ustroję,
Mirtem koszyk uwieńczę, mirtem czoło moje;
Tak się wam upodobam — inny w boju srogi,
Inny z Marsem przychylnym niech rozgania wrogi.
A mnie przy dzbanie żołnierz niech zadziwia bojem,
Na stole kreśli obóz rozlanym napojem.

Szaleństwo śmierć wyzywać w bojach, krwi roztokiem,
Godzi ona tajemnie, cichym dąży krokiem.
Nie kłosy są pod ziemią, nie winnic jagody;
Cerber tam jest, woźnica brudnéj Styxu wody;
Tam z włosem zapalonym, z zapadłą powieką,
Tłumami cienie błądzą nad obrzydłą rzeką.

Ach! raczéj tego sławić, kto wśród skromnéj chatki
Spokojną starość kończy troskami o dziatki:
Jemu straż trzody, synom jagniąt powierzona,
Strudzonemu rzeźwiącą stawia kąpiel żona;
Tak żyć pragnę, tak dajcie, niech włos mój siwieje!
Niech dzieciom starych czasów opowiadam dzieje.

A teraz, pokój niechaj pola nam umaja;
Pokój sam w krzywe jarzmo nagiął kark buhaja,
Pokój przepełnia grona i wytłacza wina,
Aby puhar po ojcach pienił się dla syna,
Pokój dzierży pług z radłem, a broń bohatera,
W ciemny kąt zarzuconą, tajnie rdza pożera,
Kmiotek krzepiąc do chaty siły wytrudzone,
Tocząc wóz, wiedzie z lasu i dzieci i żonę.

Lecz wtedy Wenus walczy; sama już dziewica,
Płacze na drzwi wyparte, na zranione lica,
Ucięte piękne włosy, w łzach stroskana tonie;
Lecz i zwycięzca płacze na porywcze dłonie,
A chytry Amor, który sam poswarki rodzi,
Zmiękczony, siada w środku i zwaśnionych godzi.

Kamieniem jest, żelazem, kto bije swą lubę,
Sam on bogom wyrywa grom na własną zgubę,
Dośćby rozciąć leciuchną na członkach zasłonę,
Dośćby przywieść o nieład włosy utrefione,
Dość już do łez pobudzić. O stokroć szczęśliwy,
Kto pogniewany, widzi płacz kochanki tkliwy;
Kto dziki, rąk używa, niech tarczę, broń bierze,
Daleko niech łagodniéj uchodzi Wenerze.

A ty bywaj pokoju! Kłos potrząsaj z dłoni,
Niech przed tobą owoce, czyste pole roni.

BARATON.*

Ostatnia duma Ossjana.

Zatocz błękitny bieg twój strumieniu,
Po wązkiéj dolinie Luty!
Ocień ją, wzgórku gajami osuty!
Ty ją w południe odwiedź promieniu!
Na téj skale oset rośnie,
Wiatr nim potrząsa żałośnie,
Głowę z włosy sędziwemi
Schyla miotany ku ziemi,
I zasmucony tak prosi:

* W wydaniu r. 1821 na początku dodane następujące objaśnienie: „Jest to, podług niektórych, ostatnia duma Ossjana, którą już blizki śmierci ułożył. Zaczyna się od żalu nad zgonem Malwiny, kończy zaś przeczuciem blizkiéj samegoż Ossjana śmierci. Wśród tych uczuć spominając Ossjan rycerskie dzieła młodości, opowiada Alpinowi swoją wyprawę do wyspy Baratonu, od czego téż ten napis dał jéj Makperson. Treść jéj jest następująca: Fingal król Morwenu ojciec Ossjana odbywając podróż koło wyspy Baratonu, był na niéj gościnnie od króla Latmora przyjęty. Wdzięczny gościnności Fingal, dowiaduje się późniéj że Latmor od syna swego Utala z tronu wyzuty w więzieniu jęczy. Wysyła więc na jego obronę Ossjana z Toskarem. Ci dopły-

— Czemu mię wiatry budzicie?
Krótko posłuży mi życie;
Już mię niebo deszczem rosi;
Nie długo, wieczór, nad zdrojem
Polecicie z liściem mojém,
A wędrowiec, gdy usiędzie,
Rzuci okiem po. téj skale,
Lecz daremnie zajrzy wszędzie,
.Kwiatka wcale
Już nie będzie! —

Podobnie kiedyś na wzgórku Kony,
Daremnie będą szukać méj strony;
Już jéj nie będzie słyszał myśliwy,
Zaszumią wiatry przez głuche niwy,
— Nie ma już, nie ma syna Fingala!
Zawoła obcy, przybyły z dala;
Wojenne jego strony przebrzmiały,
Głuche milczenie zaległo skały,
I wóz niezdatny pod zamkiem stoi,
Na którym pędził w rycerskiéj zbroi.

Wtedy Malwino przybądź zapłakana,
W Luty dolinie grzebać Ossjana;
Tu się ku gwiazdom podniesie mogiła,
Tu kwiaty z rosą będziesz mu nosiła.
Gdzież-to jest moja Malwina?
Któraż ją kryje dolina?

wając do Baratonu, znajdują na pustéj skale Ninatonę dziewicę od Utala porzuconą, którą wziąwszy ua okręt, wysiadają na brzeg Baratonu i po zabiciu Utala, przywracają ojca do władzy. — Wielu w różnych językach tłómaczyło i naśladowało tę dumę, w któréj Ossjan najwięcéj melancholii a przytém prawdziwie liryczněj poezyi okazał. Ja szedłem więcéj za uczuciem, niżeli za słowami smętnego Barda. Tok liryczny i miarę wiersza starałem się zachować ile możności uczuciom przyzwoity; w podobnym téż rodzaju najwięcéj może na têm zależy.

Jesteś tu blizko Alpinie?
Powiedzże mi o Malwinie!
Kędyż Toskara dziewica,
Piękna i z głosu i lica?
W dolinach Kony
Panują cisze,
Malwiny strony
Nie słyszę.

A L P I N.

Synu Fingala! przechodziłem stronę,
Gdzie Tórkulaty mury obalone:
W gaju na wzgórku cisze panowały,
Głosy myśliwych nie biły o skały;
Z kominów zamku dymy się nie wznoszą;
Wtém widzę córki, co jelenie płoszą:
— Gdzie jest Malwina, nadobna dziewica? —
Milczały wszystkie, odwróciły lica,
Z oczu błękitnych łza jak rosa ciekła,
A mgła rumiane jagody powlekła;
Tak smutno gwiazdy za chmurami tleją,
Gdy na górach deszcze leją.

OSSJAN.

Więc już cię żegnam, o Malwino miła!
Jakżeś nas prędko samych zostawiła!
Piękne były twoje lica,
Gdyś się rozstawała z nami,
Równaćby cię do księżyca,
Co się kryje za chmurami!
Sami błądzim po tym cieniu,
O najmilsza z dziewic Luty!
Sami siedzim na kamieniu,
Grób twój zimny, już zasuty!
Już się nie ozwie twoja strona miła,
Jakżeś nas prędko samych zostawiła! —

Ale na rannym promieniu
Wznijdziesz ku nieba sklepieniu,
O które grzmot się rozbija!
Wznieś się w gwiazdziste podwoje,
Przodki wołają cię twoje,
Obłoki cień twój pomija!
Malwino! Toskara plemię,
Zawczasu rzuciłaś ziemię!
Obłok przepływa nad gajami Kony,
Krąży w błękicie wiatrami pędzony,
Tam to mieszkanie Fingala,
Na wonnéj stoi murawie,
Tam się na morze oddala,
By się przeglądał w swéj sławie;
Dzidą zbrojna dłoń rycerza,
Noc zakrywa pół puklerza.
Króla przyjaciół ostąpiło grono,
W pół skrytą lutnię wziął Ulin na łono;
Jak wietrzyk błądząc w południe przez gaje,
Cichy dźwięk strona ku ziemi podaje.
W około poczet wojowniczéj braci,
W różnéj się snuje, przemienia postaci,
Wchodzi Malwina w ciche zgromadzenie,
W nieznane ojców wpatruje się cienie,
Zorza wybladłe jagody powłoczy;
Teraz łez pełne odwróciła oczy —

— Także tu prędko przyszła o dziewico Kony?
Piękna córo Toskara! — rzekł Fingal omglony,

— Jeszczeć tobie twe wdzięki poświadczały wody,
Z dziewicami Morwenu szłaś jeszcze w zawody;
Prędkoś się pokwapiła w chmurzyste mieszkanie! —
Słyszysz córko, w podwojach Selmy narzekanie,
Mój to Ossjan sędziwy zalewa się łzami;
Szumi wietrzyk od Kony, coć igrał z włosami,
Śpieszy w zamku podwoje, ciebie nie zastaje
W zbroje wiejąc na ścianie, smutny głos podaje. —

Leć wietrzyku, leć w żałobie,
Zapłacz na Malwiny grobie! —
Już się nad Lutą unosi,
Zgon Malwiny skałom głosi;
Smutny od brzegu do brzega
Wierzchy dębowe obiega.
Już się rozchodzą córki po dolinie,
Co nad mogiłą śpiewały Malwinie:
Wołajcie ze łzami
Na brzegach potoku,
Malwina z cieniami
Na smutnym obłoku,
Jéj strzały w kołczanie
Do grodu ponieście,
Przy zbrojach na ścianie,
Z jéj lutnią zawieście;
Już po jéj mogile
Mech gryzą jelenie,
W wieczorną już chwilę,
Zamilkło jéj pienie.
Któż od zorzy złocistéj dąży na obłoku?
Siwy mu włos powiewa, jasność widać w oku,
Pochylony na dzidę, wpatruje się zdala;
Któréjże to cień córki stoi u Fingala?
Toskar niestety! swoję Malwinę poznaje,
— Już to, mówi, Luty opuściła gaje? —
Nie czas tobie był córko zamieszkać już z nami,
W tém piorunów mieszkaniu pomiędzy starcami,
Nie byłoć prawda w Lucie dla ciebie wesele,
Już się ztamtąd wynieśli wszyscy przyjaciele,
Nic się tam nie zostało, okrom Ossjana
Którego grzebać miałaś Malwino kochana;
Oto widzisz, pomija murawę cienistą,
Sędziwe starca włosy mgłą nasiękły dżdżystą,
W suche liście szeleści sam na polach Kony,
Królewską dzidą wsparty dąży pochylony.
Opuścili go swoi! Czemuż, czemu woła,

Rzuciłaś brzegi Luty i dziewicze koła?
Nie było ci Malwino! pociechy na ziemi,
W smutneś poszła siedziby z oczyma pięknemi,
Nie napieścił się tobą dorodny młodzieniec,
Zimnéj ziemi oddałaś kwitnący twój wieniec,
Podłe plemie zasiadło stoły twego grodu,
Padli wszyscy rycerze sławni z Selmy rodu,
Królewską dawniéj dzidę sam Ossyan niesie,
Z pamięcią dawnych czynów błąka się po lesie,
Dzida, za którą w boju cisnęła się chwała,
Samotnemu starcowi w podporę została.

Sławny wozem Toskarze! pomnę ja te dzieła,
Któremi młodość moja przed laty słynęla.
Jako dwie obłokami otoczone skały,
Razem nas pośród boju wrogi widywały.
Uciekały przed nami nieprzyjaciół chmury,
Widzicie ich, mówili, zstępujących z góry,
Jak dwie rzeki się garną, i szumią z daleka,
Wszystko pada za niemi, przed niemi ucieka.

Pójdź, o synu Alpina! usłysz jeszcze pienie,
Dni młodzieńczych przedemnie wysnuły się cienie;
Ileż my to z Toskarem mężnym nie działali!
W ilu grodach nie nucą sławy naszéj stali,
Myśmy w nocy urwiska przebywali razem,
Straszni obcym, a sobie pomocni żelazem.
Zbliż się synu Alpina, słuchaj jeszcze stróny;
Ostatnia to pieśń moja nad brzegami Kony.

Swobodnie stali na brzegach rycerze,
Uderzyć kazał Fingal o puklerze,
Władca Morwenu zapowiedział boje;
Z weselem nawy gotowałem moje,
Obok mnie stanął Toskar w bitwie śmiały;
Niosły nas morza zapienione wały;
Do Baratonu dopływamy blizko,
Gdzie wiatr szumiący założył siedlisko,

W około brzegów bieliły się piany,
Ryczące wały parły się na ściany,
Tam siedział Latmor z osiwiałém czołem,
On podejmował Fingala za stołem,
Gdy go w Stratonie nawiedział z daleka,
Jeszcze na tedy kwitła Agandeka.
Znany on bywał w rycerskich przygodach,
Znany z hojności po gościnnych grodach.
Lecz, gdy stępiały siły sędziwemu,
Piękny syn Utal, powstał przeciw niemu,
Tysiące dziewic wtedy go kochało,
Szanować ojca już mu się nie zdało,
Dłonie mu związał, w téj skale osadził,
A w zamku życie rozpustne prowadził,
Długo się Latmor dręczył na téj skale,
Wiatrom przechodnim podawając żale,
Nie znał księżyca, ani dzień mu świecił,
Płomienia dębu nigdy nie rozniecił.
Nic nie upatrzył, krom głuchéj ciemnoty,
Słysząc ryk morza, albo nieba grzmoty.
Rycerz Latmoru przybył Snito młody,
Odwiedzić Selmy przyjacielskie grody,
Przygodę króla Baratonu głosi,
Szlachetny Fingal gniewem się unosi.
Trzykroć dłoń jego rwie się do puklerza,
Z Utalem sprośnym krwawy bój zamierza,
Czynów młodzieńczych czasy przypomina,
Przyzwał Toskara i mnie swego syna.
Radością nasze serca rozgorzały,
Kiedy nas morskie opłynęły wały.
Śpieszymy wszyscy z dobytém żelazem;
Wieleśmy bitew wygrywali razem:
Noc się szeroko spuściła na morze
Wiatr pędzi żagle, wiosło wody porze
Drżał księżyc blady w kołysanéj wodzie,
Woda za wiosłem pluskała o łodzie,

Widzim się w wodzie cieniami długiemi,
Cicho ciągniemy dochwycić się ziemi.
  Przed Baratonem stoi bliżéj skała,
Długi ku łodziom cień na morze słała:
— Czyj to głos, mówi Toskar, mych uszu dochodzi?
Któż na morze milczące smutną pieśń rozwodzi?
Widzę smutną dziewicę siedzącą na skale,
Jéj głowa na ramieniu zapowiada żale,
Ku wiatrom rozgarnione rozpuściła włosy,
Podpływamy ku skale, słyszym takie głosy:

NINITONA.

Póki mię jeszcze o wody!
  Otaczać samą będziecie?
Nie te, ach nie te przygody
  Wróżyłam sobie na świecie!
Ktoby myślał, by ta skała
  Mnie mieszkaniem zostać miała?

Niegdyś w Tortumy sklepieniach,
  Ucztami byłam zajętą,
Starcy lubili mię w pieniach,
  Młodzieży byłam ponętą,
Sławne były ojca grody,
  Z jego stołów, z méj urody.

Włosy w pierścienie się wiły,
  Na łono tchnące słodyczą,
Wszystkie mi wdzięki służyły,
  Nadzieją żyłam dziewiczą.
Tak zaznałam cię Utalu,
  Srogi sprawco mego żalu!

Za coś porzucił zwiedzioną
  Fintormy królu okrutny!
Skała dziś dla mnie uchroną,
  Nadzieją moją zgon smutny;

A tu płochy wiatr roznosi
Żale, które serce głosi.

Twojéj ja pewna opieki,
Rzuciłam ojca i grody,
Tyś mię zapomniał na wieki,
Utalu dumny z urody;
Ciężkać pomsta, któréj wzywa
Ninitona nieszczęśliwa!

Gdy tak samotnie płakała dziewica,
Łzami litości urosiłem lica,
Stanąłem przed nią, przyodziany w zbroję
Głosem przyjaznym tak smutek jéj koję:
— Wiemy łez twych powody wygnanko stroskana!
Widzisz w nas ród Morwenu, we mnie Ossjana.
Powstań córko Tortumy! ufaj naszéj dłoni,
Znany ród nasz rycerski niewinności broni,
Mocną i sprawiedliwą jest nasza opieka,
Pójdź! okręt czarno-piersi już na ciebie czeka,
Wdzięk twój zasłnną nocy jeszcze jest pokryty,
Widzimy już Baraton i Tortumy szczyty.
Piękna dziewica weszła w nasze koło
Cichém weselem jaśnieje jéj czoło,
Wstydny rumieniec po jagodach toczy,
Z łez oschłe pięknie przeglądają oczy;
Tak słońce, rano gdy wraca promienie,
Z pagórków nocne uciekają cienie.
Wiosło od smutnéj odparło się skały,
Rzeki spokojnéj porzemy już wały,
Krąg się za kręgiem od rudla rozchodzi,
Księżyc złocisty słup ściele ku łodzi,
Krzewy nadbrzeżne mijamy schyleni,
Dzień promienisty wystąpił z płomieni.
Już rotmejskiego dosięgamy brzega,
Wtém dzik śpieniony od lasu wybiega,
I miecz mój ostry wskroś mu gardło przeszył,

I dobrą wróżbą wygranéj ucieszył.
Wnet rozgłos wojska podaje dolina,
W hełmie Latmora poznajemy syna,
Wojsko się pasmem rozciągło na strony,
Gdzie ślad po trawie znaczył dzik śpieniony,
Utal przodkował dumny w siłę swoję,
Trzymał dwie dzidy, błyszczały mu zbroje,
Trzéj chłopcy przed nim nieśli łuk i strzały
W kolo ogary za węchem igrały.
Dziwiąc się męzkiéj postaci Utala,
Orszak rycerzów postępował zdala;
Piękny był Utal, czerstwe jego ciało,
Lecz oko błędne, niepokój zdradzało.
Takim jest księżyc toczący się w górze,
Gdy mglistą łoną zapowiada burze.
Szliśmy ku niemu, Stanął w jednéj chwili
Wnet go rycerze wszyscy ostąpili,
Wreszcie bard jeden z osiwiałym włosem
Wystąpił, takim witając nas głosem:
— Zkąd wy obcych synowie? Chcecież szukać zgonu?
Któż to z obcych zdrów wyszedł z brzegów Baratonu?
Nieszczęścia są synami, których śmierć lub fala,
Przynosi w kraje mieczem groźnego Utala,
Śmierć rozsiewa wóz jego, gdy warczy przez boje,
Nie znają uczt gościnnych Fintormy podwoje,
Krew płynie strumieniami, gdy Fingala plemię
Z zarosłych murów Selmy zstąpi na tę ziemię.
Gdyście Selmy synowie, trzech z waszego grona,
Zawczasu szlijcie mężów, którym miła Kona,
Niech królowi ogłoszą zgubę jego rodu,
Bo ztąd żaden nie wyjdzie Może z swego grodu,
Ruszy sam stary Fingal, tam groźny w okolo,
I tu znane odwagą jeszcze stawi czoło,
Krwią ostygłą ubroczy Utala oręże;
Wtedy sława Fintormy obłoków dosięże,
Równać się będzie cienie ścielącemu drzewu,
— Upadnie — rzekłem z dumą płonący od gniewu

Płomieniem śmierci mężny król Morwenu błyszczy,
Jako powodź napływa, jako piorun niszczy,
Zstąpi, jak noc przed słońcem wszystko przed nim znika,
Mgłą znikomą jest przed nim siła przeciwnika,
A jeśli trzech rycerzów będzie w naszém gronie,
Co wrócą zgubę swoich zapowiedzieć Konie,
Niech idą, upadniemy, ale pełni sławy
Wróć bardzie, czas twe wojsko zagrzać do rozprawy. —
Płonąc stanąłem. Toskar przy mym boku,
Wziął za miecz: pędem wrzącego potoku
Garną się wrogi, świst strzał, wozy warczą,
Stal o stal iskrzy, tarcza prze o tarczą.
Brzęczą pancerze gdzie dzida połyska,
W górę o puklerz złamany miecz pryska,
Jak ciemnéj nocy, kiedy na las głuchy
Śród ryku wichrów spuszczają się duchy,
Zgarniają szczyty długiemi ramiony,
Trzaska ku ziemi dąb dębem ciśniony,
Tak w zgiełku nasze śpierały się bronie.
Utala moje obaliły dłonie.
Nikogo z swoich nie miał świadkiem zgonu.
Uciekły wszystkie syny Baratonu —
Sam nań patrzyłem, jak przy drganiu ciała,
Rumianość z pięknéj twarzy odbiegała,
Zgasnął, jak zorza, gdy się niebo mroczy,
Łzy żalu moje wyroniły oczy.
— Młode drzewko! mówiłem, jeszcze nie na dobie,
Zaległoś brzeg Rotmaru, co zakwitnął tobie,
Leci wietrzyk, a wy już listki nie szumicie!
Krótkie piękny Utalu! było twoje życie. —

A na brzegu zostawiona
Smutna siedzi Ninitona,
Szczęk oręża slyszy zdala,
Odwraca się do Letmala,
Barda Selmy z siwym włosem,
Tym do niego mówi głosem:

Synu czasów upłynionych!
Słyszę śmierci jęki,
Utal pośród roproszonych,
Padł z rycerza ręki.
Jeszcze nie była ci pora,
Synu nadobny Latmora.

Obym raczéj żyła w skale
Zawartéj morzami.
Koiłabym moje żale,
Wspomnieniem i łzami,
Lecz nie słyszałabym przecię,
Że cię już nie ma na świecie.

Już zaległeś twoje błonie
Kwitnący Utalu!
Krzywdęś zrobił Ninitonie,
Niknącéj od żalu
Przecię pomimo téj rany,
Zawsze mi byłeś kochany. —

Nagle powstaje, łzy dodają wdzięku,
Tarczę Utala niosę w mojém ręku,
Krwią ubroczoną; wyrywa się, zbladła,
Śpieszy go szukać, poznaje, upadła,
Duszę z niej jedno wytchnęło westchnienie,
Na twarz się włosy zgarnęły w pierścienie,
Łzy nam się lały. Wysoka mogiła
Razem nieszczęsnych kochanków pokryła,
A ja pieśniami smutnemi,
Tak zaśpiewałem nad niemi:

— Śpijcie dzieci przygody! nie dla was już wiosna,
Krynica wasz pagórek pomija żałosna,
Wiatr liście porzucając na wasz grób zielony,
Śpieszy z dębu w Fintormy zamek opuszczony;
Polująca od gajów mijając dziewica,

Łzawe będzie od grobu odwracała lica.
Pożyjcie w pieśniach: rychło w Selmy grodach,
Córki usłyszą pieśni o waszych przygodach,
Nie jedno młode lice nad wami się zrosi,
Imię wasze w dalekie grody się rozgłosi.
Śpijcie dzieci przygody! nie dla was już wiosna,
Krynica wasz pagórek pomija żałosna! —
Dwa dni my jeszcze na tym brzegu stali,
Wnet się rycerze Fintormy zebrali
Starego króla wiedziemy w podwoje,
W mnogich się konchach rozlały napoje,
Wzajemnych darów rozeszło się wiele,
Wielkież to było Latmora wesele!
Chciwie oglądał stare ojców bronie,
Które zostawił, gdy Utala dłonie,
Na głowę ojca podniosły oręże;
Znana mu Selma i Morwenu męże,
Z pamięci, Kony rycerzów wychwala,
Nie wiedział jeszcze o śmierci Utala.
Mówili wszyscy, że poszedł ze łzami
Ukryć zgryzotę pzmiędzy lasami;
Tak mu mówili, ale jego ciało
W stepach Rotmanu milczące leżało.
Wiatr był pomyślny. czwarty dzień się bieli,
Ranośmy nasze żagle rozwinęli,
Wielkież to było Latmora wesele!
Szedł z nami na brzeg, bardowie na czele.
W paszach Rotmaru postrzega grób syna,
Zaraz na swego Utala wspomina:
— Czyjaż to z moich rycerzy mogiła,
Znać po wielkości, że królewską była,
Byłaż w Fintormie znaną jego chwała,
Za czém mię srogość Utala spotkała?
Milczycie wszystkie syny? A więc to Utalu!
Ciebie tu pochowano; jeszcze płaczę w żalu,
Chociaż twój oręż ojca dobrego napadał,
Obym raczéj był więźniem, byś ty jeszcze władał!

Byłbym ja się na starość twoją chwałą cieszył,
Gdybyś z twoją młodzieżą za dzikami śpieszył,
Z wiatrem, co w moje ciemne wpierał się mieszkanie,
Doszłoby do mnie głosu twojego wołanie,
Radowałbym się jeszcze! teraz oczy moje,
Pustkami widzieć będą Fintormy podwoje. —

Takem ja działał, póki jeszcze siła,
I krew gorącéj młodości służyła,
Taki był Toskar o Alpina synu!
Spolnik lat młodych, rycerskiego czynu.
Toskar nademną mija na obłoku,
A ja sam stoję przy Luty potoku,
Słaby głos moja strona już wydaje,
Jak wiatr ostatni, co opuszcza gaje.
Ale nie długo stanie mię na ziemi,
Widzę ja obłok z brzegami złotemi,
Tam dla ciebie Ossjanie!
Wiecznie podróżne mieszkanie.
W światła dziedziny lekki duch twój dąży,
Już pod tobą ciemność krąży.
  Zimnym tchnie wieczór powiewem.
Wiedź mię w doliny między wzgórków cisze,
Żółty liść leży rozwiany pod drzewem,
Świszcząc wiatr nagie gałązki kołysze,
    Mgła wzniesiona nad jeziorem,
    Już nad czarnym krąży borem,
    Białą rosą krzewy rosi,
Synu Alpina! widzisz moję lutnię?
Oto na zgiętéj gałązce się wznosi,
          Jęczy smutnie.
    Czy to wietrzyk, co się błąka
          Po niéj brząka?
    Czy duch, dawny bard od Kony
          Mąci strony?
      Synu Alpina!
      To jest Malwina.

Niech się jeszcze cieszę stroną,
Przez Malwinę poświęconą,
Niech wędrowny po tym lesie,
W górę wietrzyk głos jéj niesie;
Wietrzyku! skrzydły twojemi
I duch mój puści się z ziemi.

Płyną ojcowie różanym obłokiem,
    Nizko nakłaniają ucha,
I z rozwartém, mglistém okiem,
    Upatrują mego ducha,
Długie wyciągają dłonie
Za moim cieniem, ku Konie.
Po długiéj trawie rzucający cieniem,
Stary dąb skrzypiąc, gnie się nad strumieniem;
Świszcząc w mech suchy, obwisły u brzega
Z smutnym pogłosem wiatr pola obiega,
Zwiać głowę ostu leci nad urwiska,
Jakaż tęsknota moje serce ściska!
Podaj mi lutnię! ręka moja drżąca,
Niech smutny rozgłos za łzami wytrąca;
Do mnie wy wiatry! skrzydłami lekkiemi,
Wznieście głos błędny wysoko od ziemi,
W twój gród Fingalu poszlę moje żale,
Ja com rycerskiéj służył niegdyś chwale.
  Wicher północny bramy ci otwiera,
Szeroki obłok niesie bohatera,
Ciebie o królu, co powietrzem władasz,
Na tronie z mieczów błyszczącym zasiadasz,
Ty, przed którego uciekano zbroją,
Dziś ufni wszyscy koło ciebie stoją,
            Twoja powieka
            Mgłą się obleka.
Płaczące gwiazdy odziane żałobą,
W cichéj podróży zostawiasz za sobą,
Dziś stary księżyc puklerzem,
A błyskawica orężem twéj dłoni,

Górne wiatry cień twój goni.
Cóż się wżdy stało z Morwenu rycerzem?
Jakże ponury, jakże on dziś blady,
Ten, co do boju wytykał nam ślady!
Tyś jednak pierwszy władający w górze!
Ty z dłoni miotasz nieprzebrane burze,
Ty w gniewie słońce zatrzymasz lecące,
Ty go odziejesz obłokiem,
Rozsyłasz groty za mgnieniem rażące,
Deszcze wylewasz potokiem.
A gdyś łagodny,
Zefir swobodny,
Przy tobie w koło
Krąży wesoło,
Woniami sieje;
Słońce się śmieje,
Promieńmi swemi
Dosięga ziemi,
Jego blaskiem
Uzłocony,
Chłodnym laskiem
Zdrój od Kony,
Po dolinie
Kręto płynie.
Wiatrów powiewy
Szumią przez krzewy,
Swobodna łania
Matkę przegania.
Słyszę lecący wietrzyk na pastwiska,
Zaszumiała puszcza głucha,
Strona Fingala już blizka,
Dochodzi mojego ucha;
Słyszę jak woła: — Wznieś się Ossjanie!
Tu naszéj chwale wieczyste mieszkanie.
Jako iskry jednéj chwili,
Krótkośmy na ziemi żyli,
Ale wiecznym wieńcem chwała,

Nasze skronie przyodziała,
Chociaż pole naszych czynów,
Głuche wpośród Luty synów,
Omszone cztery kamienie,
Odżywią nasze wspomnienie,
Będzie Selmie znana
Chwała Ossjana.
Pójdź synu do mnie! — tak rycerz woła
Wznieść się w krążące naddziadów koła —
— Idę już idę, o ty duchu świata!
Twój posłaniec już dolata
Wonniejszego wiatru tchnienie
Mnie porusza,
Na przestrzenie
Wzleci dusza,
Wolna wszędzie
Krążyć będzie.
Zniknę na wieki na dolinach Kony,
Jesiennym wiatrem żółty liść niesiony,
Przez rozwarte, puste progi,
Zasypie Selmy podłogi,
Zakurzy moje
Świecące zbroje,
I łuk spuszczony,
I lutni strony,
Pod tą morwą na kamieniu,
Co się z trawy bieli w cieniu,
Sam mię sen zaskoczy;
Wiecznie ja zasnę,
Słońce się jasne
W górę wytoczy,
Niosąc mi wonie
Wietrzyk wesoło
Siwe już czoło
Skrzydłem owionie!
Mijaj wietrzyku!
Mijaj promyku!

Już tu na wieki,
Zwarte powieki.
Czego się smucisz synu Fingalowy?
Tysiąc ci wspomnień ciśnie się do głowy;
Jako dziewica zapłakałeś oczy,
Kamieniem boleść na serceć się tłoczy.
Uciekły czasy z królami dawnemi,
Sława ich czyny nosiła po ziemi,
Znikła i ona — potomność przeminie,
Inny ród przyjdzie i znowu zaginie,
Na ziemi wszystko przemienne
Tak jako listki jesienne
W Morwenu lasku,
Czernią się w piasku,
Kiedy z wiosną
Nowe rosną.
Gdzież się zadziały owe wdzięki Ryna?
Nie ma żadnego po Toskarze syna,
I tyś z Morwenu, śród głośnego żalu
Zniknął Fingalu!
I ciebie Malwino miła
Głęboko ziemia pokryła,
Poszły pod ziemię rycerzów roje,
Wybrzmiały pieśni, rdzewieją zbroje
A drogi trawą zarosły,
Gdzie wozy w boje was niosły,
Leżą królowie, walą się ich grody,
Tyżbyś się ostał bardzie siwobrody?
Kołysz się drzewko! w jesieni
Listek się nie zazieleni,
Ale żyć będzie Ossjana chwała,
Jako Morwenu nie pożyta skała,
Co czołem wzniosła do góry
Roztrąca burze i chmury.

OSSJAN DO SŁOŃCA.

Ty, co przepływasz, jak mych ojców tarcza!
Kto tobie słońce promieni dostarcza?
Ty, gdy wystąpisz w złotéj koronie,
Gwiazdy pokryją się w niebie,
A księżyc zimny i blady
Schyla się w zachód uchodząc w ustronie,
Ty zaś sam idziesz własnemi ślady
I nikt nie zdąży w biegu obok ciebie.

Walą się dęby ze skały,
Góra w płaszczyznę się mieni,
Morze napiętrza i zniża wały,
Księżyc się w jasnéj gubi przestrzeni;
Ty zawsze jedno, wspaniale
Występujesz w twojéj chwale.
Gdy ziemia w chmurach się nurza,
Kiedy grżmi piorun i błyska wysoko
Ty przez obłok rzucisz oko —
Wnet pierzcha wyśmiana burza.

Lecz ach! napróżno patrzysz w Ossjana,
Już on nie widzi twojego przechodu,
Czy włos roztaczasz na obłokach zrana,
Czy drżysz u bramy zachodu.

Lecz i ty może ostatniego roku
Skończysz twój zawód podobnie do ludzi,
Zaśniesz na twoim obłoku,
Głuche na ranek, co ciebie obudzi.
Ciesz się młodości dokąd służy siła,
A starość ciemna, niemiła,
Jest jako księżyc, gdy z góry
Przez rozdarte patrzy chmury,
Kiedy mrok wzgórza osiada,
A wiatr północny krąży w dąbrowie,

Gdy błędny pielgrzym w połowie
Zaczętéj drogi upada.

WALKA WEWNĘTRZNA.

(Myśl z hiszpańskiego.)

Jak gdy jeniec chrześcijański,
Zdala dojrzy krzyż u żagli,
A Korsarza głos pogański
Tém śpieszniéj do rudla nagli.

Tak spodziewne wraca oczy,
Rudlem dąży w inną stronę,
Aże żagle noc otoczy,
Co miała przynieść obronę.

Noc już wkoło rozwinięta,
On na morze łzy wylewa,
Głośniéj brzęczą jego pęta,
Aż rudel tak mu zaśpiewa:

— Czego płaczesz o mój miły?
Ty sam sprawca twojéj doli,
Wszakże oto z całéj siły
Mną kierujesz w kraj niewoli.

Tak ja w więzach smutny stoję,
Ugłądam żagli do koła,
Głośno brzęczą pęta moje,
A rudel smutno mi woła:

— Czego płaczesz o mój miły,
Tyś sam sprawca twojéj doli,

Wszakże oto z całéj siły
Mną kierujesz w kraj niewoli.

Wały! co łzy me pijecie!
Wiatry, które tchnieniem chyżem,
Westchnienia moje niesiecie,
Ach! przynieście żagle z krzyżem!

Niech już Zbawiciela zoczę,
Niech opadną te kajdany,
Niech wolny na brzeg wyskoczę
I ujrzę kraj mój kochany!

UCZEŃ CZARNOKSIĘŻNIKA

(Z Getego).

Poszedł przecię mistrz mój stary,
Dawno miałem już ochotę,
Żeby zrobić jakie czary,
Jego duchom dać robotę.
Znam ja jego cuda
Słowa i zwyczaje,
Przeto mi się zdaje
Że i mnie się uda.
Daléj! daléj!
Żywo, skoro!
Wody sporo!
Kąpiel naléj,
Do zamiaru w téj godzinie
Niech mi tutaj woda spłynie.

Teraz z kąta mój ożogu,
Odziéj mi się tym susfałem,

Dawno służysz przy tym progu,
Teraz panem ja zostałem;
Słuchaj co chce pan!
Miéj dwie nogi zdrowe,
A na wierzchu głowę,
A na głowie dzban.
Daléj, daléj!
Żywo, skoro,
Wody sporo!
Kąpiel naléj.
Do zamiaru, w téj godzinie!
Niech mi tutaj woda spłynie.

Otóż jużci jest u brzegu,
Jako strzała w rzekę wpada,
Jako piorun szybki w biegu,
Przyniósł wody dzban nie lada.
Raz drugi i trzeci
Odwrócił się tuż!
Odleci, przyleci,
Pełno wody już
Ale dosyć,
Dosyć tego!
I do czego
Tyle nosić?
Otóż znowu! o ja głowa!
Wszak ja zapomniałem słowa.

On posłuszny temu słowu,
Czém był dawniéj, ma być znowu!
Znowu niesie, znowu leje
Co tu począć? Oszaleję!
Co chwila przybywa;
Tu już wody stek,
I zewsząd napływa
Jakby ze stu rzek.

Dłużéj czekać
Nic nie nada
Trzeba siekać,
To jest zdrada.
Coraz więcéj strach mię tłoczy,
Co za mina, co za oczy!

O. przeklęty djable stary!
Wszak ja jestem jak w powodzi,
Nié ma temu końca, miary,
Woda progi już przechodzi!
Drągu niegodziwy!
Pójdziesz przecię stąd?
Słuchaj, pókiś żywy,
Wróć mi zaraz w kąt!
Będziesz tedy
Koniec kiedy?
Jak cię schwytam
I przywitam,
Hajdamaku! w sztuki setne,
Jako wiecheć szablą zetnę,

Otoż znowu! już się wlecze,
I z usługą swoją djablą,
Czas już po łbie zmierzyć szablą,
Niech mu z wodą jucha ciecze.
Tęgo! wyśmienicie!
Otóż z niego dwóch!
Teraz czuję życie
Wstąpił we mnie duch.
Boże drogi!
Co ja robię?
Części obie
Mają nogi,
Co za wielkie, straszne gbury,
Rosną i rosną do góry!

Więc nowego draby kształtu,
Coraz więcéj niosą wody;
Już zalane ganki, schody,
Panie mistrzu! ratuj! gwałtu!
Przyszedł — Jak się zbałem!
Pomóż łaską twą
Duchy wywołałem,
Ani odejść chcą.
— Héj! ożogu
W dawną postać!
Przy tym progu
W kącie zostać,
Aże znowu w swéj potrzebie,
Mistrz twój stary wezwie ciebie.

PASTERZ.

(Z Gethego).

Na téj górze, tam wysoko,
Po tysiąc razy stoję,
O laskę wsparty moję,
Po dolinie wodzę oko.

Potém się wlokę za trzodą,
Mój wierny pies jéj pilnuje,
A kiedy z góry zstępuję,
Nie wiem gdzie mnie oczy wiodą.

Widzę w koło kwiatów mnogo,
Ze łzami na nie pozieram,
I schodzę z drogi i zbieram,
Ale sam nie wiem dla kogo.

Pod tém drzewem lato parne,
Przeczekam burze uparte —
Tam widzę okno otwarte —
Ale to wszystko sny marne.

Od jéj chaty, po za gaje,
Warkocze tęcza rozwija,
Lecz ona już mię omija,
I w dalekie poszła kraje.

Przeszła pola i jezioro,
Nie wróci do swéj zagrody —
Mijajcie moje wy trzody,
Bo mnie już wszystko nie skoro.

CZŁOWIEK I CIEŃ.*

Z Herdera.

CZŁOWIEK.

Toś ty za mną, to przedemną!
Chcesz mnie ciągle prześladować,
I, twą postacią nikczemną,
Niby mój obraz malować.

CIEŃ.

O! nie gardź twoim obrazem,
On jest tobie napomnieniem;
Gdybym nie szedł z światłem razem,
To ty w koło byłbyś cieniem.

* Toż samo prozą, wyd. wil. T. VII., 16.

Jeśli słońce jest przed tobą,
Wtedy ja w tyle zostanę:
Lecz zostaw słońce za sobą;
Ja twój cień, przed tobą stanę.

ŚMIERĆ I NIEWOLA.

Z Herdera.*

Aedon serce Filomeli
Miłosnem pieniem przenika,
W tém czyhających ujrzeli,
Tu jastrzębia, tam ptasznika. —

„Kochanko! trzeba wybierać!
Jastrząb z góry, ptasznik z dołu;
Żyć w niewoli lub umierać —
Śmierć kochanku! śmierć pospołu. —

LASKA PROROKA.

(Według Herdera).

Nieszczęsna Sunamitka ze łzami zaklina,
Proroka Elizeja, by wskrzesił jéj syna,
Lecz Prorok pójść rozkazał słudze Gehazemu;
Rzekł mu: — Opasz twe biodra i pójdź do Sunemu,
Dotknij ciała tą laską, a jeśliś szczęśliwy,

* Wyd. 1821.

Jeśli czujesz i wierzysz? syn jéj będzie żywy. —
Wnet Gehazy z radością w podróż się wyprawił,
Bo dawno pragnął, aby cudami się wsławił,
Lud mu drogę zachodzi, i pyta i bada.
— Zmarłego idę wskrzesić, dumnie odpowiada,
Wnet za nim z miast i włości lud ciśnie się w tłoku,
I woła: — Będziesz widzieć cud w nowym Proroku!
Dumnie Prorok przed niemi do Sunemu dążył,
A ujrzawszy zmarłego w koło go okrążył,
Z powagą kładzie laskę na umarłe ciało;
Ale dziecię ni czucie, ni téż głos wydało,
Wnet więc przytyka laskę ku ustom, ku czołu,
Odwraca w lewą, w prawą, od wierzchu, od dołu,
Dziecię zimne i martwe.
I tak miasto cudu
Stał zawstydzony pośród szydzącego ludu.

Na to prorok Elizej przybył do Sunemu,
Naprzód rozejść się kazał ludowi wszystkiemu,
Potém kornie się modlił. Wziął dziecię na dłonie
I w gorącém objęciu trzymał przy swém łonie,
Usta do ust, i piersi do piersi przyłożył
I tak póty pozostał, aż w zmarłym duch ożył.

Niczém sama chęć chwały, nauki i wzory,
Gdzie nie ma wewnątrz czucia i ducha pokory,
Bez nich wiara, ni cnota, ni sztuka nie będzie,
Na próżno z dłoni mistrza odbierasz narzędzie,
Byś jak on cuda działał, jeśli ogniem świętym,
Jako on z woli Nieba, nie jesteś natchniętym.

A L F R E D I M A L W I N A.

Z Szyllera (Ritter Toggenburg).

— Rycerzu! siostry niewinnéj,
Wierną ci miłość wyznaję;
Nie żądaj miłości innéj,
Bo to mi boleść zadaje.
Spokojnym niech cię zobaczę,
Wracasz czyli idziesz w drogę,
Co znaczą te ciche płacze,
Ja wyrozumieć nie mogę. —

To kiedy słyszy w milczeniu,
Tajna go boleść przenika,
Ścisnął siostrę w uniesieniu,
Dosiąda konia i znika,
Szle do Helwetów krainy,
Zagrzewa poczet ściągnięty,
Śpieszy w grody Palestyny,
Na piersiach błyszczy krzyż święty.

Na czele bratnich orszaków,
Wieczystéj dobił się chwały,
Zawsze kity ich szyszaków,
Pośród wrogów powiewały.
Zwalczył liczne Muzułmany,
Imię jego było trwogą,
Ale ciężkie serca rany,
Niczém się zgoić nie mogą.

Za pokojem w bojach goni,
Rok już, znaleść go nie zdoła,
Przed tęsknotą się nie schroni,
Więc porzuca mężnych koła

Na okręcie z podróżnemi
Od Joppy brzegów odpływa;
Płynie do kochanéj ziemi,
Gdzie jéj tchnieniem wiatr powiewa

Przybył przed jéj zamek miły,
Pjıka w bramę z uniesieniem,
Lecz gdy drzwi się otworzyły,
Te słowa słyszy ze drżeniem:
— Już ona świata się zrzekła,
Teraz niebu zaślubiona,
Zakonne szaty oblekła,
Wczora przed ołtarz stawiona. —

Na to z ojcowskich podwoi,
Wychodzi w cichéj rozpaczy;
Już on nigdy ani zbroi,
Ani konia nie zobaczy.
Zrzeka się chwały rycerza,
Schodzi z zamku niepoznany,
Miasto hełmu i pancerza
Włosianą szatą odziany.

Stawia chatę na dolinie,
U podnóżka owéj góry,
Gdzie w czarnych świerków gęstwinie
Bielą się klasztorne mury.
Tam, czy wieczór, czy poranek,
Ciągle patrząc na mur święty,
Siedział samotny kochanek,
Cichą nadzieją zajęty.

Tak wieczory i poranki,
Tak przesiadywał dzień cały,
Patrzył się w okno kochanki,
Aże szyby zabrzęczały,

Aż ujrzał lubą Malwinę,
Gdy jak anioł cicha, miła,
Pogladając na dolinę,
Głowę z okna wychyliła.

A tak znowu pocieszony
Szedł spokojnie na posłanie,
Spał nadzieją utulony,
Aż jutro ranek nastanie,
I tak wiele dni przeczekał,
Tak przesiedział lat nie mało,
Ani bolał, ni narzekał,
Aże okno zabrzęczało.

Aż ujrzał lubą Malwinę.
Gdy jak anioł cicha, miła,
Poglądając na dolinę,
Głowę z okna wychyliła.
I tak jednego poranka,
Ujrzano siedzące ciało;
Umarłe oko kochanka,
Jeszcze się w okno patrzało.

G E N I U S Z.

(Z Schillera).

— Pytasz, czy wieszcze słowa które mędrzec głosi,
W które tłum uczniów wierzy, i w niebo wynosi,
Czy istny spokój tylko na wiedzy spoczywa?
Szczęście z prawem na słupach systemu się skrywa?
Nie ufaćże skłonności, co radzi tajemnie,
Prawa, które natura sama wlała we mnie;
Aż gdy to wieczne pismo stwierdzi pieczęć szkolna,
I w okowy prawideł pójdzie dusza wolna?

Powiedz! boś już wstępował w ten podziem grobowy,
I z zgnilizny zniszczenia powróciłeś zdrowy,
Ty wiesz, co w sobie mieści ten grób słów bez ducha,
Czy tam, u mumji mieszka śmiertelnych otucha?
Pójść-li tą ciemną drogą? — Choć słuszna obawa,
Pójdę przecięż, gdy znajdę w niéj pokój i prawa. —
Przyjacielu! znasz pewnie Saturna wiek złoty?
Są o nim pieśni pełne dziecinnéj prostoty,
Gdy jeszcze u śmiertelnych świętość przebywała,
I czysta dusza, czuciem dziewiczém gorzała.
Gdy ciche prawo potrzeb jednakie i stałe,
Żądze ludzkie wodziło jeszcze nie zbujałe,
Gdy jeszcze ufne czucie, zdrowe i stateczne,
Wskazywało jak zegar, tylko prawdy wieczne?
Wtedy światowych, ani poświęconych znano,
Tego, co w życiu było, w grobach nie szukano.
Równie wszystkim, pojętne wieczne prawdy były,
Równie ukryte źródło, skąd życie sączyły.
Lecz znikły piękne czasy — Dowolność zuchwała,
Gospodarnéj naturze mir boski zmięszała,
Z czucia wybożonogo znikła boska mowa,
W piersi wyszlachetnionéj znikły wieszcze słowa,
Tajemnie tylko w sobie czujny duch je czuje,
I boskich podań, słowo mystyczne pilnuje.
Tu je badacz zaklina; gdy czysty się korzy,
Utraconą naturę mądrość mu otworzy. —
Jeżeliś szczęsny tego nie stracił anioła,
Jeżeli wierne czucie ostrzegać cię zdoła,
Gdy czystą widzisz prawdę w twém oku niewinném,
I głos jéj nieskażony brzmi w sercu dziecinném,
Gdy od rokoszu wątpień twój umysł daleki,
I takim, jak jest dzisiaj, zostanie na wieki,
Gdy walka uczuć nigdy sprawy nie wytoczy,
Zdradzieckie serce światła rozumu nie zmroczy;
Wtedy pan niewinności bogactwa posiędziecz;
Precz z nauką! nie ona, ty uczyć ją będziesz!
Nie dla ciebie ustawy, któremi gmin zjęty,

Co ty czynisz, ty kochasz, to jest zakon święty.
Co twa święta dłoń rzuci, święte rzekną słowa,
To potomność za ukaz najświętszy przechowa,
To zdumiałe umysły wszechmocnie poruszy,
Ty tylko nie znasz Boga, co włada w twéj duszy,
Ni sił, któremi korzysz duchów miliony;
Cichy, spokojny przejdziesz przez świat zwyciężony.

KASSANDRA.

(Z Schillera).

Radość była w Ilionie,
 Nim wielkie mury runęły,
Po lutniach błądziły dłonie,
 Głosem pieśni echa tchnęły,
Wszystkie wolne spoczywały
 Po łzawych bojach prawice,
Gdy Peleja syn wspaniały
 Pryama ślubił dziewicę.

Wawrzynami zdobiąc czoła
 Lud tłumem ciśnie się w gwarze,
Idą wszyscy do Kościoła
 Tymbryjskie święcić ołtarze.
Wszędzie okrzyk radość wzrusza,
 Brzmią pieśni, bachantskie grona;
Ale tylko jedna dusza
 Boleści jest * zostawiona.

* Tajnym smutkom zostawiona. (F. S. D.)

Smutna gdy się wszystko cieszy,
Kassandra sama zostaje,
Opuszczona skrycie śpieszy
W cieniste Apolla gaje.
A w najgłębszą lasu stronę
Ze swémi chroniąc się łzami.
Świętą ż oczu drze zasłonę,
Porzuca, depce nogami;

„Każde serce szczęściem pała,
I wszystko żyje radośnie,
Siostra moja się przybrała,
Rodzicom nadzieja rośnie;
A mnie stroni omamienie,
Ja tylko łzami się poję,
Bo ja widzę jak zniszczenie
Już leci na naszą Troję.“ *

„Ach! pochodnię ogień nieci,
Nie Hymen jednak go żarzy,
Ku obłokom płomień leci,
Lecz nie z ofiarnych ołtarzy.
Uroczystość zgotowana,
Lecz tylko ja przenikliwa;
Już krok słyszę niebios Pana
Co uczty smutnie pozrywa.“

„A mnie łają, że łzy ronię
Szydząc z mojego wołania,
W niedostępne puszcz ustronie
Nieść muszę skargi i łkania.
Wesoły się ze mnie śmieje,
Szczęśliwy znieść mię nie może,
Trudne dałeś mi koleje
Okrutny Pytyjski boże!“

* Skrzydłami leci na Troję. (F. S. D)

„Po co było mnie niewieście
Objawiać prawdy twe święte,
W tém na wieki ciemném mieście
Gdzie wszystkich zmysły zamknięte?
Czemu widzę nieskończenie
To, czego nie zwrócę wiecznie;
Stać się musi przeznaczenie;
Złe musi przybyć koniecznie.“ —

„Mogęż zedrzeć to pokrycie,
Gdzie smutne wyroki straszą?
Omamienie — to jest życie —
Wiadomość śmiercią jest naszą —
Zdejm tę jasność z myśli mojéj,
Co krwawo serce przenika.
Być naczyniem prawdy twojéj
Za wiele na śmiertelnika.

„Błędne zmysłów wróć roskosze
I oddaj dawną ciemnotę,
Odkąd twoje prawdy głoszę
Straciłam wszelką ochotę,
Mnie przyszłości dajesz bycie,
Lecz wziąłeś moment szczęśliwy,
Lecz mi wziąłeś chwil użycie,
Ach odbierz dar twój zwodliwy!

„Odtąd jak Kapłanki dłonią
Czczę twoje ołtarze wieszcze,
Nigdy nie trefiłam wonią,
Nie splotłam włosów mych jeszcze,
Przepłakałam wiek mój młody,
Smutek strawił moje siły,
Przewidziane bliźnich szkody
Najpierwéj we mnie godziły.“ *

* Przez moje serce godziły. (F. S. D.)

„Widzę grona szczęsnéj młodzi,
I wszystko kocha, swawoli,
W wieku gdzie się użyć godzi
Nic nie znam, oprócz niedoli.
Mnie daremnie kwitną wiosny,
Nic moje nie widzi oko,
Któż na ziemi jest radosny
Gdy w życie wgląda głęboko?“

„Szczęsna Polixena płocha
Co w lubym łudzona błędzie,
Najpierwszego z Greków kocha
I sądzi że z nim żyć będzie.
Nie posiada się z radości,
Układów tysiąc ma w głowie,
I wam we śnie nie zazdrości
Wam nawet wielcy bogowie!“

„I jam tego już poznała
Co serce tęskniąc go żąda,
Oko jego ogniem pała,
Wzajemnych ogni ugląda.
Jabym w ślubne z nim okowy
Pod skromne poszła poddasze,
Ale staje duch styxowy
I dłonie rozrywa nasze.“

„Do mnie wszystkie larwy blade
Z piekieł swych * Hekate żenie,
Czyli chodzę, czy się kładę,
Stawają przedemną cienie.
Nawet pomiędzy młodzieżą
W swobodnéj chwili uciechy,
Stają, srogie wycia szerzą —
Nie znajdę nigdzie pociechy!

* Z Erebu (F. S. D.)

„Błyszczą stale pokrwawione,
I tyran gniewem już płonie.
Ach nieszczęsna! w którą stronę
Przed straszną trwogą się schronię?
Nic nie mogę ukryć oku;
Wiém, widzę co mię nie minie,
Muszę dopełnić wyroku
I upaść w obcej krainie.“

Gdy tak jeszcze skargi czyni,
Głos nagle słychać potężny
Od dalekich bram świątyni:
Niech żyje Achilles mężny!
Erys trzęsie węże swoje!
Bogowie uciekli sami!
I na całą wielką Troję
Obwisły chmury z grzmotami.

PRZYPISY.

DO KASSANDRY.

Kassandra (mythol) córka Pryama, króla Troi i Hekuby, otrzymała od Apollina dar przepowiadania pod warunkiem że mu będzie przychylna, lecz wkrótce wzgardziła miłością bożka, który za karę, nie mogąc już pozbawić ją tego daru, zrobił to przynajmniéj, że jéj wierzyć przestano, miano ją nawet za obłąkaną i zamknięto w więzieniu, kiedy przepowiedziała nieszczęścia Troi. W czasie pożaru tego miasta, Kassandra schroniła się do świątyni Pallady i została zgwałconą u stopni ołtarza przez Ajaxa księcia lokryjskiego i następnie uprowadzona do Grecyi przez Agamemnona, ujętego jéj wdziękami, miała z nim dwoje bliźniąt. Lecz Klitemnestra żona Agamemnona, kazała je zamordować razem z rodzicami. Kassandra miała świątynię w Leuktrze, jéj posąg służył za schronienie młodym dziewczętom które chciano zmusić do poślubienia narzeczonych, upośledzonych od natury; zostawały one wówczas kapłankami Kassandry. Lykofron napisał poemat pod tém nazwiskiem.

Ilion — Troja.

Pelej, syn Eaka a ojciec Achillesa i Bogini Tetydy, panował w Tessalij, zrzuciwszy z tronu Akasta, który go chciał zabić.

Peleja syn, Achilles, w 10. roku wojny trojańskiéj, miał zaślubić Polyxenę, córkę Pryama, lecz zraniony w piętę strzałą przez Parysa, umarł z rany.

Pryam, ostatni król Trojański z żoną Hekubą miał 19 dzieci, między innemi Hektora, Parysa, Polyxenę i Kassandrę. Wytrzymywał oblężenie przez lat 10, lecz po zabiciu Hektora przez Achillesa, Troja wzięta została a Pryam nielitościwie zamordowany przez Pyrrusa syna Achillesowego. Wypadek ten miał miejsce około r. 1184 prz. Chr.

Cieszono się w Troi gdy Achilles zaślubił Polyxenę siostrę Kassandry a córkę Pryama króla Trojańskiego.

Wszystkie wolne spoczywały
Po łzawych bojach prawice.

Alle Hände ruhten
Von dem thränenvollen Streit.

Wszystkie ręce spoczywają znużone
Opłakanym bojem, ponieważ.

W niemieckim oryginale Weil, dla tego lepiéj by było:
3. Peleja syn i t. d.

Polyxena, córka Pryama i Hekuby. Gdy wszyscy byli zgromadzeni w świątyni dla obchodu jéj małżeństwa z Achillesem, Parys go zabił. — Po zburzeniu Troi Pyrrus zabił Polyxenę na grobie swego ojca.

ŻAL CERERY.

(Z Schillera.)

Znowuli wiosna powraca?
  Ziemia zawdziała strój nowy,
Słońce pagórki ozłaca,
  Pękają lodów okowy;

W niebieskiém źwierciedle wody,
  Niechmurny Jowisz się śmieje,
Pączki rozwija krzew młody,
  Łagodniéj Fawoni wieje;
W gajach dawne pieśni nucą,
  Ale Oreada woła:
Twoje kwiaty znowu wrócą,
  Córka wrócić już nie zdoła.

Jakże dawno w tęsknym stanie,
  Chodzę, szukam jéj po ziemi;
Każdy twój promień Tytanie!
  Słałam za ślady drogiemi.
Każdy pójdzie, minie, zajdzie,
  Nie powie, czy ona żyje;
Słońce, które wszystko znajdzie,
  Śladu córki nie odkryje.
Czyliś ty ją ojcze bogów
  W górnym Olympie osadził,
Czy do czarnych Orku progów
  Bóg ją piekieł uprowadził?

Kogoż znajdę nieszczęśliwa,
  Posłem mojego cierpienia?
Wiecznie tam łódka odpływa,
  Ale tylko bierze cienia;
Żadne dotąd żywe oczy,
  Nie widziały czarnéj niwy,
A odkąd Styx wały toczy,
  Nie płynął po niéj nikt żywy.
W tamte kraje dróg tysiące,
  Z nich ni ścieżki, ani łodzi,
Widzą tam jéj łzy płynące,
  Nikt do matki nie przychodzi.

Matki Pyrrhy pokolenie,
  Szczęsne że są śmiertelnemi,

Mogą przez grobowe cienie
  Iść za dziećmi porwanemi,
Z olympskiego tylko szczytu
  Zbronne wejście ku téj stronie,
Samych tylko bogów bytu
  Oszczędzają prządek dłonie.
Ach! w noc nocy mię porwijcie,
  Pójdę z niebieskich podwoi,
Prawa bogini nie czcijcie,
  Co matkę goryczą poi.

Gdzie na tronie zlana łzami
  Siedzi z mężem, pójdę za nią,
Cicho z cichemi cieniami
  Stanę przed ich smutną panią;
Tam ona łzawe spojrzenie
  Za złotém światłem potoczy,
Ale wszędzie same cienie,
  I nigdzie matki nie zoczy; —
Aż wtém ją radość okryje,
  Pierś się do piersi przytuli,
I w piekle radość odżyje,
  Piekło się do łez rozczuli.

Sny daremne, czcza nadziejo!
  Wyrok Jowisza jest wieczny,
Spokojnie stałą koleją,
  Toczy się dnia wóz bezpieczny;
Jowisz od cieniów daleki,
  Szczęśliwe odwraca oczy:
Raz uwiedziona, na wieki,
  Już się ze mną nie zjednoczy.
Aż chyba światłem promieni
  Styx ozłocony popłynie,
Chyba po piekieł przestrzeni
  Irida łuk swój rozwinie.

— Nie mamże żadnego śladu
  Droga córko! twojéj ręki?
Nie mam żadnego zakładu,
  Coby słodził moje męki?
Nie ma żadnych węzłów tkliwych,
  Między matką i dziecięciem?
Czyliż umarły od żywych,
  Wiecznêm się dzieli zamknięciem? —
Nie — nie — jeszczem ja od ciebie
  Nie zupełnie oddzielona,
Jeszcze nam przez wyrok w niebie
  Jedna mowa pozwolona.

Kiedy pomrą wiosny dzieci,
  Gdy z północnemi powiewy,
Liść pożółknie, kwiat obleci;
  Nagie będą smutne krzewy.
Wtedy ja z Wertumna rogu,
Najwyższe życie wysieję,
Złote ziarna piekieł bogu,
  Dam w oflerze za nadzieję.
Na serce dziecka je złożę,
  I spuszczę w ziemię ze łzami,
Azali staną się może
  Żalu i serca słowami.

Gdy z lekkiemi godzin skoki,
  Znowu nam ziemia powróci,
Kjedy Febus jasno-oki
  Wszystko, co spało, ocuci,
Ziarna, co oku zginęły,
  W zimnéj ziemi pogrzebane,
Będą radośnie się pięły,
  W krainy słońcem ogrzane,
Kiedy źdźbło strzeli ku niebu,
  Korzeń się puści ku nocy,
Tak bóg światła i Erebu
  Iść im będą ku pomocy.

A tak połową na ziemi,
Połową żyjąc w otchłani,
Będą słowami mojemi,
Posłani od piekieł pani.
Choć samą Pluto zazdrośny,
W niedostępnym cieniu chowa,
Przecię mię zdziebłami wiosny,
Dochodzić będą jéj słowa.
Tam, gdzie duchów poczet blady,
Zdala od złotych dni żyje,
I tam będą życia ślady,
I tam jeszcze serce bije.

Więc witajcież dzieci moje!
O wy młodociane kłosy,
Zawsze was odtąd przepoję,
Nektarami czystéj rosy.
Z promieni kąpiel wam zrobię,
W Irydy piękne kolory,
Listki wasze przyozdobię,
Jak lica wdzięcznéj Aurory,
Niech czytają rozczuleni
Na kwiatach wesołéj wiosny,
Na zwiędłym liściu jesieni,
Stan mój smutny i żałosny.

OBCHÓD ZWYCIĘZTWA.

(Z Schillera.)

Gród Pryama padł na wicki,
Mury Troi w gruzach leżą,
A szczęściem pijane Greki
I obciążone grabieżą,
Siedzą na wysokich nawach,
Wzdłuż Hellespontu pieśń nucą,

Przecież po krwawych rozprawach,
  Do pięknéj Grecyi wrócą. —
Zacznijcie pieśni Achiwy!
  Oto już w ojczystą stronę
Nasze nawy obrócone
  Ujrzymy ojczyste niwy!

A w długich rzędach płaczące,
  Branki trojańskie zasiadły,
Boleśnie w pierś się bijące,
  Włos rozpuściły, pobladły.
W dzikie wesołości pienia,
  Smutne mięszają odgłosy,
Śród ojczyzny zatracenia,
  Swoje opłakują losy:
„Już nie usłyszym o tobie!
  Żegnaj kraju ukochany,
Pod obce idziemy pany;
  Szczęśliwi! którzy śpią w grobie.“

Wysokiéj Olympu radzie
  Kalchas ofiarę zapala,
Pierwszą cześć niesie Palladzie,
  Co stawia miasta i zwala;
Wzywa Neptuna co ziemię
  Wodnemi pasami ściska,
Boga, co na ludzkie plemię
  Groźną Egidą połyska;
„Już przetrwane, wywalczone,
  Długie, ciężkie nasze boje,
Czas wykonał drogę swoje
  Wielkie miasto zwyciężone.“

Syn Atreja władzca ludów,
  Przemierza okiem szeregi,
Co niegdyś na tyle trudów,
  Szły z nim na Skamandra brzegi,

Sam on tylko niespokojny,
  Z żalem liczy pokryjomu,
Jak wielu wyszło do wojny,
  Jak mało wraca do domu —
A więc niech wesoło nucą,
  Wracający do swych progów,
Zdrowi niechaj sławią bogów,
  Bo nie wszyscy, zdrowo wrócą.

— Ale i nie wszystkim zdrowym,
  Da szczęście powrót żądany,
Bo na ołtarzu domowym,
  Może im mord zgotowany;
Zdradą przyjaciół paść mogą,
  Ci co uszli Marsa złości. —
Rzekł Uliss z mądrą przestrogą
  Pełen ateńskiéj mądrości.
Szczęsny, komu wierna żona,
  Sławę domu dochowała,
Bo kobieta jest niestała
  Łatwo ją nowość pokona. —

Tu Atryd pieści na łonie
  Drogo odzyskaną żonę
I w gorące objął dłonie,
  Wdzięki długo upragnione.
Idzie zemsta za złym krokiem,
  Musi miarę spełnić zdrada.
Bo straszna w niebie wysokiém
  Trwa wiecznie Olympu rada;
Zbrodnie za zbrodniami gonią,
  Jowisz w sądach nie ustawa,
Mści się gościnności prawa,
  Sprawiedliwą ważąc dłonią.

Niech wesół, komu los błogi,
  Czyja spełniona nadzieja,

Wielbi olympijskie bogi,
  Rzekł młody syn Oileja;
Bo szczęście ślepe ma oczy
  Bez słuszności dar wypłaca,
Bo Patrokla ziemia tłoczy,
  A Thersyt do domu wraca.
Kiedy ślepo dary ciska
  Przeznaczenie z swojéj skrzyni
Dziś niech wesoł dzięki czyni,
  Ten, kto życia los pozyska.

Wojna najmężniejszych traci,
  Wieczne ci hymny należą
O ty najdzielniejszy z braci!
  Który w bojach byłeś wieżą,
Gdy greckie gorzały nawy,
  Twe dłonie wroga odparły,
A przebiegłość, chytre sprawy,
  Piękną nagrodę wydarły.
Pokój, pokój! cieniom męża,
  On nie poległ wrogów dłonią,
Ajax legł, Ajaxa bronią;
  Gniew i najlepszych zwycięża.

Tu Achillowi wielkiemu
  Neoptolem nalał wina,
Chwała losowi twojemu;
  Chwała ci ojcze jedyna
Chwała jedynie na świecie
  Wyższa jest nad dobra wszelkie;
Wicher ciało w proch rozmiecie,
  Ale żyje imie wielkie.
Wieczną cię chwałą okryje
  Śpiewak, co z pieniami czeka,
Bo ziemskie życie ucieka,
  Lecz umarły wiecznie żyje.

A gdy o tym milczy pienie,
  Komu los zwycięztwa nie da,
Ja uczczę Hektora cienie,
  Rozległ się głos Dyomeda:
Pięknie za ojczyste prawa
  W obronie* poledz na czele,
Większa jest zwycięzcy sława,
  Lecz jego piękniejsze cele;
Szczęsny! kto za ojców bogi
  Z tarczą i orężem ginie,
Cześć mu niosą same wrogi
  Imię jego wiecznie słynie.

Tu Nestor biesiadnik stary,
  Trzech ludzkich pokoleń świadek,
Stawia Hekubie puhary
  Płaczącéj na swój upadek:
Spełnij ożywcze napoje,
  Zapomnij ciężkiéj boleści,
Balsamiczne w sobie zdroje
  Cudowny Bacha dar mieści,
Zapomnij ciężkiéj boleści,
  Spełnij ożywcze napoje,
Balsamiczne w sobie zdroje
  Cudowny Bacha dar mieści.

Cel gniewu twardych niebiosów
  I Niobe skamieniała,
Ziarnem sen dających kłosów,
  Ciężką boleść zwyciężała,
Dopóki żywczéj jagody
  Tkwi na wargach nektar boski,
Z kroplami Lethejskiéj wody,
  Mijają przespane troski,

* Jak tarcza (F. S. D.)

Dopóki żywczéj jagody
  Tkwi na wargach nektar boski,
Mijają przespane troski
  Z kroplami Lethejskiéj wody.

A czując boskie natchnienie,
  Wieszczka wstępuje wysoko,
Na Ilionu płomienie
  Z naw wysokich rzuca oko:
Dymem dzieła śmiertelnika!
  Jak dymy żaru znikają,
Tak ziemska potęga znika,
  Same tylko bogi trwają.
Przy rumaku, przy okręcie,
  Nie śpią troski, krążą wszędzie,
Jutro naszym dniem nie będzie,
  Radujmy się dziś przy święcie.

S Z C Z Ę Ś C I E.

(Z Schillera.)

Szczęsny! kto nim świat widział, już Bogom był miły,
Kogo ręce Wenery w dzieciństwie nosiły,
Komu usta sam Hermes, Feb oczy otworzył
I Jowisz cechę mocy na czole położył.
Wzniosłe, boskie takiemu przeznaczouo losy,
Nim walczył, już w zwycięzki liść ozdobił włosy;
Nim żyć zaczął, już pełne liczono mu życie,
Nim zapasy wytrzymał, stanął przy Charycie.
  Wielkim i cześci godnym uznaję ja męża,
Kto sam swój twórca, cnotą i Parki zwycięża,
Lecz szczęścia nie wywalczy — co Charys zaprzeczy,
Tego niczém nie zdoła zdobyć syn człowieczy:

Byś niegodnie nie działał, wola cię zasłoni,
Lecz najwyższość dowolnie z bogów idzie dłoni,
Jako miłość kochanki, tak są dary nieba,
Przed Zeusem i Amorkiem względów tylko trzeba.
Bogi mają skłonności, i oni są słabi,
Włos piękny i wesołość wesołych przywabi.
Żaden się ich widokiem nie cieszył widzący,
Ich światło widział tylko widzieć nie mogący,
W niewinnéj zwykli sobie podobać dziecinie,
Swą boskość w skromne zwykli zamykać naczynie;
Tu zwiodą zaufałość, tam przybędą sami
Wolnych, nie zobowiążesz prośbą ni groźbami.
Kto mu skłonny, temu Zeus władający w niebie,
Sam swego orła wyszle, każe nieść do siebie;
Według uwidzeń sięga ręką samodzielną,
Którą chwyci, wybierze istotę śmiertelną.
To ją w laury uwieńczy, to w złotą koronę,
Choćby sam dzierżył tylko szczęście odważone.
Szczęśliwemu wystąpi phytijski bóg mężny
I Amor sercowładny, uśmiechem potężny,
Jemu wzburzone morze Neptun ułagodzi,
Cezara z szczęściem jego przeprawi na łodzi,
Lew mu się do nóg skłoni; ten co wzdyma morze,
Delfin z głębi grzbiet wyda, poniesie w pokorze.

Nie złorzecz szczęśliwemu, że zwycięża snadnie,
Że Wenus ulubieńca z pola walk wykradnie,
Temu zajrzę, co doznał Cyprydy opieki,
Nie temu, komu nocą zaćmiła powieki.
Mniéjże szczęsny był Pelid, gdy mu przez Wulkana,
Broń śmiercionośna, tarcza była ukowana;
Gdy się o śmiertelnika trwożył Olymp cały?
To go sławi, że tyle bogi mu sprzyjały,
Że tak czuły gniew jego, dla jego zaszczytu,
Najlepszy ród Helenów słały do Kocytu.

Ani złorzecz piękności, że nie zasłużona
Jak lilija Wenery darami zdobiona;

Patrz na szczęsną, sam szczęsny, że widzisz jéj lica;
Sama bez zasług, ciebie bez zasług zachwyca.
Ciesz się że urok pieśni przychodzi ci z nieba,
Że tobie nuci śpiewak uczony od Feba.
On Bogiem natchnion, boskie będą jego tony;
Przeto, że on szczęśliwy, tyś uszczęśliwiony. —
Niechaj na targu pracy Themis władzę szerzy,
Niech surowo zasługi z nagrodami mierzy,
Ale wesołość sam Bóg wysyła do ludu,
Nie będzie szczęśliwego, gdzie nie będzie cudu.
Wszystko ludzkie staje się, rośnie i dojrzewa,
Z postaci w inną postać czas wszystko przelewa;
Lecz ni szczęście, ni piękność przed tobą się rodzą,
Przez wieczność wykończone, w pełni ci przychodzą.
Każda ziemska, jak pierwsza Olympu Wenera
Z niezgłębionego morza tajny ród odbiera,
Każda równie myśl wielka, jak pierwsza Pallada,
Egidą zbrojną z głowy Jowisza wypada.

POECI STAROŻYTNI.

(Myśl z Schillera.)

Ach! powiedz, gdzie się owi śpiewacy zadziali,
Co skłonny lud ożywczém pieniem napawali?
Co bogów z nieba, ludzi w niebo wiedli pieniem
I dusze jak na skrzydłach nieśli z zachwyceniem?
Ach! żyją oni jeszcze, lecz strona ich głucha,
Brak czynów, by ją wzbudzić. brak czułego ucha.
Błogi szczęśliwych wieków śpiewaku! twe pienia
Z ust do ust, z pokolenia szły do pokolenia;
Jak przed bóstwem natenczas lud przed tym się korzył,
Co mu pędzlem lub dłutem geniusz utworzył:

Czucie ludu rozgrzało zapały wieszczowe,
I pienie z czucia ludu ognie brało nowe,
W słuchaczach śpiewak żywił i czyścił zapały,
Ich serca tchnieniem jego pieśni oddychały,
Ludom się zewnątrz bóstwo niebieskie zjawiało,
Które dziś w sercu ledwo uczućby się dało.

DO MŁODZIEŃCA
UDAJĄCEGO SIĘ NA NAUKI FILOZOFICZNE.

(Z Schillera.)

Surowo młodzian grecki był pierwéj badany,
Nim wstąpił poświęcony w eleuzyjskie ściany;
Czyliż w tobie już do nich odwaga dojrzała,
Gdzie skarb wątpliwy, Pallas ateńska schowała?
Wieszże gdzie cię zawiodą marzenia spodziewne?
Że za szczęście wątpliwe, chcesz zamienić pewne?
Pomnij! czy w strasznéj walce moc twoja dostoi,
Gdy zmysł z czuciem, a czucie z sercem się rozdwoi?
Czyż cię nie trwoży hydra wątpliwości sroga
I nie lękasz się wewnątrz walczącego wroga?
Pójdziesz z sercem niewinném, z zdrowemi oczami,
Zdjąć larwę z fałszu, która pozorem cię mami?
Uciekaj! gdyś niepewny wodza w własném łonie,
Uciekaj z brzegu, zaczém przepaść cię pochłonie:
Wielu, gdy szli za światłem, gorsza noc opadła,
A dziecinność przy nocnéj zorzy drogę zgadła.

K O L U M B.

(Z Schillera.)

Płyń odważny żeglarzu! niech się dowcip śmieje,
Niech majtkowi przy rudlu dłoń znużona mdleje.
Zawsze, zawsze na zachód! tam brzegi być muszą,
Wszak jasno i wyraźnie leżą przed twą duszą.
Wierz bóstwu co cię wiedzie i morzu cichemu,
Gdy nie są, z głębi oku pokażą się twemu;
Geniusz i natura są w przymierzu wiecznie,
Co jeden obiecuje, da druga koniecznie.

MYŚLI WSCHODNIE.

MĄDROŚĆ LOKMANA.

Szczęśliwy, żem od głupców uczyć się nie wstydził,
Tego zawsze się chroniąc, com w nich nienawidził.

PRZEZNACZENIE.

Nad przeznaczenie dane od natury,
Ni mniéj, ni więcéj śmiertelnik nie będzie,
Czyli na dole, czy na szczycie góry,
Czém jest, zostanie i zawsze i wszędzie;
Czy w studni czerpał, czyli w oceanie,
To tylko niesie, co zmieścił we dzbanie.

PROCH I DYAMENT.

Ma swą cenę dyament, choć go proch okryje,
Proch zawsze prochem będzie, choć w niebo się wzbije,

PRZYJAŹŃ.

Jako cień słoneczny z rana,
Przyjaźń ze złym zawiązana,
Zmieni się w lada godzinie;
Przyjaźń szczéra i prawdziwa,
Jak wieczorny cień przybywa,
Póki słońce nie zaginie.

CO JEST W MOCY NASZEJ.

Nikogo nie obrazić pragnę ja i mogę,
Lecz uniknąć zazdrości, kędyż znajdę drogę?

DRZEWO OWOCOWE.

Kiedy się drzewo owocem wzbogaci,
Schyla gałązki, aby człowiek zbierał,
Kiedy się człowiek wywyższy nad braci,
Zniża się z góry, aby bliźnich wspierał.

ORZEŁ I SOWA.

Przypuśćmy, że już orzeł panować nie będzie,
Nigdy sowa dla tego tronu nie posiędzie,

ROBACTWO.

Biada! gdy na wielkiego potwarz się zjednoczy,
Rój mrówek i lwa roztoczy.

WYGNANIE.

Gdy cię Bóg z domu wyrzuci,
Wszędzie stać będziesz za drzwiami,
A kiedy on dom ci wróci,
Wszyscy zaproszą cię sami.

POWOLNE SZCZĘŚCIE.

Zwolna szczęście rosnące najdłuższe ma trwanie,
Doskonałość zawczesna, najprędzéj ustanie,
Ptak, czém być ma, jest zaraz, gdy z gniazda ulata,
Człowiek powoli rośnie, lecz na pana świata,

PRZETAK.

Cierpliwość u kochanka, pieniądz u biédaka,
Prędko ulecą, jak woda z przetaka.

USŁUGI MOŻNYM,

Przez lat sto czciciel ognia czuwał przy płomieniu,
Ołtarz się zajął w jednym oka mgnieniu,
Zapomniane usługi przy ołtarzu świętym,
Został schłoniętym.

SZTUKA RZĄDZENIA.

Odbierz trzodzie pastérza z niewolącą fletnią,
Odbierz ludowi muzy co serca szlachetnią,
W rychle trzoda zdziczeje, lud uczuć zbawiony,
Srogim będzie, od ręki surowéj draźniony.

MĄDRY.

Mądry dla innych tylko, jest ślepy z pochodnią,
Co sam w ciemności idąc, jest innym przewodnią.

WESOŁY.

Chcesz wsparcia przyjacielu, idź z okiem wesołem,
Piękniéj udą się słowo pod pogodném czołem;
A jeśli troski serca pragniesz zwierzyć komu,
Do wesołych się udaj, tam litość jest w domu.

Ż A L.

Przy siedmiu rzeczach duszę mam żalem przejętą:
Gdy księżyc we dnie ukaże się blady,
Gdy na zwiędłéj piękności widzę wdzięków ślady,
Kiedy na łące ujrzę trawę ściętą,
Kiedy bogaty, brudnych zysków się nie wstydzi,
Gdy człowiek piękny mówi niedorzecznie,
Gdy pański ulubieniec potwarza i szydzi.
I gdy poczciwy ubogim jest wiecznie.

Ż Ą D Z E.

Gdyby kotek miał skrzydła, wróbliby nie stało,
Gdyby każdy miał co chce, cóżby mieć się dało?

W Y B Ó R.

Patrz! ten cyprys wyniosły owoców nie rodzi,
Ale słynie, wieczystą zielonością strojny,
Ty bądź palmą pożywną, jeśli los się zgodzi,
Lub jak cyprys bądź wzniosły, wolny i spokojny.

R A D A.

Nie bądź ty posłem smutku — słowik śpiewa z wiosną,
Sowa głosi wieść żałośną.

OSTROŻNOŚĆ,

Szukaj rady u wrogów, lecz jéj nie zawierzaj,
Kiedy ci każą w lewo, ty na prawo zmierzaj.

NABOŻNY NIE POBOŻNY.

Czyje serce dla Boga od ludzi odpadło,
Ten w ciemni siedząc, trzyma przed sobą zwierciadło.

WARTOŚĆ DROBNOSTKI.

Kto garstką ziemię znosi, góry się doczeka,
Z kropli za kroplą, z czasem uzbiera się rzeka.

PRZEZNACZENIE.

Łzy i żale tablicy wyroków nie zmażą,
Nie cofnie tego prośba, co losy rozkażą.
Czyliż anioł, co wiatrom wskazuje koleje,
Pamięta, że gdzieś małe światełko zawieje?

WRONA.

Kto dla siebie samego gromadzi dostatki,
Kto nie żyje dla żony, dla dzieci i matki,

Kto się spólnie nie cieszy, przed bliźniemi kryje,
Ten jak wrona, ubogo i kradzieżą żyje.

WIEDZIEĆ A NIE CZYNIĆ,

Mądrość bez czynów, równa próżnującéj pszczole,
Mów dumnéj, niech bezczynna nie szumi, nie kole.

WĘGIEL.

Jak węgla, czarnéj duszy chroń się w każdéj doli;
Spali cię gdy się żarzy, gdy zimny, osmoli.

ŻART I NAUKA.

Mądry znajdzie naukę w jednem nawet słowie,
Znajdzie sobie przestrogę pod najlichszą fraszką,
Tysiąc mądrych rozdziałów, czytaj próżnéj głowie,
Dla niéj mądrość najwyższa dziecinną igraszką.

BOJAŹŃ BOGA I KRÓLÓW.

Gdybyśmy się tak Nieba, jako Królów bali,
Anieliby świat Niebem, a nas braćmi zwali.

CO ZOSTAJE.

Boleść i radość przeminie,
Jako mgła życie to zginie,
Ale krzywda ciemiężcy, ta wiecznie żyć będzie,
Nasza boleść przeminie, za nim pójdzie wszędzie.

MĄDROŚĆ BEZ CZYNÓW.

Kto pracuje na mądrość, lecz jéj nie używa,
Jest rólnikiem co orze, a nie dba o żniwa!

KWIAT.

Mądry z cnotą równien kwiatu:
Jeśli da się poznać światu,
Zabłyśnie w króla koronie;
Nie poznany, i tak skrycie
Na pustyni wiodąc życie,
Kwitnie i rozlewa wonie.

WYBÓR.

Jeśli prawdę chcecie wiedzieć,
Lepiéj siedzieć, niźli stać,
Lepiéj leżeć, niźli siedzieć,
Lepiéj umrzeć, niźli spać.

PIĘKNOŚĆ.

Nieszczęściem bywa zwykle piękność śmiertelnika,
Próżnym go czyni kwitnąc, a smutnym, gdy znika.

MĄDRY I POBOŻNY.

Oświecaj się pobożny! pobożny sam z siebie
Mądry, wszystko co można wybawi w potrzebie.

PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ.

Szczęśliwy, komu przeszłość w drodze życia świeci,
By w przyszłości bez światła nie został śród drogi,
Ptak chronił się od miejsca, gdzie zostawił sieci,
Byś sam nie był przykładem, korzystaj z przestrogi.

PRZYSŁOWIE CHIŃSKIE.

Tam gdzie szabla rdzawieje, a rydel się świeci,
Kędy prochownie próżne, a pełne są brogi,
Gdzie do kościołów błotem nanoszone .progi,
Kędy ścieżka do sądu trawami zarasta,
Tam gdzie piekarz w pojezdzie, doktór pieszo leci,
Gdzie na podsieniach starce bawią się i dzieci.
Tam jest mądrość ratusza i pomyślność miasta,

SADI.

Do Czytelnika.

Nie jednę cząstkę życia na tom ja poświęcił,
Bym co dobre wyszukał i drugich zachęcił,
Chcesz, czy nie chcesz korzystać, z minionego znoju,
Ja tobie życzę szczęścia, ty mi życz pokoju.

PIEŚNI MADAGASKARU

PODŁUG P. PARNY. *

* Przekład ten umieszczony był częściowo w Pamiętniku Warszawskim 1819 r. T. I. 243. i t. d. Do Pieśni IX. i V. naprzód drukowanych, dołączone objaśnienie, że życzeniem było Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk ułożyć zbiór pieśni i dumek właściwych dla różnych prowincyj Polski, ponieważ „pieśni pospolite ludu składane we właściwy sposób, są najwierniejszym wieku, ducha, obyczajów i dziejów obrazem.“ Chciano zebrać na wzór innych narodów pieśni ludowe, nie tylko krajowe, lecz obce i innych plemion słowiańskich. Te pobudki skłoniły Brodzińskiego do zajęcia się naprzód różnemi tłumaczeniami pieśni ludów słowiańskich i innych. — Pieśni Madagaskaru drukował całe w wydaniu r. 1821. T. II. Str. 15 do 32. Według niego je podajemy. P. R.

OBJAŚNIENIE.

Wyspa Madagaskaru, dzieli się na wiele okręgów do tyluż królów należących, którzy zawsze są przeciw sobie uzbrojeni, owocem tych bojów są niewolnicy, przedawani Europejczykom. Tak bez nas, byłby ten lud spokojny i szczęśliwy. Jest on zręczny, pojętny, dobry i gościnny. Mieszkający na brzegach, słusznie nieufa cudzoziemcom w układach z niemi, używa wszelkich ostrożności roztropnych, a nawet dowcipnych. Jest wesoły z natury. Płeć męzka żyje nieczynna, żeńska pracuje. Z namiętnością lubią muzykę i tańce. Zebrałem niektóre pieśni, mogące dać wyobrażenie ich obyczajów i zwyczajów, nie mają wierszy, poezya ich jest tylko prozą staranną, muzyka prosta i przyjemna, zawsze melancholiczna.

PIEŚNI MADAGASKARU.

I.

Gdzie jest król tego kraju, jak go nazywacie?
„Ampanani się zowie, jest w królewskiej chacie.
„Zaprowadź mnie do niego. — Czy w przyjaznym celu?
„Przychodzę jak przyjaciel. — Wejdź więc przyjacielu!
„Ampananiemu życzę i zdrowia i chwały —
„Zdrowie i chwała tobie cudzoziemcze biały.
Gościnną tobie rękę w mym domu podaję,
Po co do nas przychodzisz? — Zwiedzić wasze kraje.
„Wolne wszędzie dla ciebie i kroki i oczy,
Teraz czas do wieczerzy, już się niebo mroczy,
Wy niewolnicy maty pościelcie na ziemi,
Liściami z bananasu posypcie wielkiemi,
Dajcie źrałych owoców i ryżu i mleka,
Ty baw piękna Neale białego człowieka,
A młode twoje siostry niech się zbiorą w koło,
Niech przy wieczerzy nucą i tańczą wesoło.

II.

Któż to z ludzi będzie śmiały
Z Ampananim żądać boju,
Co wiek swój cały
Przetrawił w znoju?

Dzidę wysadzaną kością
Wyrzucają jego dłonie,
Z wielką szybkością
Goni przez błonie.
Jako palma wzniosła w górze
Świetny przy nim syn urodą,
Ach! palmę młodą,
Obrońcie burze.
Licznie obcy są zebrani
Lecz on szuka z nich jednego,
I Ampanani
Znalazł swojego.
Wrogu! bitnéj twojéj broni
Wieczna niechaj będzie chwała
Co rzutem dłoni
Śmierć mu zadała.
Ale mszczą się jego straty,
Biegną za wojskami twemi,
Pędzą do chaty
A śmierć za niemi.
W kolo walka rozszerzona
Ognie nieci, trupy ściele
Wioska zburzona
Leży w popiele.
Zwycięzcy skryli oręże
Z beczącą wracają trzodą,
W kajdanach męże
I żony wiodą.
Ach! wy dzieci się śmiejecie
Bo nie znacie waszéj doli,
Czuć nie umiecie
Żeście w niewoli!

III.

Syn mój w boju zabity, jedyne wesele!
Syna wodza waszego płaczcie przyjaciele!

Do mieszkania umarłych nieście jego zwłoki,
Otacza je dokoła mur mocny, szeroki.
W głowy byków z rogami cały nasterczony,
Mijaj każdy żyjący te okropne strony.
Straszny jest gniew umarłych i zemsta ich sroga,
Płaczcie syna mojego co poległ od wroga.

MĘŻE.

Już nie będzie broń jego krwią wrogów zbroczona.

KOBIETY.

Już do piersi kochanki nie przytuli łona.

MĘŻE.

Nigdy jemu już owoc dojrzewać nie będzie.

KOBIETY.

Nigdy mu na kolanach kochanka nie siędzie.

MĘŻE.

Nigdy pieśnią pod drzewem nie rozerwie ciszy.

KOBIETY.

Kochanka więcéj jego zalot nie usłyszy.

AMPANANI.

Już więcéj syna mego płakać się nie godzi,
Przestańcie: niech wesele po smutku nadchodzi.
Bo kto wie z was, niestety! jak my śmierci blizcy.
Jutro tam, gdzie on poszedł, może pójdziem wszyscy.

IV.

Nie wierzcie białym mieszkańcom téj ziemi!
Do ojców naszych czasami dawnemi,
Na naszą wyspę przypłynęli biali,
Ojcowie nasi tak do nich mawiali:

„Oto jest ziemia, oto wolne błonie,
„Niech waszych kobiet hodują je dłonie.
„Niech nas ta ziemia jako braci żywi,
„Lecz bądźcie dobrzy, bądźcie sprawiedliwi.“

Z tą obietnicą wszedł do nas lud biały,
Jednak usypał i twierdze i wały.
W miedziane paszcze pozamykał gromy,
Czczony być musiał Bóg nam nieznajomy,
Aż o niewoli wreszcie przemówili,
Długośmy, długo przeciw nim walczyli!
I mimo grzmotów zostali zbitemi,
Nie wierzcie białym mieszkańce téj ziemi! —
Nowi i mocni tyrani zuchwali,
Chorągwie na tych brzegach zatykali,
Ale się niebo ujęło za nami,
Zesłało deszcze, trucizny z wiatrami,
Niemasz ich więcéj, jesteśmy wolnemi,
Nie wierzcie białym mieszkańcy téj ziemi.

V.

AMPANANI.

Jakże się zowiesz niewolnico młoda?

WAINA.

Zwię się Wainą.

AMPANANI.

Piękna twa uroda.
Równa się słońcu pogodnego rana,
Ale dla czego takeś zapłakana?

WAINA.

Miałam młodziana, który był mi luby,
Zginął lub uszedł ucieczką od zguby.

AMPANANI.

Niechaj ucieka albo leży w grobie,
A ja kochankiem będę odtąd tobie.

WAINA.

Ach łzami królu skrapiam twoje nogi!
Miej litość dla mnie, on mi tyle drogi,
On mi całował i oczy i skronie,
Często na mojém odpoczywał łonie,
Nigdy on z serca mojego nie zginie,
Pozwól iść za nim nieszczęsnéj Wainie.

AMPANANI.

Weź tę zasłonę, pójdź za ślady memi.

WAINA.

Między żywemi, między umarłemi,
Szukać go będę i znaleść go muszę.

AMPANANI.

Niech o Waino! niech wyzionę duszę!
Niegodny życia kto w miłości znosi,
Że po nim łzami kochanka się rosi.

VI.

Kanhar i Niang panują na niebie,
Nie idziem z prośbą Kanharze do ciebie,
Bo o cóż prosić dobrotnego Boga?
Prośmy Nianga którego złość sroga. —
O zły Niangu! miej litość nad nami!
Niech nam twój piorun nie grzmi nad głowami.
Każ morzu, niechaj z brzegu nie wychodzi,
Każ drzewu, niechaj źrały owoc rodzi,
Niech ryż kwitnący nie będzie suszony,
Niech w dni nieszczęsne nie rodzą nam żony,

Ani téż dopuść by matka zbolała
Podporę wieku w morze spuszczać miała,
Nie miej Kanhara za nieprzyjaciela,
Nie popsuj darów, których nam udziela
Wielka złych liczba, a ty rządzisz niemi,
Nie chciej Niangu dręczyć dobrych złemi.

VII.

Słodko w dnia upały
Pod cienistém drzewem,
Przeczekać dzień cały
Za wiatru powiewem.

Ku ciemnemu drzewu
Zbliżcie się dziewoje,
Wesołego śpiewu
Pragnie ucho moje.

Śpiewać mi będziecie
Dziewczyny śpiewania,
Kiedy matę plecie,
Albo ryż ogania.

Mnie piękne śpiewanie
I wesołe skoki,
Za całunek stanie,
Ach! zwolnijcie kroki.

Niech się nogi wznoszą,
Niech lubieżnie łudzą,
Postawy rozkoszą
Niechaj żądze budzą.

Przez górzyste drzewa
Księżyc światło szerzy,
Wieczorny wiatr wiewa;
Pójdzie do wieczerzy.

VIII.

Sroga matka złota chciwa,
Jednę córkę w domu całym,
Wiodła na brzeg nieszczęśliwa,
By ją sprzedać ludziom białym.

Nie przedaj mnie matko miła,
Nosiło mnie twoje łono,
Tyś mnie pierwszą urodziła,
Ach, chcesz by mnie uwięziono.

Cóż ci nada moja strata,
Za co czeka mię niewola?
Jam wspierała twoje lata,
Ja za ciebie szłam na pola.

Jam owoce tobie rwała,
Ryb szukałam w głębiach wody,
Jam cię w zimie otulała,
W lecie niosła do ochłody.

Wszystko uprzedzałam wcześnie,
Słałam łoże w cieniach sadu,
I czuwałam aby we śnie
Oganiać cię od owadu.

Matko moja! umrzesz z nędzy,
Gdy ci córki nie dostanie,
Weźmiesz za mnie dość pieniędzy,
Lecz nie kupisz córki za nic.

Wołać będziesz ku pomocy,
Upatrywać córki wszędzie,
Ona płacząc we dnie, w nocy,
Obcym wtedy służyć będzie.

Potyrana w wieku kwiecie,
Utęskniona marnie zginę,

Matko moja wzrusz się przecię,
Bom ja dziecię twe jedyne.

Próżne żale, już przedana,
Na okręcie już na wieki,
Kajdanami okowana,
Płynie z kraju w świat daleki.

IX.

Gdzie jesteś Yauno miła?
Król się obudził, wyciąga dłonie,
Aby na twojém pieścił się łonie,
Yauno! cóżeś zrobiła!

W spokojném ciebie ukryciu
Z nowym kochankiem rozkosze poją,
Śpiesz się dziewico z rozkoszą twoją,
Już to ostatnia w twém życiu. —

Król gniewny mówi do straży:
„Idźcie, Yauny szukajcie wszędzie!
Niechaj z nią razem przywiedzion będzie,
Kto pieścić przy niéj się waży.

„Obojgu śmierć naznaczono,
Śmierci jesteści godni oboje,
Krnąbrny tę dzidę weź w ręce twoje
I przebij kochanki łono.“

Młodzieniec na bok odskoczy,
Przeszyły serce takie wyrazy,
W tył drżącą nogą stąpił trzy razy,
Rękoma zakrywa oczy.

Yauna na to łzy leje,
Wzrok na kochanka rzuca żałośny,
Wzrok słodszy niżli świeży miód wiosny,
Gdzie miłość przez łzy jaśnieje.

Trafiony śmierci żelazem,
Na martwe lubéj upada zwłoki,
O nieszczęślwi! niech dół głęboki
W pokoju mieści was razem. —

X.

Niangu! Boże straszliwy!
Ach, czemuż mi przeznaczono,
Ażeby w dzień nieszczęśliwy
Płód wydało moje łono.

Jak miła po bolach chwila,
Jak słodka matce uciecha,
Gdy się ku dziecku nachyla,
Co się z pościeli uśmiecha.

Lecz jak się ciężko zasmuca,
Kiedy narodzone dziecię
Na dno morza sama rzuca
I dane odbiera życie.

Biada ci dziecię niewinne!
Żeś dzień nieszczęsny witało,
Po nim przez wszystkie dni inne
Nieszczęście by cię ścigało.

Gdyż matka życie zostawi,
Stracisz wdzięki w saméj wiośnie,
Choroba ciało ci strawi,
Nieszczęście w życie twe wrośnie.

Trucizna ryż ten zaleci,
Gdzie pole dłoń twa uprawi,
I ryba przeczuje sieci,
Gdy twoja dłoń je zastawi.

Całunek od lubéj dany
Na ustach zimno ci spłonie,
Smutkowi będziesz oddany
Kochankę pieszcząc na łonie.

Ach uchodź przed temi razy,
Umieraj synu mój drogi!
Byś nie zginął tysiąc razy,
Niangu! Niangu srogi!

TEMPLARYUSZE.

TRAGEDYA w 5ciu AKTACH

ORYGINALNIE NAPISANA

PRZEZ

P. RAYNOUARD.

Z DODANIEM HISTORYCZNÉJ WIADOMOŚCI
O TEMPLARYUSZACH.

WIADOMOŚĆ
O TEMPLARYUSZACH.

Podbicie Jerozolimy przez Krzyżaków, osady Chrześcijan w Azyi na początku wieku XII. założone, powszechny zapał obudziły w Europie. Godfried sprawca tak świetnych czynów, nie długo cieszył się ich owocem, śmierć wyrwała go towarzyszom i dalszym zamiarom. — Tymczasem tysiące Chrześcijan zapragnęły oglądać miejsce zroszone krwią Syna Bożego, zlane późniéj krwią tylu chrześcijańskich rycerzów. Każdy przedsiębrał podróż do Grobu świętego, wielu przebyło ją, inni zginęli nim doszli celu swych życzeń. Śmierć ich nie tak była skutkiem długiéj i trudnéj podróży, jak raczéj niebezpieczeństw w przebywaniu pustyń azyjskich. Wojska niewiernych rozproszone mordowały nieszczęśliwych wędrowców, mszcząc się za zwycięztwa wodza Chrześcian. Mnóstwo przytém nabożnych włóczęgów rozjątrzało przeciw Chrześcianom tamecznych mieszkańców.

Nie ważono się nakoniec puszczać w podróż pojedyńczo, ale połączonemi siłami odbywały się pobożne pielgrzymki.

Ta przecież słaba ostrożność bezbronnych nie zasłoniła ich od miecza Saracenów i Greków.

Wtenczas to w roku 1118 Hugo de Payens i Godfried Uldemar, którzy do Jerozolimy z Godfriedem Bouillon przy-

byli, poświęcili się wraz z siedmiu rycerzami bronić gościńce Palestyny przeciw gwałtom, jakich podróżujący Chrześcijanie doznawali. Niewierny nie śmiejący się mierzyć z odwagą Chrześcian, nie napadał podróżnych, którzy odtąd nie tylko obrony, ale i wszelkiéj doznawali pomocy.

Dla ścieśnienia tych związków nowi rycerze przyjęli religijną regułę, czynili śluby. Z początku żyli z jałmużny, ubodzy, niewielu zwabili ochotników. Jeszcze w roku 1125 dziewięciu ich tylko było. Wzięli nazwisko swoje od mieszkania blizko kościoła Jerozolimskiego.

Ledwo się w Europie rozgłosiło ich poświęcenie, coraz więcéj rycerzów przybywało w ich szeregi, stanęło znakomite wojsko i chwałę osięgło. *Sobór w Troy* i Papież Honoryusz II. potwierdził ich związek uroczyście w roku 1128. S. Bernard protektor Templaryuszów, mąż nadzwyczajny, którego życie służyćby mogło za wzór wszystkim politykom i filozofom, nadał im przepisy podobne nieco do zakonu Benedyktynów. Ubiegano się w zachęceniu i nadgrodach dla mężów, równie powodzeniem wojenném jak poświęceniem się wsławionych. Wielu książąt i znakomitych osób weszło do zakonu, jako prości żołnierze, poddając się surowym przepisom.

„Żyli (mówi S. Bernard)* nie mając żadnéj własności, a nawet własnéj woli, prosto odziani, pyłem zakurzeni, opaleni słonecznym promieniem, zdawali się nieśmiertelni jak wiara co ich ożywiała. Nic ich odwagi zachwiać nie mogło, żadna przeciwność nie oziębiła, wielkość niebezpieczeństw zdobiła zwycięztwo, przed bitwą wiarą wewnątrz a żelazem zewnątrz się uzbrajali, każdy krok ich był krokiem do potomności, każde uderzenie oznaczało męża wprawnego do zwycięztw, cała ich ufność była w Bogu i broni, walcząc za Jego chwałę, szukali tylko pewnego zwycięztwa albo śmierci chwalebnéj.“

Podlegli W. Mistrzowi byli posłuszni, ojcem go zowiąc. W wielu okolicznościach wystawiali się za wodza, który zawsze jako prosty Templaryusz walczył, nie różnił on się tylko szukaniem niebezpieczeństw. — Jeżeli odwaga jego przywiodła

* D. Bernardi, exhortatio ad milites templi.

którego z rycerzy o śmierć, każdy umierając polecał się niebu, mówiąc: „Dzięki ci Opatrzności! zachowałeś naszego ojca, naszego W. Mistrza.“ — W jednéj rozprawie blizko brzegów Jordanu W. Mistrz pojmany został przez Saladyna, na miejsce jego wszyscy się za jeńców podają. „Nie! zawołał, jestem wam ojcem, do mnie należy nosić więzy wam przeznaczone. Wróćcie do braci, jeśli tu polegnę, są między wami co mię zastąpią.“ Zmieszani Templaryusze nie wiedzą co odpowiedzieć. Tu W. Mistrz już nie prosząc, ale groźnym rzekł tonem: „Rycerze! czyż te więzy mają mi wasze posłuszeństwo odebrać? Dotąd i zawsze wasz wódz rozkazuje, oddalcie się, idźcie gdzie sława i obowiązek was wzywa.“ Wtenczas jako dzieci ostatnią cześć ojcu składające, oddalili się rycerze bolesny wzrok rzucając za tym, co ich odwagę nie dawno ożywiał. Nieprzyjaciel dumiał się na ten nieznany mu widok.

Z rozgłosem sławy rosła potęga zakonu, już nietylko liczna szlachta zaciągała się w jego szeregi, ale królowie i ludy ze wszech stron Europy nieśli mu ofiary. Około roku 1140 mieli Templaryusze wszędzie rozległe posiadłości i twierdze. Wkrótce potém odnieśli znaczne zwycięztwa nad Maurami w Portugalii i Hiszpanii, królowie oddawali im miejsce zdobyte. Około roku 1150 osiedli głównie w Paryżu.

Papież Eugeniusz, który z królem Ludwikiem młodym zasiadał w roku 1147 na ich liczném zgromadzeniu, zaczął ich odtąd obdarzać przywilejami.

Dzieje Krzyżackie zapełnione są czynami Templaryuszów. Oni to najwięcéj się przyłożyli do utrzymania przez dwa wieki potęgi Europejskiéj na wschodzie. Wojenne ich zasady od założyciela nadane, utrzymywały ich na czele chrześcijańskiego rycerstwa. W czasach gdy dzikość obyczajów i anarchia czyniły wojsko rozwiązłem i nieposłusznėm, jedna tylko religia mogła karność ustalić. Taka karność przepisaną była Templaryuszom, któréj bardziéj ulegali, niż królom najmożniejszym. — Wojsko to zakonne wprowadziło pożyteczne odmiany w taktyce i uzbrojeniu. Templaryusze najmniéj byli żelazem obciążeni. Pewna miara w odwadze przepisaną im była przez prawa bez przesady, ale z surowością. Żaden nie mógł uciekać przed trzema

nieprzyjaciółmi. Tak zaszczepiła się w wojsku miłość honoru, gdy razem zapobieżono niebacznej odwadze, która skutek bitwy niepewnym czyniąc, mężów często bez potrzeby gubiła. Także ustawom Templaryuszów winien był wiek ówczesny istotną poprawę prawa ludów. Oni pierwsi mniej okrutne prowadzili wojny, i wierni byli w układach z nieprzyjaciółmi ich wiary.

Każdy rycerz przyjmowany odpowiadał na następujące pytania:

Czy chcesz złączyć się z nami osobą i majątkiem?

Czy jesteś szlachcicem?

Czy znasz obowiązki naszego stanu i czy się im ślepo poddajesz?

Czy nie ślubowałeś nikomu, czyli masz dzieci?

Czy wierzysz w inną religią prócz Zbawiciela naszego?

Czy nie zaciągnąłeś jakowych długów?

Czy zdrów jesteś na ciele?

Skoro na te pytania dostateczna nastąpiła odpowiedź, trzej najstarsi zakonu prowadzili go przed W. Mistrza, przed którym następującą wykonał przysięgę:

„Przysięgam słowami, bronią, siłami i życiem bronić tajemnice wiary, jedności Boga. Przyrzekam posłuszeństwo W. Mistrzowi. Pójdę walczyć za morzami gdy będzie potrzeba. Wszelką przyrzekam pomoc przeciw królom i książętom, niewiernym etc. etc. Przed trzema nieprzyjaciółmi nie ucieknę, i chociaż sam jeden, walczyć będę. Poddam się wszelkim wypadkom i wyrokowi Boga, tak jak Chrystus, gdy na krzyżu umierał.“ etc.

Nie było u nich pewnego nowicyatu, W. Mistrz oznaczał go według zdania swojego. Dzielili się Templaryusze na klassy rycerzów, noszących broń i braci służących, do których później duchowni w roku 1172 jako kapelani i pisarze przybyli. Nosili wszyscy pasy wełniane, wyobrażające poświęcenie się czystości; duchowni mieli białe, służący siwe lub czarne odzienie, rycerze prócz prostego rycerskiego uzbrojenia, nosili białe wełniane płaszcze z czerwonym krzyżem. Sztandar Templaryuszów nazywał się *Bauccant*, na którym był napis:

Non nobis Domine, non nobis sed nomini Tuo da gloriam. Po skończonych nabożeństwach szli do boju za sztandarem, pobożne pieśni śpiewając.

Ze stanu rycerskiego, do którego władza i posiadłości zakonu należały, wybierani byli w kapitułach urzędnicy zakonu. W. Mistrz miał dostojność książęcą i równał się panującym w Europie, albowiem zakon według przywilejów Papiezkich nie podlegał ani świeckim ani duchownym sądom. Takowa wolność połączona z siłą rycerską na lądzie i na morzu, korzyści wojenne i pobożne ofiary, według ducha tego wieku czynione, rycerze z majętnych domów ze wszystkiém towarzystwu oddani, oddzieleni od wszelkich stosunków świata, wszystko to wznosiło zakon Templaryuszów tak skromny w początkach swoich do coraz silniejszéj potęgi, co téż najważniejszą było jego zguby przyczyną. Przywileje i bogactwa prowadzić muszą do dumy i nadużycia, zwracając zarazem oczy zawiści i obawy.

Nigdy przecież według dziejów pisanych już po upadku Templaryuszów, nie może bezstronny czytelnik dawać wyroku o ich obyczajach i opiniach. Pisarze współcześni świadki ich czynów, sami nawet papieże i królowie tyle ich zakonowi sprzyjający, są tu godniejszemi wiary świadkami.

Żaden pisarz współczesny, jeżeli odłączemy zabobonne zarzuty wieku ciemności, nie zadaje im występków, za które sądzeni byli. Przysłowie *boire comme un Templier* wymyślone było dopiero po zniesieniu zakonu, które przecież nic więcéj przeciw nim dowodzićby mogło, jak przysłowie dawniejsze *bibere papaliter*, które Manswetus J. t. 2. p. 341. przywodzi. Nigdy Templaryusze nie byli wyszydzani przez Trubadurów, gdy wiemy, że ci poeci nigdy nie pobłażali zepsuciu wieku swojego, nastając bez litości na duchownych, książąt i możnych.

W pięciu ostatnich latach przed zniesieniem zakonu wstawiali się za niemi papieże do królów Anglii, Arragonii i Cypru.

Sobór Salcburgski w r. 1292 postanowił zakon św. Jana i Teutoński włączyć w jeden zakon Templaryuszów. Gdyby wtenczas Templaryusze nie mieli przynajmniéj tych zalet co

inne zakony, nie mogłoby takie postanowienie nastąpić. Ponieważ Templaryusze byli sami z siebie możniejsi i liczbą i bogactwy, obadwa pomienione zakony przewyższający i ponieważ wcielonym do siebie mieli nadać swoje maxymy i obyczaje, widoczna jest że sobor Salcburgski to połączenie proponujący zakon Templaryuszów za godny naśladowania uznał. Jakób Molay podał do tego projekt Papieżowi. Powszechném jest mniemaniem że ten znakomity rycerz pisać nie umiał, w tém jednak piśmie widać zasady rozumu i mądrości, któremi uczony szczyciłby się powinien.

Łatwo poznać, że przepisy Templaryuszów ściślejsze były od innych zakonów, gdy W. Mistrz w rzeczoném piśmie tak mówi: „Potrzeba będzie ażeby się albo Templaryusze bardzo rozprzęgli, albo żeby zakon św. Jana w wielu rzeczach do reformy przystąpił.“*

Opuściemy tu nader ciemne dzieje Templaryuszów od ich założenia aż do czasów Filipa Pięknego, pod którym nieszczęśliwy los rycerzy znakomite miejsce w dziejach chrześcijańskich zajmujących, wielu pism stał się powodem, wymieniemy pokrótce przyczyny ich oskarżenia i pobudki tak okropnego wyroku, wprzód jednak należy czytelnikowi dać poznać ostatniego Mistrza Templaryuszów, który nie mogąc utrzymać zakonu, chwałę jego stałością i zgonem chwalebnym unieśmiertelnił.

Jakób Bernhard Mollay z szlachetnéj krwi w Burgundyi urodzony, ledwo lat piętnastu dochodził, gdy sława zwycięztw chrześcijańskich rycerzy zapaliła serce młodzieńca. Porzucił Burgundyą puszczając się w ślady swoich poprzedników. Pierwszy zawód Mollaya był jego tryumfem. Wkrótce przyjęty do zakonu Templaryuszów, zadziwiał rycerskiemi przymioty braci i W. Mistrza, chociaż z tak znakomitemi rywalami miał do czynienia. Ale im więcéj chwała rycerzy się wzmagała, tém on usilniéj starał się ich przewyższyć. Bezsenność, niebezpieczeństwo, prace, były jego żywiołem. Za chwałą przebył on morza, miłość Boga czyniła go niezwyciężonym,

* Bauluziu vita pap. av n. T. 2. p. 180.

niezmordowanym, tak że wszędzie spotykał szczątki chwały, która braciom jego ujść mogła. W dwudziestym piątym roku życia swojego stał się już postrachem niewiernych. Palestyna drżała przed męztwem jego, pełna jego chwały. Zaletom jego nic dodać nie można. Wielki bez okazałości, odważny bez dumy, zwycięzki bez uprzedzenia, a o cnotach jego chcąc mówić, do niego tylko równać je można.*

Był przecięż inny zaszczyt dla niego, do którego skromność dążyć mu broniła. Znaczenie W. Mistrza dalekie było od jego myśli, zresztą wiek jego, znaczna liczba dawnych zasłużonych rycerzy, dalekim mu się kazały uważać od téj dostojności, przeznaczenie atoli czuwało nad nim.

Rozbójnicy niszczyli ziemie palestyńskie. Chrześcijanie żądali pomocy W. Mistrza, wysłuchano żądanie, zebrała się rada, ale nieszczęściem zakon przez oddalenie się wielu rycerzy był natenczas zbyt osłabiony. Mollay pełen młodzieńczego zapału, rozczulony widokiem proszących Chrześcijan zawołał: „Nie czas tu w takim zdarzeniu niebezpieczeństwa rozważać, widzicie łzy braci naszych, osądźcie, jak staniemy przed Bogiem, odmówiwszy opieki nieszczęśliwym. Kiedyżeśmy to żywych nieprzyjaciół liczyli? Mianuj Wielki Mistrzu zastępcę, niech nas prowadzi do chwały.“

Głos ten przejął W. Mistrza i braci, W. Mistrz mianuje Mollaya swoim zastępcą, a wybór ten całe rycerstwo z radością przyjęło.

Wyruszył nowy dowódzca na czele dwóchset rycerzów, najmłodszy ze wszystkich, oblega trzykroć liczniejszego nieprzyjaciela w murach Zarametu, ranny, po długich walkach zdobywa miasto i najokrutniejszego z wodzów niewiernych Altefmara własną ręką zabija, większą przecież połowę wojska straciwszy. Wkrótce potém na wodach Nicei znakomite nad Turkami odniósł zwycięztwo. Tak codzień do nowéj postępując chwały, torował sobie czynami drogę do najwyższego stopnia w zakonie.

Jakoż W. Mistrz obciążony wiekiem, ceniąc zdolności

* Histoire de Templiers. Paris 1805.

Mollaya, pragnął go mieć swoim następcą, nadając mu wszelką sposobność do rozwijania talentów jakie w nim widział. Wkrótce Mollay dał się poznać u dworu francuzkiego. Filip Piękny uważał go jako nadzwyczajnego w wieku ówczesnym człowieka, używał go do rozmaitych wypraw, które zawsze z pomyślnością zakończał. Joanna królowa Francyi i Nawaryi powiła następcę tronu, Filip, którego szacunek dla Mollaya w przyjaźń się później zamienił, wezwał go do trzymania do chrztu syna swojego. *

Odtąd fortuna coraz nowe dary zlewała na niego. Ceniony u dworu, kochany od towarzyszów, wszędzie był pożądany.

Znużony jednak wielkością, a nienawidząc bezczynności, otrzymał od króla zezwolenie prowadzenia pewnéj liczby braci pod rozkazami wodza *de Necle*. Tu odnowił dawne zwycięztwa nad niewiernymi. Ale wkrótce los świetniejszy powołał go od sztandarów królewskich do Palestyny. Alfir Sułtan Egiptski odebrał wiele miast Chrześcijanom. Wyruszył przeciw niemu Mollay z wszelkiemi honorami W. Mistrza, co niejako wróżbą dla niego było, gdyż ledwo brzegi Francyi opuścił, W. Mistrz życie zakończył. Kapituła zgromadzona jednogłośnie Mollya obiera. Wdzięczność jaką król Templaryuszom oświadczył za ten wybór, dowodzi ile Mollay był od niego ceniony. W czasie uroczystego obrzędu, gdy tę dostojność obejmował, rzekł Mollay do braci: „Raczyliście mię zaszczycić ufnością waszą, przyrzekam wieczną pamięć tego co wam winien jestem. Przyjaźń króla, jakożkolwiek świetną jest dla mnie, nie jest mi droższą od dowodów przywiązania, które z oczu waszych wyczytuję.“

Te słowa, oznaczające tylko uniesienie wdzięcznego serca, były pobudką między innemi do gniewu Filipa Pięknego.

Odnosił jeszcze Mollay na czele Templaryuszów zwycięztwa nad Sułtanem spólnie z francuzkiemi, genueńskiemi i weneckiemi roty. Tu godząc dumę i niezgody wojsk połączonych, niezmordowany. poświęcający się doszedł do szczytu

* St. Fox. Tom 3. p. 271.

wprawy i chwały wojennéj, po długich przecież walkach osłabieni w siłach Templaryusze, odcięci na wyspie Arade, długo jeszcze byli postrachem nieprzyjaciół. W. Mistrz nie widząc pomocy i dalszéj nadziei, postanowił oddalić się na wyspę Cypru z wyborem rycerzy, gdzie przeciw Kaprom Saraceńskim pomniejsze toczyli boje. Przełożywszy królowi widoki swoje, za jego pomocą dwadzieścia okrętów na tych brzegach przygotował i gdy właśnie do nowych zwycięztw dla chrześcijaństwa i króla swojego plany układał, otrzymuje wyraźny rozkaz od papieża Klemensa V. odwołujący do Francyi jego i wszystkich rycerzy. Zatrzymany Mollay w nowym zawodzie do chwały, zdziwiony tak nagłym rozkazem nie dociekając jego przyczyny, poświęcając jednakże chwałę posłuszeństwu dla głowy kościoła, z czterdziestu rycerzami pospiesza do Francyi. Wylądowawszy w Marsylii udał się do Avignon gdzie przedstawiony papieżowi z wielką był uprzejmością przyjęty. Ale gdy szło o powody odwołania, Klemens wahał się w odpowiedzi, nadmieniając tylko, że zamięszania wszczęte we Francyi potrzebują pomocy Templaryuszów. Mollay niespokojny przybywa do Paryża; śmierć królowéj napełniła wtenczas dwór żałobą, Filip przecież ukrywając swoje zamiary, przyjął dawnego przyjaciela z wszelkiemi oznakami przywiązania. Nie przewidując tajemnicy, oczekiwał Mollay spokojny rozkazów papieża i króla.

Wkrótce rozszerzyły się po Francyi okropne wieści. Zakon stał się podejrzany panującym. Tajemnice i obrzędy przy recepcyach ściśle ukrywane, ścisły związek który wszystkie postępki Templaryuszów oznaczał, a najwięcéj ich wziętość i bogactwa, mogły być słusznym powodem podejrzenia. Oskarżano ich o życie rozwięzłe w Palestynie i o wiele występków kacerskich. Nie dowierzał Mollay tym wieściom, ale gdy się coraz szerzyły, dał na nie najściślejsze baczenie. Wrócił do papieża, do którego ledwo przypuszczony prosił o formalne roztrząsanie zarzutów i przywrócenie honoru. Klemens pocieszając troskliwość, przyrzekł swe wsparcie. spokojnie Mollay oczekiwał dalszych wypadków nie wiedząc o ciosach przygotowanych.

Filip Piękny, któremu historya chwałę oddaje, iż pierwszy zwołał stany krajowe, nie ma przecież w dziejach zdania za sobą. Rozmaite olbrzymie plany, uzurpacye i chęć powiększenia kraju, które przez trzydzieści lat panowanie Filipa oznaczały, dowodzą człowieka dumnego, śmiałego do przesady, co często historya nazywała zręcznością i geniuszem. W życiu prywatném chciwość i ambicya zapełniały serce jego twarde nie znające żadnego uniesienia. Pierwszy on jak mówią miał tytuł *Metuendissimus*. Nie lepsi byli dworzanie, któremi się otaczał. Zaufanie w sobie wzmagające się przez dwadzieścia lat panowania, bezkarność zuchwałych przedsięwzięć, bądź przeciw prywatnym, bądź przeciw ludom, zwycięztwo w niebezpiecznych zatargach nad Bonifacym VIII., wyniesienie na stolicę papiezką biskupa swojego narodu, sprawiły w nim mniemanie, że wszystko może chcieć i czynić. Po śmierci niezbłaganego wroga Bonifacego VIII. i jego następcy Benedykta XI. chcąc się Filip przeciw władzy papiezkiéj nadal zapewnić, władzą swoją i tajemnym wpływem arcybiskupowi Bordejskiemu Bertrandowi de Got koronę papiezką wyrobił. Odtąd głowa kościoła narzędziem była woli Filipa. Świadczą dzieje jak dumę swoją uczuć mu dawał, Klemens papież ledwie mógł utrzymać pozór swéj dostojności. Przed obiorem jego uwiadomił go Filip potajemnie w klasztorze (*Saint Jean d'Angeli*) r. 1305 o szczęściu jego i swoich zamiarach ogłosił warunki które mu przewagę w świecie i w duchowieństwie miały zapewnić. Główniejsze były, że Klemens stolicę papiezką z Rzymu do Avignon przeniesie.* Że po nastąpionéj smierci Albrechta cesarza niemieckiego papież użyje wszelkich środków do utrzymania cesarstwa dla brata jego Karola Valois. Ważnym był nakoniec warunek zniesienia Templaryuszów, których się wziętości obawiał, a skarbów pragnął.

W takichto ręku była sprawa i los nieszczęśliwego zakonu.

* To przeniesie ie sto icy do *Avignon* bolało kardynałów, gdzie głowa kościoła, obok króla źle myślącego poniżona pod władzą świecką, nie to mówić i c ynić mogła, co sprawiedliwości i władzy przystało, a.e co król i doradcy jego chcieli i rozkazali.

Bzovius annal. Ecclesi T. XIV. ad an. 1305 na 3. § 2.

Marygini minister i Nogaret kanclerz tak skarbem zawiadowali,* że lud podatkami obciążony, wziął się do buntu, zrabowano mennice, sam król był w niebezpieczeństwie.** Nogaret zazdroszcząc skarbów Templaryuszów, doniósł ich królowi, jako naczelników buntu. Król widząc dogodną porę, potwierdził widoki ministra, zguba Templaryuszów postanowiona, Mollay oczekując na obietnice papieża ujrzał się w kajdanach. Kilkudziesiąt najznakomitszych rycerzy z nim uwięziono. W tymże dniu udał się król do ich zamku, skarby i sprzęty zajął. Nogaret widząc jakie wrażenie ten postępek zrobił na ludu przywiązanym do zakonu, ogłosił skargę i zeznanie dwóch rycerzy zakonu. Były to skargi najczarniejsze przeciw obyczajom i religii.

Wszyscy historycy, mówi *Dupui*, zgadzają się, „że pierwszą przyczyną zguby Templaryuszów byli Prior *Montfaucon* i *de Noffedoi* Florenczyk wygnańce z kraju, którzy Templaryuszami zostali. Pierwszy sądem W. Mistrza skazany był za życie występne na wieczne więzienie, drugi ukarany surowo przez sąd w Paryżu"

Król ogłosił akt zaskarżenia, mieniąc ich towarzystwem niewiernêm, *którego czyny i same słowa mogą skazić ziemię i zarazić powietrze.**** Mieszkańcy Paryża zwołani w królewskim ogrodzie; wszystkim gminom głoszą komisarze przestępstwa zakonu.† Inkwizytor Wilhelm spowiednik królewski rozpoczął badanie. W. Mistrz i rycerze więzieni bez wszelkiej pomocy, władca tylu skarbów, przyjaciel królewski pozbawiony pierwszych potrzeb do życia.†† Odmówiono im pomocy duchownéj pod pozorem że byli heretycy.††† Żaden notaryusz

* Przedtêm skarby królewskie składane były w zamku Templaryuszów.

** Mezeray Histoire de France T. II. p. 320.

*** Circulaire de Philipp le Bel du 14. Septembre 1307.

† Joan. canonic Sti Victoris.

†† ††† Bazule 525 p.

nia śmiał ich bronić. § Dwudziestu sześciu książąt i pierwszych urzędników Filipa oświadczali się na oskarżycieli Ze wszech stron dosyłano skargi. Król od wielu panujących odebrał zapewnienie podobnegoż losu Templaryuszów. Z Rzymu wydano bullę exkommunikacyi, ktoby przytułek, pomoc lub radę dawał sądzonym.* Życie, wolność i skarby ofiarowano tym, którzyby się przyznać chcieli.

Pokazano im zmyślony list W. Mistrza wzywający do zeznania. Lecz stali wszystkim środkom się oparli, oddano ich na tortury, wymuszano zeznania, a gdy który w spoczynku boleści odwoływał, karano go śmiercią, nie jako zeznającego zbrodnie, ale jako odwołującego. Żarliwość i nienawiść doszły tak daleko, że wygrzebywano i palono kości Templaryuszów zmarłych przed oskarżeniem.**

Bolesną i odrażającą byłoby rzeczą wymieniać zarzuty Templaryuszom poczynione, był to smutny owoc ciemności wieku, i dzięki dzisiejszemu światłu, dzięki dobrze zrozumianym moralności zasadom, które nad ofiarami równie jak nad ofiarnikami litować się każą. Mogły być błędy oskarżonych, były to błędy ludzi, ludzi zepsutych powodzeniem, możnością i ciągłym obozem, któremi przecież mądre i surowe ustawy z dzielnym skutkiem władały, były błędy skarżących, lecz były to błędy wieku ciemności, w którym nieoświecona żar-

§ Dupuy 167.

* Nos enim omnes et singu os cujus cumque praeminentiae sint,.., qui supra dictis Templariis, vel eorum alicui scienter publice vel oculte praestabunt auxilium, consilium, vel favorem, vel alias, ipsos vel aliquos ipsorum receptare vel retinere aut eis ut praemittitur favore praesumpserint, auctoritate praesentium excommu icationis sententia innodamus... Absolutionem praedictorum praeterquam in mortis articulo, ac relaxationem ipsius interdicti nobis nostrisque successoribus reservantes... etc.

Datum Tolose 3 Kal. Januar. pontificatus nostri anno quarto.

** Ossa cujusdam dudum defuncti scilicet M. Joannis de Thure exhumata atque combusta.

Joan. canonic. Sti Victoris.

liwość religijna, służyć niestety musiała za narzędzie przebiegłości i dumy chciwego monarchy.

Główniejsze zarzuty były, że nieuznawali Chrystusa, że krzyż deptali w obrzędach, że W. Mistrz słuchał ich spowiedzi i od pokuty uwalniał, że się dopuszczali bezecnéj rozpusty i t. d. Nie przystało w tém piśmie wymieniać wszystkich zarzutów, oburzających moralność i oświecenie, ciekawszych czytelników odesłać musiemy do licznych dzieł i dowodów sprawy, mianowicie do pism w téj mierze Dupuy, Nicolai itd. Dość tymczasem namienić, że chciwość Filipa wszędzie dowiedziona. Nawet historycy, którzy przyznawali słuszność tak okropnego postępku, nie wątpią po większéj części o grabieży bogactw Templaryuszów, a prócz pisarzy francuzkich, czterdziestu zagranicznych liczyć można, którzy sprawę zakonu utrzymywali. — Od ogłoszenia akt oryginalnych całego procesu, więcéj o prawdzie czytelnik sądzić jest zdolny, niżeli z autorów, którzy za tą, lub ową stroną z uniesieniem pisali.

Zawołany Molay przed sąd arcybiskupów, biskupów i pod styrem inkwizytora, w liczbie 300 zgromadzonych, na zapytanie czyli chce bronić zakonu? odpowiedział:

„Że mocno się dziwi, iż Kościół rzymski tak śpieszno działa przeciw zakonowi wzniesionemu przez stolicę papiezką, od któréj tyle opieki doznawał, kiedy trzydzieści dwa lat odwlóczono sąd na cesarza Fryderyka II., że chociaż nie przyznaje sobie dość zręczności do prowadzenia w takim stanie obrony, nie może przed sądem ludu i swego sumienia uwolnić się od bronienia zakonu, w ktorym tyle korzyści i zaszczytu odnosił. Że jakożkolwiek trudne jest jego przedsięwzięcie jako niewolnikowi papieża i króla, w nędzy zostającemu, uczyni co w mocy mieć będzie chociażby mu cztery tylko denary zostały, że prosi do tego o wsparcie i poradę. dodał, że celem jego jest wyświecić prawdę, nie tylko przez świadectwa osób do zakonu należących, ale królów, książąt, możnych i starszych duchowieństwa z całego świata, i chociaż mogą być biskupi, przeciw którym bracia utrzymanie praw

swoich za daleko posuwali, przecież odważa się odwołać na ich samych świadectwa."

Trudne to było przedsięwzięcie, gdy zwłaszcza W. Mistrz miał tylko jednego brata służącego przy sobie, komisarze przeto radzili mu dojrzały namysł, albo przyznanie podanych punktów. Na mocne obstawanie za obroną, zezwolili nakoniec przewłokę czasu, z dodaniem przecie, że w sprawach herezyi dotyczących sądownictwo jest proste, i że zwłoka ani patronowie w takim razie nie mogą mieć miejsca.

Następnie w obecności jego odczytano w języku pospolitym bullę apostolską, przez którą roztrząsanie sprawy zakonu było im polecone i cztery breve papiezkie. Gdy przyszło do punktów wymieniających zeznanie W. Mistrza przed trzema kardynałami! *Berenger*, *Etienne i Landulf*, przeżegnał się po dwa kroć zdziwiony dodatkami jego zeznania i osnową listów apostolskich. Rzekł między innemi: „Daj Boże aby u nas tak postępowano z oszczercami jak u Saracenów i Turków, którym oni głowy ucinają i ciało na członki sieką."

Uwięzieni Templaryusze wyrazili się w słowach następujących, które tu z tą samą prostotą przyłączamy. *

„Nie zachowano w sprawie naszéj żadnych prawnych formalności.

„Ujęto nas jak owce prowadzone do jatek.

„Wyzutych ze wszelkich własności wtrącono w okropne więzienie.

„Znieśliśmy męczarnie wszelkiego rodzaju. Większa część rycerzów wymarła na torturach, wielu przymuszono świadczyć przeciwko sobie, wyznanie przez ból wymuszone, ani ich, ani zakonu nie plami. Dla otrzymania zeznań, pokazywano im list królewski, ogłaszający, że zakon na zawsze zniesiony, że obiecuje życie, wolność i majątki każdemu, kto świadczyć będzie przeciw zakonowi.

„Wszystkie te postępki tak jawne, że nie masz sposobu ich zaprzeczenia... Czysty jest nasz zakon, nie popełnił ni-

* Processus contra Templarios.

gdy tego, co mu zarzucają, skarżący raczéj są heretycy i niewierni Chrześcianie.

„Wiara nasza, jest wiarą kościoła, ślubujemy posłuszeństwu, czystości i wojennemu poświęceniu się w obronie religii przeciw niewiernym.

„Gotowi jesteśmy utrzymać i dowieśdź naszą niewinność słowem, czynem i wszystkiemi środkami

„Chcemy stanąć osobiście i bronić się przed sądem przyzwoitym.

„Niechaj rycerze którzy porzucili szaty zakonne i wyprzysięgli się braci, świadcząc przeciw nim, strzeżeni będą pod władzą Kościoła, dopóki dowiedzone nie będzie, że prawdziwie lub fałszywo świadczyli.“

„Niechaj przy obwinionych nikogo nie będzie, coby ich trwożył.

„Rycerze tak są przerażeni, że mniéj dziwić się należy ich fałszywym zeznaniom, jak uwielbiać odwagę stojących przy prawdzie, pomimo niebezpieczeństw i słusznéj obawy.

„Rzecz zadziwiająca, że więcéj zyskali wiary ci, którzy ochraniając doczesne życie. ustępując torturom i zwodniczym obietnicom, fałsze zeznali, niżeli ci, którzy broniąc prawdy, zginęli z palmą męczeńską, i ci, których większa część dopełniając jedynie powinności sumienia, tyle okrucieństw już zniosła i co dzień jeszcze ponosi.“

Pod pozorem zadość uczynienia żądaniu W. Mistrza, wyprowadzono go z więzienia do *Chinon*, czyniąc nadzieję, że będzie mógł się usprawiedliwić przed głową Kościoła, pocieszając go opieką króla, gdy tymczasem stronnicy dworu najczarniejsze na pozostałych Templaryuszów rzucali potwarze. Wielu zginęło na torturach, wielu pojedyńczo popalono, inni przez ohydne fałsze okupili życie, oskarżyciele nagrody otrzymali. Najgłówniejsi byli wspomnieni wyżéj *Montfaucon i Noffedoy*, którzy też nie długo potém ohydne życie godną ich postępków śmiercią zakończyli. Pierwszy powieszony za nowe występki. drugi w miejscu ohydném zamordowany. Marigni Enguerrand, który najwięcéj na zgubę Templaryuszów działał nie mniéj smutne owoce ujrzał dzieł swoich. Nieprzyjaciel jego Valois

wyrobił uwięzienie żony jego i siostry, świadkowie dowodzili, że one używały czarownika *de Lor* na zgubę króla i inne. Po wysłuchaniu świadków, spalono czarownika wraz z żoną, a Marini mimo dostojności na karę szubienicy skazany.

Na wniesienie papieża i króla w różnych krajach więziono Templaryuszów. Sądzeni byli we Włoszech, w Arragonii, Hiszpania oddała ich Inkwizycyi. Król Cypru łagodniéj w téj mierze postępował. W Niemczech Concilium Moguńckie uznało ich niewinnemi. Król angielski pisał do papieża za niemi w słowach następujących: „Ponieważ W. Mistrz i Templaryusze wierni religii katolickiéj, są od nas i od narodu naszego poważani, tak dla obyczajów jako i postępków, nie mogę tak podejrzanym oskarżeniom dać wiary, dopóki o nich zupełnie przekonany nie będę." *

Jeżeli ten monarcha dozwolił późniéj sądu na Templaryuszów, obchodzono się z niemi według słuszności.

Mollay kilka lat w więzieniu ponoszący niedostatek najpierwszych potrzeb, słysząc jednakże że płomienie codzień prawie jego rycerzy pożerają, i nie widząc sposobu ratowania nieszczęśliwych, sam wiekiem i tylu nieszczęściami i samotnością więzienia osłabiony, uwiedziony nakoniec pomyślnemi obietnicami, przyszedł do nieszczęśliwéj słabości, że przyznał niektóre zarzuty, mianowicie nieuznawanie Chrystusa i znieważanie krzyża. Ta słabość nieszczęśliwego starca, posłużyła mocno zniecierpliwionym wrogom zakonu. Po długiem uwodzeniu go iż przed papieżem bronić się może, złożył to zeznanie przed dwoma kardynałami.

Filip słysząc odgłosy, że skarby przyniesione przez Templaryuszów ze wschodu pierwszą były przyczyną ich prześladowania, postanowił wszelkiemi środkami koniec przyśpieszyć. Chciał on uroczystością zeznania złagodzić umysły ludu, już oburzonego codziennym krwi rozlewem. Dzień ten był posępny i przerażający. Wystawiono obszerne rusztowanie przed kościołem (*Notre-Dame*). Wieść się rozległa po mieście, że w tém miejscu W. Mistrz wyzna zbrodnie, o które sam się

* Rymer T. 3, ad an. 1307.

obwinił. Ciekawość widzenia wojownika tak wsławionego czynami i nieszczęściem, wyznającego nakoniec publicznie przestępstwa, tłumy ludu ściągnęła. Przeraził widok starca osiwiałego, którego blizny dawne dzieje przypominały. Kajdany jego i odzież, twarz wynędzniała, świadczyły okropność cierpień jego w więzieniu, pochodnia w ręku jego przypominała oręż Chrześciaństwu poświęcony. Legat papiezki kazawszy mu wstąpić na rusztowanie, czytał głośno przy zebranym tłumie wyrok zmieniający karę śmierci na wieczne więzienie, wymieniając wszelkie oburzające zdrożności dowiedzione rycerzom. Przestrach zdjął patrzących, kiedy W. Mistrz posępnem milczeniem zdaje się wszystko przyznawać. Legat chcący scenę uroczystszą uczynić, wzywa go, aby głośno ponowił wyznanie już wyrzeczone. — „Tak jest, chcę mówić“ (odpowiedział), a wystąpiwszy na brzeg rusztowania rzekł: „Za długo milczałem z prawdą, przyjmij Boże przysięgę moję, przysięgam, że wszystko co mówiono o Templaryuszach jest fałszem, że wszystkie ustawy jego dążyły do wiary, miłości i prawdy, jeżeli popadłem słabości, nalegany od króla i papieża mówić inaczéj, jeżeli chciałem przeto zawiesić na chwilę moje i braci cierpienia, żałuję tego. Głos mój zapala gniewem prześladowców naszych, widzę już płomienie nam zgotowane, poddaję się wszelkim cierpieniom i wyznaję przed tobą Boże mój, że nic nie zdoła zmazać obrazy, którą przeciw braciom, prawdzie i wierze popełniłem.“ *

Na ten głos niespodziewany, tysiączne ozwały się okrzyki przeciw prześladowcom zakonu. W. Mistrza odprowadzono do więzienia. Doniesiono królowi wypadek, który zapobiegając złym skutkom takowéj śmiałości, postanowił wraz z komisyą, ażeby Mollay i brat *Dauphain d'Auvergne*, który także zeznanie odwołał, jeszcze tego wieczora na karę ognia skazani zostali.

Mollay dręczony dawném zeznaniem, starał się wszelkiemi środkami już nie od kary, ale od zarzutów uwolnić, ale w więzieniu pozbawiony był wszelkich środków do tego. Przy-

* Histoire de Paris L. H.

muszany powtórnie do zeznania, toż samo równie uroczystym oświadczył sposobem. Po takowym czynie. osłabiony zapał obudził się w stroskanym starcu, pogoda jaśniała na czole jego, pewny blizkiego zgonu, cieszył się ocaleniem chwały. Jakoż we dwie godziny przybyli posłańcy z nowém żądaniem Inkwizytora. Już Mollay żadnych obietnic ani żądań nie przyjął, gotowość tylko na śmierć okazując. Tym to posłańcom, uniesiony świętym zapałem, miał wyrzec przepowiedzenie śmierci Filipa przed jednym rokiem, a Klemensa papieża przed dniami czterdziestu. *

Przygotowanie exekucyi działo się z nadzwyczajnym pospiechem. Tłum ludu otaczający miejsce gdzie rusztowanie sporządzono liczną strażą nie mógł być cofnięty. Spóźniono wykonanie aż do wieczora, w myśli że noc mnóstwo ludu rozproszy, ale nadaremnie. Stosy wystawione były na placu Henryka IV. Miejsce to przecięte było odnogą rzeki. która je na dwie wysepki dzieliła. Nadeszła okropna godzina, ciemna noc dodawała przerażenia. Wieziono W. Mistrza na wozie pogrzebnym z nieszczęśliwym bratem *Dauphain d'Auvergne*. Lud w milczeniu postępuje za niemi. Spokojna twarz męczenników zdawała się oznaczać. że raczéj wjeżdżają z tryumfem do miasta zdobytego. W. Mistrz nie widzi nic prócz Boga, za którego umiera, krzyki ludu przerywały tylko zadumanie, gdy oczy podnosząc, widział zdala pochodnie mające zająć stos jego. Wtenczas okiem wdzięczność wyrażającem, poglądał na przychylnych, którzy wóz otaczali. Widzi w około przyjaciół i krewnych, których dopiero na wozie pogrzebnym oglądać mu wolno.

Gdy przybył na miejsce, odgłos powszechny oznajmuje łaskę królewską i wolność temu, ktokolwiek z nich przyzna

* Wszyscy historycy dowodzą to proroctwo zapewnie z podania ludu, a nawet Justus Lipsius. Czytamy w piśmie: *Facta dicta memorabilia* etc., że Templaryusz spalony w Bordeaux także króla i papieża wzywał przed Boski Trybunał. Chociażby to było tylko podanie ludu, dowodzi przecię. że zdanie publiczne było przeciw zniszczeniu Templaryuszów. *Raynouard.*

się do zbrodni. Ani widok okropnych przygotowań, ani płacz krewnych i prośby przyjaciół nie mogły zachwiać ich stałości, zabiegi, prośby i zagrożenie, wszystko daremne. *

Spokojny wstępuje Mollay na rusztowanie, a wzniósłszy ręce do nieba rzekł: „Boże! Ty uzbroiłeś ramię moje na polu Twych nieprzyjaciół, zdarz mi tę palmę którą pierwszym pracom moim przyobiecałaś. Znasz niewinność naszą, jeżeli nieprzyjaciele mogą nas zgubić w oczach ludu, Twoja dobroć niech nam nagrodzi. Za chwilę wzniesie się duch mój do Twojej litości. Jeżeli popełniłem błędy o których nie wiem, spraw niech je pamięć moja przypomni, niech cię żal mój przebłaga, ażebym bez plamy stanął przed Tobą. Jeśli błaganie moje dojdzie do Twego tronu, racz darować nieprzyjaciołom moim jak to ja czynię. Kiedyś ich żal równy będzie boleściom nam wyrządzonym, a wtenczas godni będą Twojej litości."

Po tej modlitwie rozległo się wołanie ludu, jeszcze odgłosy łaski słyszeć się dają, chciano się rzucić na rusztowanie, ale płomień już ogarnął swoje ofiary. Lud wznosi ręce do nieba, przerażenie wstrzymało głos każdego, już nie widać przedmiotu litości, ale hymny pobożne rozlegają się z płomieni, powoli, i te przerażające odgłosy ustają, każdego pierwszéj oddając boleści. Rzuca się lud w ognisko, rozgarnia głownie i wyszukuje szczątków nieszczęśliwych, wydziera sobie popioły, jako pamiątkę świątobliwości. Walczą o ogniwa z rozerwanych łańcuchów aby unieść smutną pamiątkę.

Tak nakoniec po długich zabiegach dworu i nieszczęściach rycerzy, śmierć Mollaya otworzyła pole zgubie Templaryuszów po wszystkich krajach. Wszyscy monarchowie z mniejszą lub większą srogością tępili zakon, z równą wszędzie chciwością dzieliło się wszystko co mogło ich skarbami. Papież zagarnął wiele funduszów należących Templaryuszom. Z dóbr ich w Langwedocji, gdzie najbogatsi byli, ustąpił mu król neapolitański Karol II. połowę sprzętów. ** Król angielski lubo się

* Mansvetus T. II. p. 236

** C'étoit se deshonnorer pour peu de chose. *dit Voltaire.*

z Templaryuszami łagodniej obchodził, po ich jednak zniesieniu wszystkie ich dobra zagarnął. Toż samo królowie Kastylii i Arragonii. W Niemczech inne zakony, a po części rycerze Teutońscy podzielili się ich dobrami. We Włoszech wiele na ich zgubie zyskały klasztory, godna uwagi, że Dominikanie nie mieli ztąd korzyści, chociaż najwięcej przyczynili się do zguby Templaryuszów. Biskupi nie zapomnieli o sobie, pamiętano nawet o zakonnicach.

Król duński sprawiedliwie i roztropnie działający, postąpił wcale przeciwnie od współczesnych monarchów i przeciw wyrokom stolicy Rzymskiej. Templaryusze nosili wtenczas nazwisko rycerzy Chrystusa, nadane sobie od Ś. Bernarda. Denis więc utworzył zakon Chrystusowy, któremu dobra ich nadał. Do czerwonych krzyżów templarskich dodano tylko mały krzyż biały we środek, nie potępiając Templaryuszów, włączono ich pierwszych do nowego zakonu. Nowy przecież ten zakon zatrzymawszy w kraju wszystkie posiadłości Templaryuszów, wcale od nich się różnił. Zależał on zupełnie od króla, a mistrz i urzędnicy przez niego potwierdzani byli. Żaden nie mógł się udawać na wojnę krzyżacką, i tylko Portugalczykowie wstępować mogli do zakonu. Każdy brat nowy składał przysięgę przełożonemu Cystersów. Te i inne urządzenia sprawiły, że nowi rycerze uszli zepsuciu, które służyło za pozór do zguby ich braci.

Nie od rzeczy tu będzie namienić o skarbach, które pierwszą były przyczyną zguby Templaryuszów. W pięćdziesiąt lat po utworzeniu zakonu, nie było już nad niego żadnej władzy zamożniejszej w Europie, a dobra jego nie przestały się powiększać w wieku XIII. Dochody zakonu liczą historycy do dwóch milionów, co wynosi więcej nad 54 miliony teraźniejszej monety francuzkiej, dochód ogromny w czasach, gdy król pobierał tylko z dóbr swoich ośmdziesiąt tysięcy liwrów, wynoszących podług powyższego rachunku około dwóch milionów dwóchkroć sto tysięcy franków. Mateusz z Paryża historyk średniego wieku, liczy do dziewięciu tysięcy posiadłości Templaryuszów w państwach chrześcijańskich. Własność ruchoma wynosić miała drugie tyle co posiadłości. Zbytek też Tem-

plaryaszów był uderzający. Wspaniałość ich kościołów przechodziła wszystko. Trudno obliczyć ich zyski na morzu, dary od królów, możnych i ludów, wniesienia które każdy brat, a nawet służący czynić musiał, wstępując do zakonu. Nadto skarb zakonu był kassą i bankiem całéj prawie Europy, bądź dla książąt, bądź dla prywatnych. Wysyłający żołnierzy do ziemi świętéj, albo pielgrzymi tam składali summy, które im w równéj wartości wypłacone były w domach do tego przeznaczonych na wschodzie. Skarb ich miał długi u monarchów, Templaryusze wyposażyli siostrę Filipa pięknego. Nie mniejsze czynili papieżowi przysługi.

Trudno było historykom obliczyć zyski Filipa z majątku Templaryuszów. Lubo ten monarcha musiał późniéj poczynić ofiary z ich pozostałości, dochody przecięż przez dziewięć lat, które do dwunastu milionów liczono, nie licząc co się przy nim późniéj zostało, skarb główny i kassy po różnych miejsach w jego się ręce dostały, wszystkie do tego długi winne zakonowi on przejął.

Otoż wielkie bogactwa Templaryuszów były największą ich zbrodnią. Jestto prawda ciągle dziejami dowodzona, że jak największe narody zbytkami, tak i najlepsze towarzystwa zbytkami upadają. Filip prócz tego miał jeszcze inne mocne powody do zguby zakonu, któryto monarcha wraz popularny i despota (jak mówi Chenier) — działał razem złe i dobre nie ze skłonności serca, ale z interessu, i nie wybierał z cnoty ani z występków, tylko to, co mu mogło przynieść użytek.“

Filip w całém panowaniu swojém uważa Templaryuszów jako przeciwnych jego zamiarom, coż może być gorszego dla króla, którego wszystkie czynności oznaczała duma i chciwość? Jego postępowanie z nieprzyjaciółmi i zawziętość, które go w okropne i niesprawiedliwe wojny plątały, jego wyuzdana zuchwałość w zatargach z Bonifacym, którego ciało chciał wygrzebać i kości spalić, wszystko pokazuje widocznie, że dawne jakiekolwiek urazy na Templaryuszów, przywiodły go do nienawiści, że ta nim władała, jakkolwiek chciał się odziewać religijnym płaszczykiem. Ale do tego polityka potwier-

działa głos namiętności. Towarzystwo tak potężne, któremu lud tyle przychylności okazywał, mające wojska po wszystkich stronach, zapasy do wspierania sprzymierzonych, jak się to działo w Palestynie, wojsko celujące karnością, odwagą i sztuką wojenną, twierdze, flota na wschodzie, zażyłość ze wszystkiemi dworami, związki z domami, wpływ nakoniec ich rządu oligarchicznego, były nadto zagrażające królowi. Pewna jest, że w jakowém zdarzeniu wojsko tak liczne mogłoby się połączyć z Panami nie sprzyjającymi dworowi, którzy też w niedługim czasie sami związek przeciw niemu utworzyli i twierdzić można, mówi to autor, z którego tę uwagę czerpiemy: „że łatwą była rewolucya przeciw tronowi lub dynastyi francuzkiéj, albo, żeby jéj Filip nie uniknął inaczéj, jak utwierdzając te prawa, które w wieku przeszłym wolność angielską założyły.“* Chociaż król w manifeście swoim żadnej nie ogłosił obawy i chociaż nic podobnego domyślać się nie można było we Francyi, samo przywidzenie niebezpieczeństwa, mogło przywieść charakter Filipa połączony z chciwością, do tak okrutnego postępku.

Mimo że Klemens był narzędziem woli Filipa, dodajmy do tego że tak przeciw najwyższej władzy jako i przeciw duchownym Templaryusze popełnili błędy przyspieszające ich zgubę. Byli oni razem dumni jako duchowni i jako rycerze. Duchowna ich duma równała się dumie całego na ówczas duchowieństwa, co tém więcéj uderzało, że rycerze chociaż ślubami połączeni, przecięż kapłanami nie byli. Jako rycerze, czuli przemoc odwagi i zwycięztw i dawali ją uczuć. Skoro zdołali, wyjęli się z pod władzy patryarchy Jerozolimskiego, dziesięciny nawet odmówili. Papież Innocenty III., który im najwięcéj nadał przywilejów i bezpośrednio pod swoją tylko przyjął jurysdykcyą, użalał się na nich, mówiąc że godni są utracić wolności apostolskie, których nadużywają.**

Inni także królowie mieli przeciw Templaryuszom powody. Leon król aremeński w roku 1200 uskarżał się, że

* Memoires historiques sur les Templiers, par G.
** Dupuy — Nicolai.

posiadając liczne dobra w jego kraju, odmówili mu pomocy, gdy szedł przeciw niewiernym. Również za postępki przeciw władzy Henryka III. w Anglii musiał ich papież Honoryusz III napominać, chociaż często sam bronił ich strony przeciw świeckiéj władzy.*

Przecież mimo tych powodów, sprawiedliwych do ukrócenia władzy i wyniosłości zakonu, dziwna rzecz, iż jedyne prawie oskarżenia stanowią w procesie Templaryuszów występki przeciw wierze i obyczajom. Łatwo się przeceiż domyślić, że każdy zamach na tak potężny zakon potrzebował wielkiego namysłu, że wykonanie groziło niebezpieczeństwem. Potrzeba było środków nagłych i gwałtownych, do takich najłatwiejszym powód religijny. Właśnie wśród namysłu Filipa, doszły go, jakośmy wyżéj widzieli, zaskarżenia na Templaryuszów o kacerskie zasady, a wyrokom na podobne występki, papież chociażby nie jako Klemens ale sam z siebie działał, nie mógłby się przeciwić. Filip używał tylko miecza i stosów powszechnych w ówczesnym wieku, przy najmniejszym pozorze kacerstwa, ażeby silnie i prędko wykonał to, do czego wprzód z polityką zwolna tylko mógł się ośmielać. Jużby niepotrzebną było rzeczą dla teraźniejszych czytelników roztrząsać a têm bardziéj usprawiedliwiać nieszczęśliwych Templaryuszów z zarzutów tego rodzaju. W wieku tym, przywidzenia tylko, woli lub interesu przebiegłego tak jak był Filip, lub obudzenia zapału ciemnego fanatyzmu potrzeba było, ażeby każdy a nawet sędziowie podobnym zarzutom jak Templaryusze podpadli i surową karę odnieśli.

Mniéj dziwić nas będzie okropność losu rycerzy, gdy się obejrzemy na wieki, w których każdy rok, każdy naród chrześcijański naznaczony jest krwawą ręką fanatyzmu. Czarownica jedna pod Karolem IX. palona, wyznała, że ma towarzyszów swéj sztuki do trzech tysięcy. Sam biskup *Guichard* przed Filipem oskarżony był za czary, przez które królową Joannę żonę jego zgubił ze świata. Dworzanie Filipa rozgłosili po śmierci Bonifacego papieża, że tenże czarnemi

* Dupui. Nicolai.

zmazał się zbrodniami, że był heretykiem, czartowi duszę zaprzedał i t. d. i skarg takowych i dowodów sądownie słuchano. Symbola prawdziwie chrześcijańskie jakie znaleziono u Templaryuszów, dowodziły w tym wieku, że czczą złe duchy i przez nich działają, ich potęga i niejaka wyższość światła w duchu wieku jeszcze bardziéj to potwierdzało. Zważywszy przytém surowe kary za wykroczenie przeciw ustawom kościoła, obok tego że Templaryusze nie ulegali duchowieństwu, że mieli tajemne obrzędy, czémżebyśmy mogli Templaryuszów w oczach przesądnych usprawiedliwić? Pamiętajmy, że to w tych wiekach spalono w Strasburgu r. 1212 sto ludzi, że mimo nakazu mięso jedli i bezżeństwu przeciwni byli,* że w Sztetynie palono wzbraniających się od dziesięciny i t. p.**

Nie dziwiłby nas okropny wyrok za kacerstwa, gdyż naturalnie wtenczas nie dochodzono zkąd one brały początek, pozor każdy musiał być dowodem, ale oburzy każdego, że do ciemności ludzi, którzy może w mniemaniu dobrze czynienia tak skwapliwie postępowali, mięszała się rachuba polityczna, wszędzie naznaczona cechą niesprawiedliwości, jakiéj każda niemal karta procesu a szczególniéj instrukcye sędziom od inkwizytora dane, widocznie dowodzą.***

Jeżeliśmy przypuścili, że nie tylko charakter Filipa pięknego, ale i polityczne, słuszne z niektórych względów widoki, nakazały mu zgubę Templaryuszów, zobaczmy także czyli sam powszechny duch ciemności chęć usłużenia królowi i pomsta za dumę Templaryuszów, stać się mogły powodem, iż niesłychanym jeszcze naówczas sposobem, duchowieństwo rozpoczęło sąd na same tylko żądanie Filipa, a co większa że surowego sądu świętéj inkwizycyi zakonni przeciw zakonnym użyli.

Wszelkie zaskarżenia przeciw wierze i obyczajom Templaryuszów, nie mogłyby być tak silne, gdyby przyjmowanie do ich zakonu nie było tajemne, na którém przeciw regule

* Ritter Tr. de Stetingis Titeb. 1751. Mutü Chron Germ.
** Tenże.
*** Dupui. Instrukcye dane przez inkwizytora.

wszystkich klasztorów, nawet krewni i rodzice znajdować się nie mogli. Ztąd podejrzenia i powody do skarg wszelkiego rodzaju, do których powoli coraz obszerniejsze pogłoski przygotowały.

Przecięż od samych przepisów przez S. Bernarda z początku zakonowi nadanych, widzimy, że tajemnica i milczenie zawsze go cechowały. Nadto tajemnica przyjęcia nowego rycerza była symbolem nauczającym go, że się od świata zupełnie oddzielił i nowe zaciąga obowiązki.

Kiedy w czasach wznoszenia się zakonu Templaryuszów najgrubsza ciemność chrześcijaństwo okrywała, rozmaite wiadomości kwitnęły w państwach mahometańskich. Były tam znakomite biblioteki* i akademije, nauka lekarska, chemija, matematyka doskonalona, a filozofia rozszerzała się według wzorów greckich, których pisarzy tłómaczono. Templaryusze coraz bliżéj zapoznawali się z Saracenami, których nauki, a szczególniéj wyobrażenia o jedności Boga, dawały powód do sporów teologicznych między chrześcijanami, co bardzo zniespokajało wyższych kapłanów, tém więcéj że złe postępki wojsk krzyżackich, wyższy stopień moralności Saracenów wykazywały. Przy bliższych stosunkach z Saracenami przyjęli Templaryusze zapewnie niektóre symbola, które w tajemnych obrzędach i wizerunkach zachowywali. Ilekolwiek takowe tajemnice wiadome być mogły, słusznie w duchowieństwie mnożyły podejrzenie o opiniach i zamiarach tego zakonu. Wiadomo przytém że niektórzy Saraceni byli przypuszczani do obrzędów zakonu i że w statutach znajduje się między urzędnikami sekretarz czyli pisarz Saraceńczyk, mimo że niektórzy utrzymują, iż tenże był chrześcijanin z Syryi.

Cóżkolwiek bądź, roztrząsanie sprawy Templaryuszów nic wierze chrześcijańskiéj przeciwnego wykazać nie może.

* Król francuzki Ludwik święty, powróciwszy z niewoli wschodniéj, założył bibliotekę w pałacu swoim, do któréj wiele książek przepisać i zakupić rozkazał, naśladował w tém książąt Mahometańskich, u których wiele bibliotek znajdował. Mówił ón: „Dzieci tamtéj ziemi rozumniejsze są, niż dzieci światła.“

Crevier T. II. N. 36.

Wzmianka o wypieraniu się Chrystusa Pana była istotnie używaną przy recepcyach, lecz to była próba stałości chrześcijanina, poczém przypominano mu wyparcie się Ś. Piotra, aby tém większe na nim sprawić wrażenie i aby się strzegł podobnego postępku w okoliczności, gdyż częste przykłady uczą, że jeniec chrześcijański przymuszony był od niewiernych wybierać między śmiercią a turbanem.

Ciężkiém było obwinieniem znieważanie Krzyża, cały przecież proces dowodzi przeciwnie. Templaryusze przyznając się do innych zarzutów, tego występku stale i jednozgodnie się wypierali, dowodzili owszém, że krzyż święty osobliwie w dzień wielkiego Piątku, szczególniéj uczczony bywał, czego też ich statuta widocznie dowodzą.

Inne obwinienia, że złym duchom służyli, czarodziejstw używali, że posąg pewny nazwiskiem *Baffometus* adorowali, że się nie naturalnym oddawali występkom i t. p., były najwięcéj sfałszowaniem prawdy, częścią kłamstwa zupełne, rozum i obyczajność odrażające. Niektóre odmiany w obrządkach religijnych, a najwięcéj to, że tylko swoim duchownym się spowiadali i że od wyższych zakonu swojego mieli być z grzechów absolwowani, jużby były dostatecznym powodem do sądu i kary ze strony władzy Kościoła w czasach, w których każdy w tym względzie pozór już zbrodnią się nazywał.

TRAJEDJA

TEMPLARYUSZE.

OSOBY.

Filip piękny, król Francyi.
Joanna, królowa Francyi i Nawarry.
Gaucher de Chatillon, wódz.
Enguerand Marigni, minister.
Marigni, syn.
Jakób Mollay, Wielki Mistrz Templaryuszów.
Montmorency, } Templaryusze.
Laigneville, }
Dwór i straż królewska.

Teatr wystawia wielką salę Templaryuszów. Widać zbroje, obrazy, wyrażające bitwy rycerzy i wizerunki ośmiu Wielkich Mistrzów.

(Rzecz dzieje się w Paryżu roku 1307.)

AKT I.

SCENA PIERWSZA.

Chatillon. Marigni syn.

Marigni.

Król zręcznosć twéj posługi w czułym przyjął względzie;
Oświadcza, że w te mury wkrótce sam przybędzie.
Czeka wprzód zdania twego. — Już rano z Paryża
Wysłany dwór królewski do zamku się zbliża.

Chatillon.

Wszyscy rycerze korni przed królewską władzą,
Nie ośmielą się oprzeć, chętnie się poddadzą;
Zaledwo późnéj nocy cienie zasłoniły,
Wojowników królewskich i kroki i siły;
Poszedłem pod te mury. W nadchodzące rano,
Gotowość do odpornéj walki poznać dano;
Spodziewałem się boju; ale jednéj chwili,
Gdyśmy najwyższy rozkaz króla oświadczyli,
Otwarto bramy, wchodzę, i tak otoczeni
Rycerze w zamku własnym wszyscy uwięzieni.

Marigni.

Przed mężem jak ty wodzu! śmiem ozwać się szczerze.
Powiedz, czyli Mistrz wielki, i wszyscy rycerze,

Czyliby zakon cały na ten los zasłużył.
Król ich potępia, twojéj broni na to użył.
Jeszcze nie oskarżeni, a już więzów godni!
Widzę już wyrok kary, a nie widzę zbrodni.

Chatillon.

Rycerze co w potędze królom wyrównali,
Wschód cały zapełnili sławą dzielnéj stali;
Chwałę Franków po całéj rozgłosili ziemi,
Zamożni i wziętością i skarby mnogiemi;
Cześć sobie zhołdowali monarchów i ludów,
Dziś, w jednym dniu utracą owoc tylu trudów?
Już dumny Inkwizytor wskazał swe ofiary,
I lud spiskom i zbrodniom nie odmawia wiary.
Nieszczęśni, gdy potęgą obawę wzbudzili,
Jakżeby w oczach króla niewinnemi byli?
Spiski odkryte, czasem król darować raczy,
Lecz tym, których się lęka, nigdy nie przebaczy,
Co do nas; my poddani, rycerze ulegli,
Niechciejmy, byśmy króla w przedsięwzięciach strzegli,
Posłusznemi zostańmy. — Późniéj czas dozwoli
Użalić się przyjaciół nieszczęśliwéj doli.
Nadejdzie przecię pora, wniesiemy do tronu
Godną dusz sprawiedliwych obronę zakonu.
Ty powracaj do króla. — Chciał być zapewniony
Czy wszystko już gotowe by przybył w te strony
Powiedz mu niech przybywa, wstęp zawsze bezpieczny.
Ja zostanę, aż przyjdzie ów rycerz waleczny,
Ów świetny wódz zakonu, co cnoty dziwnemi,
Służy królom i razem króluje nad swemi.
Moją chwałą niech będzie wspierać jego stronę,
Niech powie że niewinny, ma we mnie obronę.

Marigni.

Wszędzie mąż ten z przymiotów tak jak z czynów znany,
Szczerością podbić umiał nawet Muzułmany;

Gdy powie że niewinny, jest nim bez zawodu,
Słyszałem imię jego wielbione od wschodu.
Gdy związek obiecany w nadziejach mię zmylił,
Gdym się wstydem przejęty od dworu uchylił;
Pragnąc wiecznie zapomnieć nieszczęsnego stanu,
Szedłem w pola Syryi, na brzegi Jordanu.
Tam stanąłem pod święte rycerzy sztandary,
Wielkiego Mistrza indziéj zatrzymały sprawy,
Lecz wszędzie się przecisnął rozgłos jego sławy.
Zawsze cnocie wskazanym postępując torem,
Był chwałą dla Chrześcian, dla pogańów wzorem.
Każdy czcił wolę jego, i hołdował chwale —
Otoż sam. — Pozwól niech się do króla oddalę.

SCENA DRUGA.

Wielki Mistrz. Chatillon.

W. Mistrz.

Tyżeśto Chatillonie! Zewsząd widząc trwogę,
Kiedy ciebie oglądam, spokojny być mogę.

Chatillon.

Dopełniwszy com winien w okrutnéj potrzebie,
Odetchnę Wielki Mistrzu, uściskawszy ciebie.
Mężu! znam szczerość twoję, nie chciéj mię zasmucić,
Mów! wszak ci nic sumienie nie może wyrzucić?
Jako Franków wojownik, jak wiary obrońca,
Wyznaj!

W. Mistrz.

Byłem niewinnym i będę do końca.
Król chce zakon potępiać, ale gdzież są winy?
Szukałem, dotąd szukam podejrzeń przyczyny.
Opuszczając tę ziemię dla obrony wiary,
Zyskałem jego względy i wspaniałe dary.

W imię wiernego króla, czynił mi nadzieję,
Że pospieszy za nami wesprzéć Idumeję.
Stanąłem nad Jordanem, wkrótce sztandar święty,
Zdziwił ludy pogańskie w ich brzegach zatknięty.
Odebraliśmy Syon, moje łzy obfite
Zlały stopnie ołtarza naszą krwią zdobyte.
Gdyby nas wtenczas chciało wesprzeć które Państwo,
Wiecznieby świętém miastem władło Chrześciaństwo.
Lecz nikt się nie uzbroił dla spólnego celu,
Zwiedzieni w pomyślności, w nadziejach tak wielu
Musieliśmy Syońskie porzucić okopy,
Rzym wydaje mi rozkaz wrócić do Europy,
Spieszę z sześćdziesiąt braćmi do ojczystéj ziemi,
Słyszę przeciw nam skargi, staję za wszystkiemi,
Ale nie chcą mię słuchać. — Po toż mię wrócono
By mię zdradzić, by mieczem zbroczyć moje łono?
Bywałem w szkole nieszczęść, przetrwałem ja klęski,
Rycerz i Chrześcianin, czuję umysł męzki.
Trzebaż walczyć o życie, znieść zgonu boleści?
Uczyłem się umierać w bojach lat czterdzieści.

Chatillon.

Wszyscy was w kraju wielbią, wasze losy dzielą
Bronić was przed monarchą wszyscy się ośmielą.
Królowa sama dzielnie wstawia się za wami.
Miejmy nadzieję.

W. Mistrz.

Cóż król chce uczynić z nami?

Chatillon.

Wkrótce minister jego zlecenia uiści.

W. Mistrz.

Minister, chytry, pełen ku nam nienawiści.

SCENA TRZECIA.

Ciż sami. Minister.

Minister.

Okazałość tych gmachów, już w dumie przyćmiona,
Zniszczone już dzieł waszych chełpliwe znamiona;
Ty i rycerze twoi, jak wszyscy poddani,
Prostemi rycerzami, odtąd będą zwani.
Ważne króla rozkazy objawić przychodzę.
Ulegniesz więc losowi?

W. Mistrz.

Nie ulegnę trwodze.

Minister.

Więc się dowiedź! Już wodzem nie jesteś zakonu.

W. Mistrz.

Kto mógł wydać ten wyrok?

Minister.

Jestto wyrok tronu.

W. Mistrz.

A zakon?

Minister.

Już go nie ma.

W. Mistrz.

Czyż wierzyć?

M i n i s t e r.

W tym stanie
Uspokój się i próżne uśmierz narzekanie.
Król tak chce, rozkazuje, posłuszeństwo radzę.

W. M i s t r z.

Jakież tu prawo króla, kto mu dał tę władzę?
Kiedyśmy przysięgali i ja i rycerze.
Pod świętemi sztandary nieść życie w ofierze.
Stawić piersi na święte Syonu zdobycie,
Bronić go i na chwały utrzymywać szczycie;
Czyśmy wtenczas królewskiéj przysięgli potędze?
Nie, sam Bóg przewodniczył téj świętéj przysiędze.
Potrzebaż króla uczyć jakie prawa Boże,
Ten tylko, kto mógł stworzyć, ten sam niszczyć może.
Nigdy prawu korony nie legniem ofiarą,
Pójdę, przełożę krzywdy przed samą tyarą;
Ale król mię zrozumie, zechce mieć na względzie
Że prawo...

M i n i s t e r.

Król w te mury, wkrótce sam przybędzie.
Tu do słuchania ciebie może się nakłonić.

W. M i s t r z.

Nie, sam spieszę ku niemu.

M i n i s t e r.

Tego śmiem zabronić.

W. M i s t r z.

Jako?

M i n i s t e r.

W tym zamku każdy rycerz pozostanie.

W. Mistrz.

Ty mi to oznajmujesz!

Minister.

Pełnię rozkaz Panie.

W. Mistrz.

Niech król z całą potęgą przeciwko nam stawa,
Jest za nami niewinność i najświętsze prawa,
Król chociaż błądzić może, wola jego święta,
Lecz każdy sługa jego niech bacznie pamięta,
Że wielki Mistrz w tym gmachu jest przy swym urzędzie,
Że zawsze nim być umiał, i zawsze nim będzie.

Minister.

Opór niebezpieczeństwa nowe może zrządzić.

W. Mistrz.

Nieś królowi odpowiedź zamiast o niéj sądzić.

(Oddala się, Chatillon ściska mu rękę).

SCENA CZWARTA.

Chatillon. Minister.

Chatillon.

Nienawiść ich oskarża, powtarzam to stale,
Potępiać, więzić zakon poświęcony chwale,
Jestto srogo monarchę i ojczyznę zdradzić.

Minister.

Chatillon w polu sławy mógł skutecznie radzić.
Wychowany w obozie szlachetnego zdania,
Nie dziw, że w zbrodnie nawet uwierzyć się wzbrania.

Chatillon.

Że są zdrady i zbrodnie, dziś za nadto wierzę.

Minister.

Zadziwia mię ta mowa.

Chatillon.

Wyznaję to szczerze
Że w polu dla żołnierza, wszystkiem jest odwaga.
Lecz widzę, tu jéj więcéj przewrotność wymaga.
Nie jeden stanie śmiało na polu honoru,
A nie śmie głosem prawdy przemówić u dworu.
Ja przemówię zapewnie.

Minister.

Właśnie król nadchodzi.
Przed nim niech wódz troskliwy w żalach się rozwodzi,
I roztrząsa wyroki przez niego wydane.

SCENA PIĄTA.

Ciż sami. Król. Marigni.

Król.

Ogłoście, że w tym zamku z dworem pozostanę,
Królowa wraz przybędzie.

(Do Ministra).

Jakież niesiesz wieści
Wielki Mistrz poddaje się?

Minister.

Wyznaję w boleści,
Że twéj i Rzymskiéj władzy opiera się stale,
Rzekł, że zakon monarchom nie podlega wcale.

Król.

Jako? z ust poddanego tak dumne wyrazy,
Czujesz to, i sam osądź ile w nich obrazy.
Wszystko przeciw nim mówi, i moje wyroki
Aż dotąd wstrzymywały niebezpieczne zwłoki!
Marigni z Idymejskiéj powrócił wyprawy,
Miał czas poznać i ściśle ocenić ich sprawy.
Walczył długo pomiędzy Templarskiemi roty,
Niechaj powie co poznał?

Marigni.

Poznałem ich cnoty.
Ich dzieła bohaterskie, daruj szczeréj mowie,
Prawdy szukają tobie podobni królowie.

Minister.

Jako synu! ty mógłbyś z niewczesnym zapałem...

Król.

Niech mówi, rozkazuję.

Marigni.

Takiemi ich znałem.
Powinności dopełnię, zasługę ocenię,
Głosząc wielkie ich czyny, wielkie poświęcenie,
Ich sława i Francyą i wiarę uwieczni,
Pokorni przy ołtarzu, na polu waleczni.
Każdego z nieszczęśliwych obrońcy wspaniali,
Zbrojnych jedynie pogan trwogą przerażali.
Widzianoż by za wiarę lejąc krew obficie,
Okupili honorem pokój albo życie?
W murach Safady jeden oddział otoczony,
Przeciw stokroć liczniejszéj sile bez obrony
Poddaje się, zwycięzcy nie mając na względzie
Najświętszych praw narodów, dochowanych wszędzie.

Żądają by rycerze wyrzekli się wiary,
Lecz daremne obelgi i grożące kary;
Próżno ręka katowska nieszczęsnych znieważa,
Każda nowa obelga ich wielkość pomnaża;
Idą wreszcie spokojnie pod miecze błyszczące,
Legli wszyscy — było ich Panie trzy tysiące.
Tak gdziekolwiek do czynów otwarta im droga,
Spieszą umrzeć za króla, ojczyznę i Boga.
Jeśli wszędzie zwycięztwo nie mogło być stałe,
Zasłużyli przynajmniéj na niezłomną chwałę.
To świadectwo, tak chlubne jak prawdziwe Panie,
Otoż, co uczynili, i czynić są w stanie.

Król.

Odkąd klęską rycerzy w ręce Muzułmana,
Grób, Kościół i Solima na nowo oddana;
Umyśliłem uśmierzyć zakon zbyt wzniesiony,
Połączyć siły jego z korzyścią korony.
Rozmaitemi środki i od lat już wielu
Szukałem pory do tak żądanego celu.
Zyskałem miłość Franków, gdy w obradach Państwa,
Co dotąd były w ręku możnych i kapłaństwa.
Pospólstwo w rzędzie stanów swój głos mieć zaczęło,
Tak lud czci w naszych prawach własne swoje dzieło,
Kiedy Rzymu Stolica z powodzeń doznanych,
W królach widziała tylko najpierwszych poddanych,
Watykan krajów moich sędzią się ogłosił,
Czciłem jego dostojność lecz jarzmam nie znosił.
Przeciw czczym prawom jego umiejąc się stawić,
Chciałem królów z pod dumnéj opieki wybawić.
Zajrzała méj potędze niebaczność Edwarda,
Zaledwo powstał, a już okryła go wzgarda.
Słusznie zraził go trwogą mój postępek śmiały,
Przyjął pokój z rąk moich, hołdownik méj chwały.
Jeśli tłumy Flamandzkie zyskały zwycięztwo,
Wnet nakazałem sławie przemilczeć ich męztwo.

Ruszyłem w pola Montu, i te dłonie same,
W Kurtrejskiéj walce wiecznie zatarły tę plamę.
Aż przed ołtarz tryumfy poniosłem w ofierze,
Już tam pomnik pobożny ich pamięci strzeże.
Nie jedno dzieło moje, słuszne prawo rości,
Do poklasku i chwały wdzięcznéj potomności.
Lecz kiedy tak Francyi utwierdziłem władzę,
Sądzę że jéj istnieniu najmocniéj zaradzę,
Gdy jéj grozić przestanie ten zakon zniesiony,
Co dumny, śmiał się targnąć na prawa korony,
Cóż się daléj spodziewać, gdy nawet w téj chwili
Rycerze dumne prawa, przeciw mnie stawili?
Obrażono majestat, trzeba w takim stanie,
Jednéj strony się chwycić — Jakież twoje zdanie?

Minister.

Nie chciéj się wahać królu, sprawiedliwość woła
O karę na bluźnierców tronu i Kościoła.
Zakon ten w Idumei prowadzący boje,
Mógł pozyskać opiekę i łaskawość twoję;
Dziełom twoim, tryumfów przydał on nie mało,
Póki korne ubóstwo cnoty zapewniało;
Lecz odkąd nieroztropne ze wszech stron ofiary,
Kazić zaczęły zbytkiem skromne niegdyś dary;
Odtąd chciwi je dzierżyć, i chciwi pomnażać,
Dumni, zaczęli prawa najświętsze znieważać.
Nagła zamożność wszelkie zrodziła bezprawia,
Że ponętą rozkoszy występek przemawia,
Chciwie zawsze łaknący lubo syci darów,
Umieli się wyłamać z pod państwa ciężarów;
Wrogi państwu grożące, niewierni poddani,
Dawno z dumnych zamysłów i chytrości znani.
Jeżeli w polach bitwy często życie łożą,
Wiedzą że zwycięztwami potęgę pomnożą
Przecięż i tam zdrożnością ohydni rycerze
Wzbudzili w Muzułmanach wątpliwość ku wierze.

Wreszcie te ich są zbrodnie; bezbożnemi prawy,
Zastąpili w obrzędach rycerskie ustawy.
Już nie kryję, zbyt długo taiłem u tronu
Niepodobne do wiary występki zakonu.
Ten drogi znak Chrześcian, Święty Krzyż Kościoła.
Co na ołtarzach błyszczy, królów zdobi czoła.
Ten znak każdy przyjęty znieważa na progu,
Szydzi z wiernych świętości i bluźni w nim Bogu.
W nocy w cieniach okropnych zakon zgromadzony
Targnie się na ołtarze by obalić trony.
Mamże wszystkie ich zbrodnie określać ci Panie?
Żyć nie będą, a wiele zamilczeć przystanie —
Synowi racz wybaczyć byłże z niemi wszędy,
Widziałże ich ustawy, tajemne obrzędy?

Chatillon.

Jeżeli według wodza można sądzić innych,
Panie! w całym zakonie nie znajdziemy winnych.
Wielki Mistrz Bogu bluźni! niewierny dla ciebie,
Ach! ja ręczę za niego, tak jak sam za siebie.
Rozkaż tylko...

Król.

Dziwisz mię w nieznanym zapale.
Nigdy się tak w rycerzy nie uniosłeś chwale;
Milczałeś, ni cię kiedy ich cnota zajęła.

Chatillon.

Milczałem gdy za niemi mówiły ich dzieła;
Wiem że w tej chwili trwoga bronić ich nie każe,
Ja kiedy mię nie słyszą mówić się odważę:
Wielki Mistrz w polu bitew przejął mię zapałem,
Naśladować go tylko, lecz nie sławić chciałem.
Głoszą winy Molego, ja niewinność głoszę,
To świadectwo do tronu, do nieba zanoszę.

Nikt z żołnierzy, nikt między wodzami twojemi
Nie kocha więcéj Boga, króla i téj ziemi.
Panie, zamiast potwarzy, zamiast nienawiści,
Szukaj raczéj w zakonie narodu korzyści —
Oto już Kastyllanów gromią Saraceni,
Drży Arragon, sąsiedzi trwogą zagrożeni:
Niech jeszcze Afrykanów ich męztwo ośmieli,
Będziemyż w stanie zewsząd gromić burzycieli?
Niegdyś na polach Tury Martela wygrana
Zbawiła tron i ołtarz od dzikiego Pana.
Twoja waleczność jego przypomina męztwo,
Uprzedzić klęskę Panie! to drugie zwycięztwo.
Niech czernionych rycerzów wodzowie i męże
Znowu na brzeg Jordanu podniosą oręże;
Tam wygnańce za sprawę i ludzką i bożą,
Ocalą Europę, Afryce zagrożą.
Śmiałą, lecz godną ciebie radę ci podaję,
Morze co twe zbogaca południowe kraje,
Z Europy, Azyi i Afryki Panie,
Przytułkiem i ojczyzną dla handlu się stanie.
Wybierz wyspę, zrządź porty, niech twierdzę osadzą,
Tam zostaw wojowników pod twą królu władzą,
Niech krążą na okrętach, czujna ich odwaga
Niech podróżnych na morzu broni i wspomaga;
Jeśli wtenczas rycerze wśród dzielnych zabiegów,
Zmogą poszanowanie dla Francyi brzegów;
Ujrzysz, że porty nasze za nie długie lata
Rozszérzą i całego zbliżą handel świata.

Niech Panie zakon istnie, i wzmacnia twe ramię,
Niszczyć, jest to już znane tylu królów znamię,
Lecz by się wszystko zgody łańcuchem ujęło,
By stworzyć, by zachować, to wielkich dusz dzieło.

Król.

Lecz jakże temu ufać, kto się korzyć wzbrania,
Kto we mnie uznać nie chce władzy panowania!

Któż nie czuje ich dumy, celów nie poznaje?
Wtenczas kiedy w Paryżu buntownicze zgraje,
Nowym znakiem przybranych moich hołdowników,
Stronę niewiernych do swych mieszały okrzyków;
Któż wtenczas bunt prowadził tak próżny jak podły?
Zakonniki go wszczęły, zakonniki wiodły.
Hańbiące są, szkodliwe zakonu zamiary.
Tron jest wszystkiem, tron może wymagać ofiary.
Zakon co dzień zuchwalszy, i co dzień silniejszy,
Nadto jego zamiary odkrył dzień dzisiejszy.

(Do Chatillona).

Roztropny przyjacielu, wodza tych rycerzy,
Król ostatnie do niego poselstwo ci zwierzy:
Już Inkwizytor głośno ich zbrodnie wymienia,
Z mieczem wzniesionym czeka mojego skinienia.
Ja chcę jeszcze pokory; wiecznéj niepamięci,
Łaska moja ich dawne występki poświęci.
Lecz jeśli chcą się targnąć na wyroki tronu,
Święty trybunał niech los wyrzecze zakonu.
Nie chcę krwi, jeszcze prawa złagodzić się dadzą.
Lecz niech się wszystko korzy przed monarchy władzą.

AKT II.

SCENA PIERWSZA.

Minister. Marigni.

Minister.

Oskarżonych rycerzy popierając stronę,
W niebaczności przynajmniéj mieć możesz obronę.
Lecz wszystko naprawiłem. Powszechne odgłosy
Już dają poznać, jakie czekają ich losy.
Wkrótce święty Trybunał i straszliwi sędzie
Przybędą. — Tak przestępny ukarany będzie.
Teraz synu posłuchaj! Król z pewnością tuszy,
Że obraz méj wierności w twojéj znajdzie duszy.
Jeśli go w twych usługach nadzieje nie zwiodą,
Nadobna Adelaida zostanie nagrodą.

Marigni.

Co słyszę Adelaida?

Minister.

Tak jest, król poświęci,
Ten związek godny ojca, i twych synu chęci.
Wtenczas gdy król odwlekał ten zaszczyt wysoki,
A ciebie oddaliły z Francyi wyroki;

Szukaliśmy powodów jawnych lub tajemnych.
Do kroków mnie i tobie tyle nieprzyjemnych.
Lecz król ulegał tylko silnéj zawziętości
Wroga, co tak zaszczytnych losów nam zazdrości.

M a r i g n i.

Któżby takim był wrogiem?

M i n i s t e r.

Ten, którego skrycie,
Najsilniéj umiem tłumić złość i nadużycie.
Zakon Templaryuszów.

M a r i g n i.

Ach!

M i n i s t e r.

Nadto mi jawne
Jego na nas zamachy i podstępy dawne.
Ale znam ich przyczynę. Dawniéj zwyczaj miano,
Że w tym gmachu skarb króla i państwa chowano.
Minister, nie cierpiałem podłego zwyczaju,
Haniebnego dla króla, zgubnego dla kraju.
Zakon był przeciw temu, lecz próżne opory,
Z gmachu tego publiczne wywieziono zbiory.
Ztąd to w sercu zazdrosnych niezgojona rana,
Ztąd przeciw mnie i tobie zemsta niezbłagana.
Ja krzywd moich już żadnej nie żądam obrony,
Gdy twe szczęście zobaczę, dość będę pomszczony.

M a r i g n i.

Moje szczęście! Wiesz ojcze?

M i n i s t e r.

Tak, sama królowa
Wraz przybędzie i moje powtórzy ci słowa.

Tu jéj czekaj, o wszystkim usłyszysz dowodnie,
Staraj się dobrodziejstwu odpowiedzieć godnie.
Ja wracam do Paryża, słyszę że spiskowi
Wzywają lud na pomoc Wielkiemu Mistrzowi,
Poskromię ich.

SCENA DRUGA.

Marigni sam.

Ach! jakiż wyrok się uiści!
Mnież to ojciec chce użyć do swéj nienawiści?
Adelaido! w takiéj więc chwili cię zobaczę,
Mamże tłumione dotąd obudzić rozpacze?
Dla ciebie miłość nasza świętą jest i prawą,
A dla mnie stać się musi występkiem, niesławą.
Nie daj Boże! ażeby w dniu zakonu zguby,
Zerwał dawne, a nowe rozpoczynał śluby.
Nie mogę się ukrywać, a nie śmiem wyjawić,
Dziś mi każe królowa przed sobą się stawić,
Ona jedna umiała nasze losy cenić,
I ku szczęściu naszemu zdanie króla zmienić,
Dziś więcéj prawa do jéj zyskawszy opieki,
Tém więcéj jestem nędzny od szczęścia daleki.
Niestety! otóż wchodzi.

SCENA TRZECIA.

Marigni. Królowa.

Marigni.

(pomięszany chcąc się oddalić).

Królowa pozwoli...

Królowa.

Czekam na króla, zostań! — Wiedz o szczęsnéj doli.
Kochanku Adelaidy i wierny i tkliwy!
Już od ciebie samego zawisł los szczęśliwy.

Sama chciałam ci odkryć tę ważną zasłonę.
Kiedy mi Hymen nową podawał koronę,
Drogą mi była Państw mych pomyślność i chwała,
Abym ich losy berłu małżonka poddała.
Opierałam się stale wszelkim jego krokom,
Nie chcąc poddać Nawarry Francyi wyrokom.
Sama przeto dziedziczne zarządzałam ziemie,
Poddani czcili we mnie swych monarchów plemię.
Ich szczęście we mnie było, dziś w tobie złożone,
Prowadź pośród nich tobie ukochaną żonę;
Bądź w mém imieniu rządcą przychylnych poddanych,
Niech ten wybór policzą do łask już doznanych.

M a r i g n i.

Ach królowo! rycerstwo, dwór i naród cały
Szczycić się wiecznie będą blaskiem twojéj chwały,
I Francuzów zwycięzkich i podbitych roty,
Dziwią się rządom twoim, uwielbiają cnoty;
Lud co dzień z rąk twych łaską obsypany nową,
Z dobrodziejstw tylko czuje że jesteś królową.
Że twa płeć rządzić umie, ty Pani! dowodzisz
Ty jedna srogość boju z łagodnością godzisz —
Jakiż los mi przeznaczasz — Tyżbyś Pani chciala,
Z tronu gdzie świetność błyszczy, a zasiada chwała,
Aż do mnie oczy zniżyć — Pani w twoje ręce,
Poddam się, tobie wszystko, i życie poświęcę —
O! czemuż mi nie wolno, bym wzajem kochany,
Zarządzając twym ludem, był tobie poddany,
Abym zdziwionym, słuszność twéj łaski dowodził;
Ale do tego szczęścia jam się nie urodził.

K r ó l o w a.

Marigni! cóż to słyszę? Dziwi mię twa mowa.
Jako? kiedy do tronu zbliża cię królowa,
By jéj widoki twoje cnoty nagrodziły,
Ty odrzucasz...

M a r i g n i.

Pani!

K r ó l o w a.

Mów.

M a r i g n i.

To nad moje siły.

K r ó l o w a.

Jakiż powód?

M a r i g n i.

Nieszczęście! nie wydam go wiecznie.

K r ó l o w a.

Chcę wiedzieć.

M a r i g n i.

Obyś znała!

K r ó l o w a.

Mów, żądam koniecznie.

M a r i g n i.

Dobrze więc, poznaj Pani los mój najsmutniejszy,
Ty mnie żałować będziesz, mój smutek się zmniejszy.
Kochałem piękną córkę Bearnu Xiążęcia,
Miałem wzajemność, ojciec uznał mię za zięcia,
Lecz król, (znane ci Pani to moje nieszczęście),
Innemu Adelaidę przeznaczył w zamęźcie.
Jakże mogłem niestety patrzeć na te śluby,
Co wiodły przymuszoną kochankę do zguby;
Bolejąc nad mym stanem i płacząc ofiary,
Spieszę na wschód, gdzie boskie rycerzów sztandary

Przyzywały Chrześcijan by okupem zgonu,
Wydrzeć z jarzma poganów święty gród Syonu.
Tam na przeciw boleści co wszędzie szła ze mną,
Sława niosła mi pomoc, lecz pomoc daremną.
Oddalony od ojca, od ojczystéj ziemi,
Płacąc stratę kochanki łzami codziennemi;
Milczałem, ale smutek mógł mię zdradzić wszędzie,
Widziałem że jedynie Bóg wsparciem mi będzie.
Zadziwiali mię cnotą Templarscy rycerze,
Chciałem służyć jak oni i sławie i wierze,
Wielu przyjaciół w świętym liczyłem zakonie,
Świętsze mię coraz związki łączyły w ich gronie.
Nakoniec przysiężone śluby Przedwiecznemu...

K r ó l o w a.

Jako! ty ślubowałeś?

M a r i g n i.

Daruj nieszczęsnemu.
Co dzień się przed ołtarze rzucając daremnie,
Prosiłem Boga, żeby stłumił ogień we mnie,
Lecz niebaczny! kiedy łzy na stopnie się lały
Drżałem, by nieba moich próśb nie wysłuchały.
Szukałem śmierci, a śmierć odemnie stroniła,
Ach! rozpacz tylko mojém powodzeniem była.
A zakon oceniając ten zapał młodzieńczy
Rycerskiemi wawrzyny czoło moje wieńczy.
O czcza chwało zwycięztwa, jakże cień twój mami
Laur na skroni, a serce ściśnione cierniami!
Wtém roty nieprzyjaciół klęską obrażone,
Ciemną nocą okryte rzucają uchronę,
Posiłkiem i rozpaczą umocnieni razem.
Niosą zgubę w nasz obóz ogniem i żelazem.
Jak ta noc straszną była! wśród rzezi, płomieni,
Cóżeśmy zdziałać mogli w siłach osłabieni;
Jednomyślnie nad więzy wszyscy śmierć przenoszą;
Dotąd wszystkie narody ten świetny czyn głoszą.

Sam prawie pozostałem, dzień tego zdarzenia,
Niespodziewanie los mój w wątpliwość zamienia.
Opłakałem poległych świadków méj przysięgi,
Pożar schłonął przezemnie podpisane księgi;
Mnie już tylko samemu tajemnice znane,
Adelaida dzieliła mego serca ranę;
Pocieszony nadzieją, wieści szczęśliwemi,
Spieszę w téj chwili, wracam do ojczystéj ziemi.
Czyż opiszę, z jak ciężką walczyłem ofiarą,
Między ślubem zakonu a kochanka wiarą!
Zbieg od świętych ołtarzy, rycerz przeniewierca,
Mniemałem się być godnym Adelaidy serca.
Przecięż, wszystko sprzyjało nieroztropnéj chęci,
Ale widząc cios. którym rycerze dotknięci,
Dawny zapał, zgryzotę, w sercu obudziłem,
Będę tém w ich niedoli, czém i w szczęściu byłem.
Już miłość niech do serca żadnych praw nie rości,
Miłość cnocie ustąpi, szczęście powinności.

Królowa.

Tak, Bóg obrał cię tarczą w niewinnych obronie,
Uciśnionych rycerzy ty wspieraj przy tronie;
Zyskałeś przy nich sławę, podziel z niemi losy,
Dotąd ja sama tylko wstrzymuję ich ciosy.

Marigni.

Jako? ty sama Pani! mając przykład z ciebie,
Któżby się nie poświęcił w niewinnych potrzebie?

Królowa.

Ty wspieraj kroki moje bacznie, pokryjomu,
Przysięgnij coś mnie wyznał nie zdradzić nikomu,
Żądam tego po tobie; sąd już jest zwołany,
Molego i rycerzów czekają kajdany,
Znam ich odwagę, skutku lękam się rozpaczy,
Czyń wszystko, co ci święta powinność naznaczy,
Bądź posłusznym.

Marigni.

Ja Pani w tak okrutnéj dobie?

Królowa.

Ojciec chwali twe chęci, kładzie ufność w tobie;
Korzystać ztąd, to tylko stan obecny radzi.

Marigni.

Czyż i ojca i króla moje serce zdradzi?

Królowa.

Czyż i Mistrza i zakon chcesz wskazać na stosy?

Marigni.

Inny, inny odpowie za nieszczęsnych losy.
W każdem niebezpieczeństwie w ich sprawie dostoję,
Mogę, winienem za nich oddać życie moje;
Leczbym się zdawał wspierać ich wrogów zamiary,
Nie Pani! ty nie zechcesz żądać téj ofiary.

Królowa.

Marigni! ten jedynie środek ich ocali,
Pomnij, że prawie wszyscy na śmierć ich skazali,
Idź! powiedz że królowa ich sprawą zajęta,
Niech tymczasem nadzieja łagodzi ich pęta!
Czyń coć każę, dziś więcéj nie mogę wyjawić,
Jeśli będzie potrzeba przed tronem ich stawić,
Ja wprzód króla na drogę prawdy naprowadzę,
Wielki czyn, równie wielkiéj powierzam odwadze.
Czyż wzgarda tych rycerzy może cię rumienić?
Znam co jest ich szacunek, i umiem go cenić;
Lecz w tak świetnym zawodzie, za tak czystą sprawę,
Tryumfem jest dla cnoty znieść nawet niesławę.
Daj słowo, broń rycerzów środkami wszystkiemi.

Marigni.

Ulegnę przeznaczeniu co mnie wiąże z niemi.
Tak jest, gdy niewinności trzeba podać ręce,
Więcéj niżeli życie, bo honor poświęcę.
Straszna ofiara, przecięż spełnić się ją godzi,
Gdy ty jéj Pani żądasz.

Królowa.

Słyszę, król nadchodzi.
Odejdź!

SCENA CZWARTA.

Królowa (sama).

Tak świętą sprawę popierając stale,
Usłużę i królewskiéj i ojczyzny chwale.

SCENA PIĄTA.

Król. Królowa.

Królowa.

Twym ślubem zaszczycona, mogłam Panie wróżyć.
Że mogę, żem powinna na szczęście zasłużyć;
Wierna twéj sławie, twoim zawsze idąc śladem,
Śmiałam twe wojska moim zagrzewać przykładem;
Śmiałam w dziełach ważniejszych wspierać cię w potrzebie,
I często, com czyniła godne było ciebie;
Do twéj miłości święte pozyskałam prawa,
Mojem równie staraniem rosła twoja sława;
Miłości ludu twego mnieś winien połowę,
Mnie przysądzałeś każde dobrodziejstwo nowe.
Dziś taka zmiana jakże słusznie mię zasmuca;
Wtenczas gdy wyrok z tronu groźny piorun rzuca,

Gdy ich los już się w ręku nieprzyjaciół mieści.
Mnie ze skarg ludu tylko doszły o tém wieści?
Byś mnie już ufać przestał, nie sądziłam wcale.
I na milczenie króla przed mężem się żalę,
Jeśli w błędzie niewinnych gnębi twoja władza,
Mnie serce i powinność obronę doradza.
I gdy o sprawiedliwość zanoszę staranie,
Nie tyle dla nich czynię, co dla ciebie Panie!
Tak, mam nadzieję, dawne twe czyny mi wróżą,
Że nawet błędy twoje, twéj chwale posłużą.
Uznać błąd, i nad dumę poprawę przekładać,
Jest więcéj niż być królem, jest to sercem władać.

Król.

Królowéj nieufnością nigdy nie obrażę,
To jéj cnota, to własny pożytek mi każe,
Lecz gdy ostrość potrzebną, tém samém jest prawną,
Przytępiłem zakonu siłę nadto jawną,
Możni liczbą, bogactwem i sławą swéj stali,
Woli im tylko brakło, by tronem zachwiali,
Lecz zapobiegłem temu. Możesz sądzić Pani
Że na surowość moję skarżą się poddani;
Lecz kto wielkie zamiary z szczeréj działa chęci,
Łatwo się na czas gminnym zarzutom poświęci.
I to może jest królów, najrzadszym udziałem,
Kiedy do obrad rządu lud przypuścić chciałem;
Gdybym był szedł za głosem możnego kapłaństwa,
Miałżeby lud znaczenie przy obradach państwa?
Znasz królowo, jak rządu sprężyste działanie
Winno uprzedzać gminu niedołężne zdanie.
Kiedy lud z drżeniem patrzy na króla zamiary,
On pomyślność w nich widzi i gotuje dary.

Królowa.

Panie! jakież być mogą występki zakonu?
Przecięż Wielki Mistrz niegdyś był miłym u tronu;

Czyliż w tysiącznych bojach nie wzmacniał twej siły,
Czyż cnot jego, twe nawet dary nie świadczyły?

Król.

Przyznaję, męża tego ceniłem czas długi,
Położył, nawet może godne mnie zasługi.
Lecz odkąd mię podchodzić chciał podstępem zręcznym,
Został tylko poddanym, poddanym niewdzięcznym.
Własne i kraju dobro zemstę mi doradza,
Ufność zdrady nie cierpi, nie powinna władza.

Królowa.

Lecz jeśli zbyt surowo chcesz karać bezprawia,
Pomnij jak lud niesłusznie swych królów osławia,
Dziś nie znając powodu, który tobą rządzi
Los zakonu, za wielką ofiarę osądzi,
I świadek tylu zasług i sławy rycerzy,
Widząc ich uciśnienie, w niewinność uwierzy.

Król.

Jest przecież sędzia, innych występków świadomy,
Pewniejszy, bo z ołtarza rzucający gromy,
Sąd jego, ślepo zewsząd uwielbiony będzie —
Mówią; że wojownicy w tajemnym obrzędzie
Śmią bluźnić niebu, Bozkie znieważać świątynie,
Te zbrodnie ogłoszone krew oburzą w gminie:
Lud za krzywdę Ołtarza do wszystkiego gotów,
Sam on wtenczas na pomstę rzuci się do grotów;
Tak jest, Inkwizytora zostawię ich karze,
A on pomści się tronu, mszcząc się za Ołtarze.
Wtenczas to wszyscy możni, cały lud zawoła:
„Oto obrońca Wiary, obrońca Kościoła!“

Królowa.

Inkwizytor! co słyszę? gdy Watykan gromił,
Kiedyś ty pierwszy Panie w dumie go poskromił;

Inkwizytor rzekł, że król w święte prawa wkracza,
Zawsze on głosi łaskę nigdy nie przebacza.
Raczéj Inkwizytora znieś haniebną władzę,
To ci honor Francyi, prawo i ja radzę,
To czyn nad wszystkie czyny monarchów piękniejszy,
Przyszłość sławić go będzie, wielbić wiek dzisiejszy;
Jeśli Templaryuszów trzeba śledzić sprawy,
Niech przecię oskarżonych bada sędzia prawy;
Będąż twoich poddanych cudzoziemcy sędzie?
Sędzią rodaka, przecież niechaj rodak będzie;
Bez tego, czém ojczyzna, czemże będą prawa?
Mówią że zakon tajnie na rządy nastawa,
I pod tym to pozorem ci będą dręczeni,
Których czyny publiczne świat i zna i ceni?
Królu! liczysz zdobycze wojennego trudu,
Oto tryumf świetniejszy, podbij serca ludu,
Przebacz Mistrzowi małą obrazę korony,
Często i przebaczenie umacniało trony...
Daruj jeśli na nagłe, niespodziane wieści
Nie zdołał może wstrzymać wyrazów boleści,
Mnie porucz prawo łaski, a zobaczysz Panie
Jak na każdy twój rozkaz korny zakon stanie.

Król.

Pani! jeżeli twoje spełnią się wyrazy.
Jeśli skłonisz ich dumę pod moje rozkazy,
Za nowe dzieło twoje słusznie wdzięczność wyzna
Małżonek i monarcha, i cała ojczyzna.

SCENA SZÓSTA.

Ciż sami. Chatillon

Chatillon.

Królu! przez buntowników lud twój uzbrojony
Ciśnie się z murów miasta i dąży w te strony;

Nie mogę przy tém ukryć, że ta podła tłuszcza
Imie Mistrza w okrzyki mieszać się dopuszcza,
Płacze Templaryuszów i wodza zakonu,
Chce ich bronić i mścić się przyrzeka ich zgonu,
Aby rychlej rozproszyć śmiałe buntowniki.
Rozstawiłem natychmiast wierne tobie szyki.
Twój rozkaz...

Król.

Staniesz ze mną przed zuchwalców zgrają
Zaślepieni! wnet swego monarchę poznają.

(do królowej).

Sam czas surowy zamiar do skutku prowadzi,
Przyspieszyć go, już własne bezpieczeństwo radzi.
Syn Ministra dziś rozkaz odebrał surowy,
I wkrótce go dopełni. Trybunał gotowy
Niechaj sądzi, monarcha może łaskę nadać,
Ale jeśli zuchwalcy mnie w czynach chcą badać,
Mnie potępiać, i rządy buntami oznaczyć,
Winienem wprzód ukorzyć, a potém przebaczyć.

AKT III.

SCENA PIERWSZA.

Wielki Mistrz. Laigneville. Montmorency.
Wielu Templaryuszów.

W. Mistrz.

Po raz może ostatni głos mój usłyszycie
Wy, z któremi dla sławy poświęcałem życie.
My więc w boju zrodzeni, w boju osiwiali,
My, których rycerzami Wszechmocnego zwali,
Zbrojni niegdyś za wiarę gromy niebieskiemi,
Dziś wskazani ohydnie pod sąd królów ziemi!
Bije godzina nasza — Bozka to potęga,
Ulegnijmy, bo z niebios ramię nas dosięga.
Takiego doświadczenia Chrześcianie godni,
Gdy cnota znosi karę, należącą zbrodni,
Srogi los nas, o pomstę woła on przed światem,
Ale cnota zostaje, i dosyć nam tem.
Poddajmy się z stałością pod wyrok nieprawy,
Zabraniam, zakazuję i cienia obawy;
Wy będziecie posłuszni. Żadne królów ramię
Praw naszych ani świętych ustaw nie przełamie,
Nie, nie zdołają z całym blaskiem swéj potęgi
Wydrzeć mi posłuszeństwa i waszéj przysięgi,

W niéj rycerstwo, w niéj nasza wiara jest zawarta,
W niebie przed samym Bogiem złożona jéj karta;
Bracia! Bóg nas doświadcza, uzbrójcie się w męztwo,
Piorun śmierć nam niosący, niesie nam zwycięztwo.
Cóżkolwiek cierpieć przyjdzie nadzieja mi tuszy,
Że dam przykład odwagi i stałości duszy,
Ale w razie stanowczym, gdyby moja siła
Wszystkiem, czém być powinna na chwilę nie była,
Gdybym się zachwiał, zadrżał — natenczas wy sami
Własnemi się już tylko wesprzyjcie cnotami,
Odrzućcie, pogardzajcie rozkazy mojemi,
Wolni od przysiąg, bądźcie przez siebie wielkiemi;
To mi obiecujecie.

Laigneville.

Któżby był tak śmiały
Spodziewać się, że więcéj niż ty będzie stały,
Ach ojcze w takim razie, co wszystkich dosięga,
Tém mocniejszą, tém świętszą jest nasza przysięga;
Nie zapomniem, co Boskie prawo nam ogłasza,
Wszystko cię słuchać będzie, nawet rozpacz nasza.

W. Mistrz (do siebie).

To są Templaryusze.

Montmorency.

Wszyscy chcą i mogą
Twoją Wodzu do chwały dobijać się drogą;
To naszą powinnością, to pierwszym przedmiotem,
Tak jak ja, wszyscy myślą.

W. Mistrz.

Nie wątpiłem o tém.
Rycerze! w setnych bojach poznałem się z wami,
Ile was czczę i kocham, osądzicie sami,
Mniemałbym że i honor i powinność zdradzę,
Gdybym niewczesną litość mając na uwadze,

Mężom jak wy szlachetnym nie wyjawił szczerze.
Że przeciwnikom naszym ulegniem w ofierze;
Oskarżam więc przed wami Chrześcijan stolicę,
Z żalem, lecz muszę wydać srogie tajemnice:
Zawierzyć im zupełnie, nie miałem dość siły,
Lecz w krótce, los nasz stwierdzi jak prawdziwe były.
Po zgonie najwyższego Chrześcijan kapłana,
Zatrwożyła Europę nowa losu zmiana;
Tajne wpływy do długich sporów Rzym przywiodły,
Brzmiały w świątyniach Pańskich ofiary i modły,
Ażeby wreszcie wybór przez niebios natchnienie,
Spełnił razem i tronów i ludów życzenie.
Padł wybor, i Filipa staranie i władza
Klemensa na stolicę Chrześcijan wprowadza.
Król z daleka od dworu do siebie go woła,
Tam mu władzę najwyższą przyrzeka kościoła;
Zaślepion nagłym blaskiem potrójnéj korony,
Dumny Biskup Bordeyski korzy się zdumiony.
Przyszły naczelnik Rzymu pada na kolana,
Święta słowa Bożego wnet księga podana;
Tak to najświętszych rzeczy nadużywać można!
Króla wstrzymuje jeszcze obawa ostrożna;
Chce przysięgi, natychmiast Bertrand ją ogłasza,
Osnową téj przysięgi była zguba nasza.
Ulegnijmy.

M o n t m o r e n c y.

O nieba! jaka tajemnica.

W. M i s t r z.

Cóż to jest? skąd ten przestrach, te pobladłe lica?
Że dopiero śmierć grozi, to jeszcze zbyt mało.
A skoro miecz katowski?

M o n t m o r e n c y.

Niebo! tyżbyś chciało...

L a i g n e v i l l e.

Tyżbyś Boże potężny już nie chciał nas wspierać.
O hańbo.

W. M i s t r z.

A cóż będzie gdy przyjdzie umierać!

L a i g n e v i l l e.

Ale przecię nim taka nastąpi niesława,
Czyż na niewinność naszę nie znajdziemy prawa?

M o n t m o r e n c y.

I krewny i przyjaciel za nas się uzbroi.

W. M i s t r z.

Cnocie nie bunty wzniecać, lecz cierpieć przystoi.
Bóg zna winy monarchów, sam niech mści się za nie,
My się będziem buntować — cóż zbrodni zostanie?
Bez bojaźni i wstydu znieśmy nasze losy,
Tém świetniejsza jest chwała, im dotkliwsze ciosy;
Późnym wiekom za przykład żyć będziem w pamięci,
Potomność sławie naszéj niech zemstę poświęci. —
Nadchodzą, wypogodźcie zasępione czoła.

S C E N A D R U G A.

Ciż sami. M a r i g n i. Ż o ł n i e r z e.

M a r i g n i.

Smutna do was rycerze powinność mię wola
Niestety! z żalem króla dopełniam zlecenia,
Lecz wierzcie że mojemi są wasze cierpienia.

W. M i s t r z.

Czyliż w nieszczęściu cudzych żalów słuchać mamy?
Ośmiel się je ogłosić, a my znieść zdołamy.

Potém, dopełniaj co ci powinność naznacza,
I wierz, że moje serce wszystko ci przebacza,
A nawet cię żałuje — Cóż masz czynić z nami?

Marigni (na stronie).

O smutna powinności! (głośno). Jesteście więźniami.

W. Mistrz.

Silni naszą odwagą, czystością honoru,
Moglibyśmy, i mamy prawo do oporu,
Lecz z jedném zawsze męztwem i dziś dowieść chcemy,
Że umiejąc zwyciężać, uledz potrafiemy.
Stojemy więc — dopełnij — Gdzież jest twoja władza?
Gotów każdy iść z tobą, i każdy się zgadza.

(Oddają miecze. Żołnierze biorą je i oddalują się w głąb teatru).

Lecz nic nam nie ukrywaj, jakie nasze losy,
Wygnanie, czy więzienie, czy miecze, czy stosy?
Będziemy ci posłuszni.

Marigni.

Cnoto godna chwały,

W. Mistrz.

Niebom się dziwuj, nieba to czucie w nas wlały.

Marigni.

O jakże was żałuję.

W. Mistrz.

Żałuj tych zbrodniarzy
Co nędzni walczyć muszą orężem potwarzy,
Co monarchę skłaniają do hańby i zbrodni,
Czekają ich nieszczęścia, i są nieszczęść godni.

Marigni.

Wspierać was będą wierzcie wszyscy przyjaciele.

W. Mistrz.

Nieśmieliby.

Marigni.

Powinni, a ja na ich czele,
Być posłusznym królowi nakazują prawa,
Lecz bronić niewinności to wyższa ustawa.
W każdéj mię chwili wiernym dla siebie ujrzycie,
Wszystko za was poświęcę, same nawet życie.

W. Mistrz.

Komuż winni być możem tak świetną obronę,
Któż się to dziś ośmiela naszą wspierać stronę?
Mów.

Marigni.

Jestem syn Ministra Marigni.

(W. Mistrz zdziwiony, ale wstrzymuje się).

Marigni?

On sam.

Marigni.

Twój wzrok.

W. Mistrz

Za zwłokę król ciebie obwini,
Więc spiesz się, powiedz, jakie nasze przeznaczenia?

Marigni.

Mam rozkaz zaprowadzić wszystkich do więzienia.

W. Mistrz.

Ogłoś więc panu, co nas obciąża więzami,
Że dalecy oporu, poddajem się sami.

Można gnębić niewinność, okować w kajdany.
Lecz kto pewny w sumieniu, w cnocie niezachwiany,
Ten łańcuchem obciążon, potrafi być sobą,
Pęta ciężą na zbrodni, cnocie są ozdobą.
Gdzie są nasze okowy?

Marigni.

Jakiż wstyd mną miota!

W. Mistrz.

Pełnij twoją powinność.

Marigni.

Zabrania jéj cnota.

W. Mistrz.

Także wola monarchy będzie dopełniona?

Marigni.

Kto tak jest nieposłuszny powinność wykona.

W. Mistrz.

Znasz królewską surowość, pomnij co cię czeka.

Marigni.

Pomnij raczéj że wasza śmierć już nie daleka.

W. Mistrz.

Ty bądź zawsze posłusznym w téj kolei losu,
Nie rozbrojem bezprawia, nie unikniem ciosu,
Po zhańbieniu zakonu, czémże życie będzie?
Gdy potwarz i nienawiść, już ściga nas wszędzie:
Kiedy stos już gotowy, my spieszmy na zgubę,
Niech każdy Templarz ginie i ma śmierć za chlubę.

Marigni.

Niech każdy Templarz ginie!

W. Mistrz.

Każdy zginie znami,
Ktoby pragnął uniknąć już się wiecznie splami,
Zdrajca jest i nikczemnik, podły przeniewierca,
Próżno dotąd dowodził odważnego serca,
Próżnoby świat uwielbiał wieńce jego czoła,
Już tylko umierając utrzymać je zdoła.
Tak, z radością niech każdy pospiesza na zgubę.
Niech każdy Templarz ginie i ma śmierć za chlubę.

Marigni.

Jako! więc ocalenie wy zbrodnią zowiecie!
A więc honor i czyny znane już po świecie
Nakazują, by wszyscy życie poświęcili?
Dobrze więc, w takim losie. w tak okropnéj chwili,
Jeżeli to każdemu święte prawo każe,
Już dłużéj wahać, już się. zataić nie ważę:
Jest Templaryusz skryty pomiędzy dworzany
Przeniewierca, lecz z wami dzieli wszystkie rany,
Co nad występkiem swoim codziennie łzy sączy,
Co się z żelem przynajmniej jeszcze z wami łączy.
I pragnie nieszczęśliwy...

W. Mistrz.

Lękaj się przedemną
Nazwać go, wina jego niech będzie tajemną,
Czyn jego dotąd w rzędzie zapomnianych mieszczę,
Dozwalam, rozkazuję, by po nas żył jeszcze,

Marigni,

On był zdołał was przeżyć?

W. Mistrz.

Niech wie i pamięta,
Że pełnić co ja każę, jest powinność święta;

Słuchaj, zanieś mu Mistrza najwyższe rozkazy!
Gdybym do niego moje mógł zwrócić wyrazy:
Gdyby stanął przedemną, i błagał ze łzami
O wrócenie mu prawa by umierał z nami
Moje serceby rzekło: znam synu twe męztwo!
Godzieneś z nami święte podzielić zwycięztwo,
Ale nadto byłoby tak ofiary trwonić,
Tyś się winien poświęcić, jam winien zabronić,
Znoś jeszcze ciężar życia, i na naszym grobie
Broń sławy twoich braci — powierzam ją tobie.
Żyj.

Marigni.

Nieba!

W. Mistrz.

Wesprzyj Boże zamiar najsłuszniejszy!
Niech przez to zbrodnia naszych potwarców się zmniejszy;
Sędzio! co w sercach czytasz wzniosły nad niebiosy,
Nie szlę modłów do ciebie za własnemi losy.
Niechaj się na mnie wszystkie potęgi zjednoczą;
Niechaj mi wydrą sławę, moją krwią się zbroczą;
Uwielbiając cię Boże! poddam się, poświęcę.
Ale za temi braćmi pozwól wznosić ręce;
Gdyśmy z jarzma niewiernych ostrzem naszéj stali,
Grób święty, Idumeję i Jordan wyrwali,
W tym dniu szczęścia, radości, kiedy miasto święte
Odżyło ofiarnémi kadzidły przejęte,
Gdy pocieszone mury odwieczne Syonu
Odbijały nam w pieniach chwałę twego tronu,
Gdy przed ołtarz gdzie twoja odpoczęła chwała,
Korna ci garstka mężów tryumfy składała;
Jam ciebie o nagrodę nie błagał w téj chwili
Bośmy za Imię twoje, za wiarę walczyli,
I na tém dość nam było — Teraz na ich czele
O łaskę cię ostatnią prosić się ośmielę,

Spraw Boże niech ja legnę oni po mnie żyją,
Niech służąc tobie nową sławą się okryją,
Przyjmij Boże! daj spełnić tak czyste zamiary.

Laigneville.

Nieba! nie chciejcie przyjąć tak wielkiéj ofiary.

Montmorency.

Zginiemy razem z tobą, tak każe ustawa.

Laigneville.

To jest nasza powinność.

Montmorency.

Nasze święte prawa.

SCENA TRZECIA.

Ciż sami. Minister. Straż.

Minister.

Przybliżcie się, chwytajcie, oto są zbrodniarze!
Nowy zamach przyspieszył kroków słusznéj karze,
Czas nagli, żelaznemi więzy obciążeni,
W podziemnych lochach słońca nie ujrzą promieni:
Czujna straż w każdą chwilę niech będzie gotową,
Żołnierze! każdy za nich odpowie mi głową.

W. Mistrz.

Daremnie nas okować troskliwość ci każe,
Nie były ci potrzebne te więzy i straże,
Zabierzcie zbiory nasze, okowajcie dłonie
Za nas, ani za skarby nie staniem w obronie,
Rycerzami kościoła święte prawa rządzą,
Każą królów szanować i wtenczas gdy błądzą,

Wszystko czém są, co mają, wszystko ci rycerze
Dla ojczyzny i króla poniosą w ofierze.
Są jednak obowiązki, są prawa i zdania,
Które poświęcać królom i sam Bóg zabrania.

Minister.

Wy posłuszni monarsze? Dla czegoż spiskowi
W imię wasze broń wznieśli naprzeciw królowi?
Zamek oblegli, wojsku stawili już czoła,
Nawet króla obecność wstrzymać ich nie zdoła,
Hasło Wielkiego Mistrza zbłąkanych jednoczy,
Może w téj chwili, już się krew niewinna toczy.
Obłudni, chcecie króla ułudzać pokorą,
Kiedy wspólnicy wasi do broni się biorą?

W. Mistrz.

Któż to naszym spólnikiem buntownika zowie?
Naszemi spólnikami są wierni ziomkowie.
Dość silny do oporu, gdyby honor kazał,
Zakon by się wzywaniem obcych rąk nie zmazał,
I może przeciw sile wystawione męztwo,
Mogłoby świętéj sprawie zapewnić zwycięztwo.
Umiemy wreszcie umrzeć — Któż to przebóg głosi
Że wzburzony tłum ludu z nami broń podnosi?
Gdzież oni są? — Niechże król porówna ich z nami,
Kto ich uwiódł, kto burzył, niech powiedzą sami,
Wszystkich, i tego nawet kto ich bronić będzie
Wyprzemy się przysięgą i zawsze i wszędzie;
Jeśli chcecie rozbroić przeniewiercze dłonie,
Oddajcie nam na chwilę, oddajcie nam bronie,
Krew powstańców przelana ostrzem naszéj stali
Wywiedzie króla z błędu, nasz honor ocali,
Niech nam wreszcie monarcha chociaż w tém zawierzy
Że umiemy czcić tryumf zakonnych rycerzy,
Zwycięzcy, pęta nasze włożemy na nowo,
Daję na to rycerza, daję Mistrza słowo,

(Wszyscy podnoszą ręce za W. Mistrzem na znak przysięgi).

Marigni (do Ministra).

Ojcze zapewniam, wszyscy dochowają wiary.

Minister.

Jam winien tylko króla dopełniać zamiary,
Uzbrój się synu, za mną powinność cię woła.

W. Mistrz.

O szczęśliwy! przynajmniéj z bronią umrzeć zdoła.

(Straż wyprowadza Templaryuszów).

SCENA CZWARTA.

Minister. Marigni.

Marigni.

Teraz poznałeś wszystkich, jeszczeż i w téj chwili
Sądzisz, że buntowników, oni uzbroili?

Minister.

Inkwizytor ich sprawę osądzi mój synu.

Marigni.

Ojcze chciéj mię wysłuchać, powód tego czynu...

Minister.

Twój obowiązek działać nadewszystko skrycie.

Marigni.

Tak, obowiązkom moim chcę poświęcić życie.

AKT IV.

SCENA PIERWSZA.

Królowa. Chatillon.

Chatillon.

Pani! już uśmierzono podłych burzycieli,
Najmniejszego oporu uczynić nie śmieli;
Tłuszcza upokorzona, raczéj pomięszana,
Króla swego ujrzawszy, padła na kolana,
Dla monarchy i dla nas, jak tryumf szlachetny,
Skutek nieco późniejszy nie byłby tak świetny.

Królowa.

Wielki Mistrz od wszelkiego wolny podejrzenia,
Czyliż wie, że lud jego używał imienia?

Chatillon.

Że o spisku nie wiedział cały dwór przyznaje,
Król jego niewinności sam słuszność oddaje:
Ja Pani! syn ministra, i z wielu innemi
Stanęliśmy przed królem błagając za niemi,
Mamy rozkaz, ażeby jeśli chce obrony
Wielki Mistrz był w tém miejscu przed króla stawiony.

Królowa.

Król zechce go wysłuchać?

Chatillon.

W téj chwili królowo.
W takim stanie, wszystkiego użyłem na nowo,
Bym mógł Inkwizytora złagodzić w niechęci,
Twoje życzenie Pani, miałem na pamięci.
Widziałem go.

Królowa.

Cóż mówił?

Chatillon.

Ledwo wierzyć można.
Że taką tchnie srogością gorliwość pobożna,
W ustach jego są same występki i kary,
W każdym on oskarżonym chce szukać ofiary.
„Jeśli (mówił) rycerze w zamku uwięzieni
„Wyprą się, gdy z nich żaden zbrodni nie wymieni,
„Ich bracia już pojmani, są pod moją władzą,
„Ci mniéj będą uporni, i wszystkich wydadzą.
Jakże! kiedy w około szanowni kapłani,
Za pośredników Boga od ludu wybrani,
Przez cnoty które pełnią i te które głoszą
Boga pocieszający obraz nam przynoszą.
Ten dumny Inkwizytor zaledwo z klasztoru
Drogą intryg, obłudy, wcisnął się do dworu;
Już tylko w same gromy zbrojna jego ręka;
Gdzie król karać się waha, on się łaski lęka.
Niecierpliwie mię słuchał, wzrokiem nieprzychylnym,
Pani! może złe zrządzić bo się czuje silnym.

Królowa.

Czemu ich tajnie nęka, jawne rzuca gromy,
Może ci wodzu jeszcze powód niewiadomy:

Chcąc ich Wielkiego Mistrza obrony pozbawić,
Innym rycerzom tajnie rozkazał się stawić,
Myśląc że ich usidli, sprawi pomięszanie,
Rzekł: któryż z was w obronie za zakonem stanie?
Ledwo to mówić zaczął, oni w jednéj chwili
Wszyscy wzniesioną ręką przysięgę złożyli;
Rzekł znowu, tak szlachetnem milczeniem zdziwiony,
„Oskarżono wasz zakon, nie macież obrony?
„Natenczas zawołali: I zawsze i wszędzie
„Życiem każdy powinien i bronić go będzie,
„Tego po nas Bóg żąda, prawa i my sami,
On cnotę zwie zuchwalstwem, zagraża karami.
Wszytkie męki wystawia, ale nie strwożeni,
Gotowi znosić męki tortur i płomieni,
Nie dziwią się spokojni. — Samo niebo chciało
By srogości ich losów, męztwo wyrównało.

SCENA DRUGA.

Ciż sami. Król. Minister.

Król (do królowéj).

Zwycięzca buntowników dałem się nakłonić,
Wielki Mistrz zyskał wolność przedemną się bronić.
Lecz niechaj pomny będzie że od téj rozmowy
Zależy albo łaska, lub wyrok surowy.
Otóż już go prowadzą.

SCENA TRZECIA,

Ciż sami. Wielki Mistrz. Marigni.

Król

Gdybym mniéj łaskawy
Znał tylko co mi każą godność i ustawy,

Poddany co przeciw mnie dumne prawa rości,
Niemiałby nigdy chwały z króla obecności,
Lecz do licznych dobrodziejstw nową łaskę mieszczę
Straciwszy zakon, bądźcie Francuzami jeszcze,
To co w nim utracicie, daję zapewnienie
Że wam hojnie opłacę, bo w chwałę zamienię.

W. Mistrz.

Królu! kiedy wybrany między poddanemi
Chlubiłem się i łaską i dary twojemi,
W tym dniu dla mnie pamiętnym gdy kapłańskie dłonie
Świętym zdrojem rosiły syna twego skronie,
W tym dniu gdym się rozrzewniał tém szczęściem jedynem
Żem syna króla mego, moim mógł zwać synem,
Mógłżem wtenczas niestety przewidzieć tę zmianę,
Że przed tobą jak zbrodzień skrępowany stanę? —
Okropne są dla wszystkich twoje groźby Panie,
Moją obawą tylko jest zasłużyć na nie.
Więc my, wierni rycerze, my korni poddani
Przez tajną skargę wrogów, za zdrajców uznani?
Tenżeto zakon królu! mógł bunty wywierać,
Co twe ludy nauczał za ciebie umierać?
Który mogąc podbijać i zakładać kraje
Powraca, i w szeregach twych żołnierzy staje?
Niezłomna wierność nasza, męztwo niezachwiane,
Śmiało ci królu powiem, że tobie są znane.
Krew nasza już Francyi opłaciła sławę,
Gdy w pola Montu mściwą poniosłeś wyprawę.
Miałem ja zaszczyt Panie walczyć przy twym boku.
Dzieła nasze przyjemne były twemu oku;
Wielką liczbę widziałeś, jak w bojach wytrwali,
W krwi rozrzutni, szczęśliwi kiedy ją przelali,
Iluż z chwałą poległo, cisnąc się na strzały,
Które z rąk nieprzyjaciół aż ciebie sięgały,
Żaden w twojéj obronie nie oszczędzał bytu,
My świadki, my im tego zajrzeli zaszczytu,

Żadnego z nich powszechna nie wzruszyła trwoga,
Każdy ginąc za króla, mniemał że za Boga;
Tą drogą, każdy rycerz pośpiesza do sławy,
Tak nas wiara naucza, tak nasze ustawy,
Przy nich dwa święte czucia rokują zwycięztwo
Zapał Chrześcianina i Francuza męztwo.
To są nasze natchnienia, to są nasze dzieła,
Pytaj się krwi, wszak jeszcze w ziemię nie wsiąknęła,
Powstańcie! opuszczajcie milczące mogiły,
Wy! których krwią dalekie rzeki się poiły,
Stańcie rycerze, mnogie ojczyzny ofiary,
Czy więcéj od potwarców nie zyskacie wiary? —
Oni polegli, a my chcemy umrzeć wierni,
I nas że to nienawiść oskarża i czerni?
Tak jest królu! jeszczeby wszyscy i w téj chwili
Resztę krwi oszczędzonéj tobie poświęcili;
Bóg i honor mi świadkiem, na grotów tysiące
Pójdą nadstawią serca dla ciebie bijące.

I to dozwól nadmienić że bogate zbiory
Wniesione do zakonu przez ludy i dwory,
Świętym składem pod naszą były tylko strażą,
Dla królów je chowamy, gdy je złożyć każą;
Nie złotem, lecz żelazem działają rycerze,
Człowiek składał te dary, człowiek niech odbierze.

Jako Frankowie, wszystko święciemy dla tronu,
Jako rycerzów, zostaw przy prawach zakonu.
Królu! ty mię rozumiesz, ten sędzia na niebie,
Co wszystko ma pod władzą, i samego ciebie,
Ten błogosławił, sprzyjał ślubowi naszemu,
Kiedyśmy przysięgali służyć Odwiecznemu,
Francya zezwoliła. Święta to przysięga,
Nie rozerwie jéj żadna śmiertelnych potęga,
Ona korzyść ołtarza i tronu stanowi,
Wszak wierni Wszechmocnemu, wierniśmy królowi.
Lecz gdy tak świętych zasad potępiać nie można,
Zbrodnie nam zarzuciła obłuda pobożna.

Inkwizytor rozkazem do siebie nas wzywał,
Chełpił się żarliwością, a zemstę ukrywał.
Rumienił się gdy głosił występki i kary,
Gdyby wybrał przynajmniéj zbrodnie godne wiary.
Jako? my bluźniem Bogu, my wrogi kościoła?
Nie, tak okropnym zbrodniom król wierzyć nie zdoła.
Niewiernemi dla świętéj wiary nas ogłasza?
Ach! my żyjemy dla niéj, i dla niéj krew nasza.
Obłudnik, czyż się stawi na śmierć bohatéra?
Kłamie on, zwodzi, zdradza, ale nie umiera.
Z innym jeszcze zarzutem nienawiść powstaje,
Rycerzy nie splamionych ganią obyczaje;
Lecz są skargi, na które dość zamilczeć Panie,
I jużby winą było, odpowiadać na nie.
Nakoniec otwartości zapewnie przebaczysz,
Iżeśmy z ciebie wzrośli, sam to uznać raczysz;
Tak jest, Templaryusze są zawsze ci sami
Których ty obsypałeś chwałą i darami,
Że byli i są godni względów przy twym tronie,
Tego zawsze dowiodą i w życiu i w zgonie.

K r ó l.

Znane mi czyny wasze, niemniéj chęciom wierzę,
Ale czyliż mniéj moi działali żołnierze?
I ci szli z poświęceniem na przeciwne groty,
Było to inne wojsko, lecz téż same cnoty.
Kiedy własna dłoń moja tryumf zapewniała,
Wy szliście w moich rotach, i w tém wasza chwała,
Żołnierz winien zwyciężać, ulegać poddany,
Nie jeden chcący zdradzić, walczy za swe Pany.
Ale sami na waszą użalcie się dolę,
Dumni! chcecie nastawać na najwyższą wolę,
Skoroście na mnie wznieśli ramię buntownicze,
Moja sprawa wszystkich się monarchów dotycze;
Francuzami zrodzeni, żeście u stóp tronu
Zaprzysięgli odebrać święty gród Syonu.

Czyż sądzicie, że ślub ten, już prawo stanowi
Zapomnieć co poddani winni są królowi?
Żeby zakon nie powstał słusznie bronił książe,
Ja król, ja rozkazuję, niech się dziś rozwiąże.
Takie są prawa moje, wprzód podaję rady.

W. Mistrz.

My w kajdanach, jakieżto byłyby układy?

Król.

Poddać się ten jedyny środek wam podaję.

W. Mistrz.

Odmówić, ten jedyny środek nam zostaje.
Nie, sam Bóg nie dozwoli, by królów potęga
Starła to, co nam święta wskazuje przysięga.

Minister.

Królu! wiary i tronu nakazuje całość,
Karać zbrodnie Chrześcian, poddanych zuchwałość
Trzeba, trzeba bezbożność zgładzić do imienia,
Późna potomność na nię nie wspomni bez drżenia,
Tak jest, już Inkwizytor gorliwy i czynny
Odkrył zbrodnie, co wiecznie skazać ich powinny,
Tysiące wreszcie świadków już przysięgło na nie,
Resztę wyjawi własne rycerzów zeznanie.

(do W. Mistrza).

Święty trybunał wkrótce monarchę przekona.

Król.

Przeciw tym świadkom, jakaż będzie twa obrona?

W. Mistrz.

Czterdzieści lat służyłem Bogu i królowi,
Całe więc życie moje, niech za mnie odpowie.

Marigni.

Królu! winienem mówić — Któż przebóg uwierzy
Aby tylu za ciebie poległych rycerzy
I sławę niepożytą i życie i trudy
Poświęcało dla saméj zdrady i obłudy?
Czyliż dopiero zbrodni potwarcy dostrzegli?
Tak jest, od lat czterdziestu rycerze polegli
Wszyscy byli niewinni, lub wszyscy zbrodniarze,
Przecięż z świadectwem ludów porównaj potwarze,
Przelicz panie rycerzów chwalebne poczety,
Ileż z dzieł, ile z rodu znajdziesz w nich zalety,
Tutaj możnych synowie, w ich szeregach stali,
Tu krewni, krewnych swoich do związków wołali,
Bracia wzywali braci do rycerskich czynów,
Synowie wiedli ojców, a ojcowie synów.
Pocóż się tylu mężów garnęło w ich ślady?
Dla zbrodni, dla bluźnierstwa, dla buntów i zdrady?
Któreżto Panie domy świetne w twéj koronie
Nie miały, lub nie mają związku w ich zakonie,
Miałżeby cały kraj twój z występnych się składać,
Takimżębyś to ludem tak świetnie mógł władać?
Nie daj się królu zwodzić — W nich Francyi chwała,
Ich hańba, cały naród hańbąby odziała.
Wszystko co o nich mówię, utrzymują Panie,
Wszyscy wierni poddani, wierni Chrześcianie,
Ich rod, życie i czyny wskażą to dowodnie
Ich czernić, ich oskarżać! to prawdziwe zbrodnie.

Minister.

Wszyscy śmierć zasłużyli, mój syn już zhańbiony,
Skarżę go, gdy nie zechce przestać ich obrony,
Tysiąc i tysiąc świadków ich zbrodnie zeznało,
Jemuż się przeciw wszystkim opierać przystało?
Znaż on czyny zakonu działane tajemnie,
Czyliż więcej wie Panie od ciebie, odemnie?

Mówi i chce to stwierdzić że są niewinnemi.
Czemże tego dowiedzie?

M a r i g n i.

Umierając z niemi.

(rzuca się do nóg W. Mistrza).

Tak, jestem Templaryusz.

W. M i s t r z.

Wiedziałem.

K r ó l o w a.

Ach Panie!

M i n i s t e r.

Przebóg synu! jakież to śmiesz czynić wyznanie?

M a r i g n i.

Królu! znasz moje chęci i wierność dla tronu,
Teraz według mnie osądź postępki zakonu.

K r ó l (do W. Mistrza).

Ty zamilczałeś o tém?

M i n i s t e r (do siebie).

Ach mogęż dać wiarę!

W. M i s t r z.

Błagałem niebios, aby oszczędzić ofiarę.

M a r i g n i.

Milczałem, póki oni szczęśliwemi byli,
Winien się byłem wydać w téj okropnéj chwili,
Kiedy po ich broń szedłem od ciebie wysłany,
Łzami oblałem dla nich niesione kajdany,

Posłuszny byłem. Za nich przelałbym krew moję,
Lecz teraz, już poznany w ich rzędzie nie stoję;
Jednę tylko, ostatnią dozwól prośbę złożyć.
Nie daj ojcu mojemu twéj niełaski dożyć.

(do W. Mistrza).

A ty daruj! że temi znieważam cię łzami.

W. Mistrz.

Osiwiały w nieszczęściach, miotany burzami,
Bez trwogi, bez łzy patrzę na losu igrzyska.
Lecz twój los z oschłych powiek jeszcze ją wyciska

Król.

Oddalić ich!

SCENA CZWARTA.

Król. Królowa. Minister.

Minister (klęka).

Ach królu! przebacz twemu słudze.

Król.

Powstań Marigni! umiem czuć nieszczęście cudze,
Spiesz się, syn twój występny nad przepaścią stoi,
Niech sprawiedliwość moję, jego żal rozbroi.

SCENA PIĄTA.

Król. Królowa.

Królowa.

Patrz! jak święcie z nich każdy obowiązki ceni
Królu, czyż i to twoich zamiarów nie zmieni?

Chceszże jeszcze by zakon przed tym sędzią stawał
Co zmusza niewinnego, by zbrodnie wyznawał?
Co każde domniemanie rad występkiem głosić;
I nim zdoła osądzić, każe miecz podnosić.
Męczarnie srogą sztuką zmienia i przewleka,
Zmusza do kłamstwa, mieniąc że prawdy docieka;
Gdzie więzień drży, miesza się, cóż niewinność nada,
Tortury się pytają, boleść odpowiada.
Królu! niech dobroć twoja ich losy osłodzi,
Ona surowość prawa z łaskawością zgodzi,
W tém lud królów najwyżéj po Bogu ocenia,
Że łączą do praw kary, prawo przebaczenia,
Racz czynem najpiękniejszym twe rządy oznaczyć.

Król.

Równie jak ty królowo ja pragnę przebaczyć;
Ale zważając ściśle, jak powód konieczny,
Nakazuje obalić zakon niebezpieczny,
Czyż mogą Trybunału świętego wyroki
Dłużéj jeszcze doznawać niebezpiecznéj zwłoki?
Jeśli sąd nazbyt ostro wyrokować będzie,
Przyrzekam, że ich losy, ja chcę mieć na względzie.
Niechaj sędzia praw ostrych postępuje drogą:
Szczęśliwsi są królowie, bo przebaczyć mogą;
Tak Pani, miéj nadzieję. — Ale czas się zwleka
Minister pocieszenia i rozkazów czeka.
Niech przyjdzie Inkwizytor, niech sposób wymieni,
Czem prawo ułagodzić mogą oskarżeni,
Czém się najprzód utwierdzi moja moc i sława,
Zresztą na ciebie zlewam łaskawości prawa.

AKT V.

SCENA PIERWSZA.

Marigni, Laigneville, Montmorency
i inni Templaryusze.

Marigni.

Tak, wierni przyjaciele! chcę przy waszym boku
Dzielić zaszczytne losy srogiego wyroku!
Ufam, że mój postępek niebo mi nagrodzi,
Że dwór już jest za nami, wątpić się nie godzi.
Za mój czyn już zapłatę zyskałem zbyt drogą,
Śmierć ojca mego przeraziła trwogą,
Skarży potwarców, króla przeświadcza o błędzie,
Własne jego sumienie obroną nam będzie,
Darujcie mu! w sumieniu już nadto ma kary,
Płacze, modli się, swoje ogłasza zamiary.
A nawet, na co słusznie mógłby syn się żalić,
Samego siebie skarży aby nas ocalić.
Bracia! jeśli dziś nasza chwała się odnowi,
Oddajmy skarby nasze ziomkom i królowi,
Żołnierz mając żelazo dosyć jest bogaty,
Pójdziem pod mur Syonu odkupować straty;
Wzbudzając dawne męztwo przez wznowione sprawy,
Zbierzmy prawdziwe skarby i cnoty i sławy,

To są skarby, co królów nie nabawią trwogą,
Których, niechaj zazdroszczą, lecz wydrzeć nie mogą.

Laigneville.

O szlachetny rycerzu! jakiż błąd cię mami.
Gdy pobożna nienawiść trzyma cios nad nami;
Bądźmy w jéj własnych oczach tak czyści jak słońce,
Cóż nam prawo pomoże, co nasi obrońce?
Inkwizytor nie zgięty i w złości i w dumie,
Wyższym się nad królowę, nad wszystkich rozumie.
Nami on sobie drogę do potęgi ściele,
Już nadziejom nie chciejcie wierzyć przyjaciele.

Marigni.

Nie macie już nadziei? Wszyscyby ją mieli,
Gdyby Wielkiego Mistrza obronę słyszeli.
Odprowadzono wszystkich, za danym rozkazem,
Mnie, i Wielkiego Mistrza zatrzymano razem,
Zaczém okrutny wyrok miał być ogłoszony,
Sąd wodzowi naszemu dozwolił obrony,
Bez trwogi i zuchwalstwa z postacią spokojną,
Z godnością jemu tylko i cnocie przystojną,
Dowodził, że jedynie cześć Boga i sława
Stanowią nasze szczęście, nasze święte prawa.
„Jesteśmy więc niewinni, tak jesteśmy niemi,
Świadkiem tego król nieba, i królowie ziemi;
Tak jest, srogiéj obłudy co zakon zniesławia
Obecność i potomność zaświadczy bezprawia.
Niech pod miecze katowskie karki nasze schylą,
Niech wszystkie okrucieństwa na nasz zgon wysilą;
Nie usłyszą nic więcéj nad ten głos jedyny,
Byliśmy niewinnemi, giniemy bez winy,
A może, jęcząc jeszcze z pogrobowych cieni
Wołać będziem, niewinnie jesteśmy straceni."
Na te Mistrza wyrazy, liczna sędziów rada
Zamilkła, wszędzie przestrach twarz zdradzała blada.

Sędziowie ni uwolnić, ni skazać nie śmieli,
Zdawało się, że z nieba grzmiący głos słyszeli,
Że im zarazem grozi, Bóg i czas potomny.
Nasz szlachetny wódz zawsze spokojny i skromny;
Jeszcze mówił, pytał się skargę rozpoznawał,
Okowany przed niemi, on sędzią się zdawał.
Taka jest zawsze cnoty niepożyta władza,
Nakoniec za rozkazem, mnie straż wyprowadza.
Sam został, wtenczas nasza niewinność i chwała
Najpiękniejszym zapewne wieńcem się odziała.

Montmorency.

Czyli nie wiesz, że z inąd, o sroga zakało!
Kilku niegodnych braci łaskę otrzymało.

Marigni.

Templaryusze, łaskę?

Montmorency.

Ci, co z nami razem
Przybyli do Paryża za króla rozkazem.
Wtenczas kiedy Mistrz W. z tak świetnym zapałem
Sprawę naszą przed srogim bronił Trybunałem,
I onych przywołano. Inny sąd zasiada,
Lecz daremnie zachęca, zagraża i bada,
Honor ich utrzymywał, nie strwożeni, stali,
Obelgi i męczeństwo tortur wytrzymali.
Nakoniec uczynili kłamliwe odkrycie,
Do którego i nasze przywiązane życie.

Marigni.

Czy jesteś tego pewny? więcby potwarz podła,
Życie nasze i honor o zgubę przywiodła?

Montmorency.

I w nagrodę tych zeznań, już wszyscy swobodni,
Chcecież bym ich wymienił?

Marigni.

Wspomnienia nie godni.
Niech Wielki Mistrz — lecz idzie — Chwilo pożądana!

SCENA DRUGA.

Ciż sami. Wielki Mistrz.

Montmorency.

Jakaż jest dola nasza?

W. Mistrz.

Już wam była znana.

Laigneville.

Jakikolwiek nasz wyrok, jesteśmy gotowi,
Pójdziem pod miecz posłuszni Wielkiemu Mistrzowi.
Powiedz — Cóż to? i ciebie wstrzymuje obawa?

Montmorency.

Więzienie, miecz katowski?

W. Mistrz.

Nie — męczeństwa sława.
Chwała niebu że razem wszystkich nią obdarzy,
Tak jest, ogień morderców, wkrótce się rozżarzy;
Stosy już są wzniesione — mężnie śmierć ponieście,
Ja jestem gotów — A wy? widzę, że jesteście.
Dzięki ci Boże za to ostatnie zwycięztwo!
Teraz do walk najsroższych wlej najwyższe męztwo
Kazałeś, święty przykład niech ziemia odbierze,
Ci to wiary obrońcy, kościoła rycerze
Nie zmazani aż dotąd, godni są zaszczytu,
Poświęcić chwale twojej resztę swego bytu:

Godni męże! Jeżelić koniecznie i wszędzie,
Rychléj czy późniéj życie odebrane będzie,
Wielbijmy ciosy nasze, oto chlubna droga
Ona nas doprowadzi do mieszkania Boga.
Lecz mamże was zasmucać, rycerze niegodni,
Bracia nasi należą do potwarców zbrodni,
Litujcie się nad niemi, życie krótkiéj chwili,
Swoim kłamstwem, zbrodniarzy łaską okupili,
Żyć będą, lecz w bolesnym, w ohydzonym stanie,
Śmierć nasza zbić powinna fałszywe zeznanie;
Okrucieństwa tyranów znieśmy duszą dzielną,
Cóż nam wydrzeć zdołają? tę szatę śmiertelną,
Mogą, niechaj pochodnie dni naszych zagaszą,
Z za grobów jeszcze będziem błyszczeć cnotą naszą,
Tak ona nas przeżyje, i chwałę osiędzie,
Czuję, że wraz z wiecznością i z Bogiem żyć będzie.
O męki godne chwały, o nadziejo droga,
Z płomieniami się wzbijem do stolicy Boga.

SCENA TRZECIA.

Ciż sami. Chatillon.

Chatillon.

Zostańcie! niech się z miejsca żaden nie oddala,
Król tak chce, i o łaskę prosić się dozwala,
Z królową wielu czuwa nad waszemi losy,
Monarcha może jeszcze cofnąć zgubne ciosy.
Dość będzie niech Mistrz Wielki mówi za wszystkiemi,
Żyjcie dla cnót i chwały, i ojczystéj ziemi.
Ustąpcie! tak potrzeba, tak przyjaźń doradza,
Mnie od was żadna więcéj nie odłączy władza,
Byłem gotów iść z wami aż na miejsce zgonu
Przed obliczem Francyi, i samego tronu,
Z chlubą byłbym się waszym przyjacielem głosił,
Za waszą chwałę walcząc, mojąbym podnosił.

Ale o względach króla bądźcie zapewnieni,
Chciejcie tylko, a jego łaska wszystko zmieni,
Nie gardźcie nią, umiałem czytać w jego oku
Że z żalem...

SCENA CZWARTA.

Ciż sami. Król.

Król.

Słyszeliście o waszym wyroku.
Jesteście więc niewinni?

W. Mistrz.

Tak, jesteśmy niemi.

Król.

Na śmierć wszyscy skazani.

W. Mistrz.

Wyroki ludzkiemi.

Król.

Zuchwały! jeszczeż z sędziów i świętego prawa
Duma twoja, przy mnie się nawet naigrawa;
Skoro sąd w imię prawa wyroki ogłosi,
Kto się mniema niewinnym, ten już bunt podnosi.

Chatillon.

Jeszcze jest jedna droga.

W. Mistrz.

Tak, poświęcić życie.

Chatillon.

Czyż się króla dobroci ufać nie ważycie?
Przy królu moc najwyższa, bo łaska zostaje,
Gdy was do stóp przypuszcza, już ją sam podaje.

W. Mistrz.

To prawo dobrodziejstwa służące wszechwładnym,
Jest darem dla zbrodniarzów, dla niewinnych żadnym.
Gdzie łaska jest przyjętą, tam zbrodnia przyznaną,
Łaska za honor, zbyt jest nie równą zamianą;
Niewinność do podłości nie uniży czoła,
Jeżeli śmierć nas tylko uniewinnić zdoła.
O śmierć tylko prosiemy.

Król.

Sędzie jednozgodnie
Już kary ogłosili i wytknęli zbrodnie,
Lecz skoro bracia wasi wyznali je sami,
Dość mi na tém, cofam miecz wiszący nad wami,
Wracam życie.

W. Mistrz.

Honor wróć — Publicznie, sam Panie,
Ogłoś naszą niewinność, zbij potwarców zdanie,
Honor nam wróć, przysięgam przez Boga na niebie!
Te serca nie przestaną bić wiecznie dla ciebie.
Łaska niczém jest dla nas, my prawa żądamy,
Wszak kiedy nas sądzono, w tém już karę mamy,
Obnażeni z praw naszych, wygnani, sądzeni,
Cele wzgardy, potwarzy, wszędzie oczernieni;
Jeżeli po tém wszystkiem żyć będziemy w stanie,
Niechże nieszczęsnym aby honor się zostanie,
Honor nam królu powróć od stóp twego tronu,
Pospieszem umrzeć wszyscy, wielbiąc cię wśród zgonu.

Chatillon (na stronie).

Uwiadomię królowę.

SCENA PIĄTA.

Ciż sami prócz Chatillona.

Król.

Łaski mojéj pewni,
Błagali mnie za wami rodzice i krewni,
Ja sam gotowy zawsze do waszéj obrony,
Może i głosem dawnéj przyjaźni wiedziony,
Rzekłem, niech sprawiedliwość pokorą rozbroją,
Niech Wielki Mistrz przedemną zniży dumę swoją;
Wtenczas prawo surowe, w litość się zamieni,
Dość mają kary na tém, że byli sądzeni;
Lecz dziś, wyniosłość twoja mnie prawa stanowi,
Chcesz bym sam twą niewinność ogłaszał ludowi.
Zkądże przebóg ta duma? Czyżbyście nie chcieli
Bym miecz kary na waszych zwrócił skarżycieli?
Niewdzięczny, to już nadto. Wiedz co ci zostaje,
Do żalu jeszcze tylko jednę chwilę daję,
Przyjmijcie łaskę moją, lub drżyjcie przed władzą.
Zostawiam wybór.

W. Mistrz.

Niechaj na śmierć nas prowadzą.

Król.

Marigni! twój ojciec mię do litości skłonił,
Chciałem wszystkim przebaczyć, bym ciebie obronił,
Pomnij na rozpacz ojca — Wola twoja szczera...

Marigni.

Królu, serca dotknąłeś, boleść je rozdziera.
Nieszczęśliwego ojca opłakuję losu,
Ale powinność woła, usłucham jéj głosu.

Król.

Nadto dotąd łaskawym, nadto byłem tkliwym,
Wszystko już wyczerpane, czas być sprawiedliwym.
Będę nim, precz niewdzięczni!

W. Mistrz (do króla)

Ten co światem rządzi
Czyta w głębi serc naszych, on wszystko rozsądzi,

(do rycerzów).

Bracia! spieszmy więc na śmierć, chwila nie daleka,
Wszyscy przed nim staniemy. Tryumf już nas czeka.

(Wszyscy wychodzą. W. Mistrz zostaje ostatni na scenie).

SCENA SZÓSTA.

Król. Wielki Mistrz.

Król.

Wielki Mistrz niech się wróci — Zostań — dola wasza,
Więcéj niż was mię boli, i więcéj przestrasza.
Byliśmy przyjaciołmi, znasz mię od lat wielu.
Nie masz mi nic powiedzieć dawny przyjacielu?

W. Mistrz (wracając).

Ach! gdybym to śmiał Panie!

Król.

Mów! chcę, rozkazuję.

W. Mistrz.

Rzekłbym, że moje serce wszystko ci daruje.
W płomieniach będę błagał, ażeby Bóg raczył,
Tak ci wszystko przebaczyć, jak jam ci przebaczył.

Ale niebezpieczeństwem jużeś otoczony,
Tak, nasze krzywdy długiem staną się korony.
Kiedyś... Srogie przeczucie!... Królu! Kiedyś może...

Król.

Dokończ!

W. Mistrz.

Nie uzbrój za nas mściwéj ręki Boże.

SCENA SIÓDMA.

Król (sam).

W tym stanie, tak nadludzkim zapałem przejęty,
Jestże to duma tylko, czy umysł tak święty?
Chciałem, ale nieszczęście zmniejszyć się nie dało,
Tak, sprawiedliwość każe, postępujmy śmiało;
Tylu rycerzy własne przedemną zeznanie
Już dowiodło. — Cóż to jest, co za zgiełk?

SCENA ÓSMA.

Król. Królowa.

Królowa.

Ach Panie!
Ach! królu! słuchaj wieści, zaledwo jéj wierzę,
Ułaskawieni twoim wyrokiem rycerze;
Skoro zyskawszy wolność powzięli pogłosy
Że już innym ich braciom zgotowane stosy;
Z żalu, z wstydu, że łaska ich życie ocali,
„Pójdźmy za wodzem naszym! wszyscy zawołali:

Nie mieliśmy dość siły mękom się opierać,
Poprawmy sławę naszą, umiejmy umierać."
Widziałam ich żal, rozpacz, gotowość do zgonu.

Król.

Ci sami co zeznali występki zakonu?

Królowa.

Do izby sądu, wszyscy wśród jęku i łkania
Wdarli się, odwołali fałszywe zeznania,
Lecz Inkwizytor tylko gniewnem rzucił okiem,
Śmierć jego odpowiedzią, śmierć była wyrokiem,
Wnet łzy starli, śmierć dla nich stała się rozkoszą,
Spieszą w płomienie, hasło swego wodza głoszą,

Król.

Co słyszę?

Królowa.

Teraz osądź! w jak podłym zamiarze,
Zawiść nieubłagana, ohydni zbrodniarze,
W imię zakonu śmieli, poddanych uzbroić,
Aby pozor występku w twych oczach podwoić,
Ten co chytrym podstępem władzę swoją szerzy,
Tym chciał przyspieszyć gniew twój i zgubę rycerzy.

Król.

Ktoż on jest?

Królowa.

Boleść jego miéj Panie na względzie,
Własnéj on kary szukał, i skarany będzie.

Król.

Wyjaw mi imię jego — niech nowe badanie,
Lecz spieszcie, niechaj wyrok wstrzymany zostanie.

Królowa.

Ta laska...

Król.

Słysząc skargi przeciw zakonowi
Poleciłem ich sprawę świętemu sądowi;
Nie chciałem ja potwarzą mścić się mnie i Państwa,
Winienem być surowym, lecz nie chcę tyraństwa,
Wiécéj powiem, gdybym znał nim ta burza wzrosła,
Że szkodliwy ich opór i duma wyniosla
Do tego mię przywiodą, że przez ciężką karę
Własnemu bezpieczeństwu ich poddam w ofiarę,
Nie chcę taić przed tobą Pani że w tym razie
Zapomniećbym się starał o własnéj obrazie;
Lecz gdy ze mną się mierząc przestępcy zuchwali,
Szkodliwy przykład ludom do oporu dali.
Jakież im jeszcze prawa, mnie względy przystoją,
Mamże stosy zbrodniarzów burzyć ręką moją?
Niechbym wreszcie w nich widział pokorę i trwogę,
Wtenczas szczęsny chlubiąc się, że przebaczyć mogę
Jeszczebym się tą chwałą przed ziemią oznaezył,
Żem wolny, bez słabości, bez trwogi przebaczył.

Królowa.

Już sam widok męczarni i śmierci obawa
Mogą zadość uczynić surowości prawa.
Na tém królu poprzestań, usłuchaj twéj chwały,
Wolny już od obawy, możesz być wspaniały,
Bądź nim, lecz jak Monarcha, ten którego władza
Wdzięczności tylko żąda, gdy prawa osładza.
Syt sławy, o tę jednę masz się jeszcze starać
By mówili: Przebaczył, kiedy mógł ukarać.

SCENA DZIEWIĄTA (i ostatnia).

Ciż sami. Chatillon.

Królowa.

Cóż przynosisz, rycerze wszyscy ocaleni?

Chatillon.

Widziałem te ofiary, znikły wśród płomieni.
Niestety!

Królowa.

Któżby to śmiał? król wstrzymać się raczył,
Inkwizytor się lękał, żeby nie przebaczył.

Król.

Więc stało się.

Chatillon.

Zginęli w chwalebnym zaszczycie.
Chwała ich śmierci świadczy, jakie było życie.

Królowa.

O czemuż na potwarców nie padły ich ciosy!

Chatillon.

Ogromne dla rycerzów rozłożone stosy
Wzniosły się z rusztowaniem. Przybyli rycerze,
Każdy, by pierwszy wstąpił, za powinność bierze,
Ale Wielki Mistrz nadszedł — wraz wyprzedza koło
Wstąpił, chwałą, nadzieją, błyszczy jego czoło,
Z pewnością patrzy w niebo, postacią przenika,
Zdało się, że duch niebios natchnął śmiertelnika;

Modlił się, w tém zawołał słowy straszliwemi:
„Nikt z nas Boga nie zdradził, nikt ojczystéj ziemi;
Ludu! pamiętaj nasze ostatnie wyrazy:
Niewinnemi jesteśmy, giniemy bez skazy,
Srogie nas i niesłuszne skazały wyroki,
Lecz jest święty trybunał nad temi obłoki,
Tam prośba uciśnionych nie była daremną,
Tam cię Rzymski kapłanie, tam cię wzywam ze mną,
Czterdzieści dni nie minie, będziem cię widzieli.“
Na ten głos wrażający wszyscyśmy zadrżeli.
Lecz Nieba! jakiż podziw! przestrach, pomięszanie;
Gdy wyrzekł: o Filipie! mój królu, mój Panie
„Daremnie ci przebaczam, nie wstrzymam wyroku,
Przed sądem Boga, ze mną staniesz w jednym roku.

(do króla).

Strwożeni liczni widze padli na kolana,
Płaczą, modlą się za nich, i za swego Pana;
Zewsząd się rozciągnęło milczenie i trwoga,
Zdawało się, że semsta zstępuje od Boga;
Strwożeni wykonawcy, z daleka nieśmiali,
Drżącą ręką na stosy ognie zarzucali;
Każdy oczy odwracał, gaśnie widok słońca,
Gęsty dym stos otacza, wznosi się bez końca,
Wnet rozżarza się ogień, mąk i śmierci blizcy
Rycerze równą stałość dochowali wszyscy;
Nie widziano ich więcéj, lecz hymny wspaniałe
Rozszerzały z płomieńmi odwiecznego chwałę,
Im srożéj żar się wzmaga, tém więcéj ich głosy
Razem się z płomieniami wznoszą pod niebiosy.
Wtém przybywa twój goniec, wstrzymuje lud cały,
Powtarza łaskę, głosi wielkość twojéj chwały;
Tłumem, wszyscy się do nich rzucają w płomienie
Ale nie czas już było, już ucichło pienie.

Królowa.

Królu! jakże zbłądziłeś: ach cóżeś uczynił!

Król.

Przynajmniéj, zawszem sądził że zakon przewinił.
Mamże się ciebie lękać, słuszny sądzie Boży?
Ach nie — ty, widzisz serce — potomność mię trwoży.
Pod jéj sądem ofiary, pod nią są królowie,
Ona to wielkie błędy, wielką zbrodnią zowie.

ABUFAR.

TRAGEDYA we IV. AKTACH.

PRZEŁOŻONA Z P. DUCIS.

DUCIS DO FLORYANA.

Tobie Przyjacielu! miałem poświęcić *Rodzinę Arabską*. Ty mi przepowiedziałeś jéj powodzenie, czekałeś go z niecierpliwością: miałem szczęście otrzymać go: a ciebie już nie ma! a więc Floryanowi przysutemu już garstką ziemi, popiołom twoim, miałem ten ostatni i smutny hołd oddać! Już więc nie pójdę odwiedzać cię w *Seaux*, nie będziemy się wzajem wspierać i pocieszać słodkiemi powaby nauk i przyjaźni! Już więc nie pójdę pod te wyniosłe cienie, rozrzewniać cię jeszcze czytaniem nowych Tragedyj! pamiętam to dobrze, tobie pierwszemu łzy mój Abufar wycisnął. O Floryanie! jakimże ciosem uderzyła mię twoja śmierć niespodziana. Ileż mi żalu nie zostawiła!... Myśleć o widzeniu ciebie, wyprzedzić dzień naznaczony, wyjechać, zbliżać się, dostrzedz twą wioskę, wejść niespodzianie, czuć cię przy mojém sercu, trzymać jeszcze w twym ręku pióro czyste i tkliwe, które tylko miłość cnoty i obyczajów kreśliło: wszystko to znikło już dla mnie! Jedno kojące spomnienie mi pozostaje. Nasze obadwa serca jakby przez instynkt, uciekły się, że tak powiem, pod jedno słońce, w jedno zacisze. Oba umieściliśmy się w pismach naszych pod namiotami Patryarchów, w pustyniach, między ich trzodami. Twój *Eliezer* albo twoje nowe *Poema Hebrajskie* jeszcze nie znane, ale twoje arcydzieło, natchnione przez gracye, lub Fenelona, jakże w koło mnie czarowało te samotne krzewy, wzniosłe topole, pod których cieniem mi je czytałeś. Ileż one zdobi twą duszę, ile ci chwały dodaje!

chwały, niestety! a smutny cyprys widzę na twoim grobie. Przecięż nie umarłeś ze wszystkiem. Dzieła twoje są jeszcze w ręku tkliwych, czyta je czuła i cnotliwa matka, młoda córka niemi się cieszy. Tak, twoje imię żyć będzie wiecznie, a nadewszystko, będzie kochane. Ach! Floryanie! trzebaż ci było przed rokiem czterdziestym umierać. Spoczywaj przyjacielu! spoczywaj wychowańcze Fenelona, czarowny malarzu niewinności; odwagi, miłości i cnoty. Niechaj na widok skromnych cyprysów na twoim grobie, młoda piękność serce wzruszone mając pamięcią twéj straty, niechaj się przybliży do nich krokiem bojaźliwym i mimowolnym, i z cichą boleścią, z westchnieniem, może ze łzą, powie nakoniec smutnéj matce: *Oto cyprys Floryana!* Czemuż tam przyjacielu, nie mogę wyryć twych słów ostatnich, które ci się czasem wykradały w przeczuciu za nadto bliskiego zgonu. *Gdy już niedługo żyć mamy, trzeba się spieszyć z dobroczynieniem.*

ABUFAR.

OSOBY.

Abufar, starzec arabski.
Faran, jego syn.
Salema } jego córki.
Azelida }
Tenaima, jego siostra.
Farasmin, młody Pers.
Gemma, młoda Arabka.
Sobed }
Kebir } Młodzi Arabowie przy rodzinie Abufara.
Salid }
Wielu innych Arabów.

(Scena w pustéj Arabii, pod namiotami Abufara).

AKT I.

Teatr wystawia w pustyni rozrzucone namioty jednego pokolenia, jeden Abufara i jego rodziny, jeden dla goszczących i ołtarz domowy. Jedna część puszczy jest urodzajna, widać pastwiska, konie, trzody, kozy rozproszone, kwiaty, ule, palmy i t. d. Druga część zupełnie pusta, widać tylko piaski, upusty wód, studnie zawalone kamieniami, niektóre wzgórki słońcem mocno oświecone, na najwyższym wzgórku dwie palmy, łączące z sobą gałęzie i panujące nad przestrzenią; groby, w odległości kilka cedrów, nieco ledwo dostrzeżonych ruin nakoniec wielkie piaski, w odległości z niebem się łączące.

SCENA PIERWSZA.

Tenaima, Salema, Azelida.

Każda z koszykiem w ręku, w koszyku Tenaimy bawełna, w koszyku Salemy len a w Azelidy różne szycie. Dzień się zaczyna.

Salema.

Azelido! ach z jakąż słucham cię rozkoszą!
Te powieści o starcu łzą mi lica roszą,
Szczęsny ten, kto podobnie na niedole tkliwy
Może w kwiecie młodości wspierać wiek sędziwy,
Pocieszeniem łagodzić nieszczęśliwe losy
I jako niebo uczcić osiwiałe włosy.

Azelida.

Siostro! gdy powieść moja rozrzewnia twą duszę,
Niechajże ja na wzajem twoją się poruszę,

Jeśli starców niedola boleść w sercu nieci,
Tkliwiéj jeszcze zajmują nieszczęśliwe dzieci,
Powiedz o tém dziecięciu, jeszcze łzy wyroniem.

S a l e m a.

Gdybym raczéj na zawsze zapomniała o nim.

A z e l i d a.

Dla czegóż? — któż się wiekiem dziecinnym nie pieści!
On szczególniéj zachwyca nasz umysł niewieści,
W nasze ręce natura składa najprzód dziecię,
Na naszych rośnie ręku, i nam winno życie —
Lecz siostro! ta uczynność, ta ludzkość wspaniała —
Czy tobie o tym starcu matka powiadała?

S a l e m a.

Tak jest — Gdyśmy szły w lata, troskliwe jéj oko
Wszelkie nasze skłonności badało głęboko:
Raz, gdy na widok nędzy zdałam się nieczuła,
Ciężkim jéj na to żalem dusza się zatruła,
Więc aby mię nauczyć, mówiła o czynie
Który na wieki z mojéj pamięci nie zginie
„Jak się ten mąż nazywał (prosiłam koniecznie)
Niech w sercu pamięć jego przechowuję wiecznie.
Nie, rzekła — często córko! taka tajemnica,
Litośnego powtórną litością zaszczyca,
I ludziom wtenczas tylko dozwolona skrytość.
Gdy nieszczęsnych nie chcemy obrazić przez litość.
Ach córko! nieszczęśliwi są rzeczą tak świętą,
Że dusza mimowolnie niemi jest zajętą,
Ta skłonność tak jest miłą, że mąż dobroczynny,
W nagrodę za czyn jeden, chce wypełnić inny.
Same się nagradzają bogobojne chęci —
Nigdy mi ta nauka nie wyjdzie z pamięci.“

Azelida.

A tyś przecię tę powieść tak długo mi kryła,
Nie chciałaś, bym się z tobą razem rozrzewniła.

Salema.

Siostro! ja tak bolesnéj rozkoszy się boję,
I tak już nadto smutku dręczy serce moje

Tenaima.

Znowu smutek Salemo! — powiedz dziecię moje!
Zkąd tobie, w twoim wieku, takie niepokoje?
Smutek wdzięki twe niszczy, dni wiosenne skraca,
Czy nie dosyć że Faram występny nie wraca,
Niepomny smutku ojca, lat jego tak wielu
Śmiał zostawić tęsknocie synów Samuelu,
Nad grób zbliżyła ojca płochość twego brata,
A ty jeszcze skrócone zatruwasz mu lata,
By Abufar na starość oddany żałobie,
Płakał syna zbiegłego, płakał córki w grobie,
Salemo kiedy matkę opłakałeś w grobie,
Jam przybyła, jéj miejsce zastąpić przy tobie,
Słuchaj! gdy ojciec przyjdzie, nim się prace zaczną
Błogosławić nam wszystkim, bądź na siebie baczną,
Okaż mu się weselszą, powitaj go mile,
Te to ślady twych smutków, co go dręczą tyle —
Ta posępność, niezgodna z niewinnych pokojem,
Ciężkie jakieś objawia burze w sercu twojem.

SCENA DRUGA.

Tenaima, Salema, Azelida, Farazmin.

Farazmin (do Azelidy).

Kiedy na niebie światło występuje dniowe,
Razem i mnie na prace powołuje nowe,

Niewolnik Abufara przez wojenne losy,
Sprowadzony w te puszcze, pod obce niebiosy,
Młody, bojom wydarty, przez pobyt tak długi
Wolą ojca na wasze przeznaczon usługi,
Przychodzę was powitać i o pracę prosić.

A z e l i d a.

Jak wiele Farazminie! los ci każe znosić!
Nie równają się siły z chęcią twoją szczerą,
Jak zawsze cedr uporny pod twoją siekierą,
Długo jęczy częstemi ciosami raniony;
Widziałam, jako wieczór słońcem opalony
Z ciężką nieraz trudnością byś napoił trzody,
Podnosiłeś zbyt ciężkie kamienie z nad wody;
Nikt tu nie chce, ażebyś pracował nad siły.

F a r a z m i n.

Wasze względy niewolę moje osłodziły,
Arabią za Perskie zamieniłem kraje
Wasza mi dobroć tutaj ojczyznę oddaje,
I wasz ojciec tak słodzi stan mojéj niedoli,
Że nie tęsknię do domu, nie czuję niewoli,
Mógłżem większych dobrodziejstw, chwil piękniejszych użyć,
Jak licząc się w ród jego, jego córkom służyć?
Te namioty, te prace, są mi tak miłemi!
Bóg widzi, jeszcze na tej nie płakałem ziemi.
Błogosławię Wyrokom; los, który ponoszę
Nie niedolę, lecz istne przyniósł mi rozkosze,
Mimo przytrudnéj pracy szczęsna moja dola,
Gdy to pełnię, co wasza rozkazuje wola.

S a l e m a.

Jak męzka ta cierpliwość, jak mowa łagodna,
Jak ta dusza mieszkania tak pięknego godna,
Jednak serce najtkliwsze, najmężniejsza dusza
Do litości surowych losów nie porusza.

SCENA TRZECIA.

Tenaima, Salema, Azelida, Farazmin, Abufar.

Gdy Abufar przed ołtarzem staje, córki jego, siostra, Farazmin i wszyscy mieszkańcy klękają.

Abufar.

Słońce! o ty którego ogień i oświata,
Okiem, duszą, porządkiem i chwałą jest świata,
Ty co widzisz jak Arab ulegać nie zdolny,
Pod tarczą obyczajów w pustyni jest wolny.

(Zapala ofiarę na ołtarzu).

Niechaj nam, twoim dzieciom, twéj wielkiéj rodzinie
Wraz z twojemi ogniami dzień niewinny spłynie,
Ku pierwszym twym promieniom ja ręce podnoszę
O pomyślność prac naszych, twéj opieki proszę;

(Do rodziny i do wszystkich mieszkańców).

Powstańcie dzieci moje:

(Siostra i córki biorą się do swych robót. Farazmin przynosi stołek Abufarowi, wchodzi i wychodzi różną domową pracą zajęty).

Lecz córki kochane!
Czemu jesteście smutne i tak zapłakane?

Tenaima.

Mówiłyśmy o owym litośnym człowieku,
Wzruszyć się, jest naturą i ich płci i wieku,
Powieściami się zawsze w spoczynku bawiemy,
I teraz Azelida prosiła Salemy
By jéj opowiedziała jak przez starca cnotę
Niebo uratowało niewinną sierotę.

Abufar.

Tak, litość uwielbiajcie, pamiętajcie o têm
Że ona najchlubniejszym człowieka przymiotem

My w tych gorących piaskach, w pustyń okropności.
Czémżebyśmy się stali bez uczuć ludzkości?
Jakież jeszcze powaby te puszcze by miały,
Bez pięknéj z któréj słyną gościnności chwały?
Biada narodom, biada niewdzięcznym na ziemi
U których cnoty takie bywają obcemi,
Ale serce Araba wraz zawsze gorzało
Za czynami ludzkości i wojenną chwałą.
Gdzie nie ma tkliwych uczuć, tam i męztwa nie ma.

(Do Salemy).

A więc o tém dziecięciu niech powie Salema.

Salema.

W głębi stepów piaszczystych, w południa upały,
Kiedy promienie słońca piaski rozpalały,
Arab, ach! był on ojcem, słabym dążąc krokiem
Patrzył swego namiotu po polu szerokiem,
Ale nic nie dostrzegał — wybladły, spragniony,
I śladów ludzkich z żadnéj nie poznaje strony,
Dzieci! już was nie ujrzę, (mówił) tracę tchnienie,
Suszy mię i pożera gorące pragnienie,
Tak od domu daleki, czémże się zasilę?
Jedna tylko cytryna ratunek na chwilę;
Ten owoc do ust niesie, posilenie małe;
Aż w tém widzi niewiastę opartą o skałę,
Urodna, w wieku kwiecie, wybladła, zemdlona,
Zakład tajnéj miłości blizka wydać z łona:
„Daj ten owoc, ten owoc! rzekła, lub weź życie,
Skonam z pragnienia, we mnie zginie razem dziecię;“
Ach! oto jest — nieszczęsna! starzec odpowiada;
Żyj! żyj z twojem dziecięciem. — Na kolana pada
Podnosi ręce w niebo, czyni śluby, błaga,
I niebo uproszone naturze pomaga.
Wśród rozpaczy o matkę, przy blizkim jéj zgonie,
Dziecię zdrowo wydane, bierze na swe dłonie
Matka rzekła: tyś jemu ojcem przeznaczony; —
„Tak jest, wkrótce powrócisz do dzieci i żony.

Mnie teraz nie śmierć boli, lecz że tracę dziecię,
Bądź mu ojcem, i powiedz czém kupiło życie.“
Wtém jakby ogniem niebios błysnęły jéj oczy,
I z ust jéj pełen mocy wyszedł głos proroczy:
„Twe oko nic nie widzi patrząc w te przestrzenie,
Tylko upał śmiertelny, piaski i zniszczenie,
Patrz! tą stroną się udaj, odtąd twa obrona
Będzie Bóg, i sierota przez cię ocalona,
Niech nad jego młodością czuwa twa opieka
W niém za to starość twoja, podpory doczeka.
Idź! i na całe życie ponieś z jego łzami,
Opiekę niebios, która odtąd będzie z wami.“
Wtém skonała.

Tenaima.

Niechaj go niebo uszczęśliwi.

Azelida.

Nie dziwiż cię to ojcze?

Abufar.

Mnie litość nie dziwi.

Salema.

Żyjeż to dziecię?

Abufar.

Żyje.

Salema.

Jakież jego losy?

Abufar.

Milczeć mi o tém córko kazały niebiosy.
Bóg powszechnie sieroty swą tarczą osłania
To wam mówię. — O więcéj nie czyńcie pytania,

Lecz pomnijcie, co ojciec powiada wam stary:
Dobry czyn na dom cały ściąga niebios dary,
Szczęsny kto opuszczone ratuje sieroty
Już tu czuje nagrodę dobroczynnéj cnoty.
Ma podporę — niestety! i ja miałem syna,
Był on wieku mojego nadzieja jedyna.
Lecz ojcowie wy temu nigdy nie wierzycie
By kiedyś starań waszych zapomniało dziecię
By ojca porzuciło, jak Faran uczynił,
Ciężko on córki moje, ciężko mi zawinił.
Niewdzięczny! lecz wy może wiecie o swym bracie
Wy lepiéj tajemnice jego serca znacie,
Mówcie, jaka zgryzota, jaka chęć nieznana
Wodzi po całéj ziemi mojego Farana!
Ofiara samotności i udręczeń tylu,
Zwiedza Persyą, Medy i równiny Nilu,
Pustynie mu nie przykre, nie straszne jest morze,
Miejsca znaleźć nie może na ziemskim przestworze,
Ten niepokój, ta tęskność nie jest nadaremną,
Czuje on, że nie może, nie godzien żyć ze mną.
Poszedł bez sługi, ani powierzył się komu,
Nie zna naszéj tęsknoty, nie tęskni do domu,
Poszedł, aby sumienia pozbył się zgryzoty,
Ażeby nie miał w ojcu świadka swéj niecnoty,
Opuścił dom ojcowski, nieszczęsny, ażeby
Cierpiał pociski losów i życia potrzeby —
Niech nie powraca, więcéj widzieć go nie mogę.

T e n a i m a.

Może jeszcze na dobrą nakłoni się drogę.

S a l e m a.

Gdyby przyszedł, i łzami nogi twoje zrosił.

A z e l i d a.

Gdyby winy żałując przebaczenia prosił.

Tenaima.

Bracie! słuchaj nas!

Salema.

Ojcze!

Azelida.

Ojcze!

Abufar.

Nadaremnie!
Nie znam go, gdy on ojca mógł zapomnieć we mnie.
Wy to jedynie jeszcze, wy córki kochane
Umaicie mi drogę, nim u grobu stanę.
O dzięki niebu! że was, że mi córki dały,
Syny niewdzięczne zawsze domy porzucały!
Wy rodziców pomocą, wy jedną pociechą,
Wy ulgą prac i zgryzot pod domową strzechą,
Wam się powierza każdy nowy przybysz świata,
Waszym snem okupione poczyna swe lata
Wy mu troski łagodząc osładzacie życie,
Wszędzie mu towarzysząc nad grobem cieszycie —
Lecz powiedz mi Salemo! jakie skryte męki
Zasępiają twą duszę, mienią twoje wdzięki
Czemu w puszczach samotna z łzawem chodząc okiem,
Tworzysz sobie nieszczęścia myśleniem głębokiem,
Po co, kiedy gwiazdami iskrzy się sklepienie
Ty uchodzisz tajemnie pod grobowe cienie,
Tam się w niebo oczyma patrzysz zroszonemi,
I znowu je z boleścią obracasz ku ziemi?
Powiedz! co tobie truje tak piękny kwiat wieku?
Wesołość jest ozdobą w niewinnym człowieku,
Farana niechaj dręczą niezbędne rozpacze,
Faran znosi że za nim ojciec codzień płacze.

Salema.

On jest daleko od nas!

A b u f a r.

Bo jest syn wyrodny,

S a l e m a.

Może jest nieszczęśliwy.

A b u f a r.

Bo nieszczęścia godny.
Wy tylko córki! moje zamkniecie powieki.
W krótce nadejdzie chwila, która już na wieki
Zgasi dla mnie to światło, rozłączy mię z wami,
Dobra pamięć i za grób jeszcze idzie z nami.
Żyłem wolny, spokojny, nieznany w téj stronie
Dla ojczyzny, dla dzieci, przy cnotliwéj żonie,
Niepogardzałem niższym, wesół z mego mienia,
Nieznam co są niedole, zgryzoty sumienia,
Niebo i pomoc wasza najwięcéj mi dało,
Gdy mam dosyć do potrzeb, choć do zbytków mało,
Błogosławiąc naturę i mych ojców Boga
Będę żył, gdy rodzina otacza mię droga,
Szczęsny w moim poranku, szczęsny bliski nocy,
Gdy jeszcze dobrze czynić będzie w mojéj mocy,

F a r a z m i n (zbliża się do mówiących.)

Posłuchaj Farazminie! losy wojennemi
Jako niewolnik pięć lat żyłeś na téj ziemi,
Od Nasseru, Sairu z naszych brzegów różni,
Mają dzisiaj do Persów odpłynąć podróżni
Jeśli twa wola, z niemi mówiłeś już o tém,
Możesz do twéj ojczyzny popłynąć z powrotem,
Długo pamięć po tobie zostanie nam czuła,
Dajęć na drogę namiot, żywności i muła,
Tém się z tobą dzielimy, co możem mieć sami.
Gdy kiedy Perski zbytek twe zmysły omami,
Równie w każdéj dla ciebie niebezpiecznéj doli,
Wspomnij na Arabiją, na dni twéj niewoli,

Byłeś kochany, smutno bez ciebie nam będzie
Pamiątkę twojéj pracy zostawiasz tu wszędzie,
Nie ujrzę cię już więcéj, cierpię na tém wiele.
Lecz pomnij że tu twoi żyją przyjaciele.
Ty się zaś córko! nie truj samotnością twoją!
Czyż smutki kwitnącemu wiekowi przystoją?
Ojciec, który cię kocham, o to ciebie proszę,
Wróć nam dawne zabawy, domowe rozkosze,
Powróć wdziękom wesołość, a spokojność cnocie,
Po co się w urojonéj zatapiać zgryzocie?

(Wychodzą wszyscy prócz Azelidy.)

SCENA CZWARTA.

Azelida (sama.)

Farazmin się oddala w jakże smutnym stanie!
Cóż znaczy ten wzrok na mnie, to jego wzdychanie,
Teraz gdy się oddala, i mnie żal przenika,
Smutno będzie bez niego, bez zabaw spólnika —
Z jaką pilnością rano swe prace zaczynał,
Jak o swojéj niewoli wieczór zapominał! —
Cóż to? widzę go jeszcze stoi zamyślony
Patrzy na siostrę, na mnie, powraca w te strony.

SCENA PIĄTA.

Azelida. Farazmin.

Farazmin.

Trzebaż cię więc opuścić — Ach! w tak smmutnéj dobie,
Dozwól niech tę chwil resztę przepędzę przy tobie,
Niechaj cię jeszcze widzieć i służyć ci mogę;
W którąkolwiek mię losy poprowadzą drogę
Zawsze pamiętny na kraj, który żegnać muszę
Tobą zapełnię serce, tobą moją duszę.

O jakże drogiém miejscem będą mi te puszcze
W których cię Azelido na zawsze opuszczę.
Wasze cnoty tak lube, miłe obyczaje,
Ach! wszystko mię tu z wami wstrzymywać się zdaje,
Jakże tu tak mi lubą rodzinę zostawię?
O méj podróży sobie sam nie wierzę prawie,
Jakże Faran tę ziemię opuścić był zdolny,
Mogąc żyć w swéj ojczyznie i z wami i wolny,
Gdy ja myślę że wszystko w téj chwili utracam,
W tenczas kiedy z niewoli do ojczyzny wracam,
Cóż mu w świecie nadgrodzi siostry tak kochane?
Nieszczęśliwy, ja jego płakać nie przestanę.
W krajach obcych ojcowskiéj pomsty będzie celem.

Azelida.

Ty nie wiesz, a on twoim był nieprzyjacielem.

Farazmin.

Szukałem jego względów, ale nadaremnie,
Lub jako Arab Persa nienawidził we mnie
Lub to czuł, że jeńcowi mieć nie należało,
Tak wiele zaufania, a pracy tak mało,
Lub wolniejszy odemnie, równie jak ja młody,
Zazdrościł mi w swym smutku niewinnéj swobody.
Świadom jego pogardy i odgrażań wielu,
Nie widzę ich przyczyny, niepojmuję celu,
Lecz on jest twoim bratem, ja go kochać muszę.

Azelida.

Tajny jakowyś smutek dręczy jego duszę,
Dawno się jego serce na złą skłania stronę,
A znać przecie, że było do cnoty stworzone
O nieszczęsny Faranie!

Farazmin.

Ach! tobie łzy płyną
Każde twoje westchnienie jest mego przyczyną.

Azelida.

Szczęsny! już się nie długo będziesz smucił z nami!
Chcesz się od nas uwolnić, tęsknisz za Persami
Już niezobaczysz więcéj drogi przyjacielu!
Naszych namiotów, ani dzieci Samaelu,
Nigdy więcéj na prace nie wspomnisz już nasze,
Na te gaje palmowe, na wielbłądów pasze,
O tych paszach pasterskich zapomnisz już wcale
Zapomnisz jako o śnie w przyszłéj twojéj chwale,
Wdzięki Kambizy... Pałac...

Farazmin.

Wszystko u mnie niczém,
O! jakże się poznałem na blasku zwodniczym,
Otoczon zgiełkiem dworu, i bliski korony,
Wszędzie siebie szukałem, sobie uprzykrzony,
Gdy mię do was z pól chwały przywiodły przygody,
W niewoli mojéj skarby poznałem swobody,
Tu mnie u was prawdziwe nauczyło życie,
Że w pracy są dostatki, w mierności użycie,
U was się mężem stałem, silniejsze me ramię,
Do siekiery nawykłe wzniosłe cedry łamie,
Tu konie wasze własną hodowałem dłonią,
Co wiatrów dopędzają i z wiatrami gonią,
Odzyskawszy niewinność w uczuciu tak miłem,
Znam jak wiele zyskałem, jak mało straciłem.
Wśród zabaw powierzchownych, a w skrytéj tęsknocie
Pędziłbym dni przy dworze nie żyjąc w istocie,
Inne ja teraz czuję serca uniesienie,
Szczerą widząc naturę wierniéj dziś ją cenię,
Czy po paszy wielbłądów błądzi oko moje,
Czy po studniach, gdzie wieczór wasze trzody poję,
Czy domki, które pasterz na nocleg przenosi
Wszędzie wielka natura wielkie bóstwo głosi,

A wszystkie te rozległe gaje, piaski, skały
Tyś zaludniła, tobą zapełnion świat cały,
Ja nie znałem, nie czułem, tylko twe kajdany,
Spokojny obok ciebie, bez ciebie nękany —
Jedna jest tylko moja niewola na wieki,
Którą poznam dopiero od ciebie daleki,
Do ciebie tylko moja istność przywiązana,
Dla ciebie w noc rychłego wyglądałem rana,
I we dnie nocnéj gwiazdy czekałem na niebie;
A gdym cię widział, wątpiąc, czyli widzę ciebie
W twoje ślady wstępując błądziłem puszczami;
Za tobą spragnionemi chwytałem ustami
Twój oddech, który w parném powietrzu się gubił,
Gdzie ty odpoczywałaś, tam ja dumać lubił,
Ach! ty nie znałaś cierpień, które mię dręczyły,
Ja ci pierwszy ogłaszam twoich wdzięków siły,
Dla mnie tobie cud twórczéj objawiał się ręki
Młodość z cnotą złączona, a z tkliwością wdzięki,
Omamion, niewiem kiedy wątpliwość odkryję,
Czyli ja w tobie teraz, czyli w sobie żyję.
Tak jedna Azelido! lub ty będziesz moją,
Lub te rany w Persyi nigdy się nie zgoją.
Azelido! twe słowo!

A z e l i d a.

Znasz to Farazminie!
Że losem moim ojciec rozrządza jedynie,
Abufar z uniesieniem kocha ojców ziemię,
A ciebie Samaelu nie wydało plemię,
Łękam się, ale może...

F a r a z m i n.

Niechaj się nie zwleka
Chwila losu mojego, okręt już mię czeka.
Pójdę, tęsknić na wieki po méj Azelidzie...

Azelida.

Zostań — Co za zgiełk słychać — O nieba! któż idzie?

SCENA SZÓSTA.

Azelida, Farazmin, Gemma.

Gemma.

Zawszeż tobie nieszczęsne mam wieści przynosić.
O jakże znieść tę żałość, jakże ją ogłosić!

Azelida.

Cóż przecię! ach! mów prędzéj!

Gemma.

Losie nieżyczliwy!
Kończcie tęskność, lejcie łzy, Faran już nie żywy.

Azelida.

O nieba!

Gemma.

Dziś podróżny co się spotkał ze mną,
Doniósł tę wieść, i prosi by była tajemną.

Azelida.

Więc już o drogi bracie, nie ma cię na ziemi!
Już cię siostry nie ujrzą oczyma tęsknemi,
Nie wypłaczą powrotu u was o niebiosy!
Już nie żyjesz Faranie, takie twoje losy,
Ty konałeś tak młody, a nieczułe skały
Albo ryczące morza na twą śmierć patrzały.

F a r a z m i n.

Śmierć nieszczęsna, nieszczęsne zakończyła życie,
Ach! płacz go Azelido! ale płacz go skrycie,
Smutnego ztąd dla ojca obawiaj się skutku
By nie skończył rozpaczą tak długiego smutku,
On go kocha aż dotąd, a ojciec w żałobie
Najsroższy gniew ku dzieciom w łzy mieni na grobie.

(Wychodzi z Azelidą i Gemmą).

AKT II.

SCENA PIERWSZA.

Farazmin (sam).

Więc nie żyjesz Faranie — niestety! daleki
Cierpienia i podróże skończyłeś na wieki,
Czytałem ja w twéj duszy, oczy twe zdradzały
Nieszczęśliwéj miłości zbrodnicze zapały.
Już tajemnica poszła wraz z tobą pod ziemię,
Tak, wiem, żeś niecnym ogniem gorzał ku Salemie
Przeto ojca porzucił, szedł w dalekie strony,
Aby przytłumił ogień sobie obrzydzony
O szczęśliwy kto martwe ciało w grobie złożył
Kiedy dniem dłużéj żyjąc byłby zbrodni dożył —
Ale oto Salemę widzę z Azelidą,
Niestety! zapłakane, wolnym krokiem idą,
Oddalmy się przynajmniéj, dręczone rozpaczą
Niech mają smutną wolność i bez świadka płaczą.

(Wychodzi).

SCENA DRUGA.

Salema, Azelida.

Azelida.

Jakaż cię żałość dręczy? mów siostro jedyna!
Co ją może uleczyć, jaka jéj przyczyna?
Ach! chroń się samotności, ona truje skrycie.

S a l e m a.

Ona mięsza mi rozum i zatruwa życie
Zostaw mię, pozwól saméj błąkać się i smucić.

A z e l i d a.

Nicże ci już pociechy nie zdoła przywrócić?

S a l e m a.

Wszystko mię razem dręczy wszystko nienawidzę,
Saméj siebie się lękam, saméj siebie wstydzę —
Jakże ciężką opłatą nieużyte nieba,
Krótkie to u was życie kupować potrzeba
Czemuż, skoro się rodzi niewypija dziecię
Goryczy śmierci, którą długo pić każecie?
Pierwsze światło ujrzane już je zraża trwogą,
I nieufne tę ziemię, drżącą zmierza nogą
Wzięte na łono matki, przez smutne kwilenie,
Przeczuwa i rokuje swoje przeznaczenie
Rodząc się, gdy to wszystko, co ma znieść ogląda,
Odwraca się strwożone, i powrócić żąda
Ach! któż ten gorzki napój wypić byłby zdolny,
Gdyby po skosztowaniu wybór mu był wolny!

A z e l i d a.

Siostro! ty mię przerażasz, zkąd te czarne myśli?

S a l e m a.

Nie pojmie ich twe serce, mowa nie określi

A z e l i d a.

Ty chcesz śmierci.

S a l e m a.

Uciekaj!

A z e l i d a.

Pójdę wszędzie z tobą,
Albo się razem twoją podzielę żałobą
Lub u nóg twoich leżąc...

S a l e m a.

Zadrżysz nieszczęśliwa.

A z e l i d a.

Mów siostro!

S a l e m a.

I ty chcesz?

A z e l i d a.

Chcę!

S a l e m a.

Więc słuchaj cierpliwa!
I nie przerwij mi mowy, wiedz, jakim sposobem,
Dały mi poznać nieba mą przyszłość przed grobem —
W piękny jeden poranek, była ojca wola
Bym dla przerwania smutku poszła między pola,
Chciałam przynieść owoców i mleka od trzody,
Pełna uspokojenia, nieznanéj swobody,
Wpadłam w błogie marzenia, żądzą jakąś pałam,
Szłam wesoła, patrzyłam, choć nic nie widziałam.
Dusza własne, żądane tworząc sobie dzieła,
Obrazem zmyślonego szczęścia się zajęła,
Ażeby lepiéj użyć téj marnéj słodyczy,
Gdy serce mieć się zdaje to, co sobie życzy,
Kiedy niepewne szczęście z pewnością układa,
Same siebie się radzi, pyta, odpowiada.
Gdy się słucha, i przerwać marzenia się boi,
Poszłam pod stare drzewo, co wśród piasków stoi,

Usiadłam w jego cieniu, tam spoczynek miły,
Szum liści, wonny powiew, do snu mię skłoniły.
Byłam niby w Persyi pod niebem szczęśliwem
Błądzę między strugami, kwiatami i żniwem,
Widzę cienie, owoce, piękności bez końca,
Jakie tam Pers odbiera od czczonego słońca,
Tak przyjemnym widokiem gdy umysł złudzony,
Tyle szczęścia i bogactw z każdej widzi strony,
W tém piękny jakiś młodzian przed mém okiem staje
Czoło jego głęboki smutek poznać daje,
Oko co przy skromności tak powabne było
Lubą jakąś tkliwością żar swój łagodziło,
Pośród łąk różnobarwnych i gajów i wody,
Zdawał się od natury nabierać urody,
I wzajem widać było że natura cała
Ogniem jego ożyła, wdziękiem się przybrała,
Ale gdy z uniesieniem zważam jego lica,
Wdzięk ich dawno mi znany nagle mię zachwyca,
Gdy ledwo wiarę daje własnemu widzeniu,
Aż wszystko jakby połysk znika w okamgnieniu,
Widzę pustyń piasczystych przestwór nieprzejrzany,
Grunt podemną gorący, dzikie, suche łany,
Szmeru wiatru niesłychać, a słońca upały
Aż do korzeni ziemię ogniem zajmowały;
W tém mi młodzian podróżny przed oczyma staje,
Wynędzniony, jęczący, już konać się zdaje,
Śpieszę zdjęta litością na los jego srogi,
Zdyszana z spiekłych piasków wyrywając nogi,
Wstrzymuje się, pośpieszam, drżę, wołam stroskana,
Przybywam, i niestety — poznaję Farana.

A z e l i d a.

Farana?

S a l e m a.

Tak jest! cóż tu — rzekł — sprowadza ciebie,
„O nieba! czy nas razem ten piasek zagrzebie?

„Jeden zbrodniczy ogień gore w naszym łonie,
„To powietrze, ten ogień razem nas pochłonie,
„Czy widzisz jak przepędza wiatr piasczyste chmury?
„Czyli słyszysz szum jego? — Ach! pojrzyj do góry.
„Słońce zdaje się konać w tym zgubnym promieniu
„Ostatni to już dla nas, zginiem w oka mgnieniu!“
W tém stopy nasze razem umocnić się siłą,
I w piasku rozpalonym coraz w głąb się chylą,
Trwoga nas ogarnęła i włosy powstały,
Ciągniem ręce ku sobie, a ręce zmartwiały,
Wnet ziemia, jako morze wzburzona piaskami,
W głąb nas chłonie i razem zwiera się nad nami.
Smutne przeczucie!...

Azelida.

Czyżby tak strasznym obrazem,
Chciało wam niebo wróżyć waszą zgubę razem?

Salema.

Siostro! jeszcze nie wszystko, inna rzecz straszliwa
Ściga mię, i to serce zranione rozrywa.

Azelida.

Ach! co słyszę? o nieba!

Salema.

Milcząca, zdziwiona,
Gdy z marzeń tak głębokich byłam przebudzona,
Gdzież myślisz Azelido! gdzie w takowym stanie
Poniosło kroki moje smutne obłąkanie?
Nie szłam w pola, gdzie więcéj natura łaskawa
Barwi pola kwiatami i kłosy napawa,
Ale szłam między góry, to smutne schronienie,
Gdzie wiecznie ojców naszych zamieszkały cienie,
Gdzie stare, rozrzucone pomiędzy cyprysy
Budzą smutne spomnienia grobowe napisy,

Tu niby z obłąkania wróciwszy do siły
Chciałam łagodzić trwogę którą sny wzbudziły,
Niepewna w pocieszeniu, niepewna w obawie,
Nieznam czy ja to we śnie, czy czuję na jawie
Chcę wołać, myśląc, że głos wątpliwość pokona,
Głos sam siebie się bojąc, ginie w głębi łona,
Cicho mówię do siebie, nieba pytam z trwogą,
Ręką rękę mą ściskam, ziemię cisnę nogą,
Depczę groby w ciemności — Ach! nie, to zdarzenie
Nie było Azelido senne omamienie,
Tak na jawie to było — mam powód tak sądzić.
O jakże człowiek musi mamić się i błądzić.
Jakaż nas moc tak straszną trucizną zatruwa,
Że nasz rozum zasypia, kiedy dusza czuwa,
Sen że to jest co duszę w snach obłędnych trzyma,
W tenczas gdy światło dzienne widzim przed oczyma?
Jakże straszny sen taki — Ach! jeszcze drżę cała.
Siostro! gdybyś ty moję boleść czuć umiała! —
Mam ja pewne przeczucie, które sercu mówi,
Że to słońce nie świeci więcéj Faranowi,
A może i w téj chwili, niestety! w téj chwili
W puszczy kona z pragnienia, zbójcy go dobili,
Lub zostawiony sępom, gorącemu niebu,
Morzem na brzeg rzucony, leży bez pogrzebu.

A z e l i d a.

Już się o jego życie obawiać nie trzeba,
Już jest wieść...

S a l e m a.

Co?

A z e l i d a.

Że Faran... nie żyje.

S a l e m a.

O nieba! —

Dobrze — już nic prócz bólów nie zna serce moje,
Już się nic występnego na ziemi nie boję,
O szczęśliwa boleści która kończysz zbrodnie!
Pójdź żalu, pójdź zgryzoto, zastąpcie je godnie,
Zagaśnijcie zbrodniczéj miłości płomienie!
Obstąpcie mię wy duchy! i wy wieczne cienie!

Azelida.

Co słyszę? jaka zbrodnia — chwilo opłakana!

Salema.

Azelido! czy tobie moc miłości znana?
Ten to jest płomień, który skrycie gore we mnie,
Boleść stokroć straszniejsza że dręczy tajemnie,
Konieczność serca, któréj cnota nie uznaje,
Naprzeciw któréj rozum daremnie powstaje;
Dziś wyznam tajemnicę dręczącą mię tyle,
Choć śmiercią, tanio kupię takiéj ulgi chwilę,
Wiedz! ja kocham Farana, ja żyję Faranem,
Miłość moją tęsknością, miłość moim stanem,
Oto jest płomień, ogień mię przerażający,
Ten wicher z szumem piaski nad ziemią niosący
Burzy w mem sercu słabém jest tylko obrazem —
Tu ja marzyłam sobie, że siedzę z nim razem,
Tu omamienie jego twarz mi wyrażało,
On mi był wieczném niebem, on był ziemią całą —
Lecz jeszcze cię Faranie śmiem obudzać w grobie!
Jeśli ten głos mój słyszysz zadrży serce w tobie,
Nieszczęsna! znieważyłam całe przyrodzenie,
Sławę, związek krwi, miłość, nawet w grobach cienie,
Siostro! niech niebios moje nie zraża oblicze,
Wydrzyj z mojego łona to serce zbrodnicze
Uderz, ach uderz, siostro.

SCENA TRZECIA.

Azelida, Salema, Sobed.

Sobed.

Wiadomość szczęśliwa,
Faran żyje, i zaraz w te strony przybywa,
Z puszcz pasterze wielbłądów biegną tu weseli,
Mówią, że na tym samym koniu go widzieli
Na którym was porzucił, wkrótce go ujrzycie,
Was szuka, bo przed ojcem chce tu przybyć skrycie,
By się przed jego gniewem ukryć w pierwszéj dobie.
Lecz oto on:

SCENA CZWARTA.

Azelida, Salema, Sobed, Faran.

Faran (do Sobeda).

Zostaw nas!

(Sobed odchodzi).

SCENA PIĄTA.

Azelida, Salema, Faran.

Faran.

Oto brata macie!
Ściskam was siostry moje!

Salema.

Faranie!

Azelida.

O Bracie!

Faran.

Gdzież jest ojciec? (na stronie). drżę cały!

Azelida.

W Sairze w téj dobie
Zasiada w radzie starszych.

Faran.

Czuję ulgę w sobie.
Więc przecię udręczony tylu podróżami,
Mimo wszelkiéj nadziei, już witam się z wami,
W radości zapominam mych nieszczęść tak wielu,
Widzę już siostry moje, pola Samaelu,
Jakże długo pamiętać będę dzień dzisiejszy! —
Wszystko mię rozrzewniło, jestem spokojniejszy.

(do Salemy).

Lecz czego siostro płacząc spuszczasz oczy w ziemię?
Cóżby mogło truć pokój niewinnéj Salemie,
Powiedz! jaki twój smutek?

Azelida.

Ach! dawno już ona
Tajną jakąś boleścią zawsze jest trapiona.

Faran.

Niechaj sama odpowie.

Salema.

Jak na ziemię piaski
Tak niebo i na ludzi zsyła swe niełaski,
Oszczędną ręką kwiaty sieje nam na pole,
Lecz bez miary przeznacza i smutki i bole.

F a r a n.

Więc i tobie ze łzami upływają lata?
Salemo! Azelido! płakałyście brata?
Każda łza wasza memi hojnie opłacona.

A z e l i d a.

Bracie!

F a r a n (do Salemy).

Pójdź!

(do obudwóch).

Pójdźcie! niech was przycisnę do łona,
Obiedwie siostry moje! Azelido droga!

A z e l i d a.

Ileż nam łez wylała twoja dola sroga!

F a r a n (do Salemy).

Ty płakałaś mię także?

(do Azelidy).

Wieść o mém przybyciu
Powiedzcie! czy przed ojcem jest jeszcze w ukryciu?
Czyli jeszcze o niczém, czy o niczém nie wie?

A z e l i d a.

Tak sądzę.

F a r a n.

Gdybym w jego musiał umrzeć gniewie!
Wasze łzy tylko moją obroną się staną —
Czy Tenaima także na mnie zagniewaną?

A z e l i d a.

Jéj serce jest dla ciebie codziennie łaskawsze.

F a r a n.

A wy, wy siostry które tak kochałem zawsze,
Czy kiedy o mnie z ojcem miałyście rozmowy?

A z e l i d a.

By o tobie nie mówić, był zakaz surowy.

F a r a n.

Zawszeż jest zagniewany na swojego syna?

A z e l i d a.

Płacze cię często we dnie, i we śnie wspomina.

F a r a n.

Płacze, mówisz? — Niestety! ciężka moja wina!
I twoich łez Salemo, czy we mnie przyczyna?

A z e l i d a.

Bądź spokojny Faranie!

F a r a n (do Azelidy).

Ach! siostro kochana!
Przez ciebie tylko ojca zagoi się rana,
W tobie tylko niewinnéj pokładam nadzieję,
Twoja dłoń łzy mu otrze które dla mnie leje;
Już syn, który go kocha, cieszyć go nie może.
Siostro, jedyna siostro!

(ściska ją).

SCENA SZÓSTA.

Azelida, Salema, Faran, Abufar.

(Abufar niewidziany, przypatruje się, gdy Faran Azelidę czule ściska).

Abufar.

Co widzę?

Faran.

O Boże!

(do sióstr).

To on! to on! skryjcie mię, ach jak w gniewie srogi!
Siostry moje!

Azelida (biorąc Salemę).

Uchodźmy!

Faran.

Ach!

(Salema i Azelida odchodzą).

SCENA SIÓDMA.

Faran i Abufar.

Faran.

Ach! ojcze drogi!

Abufar.

Ja więcéj nie mam syna — Przypominam sobie,
Że go miałem, on kiedyś miał mię uczcić w grobie,
Faranem zwą go ludzie — Jam jego wychował,
Jam niestety w starości na niego rachował,
Ale ten mię opuścił gdzieś w dalekie kraje!

Faran.

Oto stoi przed tobą.

Abufar.

Ja go nie poznaję,
Ale nieszczęście moje przed oczyma widzę
Przed którém drżę i ojca imienia się wstydzę.
Wejdź w twe serce i powiedz jaka tajemnica,
Budzi we mnie ten przestrach, gdy patrzę w twe lica?
Tak, ten twój wzrok to świadczy, ta postać ponura,
Że na widok niewdzięcznych, sama drży natura.
Cóż ci żeś go opuścił, winien ojciec siwy?
Czy obok innych dzieci mniéj kochał cię tkliwy,
Czy cię władzą ojcowską jako tyran nękał,
Czyś się dla mych występków w tym domu żyć lękał?
A gdy troski o ciebie, gdy miłość tak szczera,
Taką niestety wdzięczność na starość odbiera
Jak wrócić, jak przedemną śmiesz stanąć zuchwały?
Nie, wyrodny, te strony ciebie nie wydały
Wróć w kraje, zkąd przybywasz, i tam żyj poddany
Kędy rządzi rozpusta, złoto i tyrany,
Gdzie wzgarda obyczajów, miękość wkorzeniona
Ostatnie wstydliwości zatarła znamiona,
Nieszczęśliwy! co nasze winno ci ustronie?
Że je zbrodnią zarażasz w niewinności łonie?
Widziałem cię, mówiłeś z córkami mojemi,
Pójdę, ostrzegę wszystkich mieszkańców téj ziemi,
Pójdę, wszystkich niewinnych napomnę, ażeby...
Lecz nie—mam sposób, władzę — tak, niema potrzeby
Uciekaj! ani twego cienia znieść nie mogę,
Uciekaj w którąkolwiek udawaj się drogę
Patrz to słońce nas razem nie zniesie; uciekaj! —
Nieszczęsny! ojcowskiego przekleństwa nie czekaj

Faran.

Syn posłuszny rozkazów ojcowskich nie zwleka,
Boleje, ale na swą boleść nie narzeka,

Przecież każdy podróżny w tych puszczach zbłąkany,
Wyniszczony od głodu, pragnieniem znękany
Pomocą Abufara znowu żyć zaczyna,
A litość jego głuchą jest tylko dla syna —
A więc już tylko jedna dla mnie jest uchrona,
Tam pokój, tam opieka będzie nieskończona,
Tam gościnność, tam przecie znajdę litość sobie,
Gdy jéj ojciec odmawia, niemasz jéj jak w grobie.
Tam bez drżenia przed sędzią sprawiedliwym stanę,
Przebłagam go, bo lepiéj to serce mu znane.
O! gdybyś i ty ojcze jego stan rozumiał,
Mam nadzieję, że przecie przebaczyćbyś umiał,
Stracę nieszczęsne życie, bardzo mała strata,
Lecz mnie gniew ojca będzie ścigał z tego świata
Twój gniew mię nieodstąpi, chociaż w grób się skryję,
Otóż to cios najsroższy który mię zabije,
Bądź zdrów! Idę umierać —

A b u f a r.

Jakież twe cierpienie?

F a r a n.

Wiedz ojcze! że okrutne dla mnie przeznaczenie
Téj ziemi we mnie upał wlało niezwalczony,
Chcę przemienić mą istność, zwiedzić wszystkie strony
Popęd, którego przyczyn nikt pojąć nie umie,
Czy w przeczuciu, czy w naszym ukryty rozumie,
Uwodził mię po świecie — Byłem w krajach tylu,
W bogatych polach zlanych od żyznego Nilu,
Zwiedzałem dwory królów, narodów zwyczaje,
Śledziłem ich wyznania, prawa, obyczaje,
Badałem postęp światła, potęgi przyczyny,
Widziałem pyszne groby i świątyń ruiny,
Z szczytu Atlasu w niebios zbliżony sklepienia
Śledziłem wieczność czasu, niezmierność stworzenia.

Abufar.

A o tém zapomniałeś żeś mój syn jedyny,
Niepomny wieku ojca, ani łez rodziny,
Wszystko badałeś sercem od czucia dalekiém,
Wzniosłeś myśl wtenczas, gdy się nieczułeś człowiekiem.
Celem ludzi jest szczęście, które serce radzi
Praca, czystość sumienia do niego prowadzi;
A ty, gdzieżeś go szukał? nie w rodzinnéj ziemi,
Od nas za niém ścigałeś, morzami wszystkiemi —
Jeszcze od macierzystéj prowadzony dłoni,
Poznałeś ciche szczęście domowéj ustroni,
Prace nasze niewinne, uprzejme starania,
Któremi litość nasza podróżnych ochrania,
Czyste związki małżeńskie, dziewice niewinne;
Gdzież wynalazłeś skarby i gdzie cnoty inne?
Nie nęciłyż cię siostry, co przez wiek swój cały
Albo ciebie cieszyły, lub ciebie płakały —
Za tożeś smutkiem zatruł swobodne ich lata? —
Czego chodziłeś szukać aż na koniec świata?
Czyli praw? dzięki cnotom, że nam praw nie trzeba,
Czy skarbów? oto trzoda i pola i nieba,
Czy grobu? oto twoich ojców leżą cienie;
Kościołów? oto ziemia i nieba sklepienie,
Tu wszystko dziecię moje pod czystym obrazem
I świadczy wielkość Boga i wielbi go razem,
Tu się z jego potęgą dobroć łączy zgodnie;
Kiedy oczu podniesiem na tę dnia pochodnię,
Kiedy w nocy ku gwiazdom wyciągamy dłonie,
Czyliż nie widzim Boga w téj świetnéj osłonie,
Jak jednym rzutem oka, tym światom rozsianym,
Wyznacza cichą podróż, torem nakazanym,
Na głos pieśni krajowych głuche miałeś uszy,
Ojczyzna nie zdołała utęsknić twéj duszy,
Wszystkie w tobie człowieka wymarły już chęci,
Tenaima w twéj nawet nie była pamięci.
Do mnie nawet (mam przecie u ciebie zasługi),
Nie tęskniła cię podróż, ani czas tak długi,

Lecz nie widzę, ażeby w tych powabach ciała,
Natura tak złéj duszy mieszkać dozwalała,
Nie, toby syn mój nie był, on był kiedyś czuły,
Nieba go z pierwszych uczuć przecie nie wyzuły,
Synu, chcę się upewnić, wyrwać cię od zguby,
Niech z naturą małżeńskie pogodzą cię śluby.

Faran.

Co? śluby?

Abufar.

Jestem ojcem, wiem co chcę Faranie!
Tyś tak młody, burzliwy, znam ja co w tym stanie
Zwykle grozi młodemu — Uczcij ślubne związki,
W nich łagodzą gwałtowność święte obowiązki,
Patrz! nad naszemi stepy, gdy wiatr pędzi chmury
Gdy z piasków ćmiących nieba usypuje góry,
Kiedy te gorejące, gwałtowne obłoki.
Ścigają za drżącemi podróżnego kroki,
Wtedy muł roztropniejszy gdy go nęka burza,
W piaski chcące go zniszczyć swą głowę zanurza.
W samém niebezpieczeństwie ratunku on szuka
I niemogąc go zwalczyć, poddaniem oszuka
Tak ty uczyń z młodością, z namiętności tłumem,
Tak natarczywe żądze oszukaj rozumem,
Szanuj, szanuj naturę — Jéj sąd niezbłagany
Długo i srogo karze za gwałt jéj zadany,
Jéj natchnienia są prawem, święta związku władza
Z burz namiętnych w spokojne szranki nas wprowadza,
Wybierz sobie małżonkę w naszych dziewic gronie,
Długo ścigane szczęście znajdziesz na jéj łonie,
Niech i ja za zmartwienia tę nadgrodę zyskam
I w dzieciach twoich siebie i ciebie uściskam.
Faranie! gniew mój w radość zmieniać się zaczyna,
Ja ci ojca wróciłem, ty powróć mi syna!

F a r a n.

Ojcze! do tego stanu nigdy się nie skłonię,
Miłość wytępiam w sobie i wiecznie jéj stronię,
Tém drogiém szczęściem innych, ja wiecznie się brzydzę,
Miłość chcę przezwyciężyć, ślubu nienawidzę,
Stoję przy mojém prawie.

A b u f a r.

Prawo? — Związek tkliwy...

F a r a n.

Jestem i umrę wolny.

A b u f a r.

Jesteś? nieszczęśliwy!

F a r a n.

Przynajmniéj być się sądzę.

A b u f a r.

Wiedz, że tylko wolny
W niewoli powinności czuć rozkosz jest zdolny.

F a r a n.

Wolność tylko ma wdzięki przed memi oczyma.

A b u f a r.

Gdzie cześci dla praw nie znać, tam wolności nie ma.
Zapomniałżeś praw własnych śledząc obce kraje,
Że Arab, co dom rzuca, występnym się staje,
Że rodziców ohyda, ich starość bez rady,
Razem z niebami pomstę rzuca za ich ślady,
Któżby z nas poszedł w obcym zapominać kraju
Téj pracy, niewinności i przodków zwyczaju?

Wskazać się dobrowolnie na cnoty wyzucie,
I w dom niewinny obce przynosić popsucie?
Oto twoje występki — Patrz, cóżeś uczynił,
Tyś ojcu i ojczyźnie i Bogu zawinił,
Niewdzięczny! barbarzyńco!

F a r a n.

Niewdzięczny? o Boże!...

A b u f a r.

A któż u nas to imię słuszniéj nosić może?
Kto dotąd Samaelu śmiał porzucić ziemię,
Jeden był, a tym moje musiało być plemię.

F a r a n.

Czemu ja uciekałem nie wiesz ojcze wcale!
Dla czego dziś przychodzę, i dziś się oddalę,
Żądza, któréj moc żadna przytłumić nie zdoła,
Zdaleka mię przywiodła i daleko woła...
Bądź zdrów.

A b u f a r.

Nie pójdziesz.

F a r a n.

Pójdę.

A b u f a r.

Przeciw ojca woli?

F a r a n.

Pójdę, niech mi lub umrzeć lub odejść dozwoli.

A b u f a r.

A więc władzy użyję, gdy serca nie mogę.

F a r a n.

Masz tysiące sposobów, lecz ja jednę drogę.

A b u f a r.

Jakiegoż okrutniku! dopuszczasz się czynu?

F a r a n (uchodząc).

Bądź zdrów ojcze!

A b u f a r.

(Spieszy za nim, zatrzymuje go i przyciska do piersi).

Nie pójdziesz! stój nieszczęsny synu!
Tak, niewdzięczny! nie pójdziesz — Tegoż chcesz koniecznie,
Ja cię trzymam, z rąk moich nie ujdziesz już wiecznie.

F a r a n (w rozpaczy).

Boże! któż mię to trzyma.

A b u f a r.

Próżne opieranie,
Ojciec to, ojciec! oto twe pęta Faranie!
Patrz, to już jedno tylko, czém nad tobą władnę.
Pójdziesz? pójdziesz?

F a r a n.

Nieżywy u nóg twoich padnę.

A b u f a r.

Wszystko już zapomniane, otrzyjmy łzy oba!
Jeśli ci się małżeński związek niepodoba,
Czyń synu według serca, według twojéj woli,
Może kiedyś do tego sam cię czas zniewoli,
Lecz błagam cię! nad ojcem miéj litość wzajemną,
Już z tym okropnym wzrokiem nie stawaj przedemną.

Z nami żyj! wszak ci miło słysząc ojca imię
Żyć z twojemi siostrami, żyć przy Tenaimie.
Farazmin się oddala, oba go kochamy,
Ja nie chcę woli jego żadnéj stawiać tamy;
Zbyt jednak ciężkiém dla mnie będzie to rozstanie,
Onby mógł zostać z nami — Dla tego Faranie...

Faran.

On? z jakiego powodu?

Abufar.

Tak synu! — Jeżeli
Która z mych córek swoje serce z nim podzieli.

Faran.

Która?

Abufar.

Salema.

Faran (na stronie).

Piekła! pochłońcie Farana!

(do ojca).

Ojcze! czy ci już ku niéj jego skłonność znana?

Abufar.

Jakież synu ten związek mógłby mieć przeszkody?
Salema jeszcze wolna, Farazmin jest młody,
Wiek ich zbliża do siebie — Powolność Salemy,
Ten przymiot który w płci jéj najwyżéj ceniemy,
Każe wróżyć że będąc ślubem połączoną
Stanie się kochającą i kochaną żoną,
Pomagaj mi Faranie! złączmy ich oboje.
Życz jéj szczęścia, okaż jéj przywiązanie twoje;

Poleć jéj Farazmina i młodość i cnoty,
Ten związek, wszystkie moje nagrodzi zgryzoty —
Lecz ty płaczesz? — Ojcowskie bolą cię cierpienia,
Dość łez naszych, niech smutek w radość się zamienia.
Już zapomnij o wszystkiém, kiedy legnę w grobie,
Drugiego ojca córkom zostawuję w tobie,
Ach! tą nadzieją moje serce zapełnione,
Ty mi otworzysz ręce, gdzie ducha wyzionę.

AKT III.

SCENA PIERWSZA.

Faran (sam)

Salema tu przybędzie — Nieszczęsny Faranie!
Jakże jéj wolę ojca odkryć będziesz w stanie?
Jak to? ja mam Salemie mówić o jéj ślubie
Ja sam o mojéj własnéj mam donosić zgubie?
Jakież moje nadzieje, po co tu przychodzę?
Jak nędzny z powinnością występek pogodzę?
Jakaż to moc obłąkać może umysł słaby,
Że do cnoty wstręt czuję, do zbrodni powaby?
Na toż czucie z rozumem dano nam tak sprzeczne
Aby nas wiecznie truły, walki wiodąc wieczne?
Więc do siostry występna miłość mię niewoli,
Bym cierpiał ciężką ranę i milczał jak boli.
Cóż więc znaczą Salemo twoje skryte łkania
Ten smutek w twoich oczach, samotne dumania?
Ach! jeżeli to wszystko z miłości pochodzi?...
Jego niechęć ztąd odejść... Tak, wszystko dowodzi...
Za nim, za cudzoziemcem, ta skryta łza płynie,
Onażby jego mogła? — Tak, jego jedynie...
Czyż nie widziałem, jako w milczeniu głębokiem,
Na płaczącą Salemę smutném patrzył okiem?

Nieszczęsny! drżyj przedemną! — Lecz nieba! co czynię?
Jaż to mam być rywalem twoim Farazminie?
O! nie dziw, że ja nieba nie zmiękczę już niczém
Nie dziw, że już drży ojciec przed mojém obliczem,
Niebo! mścij się natury i zabicrz to życie,
Zaczém kiedy wyjawię ile cierpię skrycie,
Oby nam się zejść razem Opatrzność nie dała.

SCENA DRUGA.

Faran, Salema.

Faran (na stronie).

Oto idzie! drżę cały.

Salema (na stronie).

Oto jest! drżę cała.
Ziemio! pochłoń mię wprzódy, nim dotąd tajona,
Tajemnica miłości wyjdzie z mego łona.

Faran.

Widzę cię przecie siostro!

Salema.

O drogi Faranie!
Mówiłeś z ojcem — Jakież było powitanie?

Faran.

Zmiękczyły go nakoniec moje łzy i prośby.

Salema.

Drżałam o ciebie, straszne są rodziców groźby.
Jakiekolwiek są dzieci, serce ojca tkliwe
Z boleści gniewem pała, że są nieszczęśliwe.

Faran.

Jakże dobrego ojca dały nam niebiosy!
Ach! czemuż mnie cnot jego odmawiają losy,
Jak mu wyrównać, w jakim uczcić go sposobie?

Salema.

Nie chciéj go więcéj w żalu zostawiać po sobie,
Kiedy nas porzucałeś drogi mój Faranie!
Jakżeto dzień był smutny, jak srogie rozstanie!
Nigdy odtąd z łez moje nie oschły powieki,
Może i ty płakałeś odemnie daleki,
Lecz gdy morza przebyłeś, na odległe ziemie
Porzuciła cię pamięć o smutnéj Salemie,
Kogo w drogach wypadki co dzień zajmą inne,
Łatwo z serca wygładzi uczucia rodzinne,
Lecz kto żyje samotnie na ojczystéj roli,
W gronie jednéj rodziny, zawsze w jednéj doli,
W tego sercu nie stygnie pamięć z oddaleniem,
Pomnaża się tęsknotą i żywi wspomnieniem.
Nie mówiły tam tobie te zazdrośne skały,
Że nasze serca wszędzie za tobą leciały,
Jakże z tak pięknych krain wspomnieć to poddasze
Jak usłyszeć westchnienia i pojąć łzy nasze!
Żyłeś wesół, nie wiedząc że naszemi łzami.

Faran.

Niestety! i ja wtedy płakałem za wami!

Salema.

Równe cierpiąc boleści spólnie się użalmy!
Widzisz na tym grobowcu dwie spojone palmy,
Jak brat z siostrą się łączą — Pod ich ja to cieniem
Przetrawiłam dni tęskne łzami i westchnieniem,
Tu sobie zostawiona, bez pociech i rady,
Łzawą źrenicą twoje obliczałam ślady,

Tam gdzie się z ziemią styka niebieskie sklepienie,
Chciałam cię przez serdeczne doścignąć westchnienie,
U bram jutrzenki myśli śledziły cię wieszcze,
Oczy już cię zgubiły, wyglądały jeszcze,
Jakaż rozpacz, gdy długo niewzruszona stałam
I poznałam żeś zniknął — wtenczas...

F a r a n.

Cóż?

S a l e m a.

Płakałam.

F a r a n.

Mnie Salemo płakałaś? — Więc za mną łzy lane
Niszczą twój wdzięk i trują lata młodociane?
Ach! czemuż ja być wtenczas nie mogłem przy tobie!

S a l e m a.

Niestety! że tak byłeś daleko w téj dobie.

F a r a n.

Przecie widzę cię jeszcze. Jakże dusza tkliwa,
Jak czysta z twych niewinnych oczu się odzywa,
Ach! serce, w które niebo tyle czucia wlało
Jakżeby szczęsne było, gdyby miłość znało!
Powiedz! czy dotąd jeszcze (bez obrazy cnoty)!
Nie zajęły cię czyje wdzięki i przymioty?
Wódz który...

S a l e m a.

Ach! nie!

F a r a n.

Może przybysz obcéj ziemi.
Syn Persyi lub Medów?

S a l e m a.

Nie.

F a r a n.

Gdy ustami memi
Nasz ojciec ci oznajmi, że jest jego wola
Aby ślub twój małżeński...

S a l e m a.

O nieszczęsna dola!
Stoj!

F a r a n (na stronie).

Oddycham — O szczęście! — Więc tedy Salema
Nigdy ślubnéj pochodni zapalić już nie ma?

S a l e m a.

Nigdy — Ale ty w stronach dalekich Faranie!
(Daruj wszakże to siostra czyni to pytanie)
Nie uwięziłeś niczém serca i pamięci,
I mocniejszéj nad wolność nie uczułeś chęci?

F a r a n.

Salemo! widzisz blizko te ojców mogiły,
Nad któremi codziennie twe łzy się sączyły;
Zimne duchów siedliska, pokój pożądany,
Tam się wszystkie roztrącą żądz naszych bałwany,
Jeden przytułek, dokąd wzdycha nieszczęśliwy,
Niechaj w téj chwili padnę przed tobą nieżywy
Jeżeli kiedy węzeł jakokolwiek luby,
Zdoła na mnie wymusić i miłość i śluby.

S a l e m a.

Więc powiedz, czemu zawsze ze łzami żałoby
Snom się w nocy wydzierasz, uciekasz na groby —
Czy boleść mnie dręcząca, uciska i ciebie?

Faran.

Ostateczności zawsze zbliżone do siebie.

Salema.

Może cię znowu podróż woła ztąd daleka?

Faran.

Zawsze siostro! i wszędzie nieszczęście mię czeka!

Salema.

Wyznaj go, podzielone nieszczęście mniéj boli.

Faran.

Wierzaj! że nieszczęśliwi w najburzliwszéj doli,
Których stanu ni cnota ni walka nie zmienia
W oddaleniu szukają wolnego marzenia.
Niepodobieństwo szczęścia kojarząc z nadzieją,
Jątrzą swe rany, dumni że je znieść umieją,
Dla cierpień oni tylko dar istnienia biorą,
A przecięż do ich szczęścia cnota jest zaporą,
Za uwodzącym blaskiem krótkie dni przetrudzą,
A gdzie stąpią, nieszczęścia za sobą obudzą,
Na to im tylko skąpych udzielono chwili,
Aby czując pragnęli, a pragnąc walczyli.
Ach! Arabscy pasterze w polach Samaelu.
Z puszczy do puszczy trzodę prowadzą bez celu,
A ja z morza na ziemię, a na morze z ziemi
Błądzę wszędzie bez rady z boleściami memi!

Salema.

O kochany Faranie!

Faran.

Czemuż dotąd czemu,
Nie położyłem końca życiu nieszczęsnemu!

Szczęsna matka co ziemskie skończyła już chwile
Pod wszystkiemi burzami spokojna w mogile.

S a l e m a.

Przeminęły jéj lata jako polne róże.

F a r a n.

Ach! jako polna róża i ty znikniesz może.

S a l e m a.

Tyżbyś płakał nademną, jestżem tobie miła?

F a r a n.

Czylibym płakał?

S a l e m a.

Ach! łza oko ci zrosiła.

F a r a n.

Salemo!

S a l e m a.

Jak to słowo słyszeć mi przyjemnie!

F a r a n.

Nie, ty nigdy nie poznasz co się dzieje we mnie.

S a l e m a.

Mów!

F a r a n.

Wprzódy na twém łonie niech ducha wyzionę!
Jakże w tobie drży serce!

Salema.

Łzami przepełnione,
Lękam się je przycisnąć.

Faran.

Siostro!

Salema

Mów Faranie!
Jakaż twa skrytość.

Faran.

Słuchaj!... nie, nie jestem w stanie.

Salema.

Cokolwiek cierpieć możesz, zbytnia twoja żałość,
Jużbyto i Farana opuściła stałość?
Niech się siostra pocieszy. W życiu tego świata,
Któreż nazwisko słodsze nad siostrę i brata?
Ktoby nam tego wzbronił, byśmy w każdéj chwili
Wspierali się pociechą, boleści dzielili? —
Tu ukryci, dla siebie tylko żyć będziemy,
Salema dla Farana, Faran dla Salemy,
Ach! nie czekajmy bracie! aż smutki ponure,
W cierpiących sercach naszych wytępią naturę,
Wypogodźmy dni nasze, niech ojciec sędziwy
Na łonie tkliwych dzieci, kończy wiek szczęśliwy.
Lecz stój! ojciec nadchodzi — Otrzyj łzawe lica.

Faran (na stronie).

Nic nie wie.

Salema (na stronie).

Nie wydana moja tajemnica.

SCENA TRZECIA.

Salema, Abufar, jeden Arab.

Abufar.

Czy mówił ci Farazmin?

Salema.

O czém?

Abufar.

O życzeniu
Że chcę, aby żył z nami w ślubném połączeniu.

Salema.

Nic mi o tém nie mówił, lecz ojca żądanie
Dla dzieci obowiązkiem najsłodszym się stanie,
I gdy ojcze twój wybór ich miłość poświęci,
Spełnią się Azelidy pożądane chęci.

Abufar.

On kocha Azelidę?

Salema.

Tak jest.

Abufar.

Niebu dzięki!

Salema.

Ona mi wszystkie swoje skłonności otwiera
I wiem, że posłuszeństwo chęć uprzedzi szczera.

Abufar (do Araba).

Zawołaj moich dzieci, razem z Farazminem. (Arab odchodzi).
Jeśli mnie niebo wesprze w życzeniu jedyném,

Tedy nim dla mnie gwiazda ostatnia zaświeci
Ujrzę jeszcze żądane szczęście moich dzieci.

SCENA CZWARTA.

Salema, Abufar, Tenaima, Azelida,
Farazmin, Faran.

Abufar (do Farazmina).

Moje serce dla ciebie dawno ci jest znaném
Według twéj woli, możesz zarządzić twym stanem
Odpowiedz, czy odpłynąć, czy chcesz zostać z nami?
Każde twoje życzenie...

Farazmin.

Chcę pozostać z wami.
(podaje rękę Abufarowi).

Faran.

Cóż to ja słyszę ojcze? — więc przybysz odrodny,
Jeden Pers, jeden jeniec tylu względów godny?

Abufar.

Kto czci naszego kraju prawa i zwyczaje
Ten mimo różność rodu spółziomkiem się staje.

Farazmin.

Służyć jednéj ojczyźnie dawne chęci miałem,
Tobie ją niebo dało, ja moję wybrałem.

Abufar.

Synu co czynisz? — zkądże tak nagła przyczyna?
Czyż roztrząsać czyn ojca należy do syna?

Faran.

Zawsze słuszną pogardą pałam przeciw niemu,
Biada przedemną, biada wrogowi każdemu!

Abufar.

Faranie! ja mu dałem dłoń moję, a zatém
Już nie jest Farazminem, ale naszym bratem.

Faran.

On bratem? czemuż jeszcze nie nazwiesz go zięciem?

Abufar.

Wesprzeć w tém chęci jego jest mém przedsięwzięciem.
Gdyby tego chciał żądać, ojciec mu nie przeczy,
Onby zgoił to serce, które syn kaleczy.

Faran.

Jaż to syn Abufara, ja zniosę nikczemnie
By się Pers z tą krwią łączył, która płynie we mnie?
Z krwią rodu mego, która w Samaelu słynie,
Wróg z tą krwią, która w sercu siostry mojéj płynie?
Dumny Persie! powracaj bić czołem u dworu,
Tam godnego twéj duszy poszukaj wyboru,
Co cię przy nas wstrzymuje? dworaku, poddany,
Idź kędy przed tyranem ścielą się turbany,
Krew moja się nie złączy z krwią twego narodu,
Mam prawo, i chcę bronić Abufara rodu.

Farazmin.

Nie w pogardzie dla obcych ani w próżnéj dumie
Chluby swojéj ojczyzny cny mąż szukać umie,
Śliską koleją idą zwycięztwa wśród boju,
Bezpieczniéj szlachetnością zwyciężać w pokoju,
Podbity, lub zwycięzca obcego oręża
Wyższością cnot i światła w pokoju zwycięża,

Do ciebie, do praw twoich wzbudzaj przywiązanie,
A przychodzień i wróg twój, twym ziomkiem zostanie.

A b u f a r.

Jakiem czołem ojcowskie śmiesz przybierać prawa?

F a r a n.

On twym synem nie będzie, póki mnie krwi stawa
I słowem przeciw niemu chcę skończyć gniew długi,
Ażeby żył z nas jeden, musi zginąć drugi;
Lub ja w śmiertelnéj walce padnę pod twym razem
Lub tém, czarnéj krwi twojéj pragnącem żelazem...

F a r a z m i n.

Nie chcę krwi twojéj pragnąć, chcę walczyć w obronie,
Ale może niebaczny twój zapał ochłonie.
Wiedz, że kocham, przez miłość tylko byłem śmiały.

F a r a n.

Dość, nie kończ nikczemniku!

A b u f a r.

Stój zapamiętały.
Ja sam, ja sam zarządzam córki mojéj stanem,
Ja ojciec rozkazuję, jam jest domu panem.

(do Farazmina).

Ty kochasz córkę moję, twą miłość uznaję,
Odtąd zowię cię synem, i żonę ci daję.

F a r a n (dobywa broni).

Ha! pierwéj pod tym mieczem jego krew popłynie.

A b u f a r.

Stój! nieszczęsny! przestępco!

Faran.

W téj chwili niech ginie.
Broń się!

Farazmin (dobywa broni).

Już cierpliwości przepełniona miara —

(Po pauzie oddając oręż Abufarowi).

Lecz w nieszczęśliwym jeszcze czczę krew Abufara.

Abufar.

Sobed! Kebir!

SCENA PIĄTA.

Salema, Abufar, Tenaima, Azelida, Farazmin, Faran, Sobed, Kebir i Arabowie.

Abufar (do przybyłych).

Pośpieszcie! niechaj straż surowa
Strzeże pilnie Farana —

(na boku).

Jakaż trwoga nowa!
Jak straszne podejrzenie przeraża mą duszę,
Mógłżeby...

(Sobed, Kebir wyprowadzają Farana, wszyscy Arabowie odchodzą).

Abufar (do córek).

Z Farazminem sam pozostać muszę.

(Odchodzi).

SCENA SZÓSTA.

Abufar, Farazmin.

Abufar.

Widziałżeś jego zbrodnię i moją zniewagę?
O nieba jakże w dzieciach srogą szlecie plagę!

Farazmin.

Jego nienawiść ku mnie już dawno mi znana,
Dawno ja mój los w gniewie przeczułem Farana
Nie dziw że z nienawiścią dziś wylał się cały,
Wtenczas gdy na mnie twoje łaski się wylały.

Abufar.

Ale dla czegóż, skoro miłość twą poznaje,
Skoro ja siostrę jego za żonę ci daję
Dla czegóż wtenczas w tobie widzi przeciwnika?

Farazmin.

Nienawidzi obcego, Persa, niewolnika.
Arab wolny i dumny z swojego narodu,
Za zuchwałość uważa że z obcego rodu,
Siostrę jego śmiem kochać — On mniema że ona
Z Arabem tylko może zostać zaślubiona,
Przytém dumny i śmiały, z żywością wrodzoną...

Abufar.

Ty zawsze gdy go skarżę jesteś mu obroną,
Ja przecię ojcem jestem — wiem, co muszę czynić,
Ja mam najpierwsze prawo bronić go lub winić.
Lecz traf dzisiejszy straszne wróżby przepowiada.
Myślę...

Farazmin.

Co?

A b u f a r.

Zbrodnio! tak jest tak, ach! biada!
Wszystko teraz poznaję, tak jest, nie daremnie
Występny, czas tak długi unikał odemnie,
On siostrę swoję kochał.

F a r a z m i n.

Ach!

A b u f a r.

Ku Azelidzie
Ukrywał swe płomienia w bojaźni i wstydzie
Widziałem, tak, widziałem, jak mu drżały dłonie,
Kiedy niewinną siostrę trzymał przy swém łonie,
On cierpi, że jéj widząc wzajemność ku tobie,
Waszę miłość uznaję, ciebie zięciem robię
Ach! jak drży moje serce od cierpień i sromu,
Tyle zbrodni!...

F a r a z m i n.

Ach! Ojcze.

A b u f a r.

W moim wzrosło domu,
Ratuj się młody Persie, opuszczaj te strony
U szczęśliwszego ojca szukaj sobie żony!

F a r a z m i n.

Nędzny! od Azelidy jakże się oddalę?

A b u f a r.

Mój ród teraz niestety! niegodzien cię wcale.

F a r a z m i n.

Jażbym cię miał opuścić?

Abufar.

Tak chciały niebiosy,
O nieszczęsna starości, o zbyt srogie losy!
W synu, co mój grobowiec miał uczcić przez cnoty,
Musiałem się doczekać hańby i sromoty,
I jego zbrodnia moim musi być udziałem,
I by wzrosła, tak późno dostrzedz jéj musiałem,
Wszyscy ojcowie rzucą na ten wiek potwarze,
Brzydzić się będą zbrodni w żywym Abufarze,
Dotąd bez żadnéj skazy ta głowa w siwiźnie,
Będzie celem wyrzutów i hańby w ojczyźnie,
O nieszczęsny coś ojca pogrążył w ohydzie,
Bezwstydny, pójdź i zobacz jak ja płonę w wstydzie.

Farazmin.

Ach! mój ojcze! ty płaczesz!

Abufar.

Gdzie widzisz łzy moje?
Gniew widzisz, który tylko mieczem uspokoję,
Tak, przysięgam na ciebie święta dnia pochodni!
Ty świadku w naszéj ziemi niesłychanéj zbrodni
Przysięgam, że na karę sromotnego czynu,
Rodu mego, praw, niebios, pomszczę się na synu,
Chcę oczyścić powietrze z téj zarazy ziemi,
Zabić potwór jadami dyszący zgubnemi;
Tak, w strumieniu krwi jego popłynie ofiara
W niéj zgaśnie płomień zbrodni i wstyd Abufara.

Farazmin.

Ach! żebrzę u nóg twoich...

Abufar.

Co, ty go chcesz bronić?

F a r a z m i n.

Bądź ojcze powolniejszym, zechciéj się nakłonić,
Wnet inaczéj o jego przekonasz się błędzie.

A b u f a r.

Zgroza rodu ludzkiego!

F a r a z m i n.

On takim nie będzie
Wierzaj! ręcze za niego — Ja z pewnością tuszę,
Miłość niewinna jego obłąkała duszę.
Jak w istocie uniknąć sideł niespodzianych,
Tych słodkich niebezpieczeństw, najmniéj podejrzanych?
Występek jego serca nie może być inny,
Jak ten że kochał siostrę jako brat niewinny,
Ani mógł się spodziewać że ta miłość tkliwa,
Skłonność w sobie naturze przeciwną ukrywa,
Często może te puszcze, te samotne skały,
Tajemnie skargi jego sumienia słyszały,
Niechętny jego płomień miéj raczéj na względzie,
Pomnij ile już walczył, ile walczyć będzie.

A b u f a r.

Nie, nie zatrzymuj ojca w sprawiedliwym gniewie,
Któż na jego wzrok patrząc o występku nie wie?
Patrz! on się przeciw tobie stawił jak zabójca,
Méj się władzy sprzeciwiał i zneważył ojca.
Twe szczęście nienawidzi, ślub twój chce odwlekać.

F a r a z m i n.

Czekałem go aż dotąd, jeszcze mogę czekać!
Niechaj godniéj na moję szczęśliwość zarobię,
Niech wierny Azelidzie, służę jeszcze tobie,
Miłość moją obecność, moję przyszłość składa,
Kto ma pewną nadzieję, już szczęście posiada,

Lecz oddaj nam Farana, ja z pewnością tuszę
Że jego żal, pokora zmiękczy twoję duszę,
Serca jemu podobne, zbyt w żądzach są żywe,
Lecz ich walki szlachetne, mężne i prawdziwe.
Pomnij na wiek, miéj litość nad jego błędami,
Nigdy ciebie niegodnym czynem się nie splami.
Sam to często nam mówisz, że szlachetne czyny,
Ściągają łaskę nieba na córki i syny.

Abufar.

Nie znasz go jeszcze dobrze!

Farazmin.

Miéj ufność w mém słowie.

Abufar.

Jakże prędko nakłonić dają się ojcowie.
Nie łudź mojéj słabości!

Farazmin.

Twe serce się skłania,
Pójdź! posłuchaj twych dzieci, Tenaimy zdania,
Wszystko, wszystko do serca twojego przemówi,
Wrócisz czułego ojca godnemu synowi.

AKT IV.

SCENA PIERWSZA.

Abufar. Tenaima.

Abufar.

Usłuchałem twéj rady, wolni są oboje,
Lecz o syna się lękam, jakież zdanie twoje?
Możesz ręczyć za niego?

Tenaima.

Faran uwięziony
Byłby z wolnością razem życia pozbawiony;
Widać było w nim rozpacz, pełne ognia oczy,
Lękałam się czy w własnéj krwi ręki nie zbroczy,
Lecz, co tylko posłyszał o swém uwolnieniu,
Spokojny do namiotu udał się w milczeniu,
Ach! to jego milczenie, te posępne oczy,
Świadczą, jak ciężka boleść serce jemu tłoczy.

Abufar.

Jakaż więc, wyznaj sama, wątpliwość została,
Że ku siostrze zbrodniczym płomieniem nie pała?

Tenaima.

Nie wierz — siostra go sama w tém usprawiedliwia,
Jeżeli jéj związkowi tyle się sprzeciwia,
Zaręczam, że nie miłość jest tego przyczyną,
Lecz duma i nienawiść całą jego winą.
Młodość i żywość jego miéj bracie na względzie,
Przebacz, czas go i rozum ostrzeże o błędzie,
Azelida ci jego niewinność opowie.

Abufar.

Pójdę niech zaraz przy mnie z Farazminem mówi —
Nieba! gdy naśladując przodków przez wiek długi,
Zdołałem jakie w cnotach położyć zasługi,
Niech za to spłynie na mnie ta łaska jedyna,
Bym bez obrazy waszéj kochał jeszcze syna,
Niewinnego w ojcowskie niech obejmę ręce,
Niech mu za gniew dzisiejszy łzy radosne święce.

(wychodzi).

SCENA DRUGA.

Tenaima (sama).

Prośba od Azelidy za bratem wniesiona,
Pewno gniewnego ojca o błędzie przekona.
Sprawcie to dobre nieba!

SCENA TRZECIA.

Tenaima i Farazmin.

Tenaima.

Witaj Farazminie.
Winszuj sobie cnót twoich, bo one jedynie
Pokorna twoja miłość, cierpliwa i stała,
Na wieki Azelidę w nagrodę ci dała,

Faran ułagodzony, już czoła nie chmurzy,
Daj niebo! byśmy nowéj niedoznali burzy.

(odchodzi).

SCENA CZWARTA.

Farazmin (sam).

Dawno już poznawałem skryty gniew Farana,
Lecz nienawiść tak wielka nie była mi znana.
Więc on nie ku Salemie gore ogniem skrycie,
Dla Azelidy pędzi udręczone życie,
Jakże się więc myliłem! — Dla czegoż o nieba
W Faranie mi rywala zesłać było trzeba!
Jakże w tobie przeciwne czucia się ozwały
Ku mnie gniew, a ku siostrze występne zapały!
Ach! jeśli jako brata kochać cię nie mogę,
Jak przyjaciel na dobrą chce cię skłonić drogę.

SCENA PIĄTA.

Farazmin i Faran.

Faran (z uniesieniem).

Tyżeś to przyjacielu! nie stroń od Farana
Ojciec ułagodzony, broń mi jest oddana,
Więcéj sobie przytomny, odkryć ci się muszę.
Tak obłąkanie moję zaślepiło duszę
Niestety! wiele niebo na to serce wkłada,
Są chwile, w których człowiek sam sobą nie włada.
Ja sam siebie się wstydzę, — błagam cię, zaklinam
Daruj mi Farazminie.

Farazmin

Wszystko zapominam

Twoj rękę.

(ściskają się).

F a r a n.

Twą miłość uwieńczają cnoty,
Szczęśliwy! możesz kochać bez serca zgryzoty,
Ojciec mój, wierzaj! jeśli wysłucha me chęci,
Nam wszystkim pożądany wasz związek uświęci.

F a r a z m i n.

Więc Abufar połączy córkę z Farazminem.

F a r a n.

Ty będziesz synem jego, może jednym synem.
Ach! bądź zdrów.

F a r a z m i n.

Gdzie odchodzisz?

F a r a n.

Przyjaciel mię czeka,
Razem woła nas podróż smutna i daleka,
On mi tylko pomocą, on mię sam pocieszy,
On ze mną niespodzianie, tajemnie pospieszy,
On się jedynie będzie dzielił moim losem,
Zna się z memi chęciami, pojrzeniem i głosem.
Mój koń już na mnie czeka.

F a r a z m i n.

Gdzież, i w jakim celu...

F a r a n.

Mam przyczyny.

F a r a z m i n.

Faranie!

F a r a n.

Słuchaj przyjacielu!

Są chwile, z których trzeba korzystać koniecznie,
Już ona mi wydartą — Ach! wydartą wiecznie.
Już ja jéj nie zobaczę — Daleki, daleki,
Już jéj oczu, jéj wdzięków nie ujrzę na wieki!

Farazmin (na boku).

Siostra, o nieba! jakież płomienie zbrodnicze!

Faran.

Co mówisz?

Farazmin.

Jakże twoje przeraża oblicze!
Twa dusza coś strasznego zamierzać się zdaje.

Faran.

Być cnotliwym już tylko chwila pozostaje.
Koń już gotowy czeka — Siostra — tak oboje —
O Boże! wnet znikniemy.

Farazmin.

Jakież myśli twoje?
Z kim? mów, o zbrodnio!

Faran (pomieszany na stronie).

Lecz nie — ja się niewydałem.
Tak, nic nie wie jednakże, co teraz myślałem...

(głośno).

Co myślę? — chcę — lękam się — Zimno mi...

Farazmin.

Wejdź w siebie!

Faran.

Drżę cały — czyli zmiany nie widzisz na niebie?

F a r a z m i n.

Nic wcale.

F a r a n.

Czy nie czujesz jak wiatr jadem wieje?
O! nie wiesz, nie wiesz co się w sercu mojém dzieje,
(po milczeniu bardzo żywo).
Chcę ją widzieć!

F a r a z m i n (na stronie).

O nieba! Azelidę!

F a r a n.

Muszę.

F a r a z m i n.

Kogo?

F a r a n.

Ją widzieć, przy niéj chcę wyzionąć duszę

F a r a z m i n.

Ty jéj widzieć nie możesz.

F a r a n.

Kto będzie tak śmiały
Chcieć mi tego zabronić?

F a r a z m i n.

Ja, ja.

F a r a n.

Ty? zuchwały!
Ty? Ach! ta broń...

F a r a z m i n (wstrzymując go łagodnie).

Nie będzie we mnie wymierzona.

F a r a n.

Nieba! ja ją do twego chciałem cisnąć łona.

F a r a z m i n.

Kiedy przyjaciel w takim obraża mię stanie
Znam tylko co mu winno moje przywiązanie.

F a r a n.

Więc ty nie gardzisz takim jak ja przyjacielem?

F a r a z m i n.

Czyż nieszczęśliwy może być pogardy celem?
Bądź mężem, pójdź, niech stan twój nieco się odmieni.

F a r a n.

Słuchaj! nic nie jest sroższe od moich płomieni,
Gdy ustąpię zwyciężą, gdy je tłumię, rosną.
Połóż rękę! czy słyszysz tę walkę miłosną?
Szczyty skał rozognione przez lata upały,
Ogniom serca mojego nigdy nie zrównały.
Ach Salemo!

F a r a z m i n (zadziwiony z radością).

Salema!

F a r a n.

Drogi Farazminie!
Ach! ja zginę nieszczęsny! już jéj niezobaczę.
Widzisz moje cierpienia, mój żal i rozpacze
Płomień, co mię pożera, chociaż tyle srogi,
Jednak mię z powinności nie sprowadził drogi
I że go dotąd tłumię, zna to Bóg jedyny:
Mówię, niebo mię słyszy, że jestem bez winy
Chociaż ma zbrodnia była tak konieczną zbrodnią,
Straszny sędzia sumienia był moją przewodnią,

Lecz próżne długie walki — Tak, w jednéj godzinie
Może i ta ostatnia cnota we mnie zginie.
Zaklinam cię!..

Farazmin.

Co? powiedz!

Faran.

Weź nademną władzę
Miej litość, ja nad przepaść sam siebie prowadzę.
Ty mię ratuj, ty wspieraj, nie daj mi przewinić.
Ach! gdybym ją chciał porwać i mógł to uczynić!
Rozumiesz przyjacielu! bądź moją obroną
Lub obciąż mię żelazem, lub uderz w to łono...
Uderz raczéj...

Farazmin.

O nieba!

Faran.

Zawsze przy mym boku
Bądź mym surowym stróżem. miéj zawsze na oku
Bądź mym świadkiem, mym sędzią.

Farazmin.

Ach! wszystko uczynię.

Faran.

Więc ma cnota od ciebie zawisła jedynie.
Nie jestem więcéj sobą, dzięki niebu składam,
Po wielkich burzach znowu namiętnością władam,
Tobie nawet zaręczam w chwilę tak przyjemną
Że cię już jak rywala nie widzę przedemną
Jeżeli do twych życzeń Salema się skłoni,
Żyj z nią szczęsny, niech Faran tajemnie łzy roni.

F a r a z m i n.

Salema? — Azelida jest mych uczuć celem.

F a r a n.

Azelida?

F a r a z m i n.

Tak.

F a r a n.

Nieba! — Ach nad przyjacielem
Miéj litość — ty mię zwodzisz..

F a r a z m i n.

Nie, wierzaj Faranie!
Ją kocham.

F a r a n (po długiem milczeniu).

Jakież było moje obłąkanie! —
Szczęsny! możesz ją pojąć; dziękuj przeznaczeniu,
Ja pójdę w puszczach ulżyć mojemu cierpieniu,
Żyjcie w słodkiéj miłości odmówionéj bratu
W tych stepach sobie znani, choć nieznani światu,
Ja niech jedyne dobro, niewinność posiadam,
Niestety! ja tak późno hołd twym cnotom składam.
Daruj! smutna namiętność była mym udziałem,
Pokłóciła mię z wszystkiém, co kiedyś kochałem,
Teraz wszystko się skończy, gdy się rozdzielemy,
Bądź wsparciem Abufara, niknącéj Salemy,
Miéj litość! nawet kiedy schodzić będziesz z świata
Niech nie wie o występnéj miłości jéj brata,
Arabia przez miłość twym krajem się staje,
Szanuj moją ojczyznę, mój ród, obyczaje
Służ ojcu — Ja na wieki porzucę kraj luby,
Pójdę szukać wśród bojów nie laurów lecz zguby,
Już ja nad śmierć najprędszą nieznam innej chęci,
Żegnam cię! ty mi tkliwéj nie odmów pamięci,

Byłeś mojéj zawiści mojéj pomsty celem,
Żyłem ci nieprzyjaźny umrę przyjacielem,
Pójdę, jeszcze jéj godny, bom jeszcze przy cnocie.

SCENA SZÓSTA.

Farazmin, Faran, Kebir.

Kebir.

Farazminie Abufar czeka cię w namiocie!
Zwołał razem z Salemą siostrę Azelidę
Z tobą jeszcze chce mówić.

Farazmin (na stronie).

Co za szczęście — Idę

(do Farana).

Zostawiam cię na chwilę — twój ojciec mię woła.
Słuchaj! ucieczka tylko ocalić cię zdoła,
Nieszczęsny ja, taką ci dawać muszę radę,
Daruj mi! w przyrzeczeniu twojém ufność kładę,
Wziąłeś mię za doradcę, i za przyjaciela,
Doradca i przyjaciel rady ci udziela.
Zaczekaj mię, wnet wrócę.

(odchodzi).

SCENA SIÓDMA.

Faran (sam).

Tak jest, już się stało.
Powinność nakazuje, i niebo tak chciało,
Już cię żegnam na wieki rodzie Samaelu!
Żegnam ciebie rodzino, i ty przyjacielu
Ty siostro! którą kocham, a kochać się boję,
Czemuż cię tak nazywać muszą usta moje!

Już twe lica wybladłe, łzami codziennemi,
Niestety! wkrótce będą chylić się ku ziemi,
Któż przy kolebkach naszych byłby przepowiedział,
Że grobom naszym taki zamierzony przedział.
Los, który mię udręcza, chociaż tyle srogi,
Jednak mię z powinności nie sprowadził drogi,
Jeśli namiętność wszelką władzę sercu wzięła,
Wola moja przynajmniéj jeszcze się nie zgięła,
Zwycięzca ukrytego aż dotąd płomienia,
Idę z boleścią serca, bez bolu sumienia
Pójdę ostatnie oddam ojcu pożegnanie
I skrycie... tak daleko...

SCENA ÓSMA.

Faran, Salema.

Salema.

Co słyszę? Faranie!
Znowu chcesz nas opuścić bracie nieszczęśliwy
Na starość ojca twego, na mój płacz nie tkliwy
Chcesz opuścić rodzinę i ojczyste strony.

Faran.

Wiem co winienem czynić.

Salema.

Od nas oddalony
Chciałżebyś jeszcze bracie, mogłbyś żyć na świecie?

Faran.

Nie pytaj mię Salemo!

Salema.

Gdzież chcesz odejść przecie?

Czyż cię związek méj siostry zatrzymać niezdolny
Szczęśliwy przez wzajemność, przez niewinność wolny?

F a r a n.

Ach! szczęściu Farazmina Faran nie zazdrości,
Już to serce do niego żadnych praw nie rości.

S a l e m a.

Faranie! mów co twego smutku jest przyczyną?

F a r a n.

A tobie czemu siostro tajemnie łzy płyną?
Unikasz ślubnych związków, podobnie jak ze mną,
Każdy ma zgryzot swoich przyczynę tajemną,
Ślepo na ziemię szczęście rzucają niebiosy.
Farazmin z Azelidą szczęsne dzielą losy,
A przecież inne serca, pomimo zapały,
Mimo rodu równości złączyć się nie śmiały;
Gdybym gdzie w starożytnéj odległéj krainie,
Lub w Medyi, albo tam, gdzie żyzny Nil płynie,
Gdybym tam znalazł serce zdolne do kochania,
Które miłość wzbudzając, miłości się wzbrania,
Co kryjąc skromnie godne rozgłosu przymioty
Przez cnotliwe kochanie pobudza do cnoty,
Co w smutku niesie modły do ojca mogiły,
W smutku, co mnie jest równy i mnie tylko miły,
W któréj miłość lękliwa, skryta i stateczna
Powoli się zajmuje, aby trwała wieczna,
O! jakbym u nóg takiéj poddany i tkliwy,
Żył swobodny w jéj pętach, jéj szczęściem szczęśliwy
Ona byłaby życiem i świata ozdobą.

S a l e m a.

Znaszże taką Faranie?

F a r a n.

Widzę ją przed sobą.

Tak dowiedz się Salemo! znaj nieszczęście moje!
Poznaj płomień, cierpienia, wieczne niepokoje
Ta puszcza méj miłości wiernym jest obrazem,
Milcząca, gorejąca i bez granic razem,
Dla niéj ja to wędrowiec nędzny krajów tylu
Atlasu, Arabii, Azyi i Nilu.
Unikałem od ciebie, ale nadaremnie,
Miłość twój obraz niosąc szła wszędzie przedemnie
Wszędzie mnie dościgały twe oczy, twe wdzięki,
W lasach łzy ukrywałem, przytłumiałem jęki,
Przecież czasem gdy wolno łez puściłem zdroje,
Zdziwione echo jęki oddawało moje,
Powróciłem nakoniec kryjąc ci twe dzieło,
Tu chcąc zwrócić nieszczęście zkąd początek wzięło,
Tyle się zwyciężałem, odważałem nie raz,
Drżę, żę te tajemnice wyjawiam ci teraz,
Więziłem je w mém sercu, lecz brakło mi siły,
W oczach skryć się nie mogły, po ustach błądziły
Przyciśniony milczeniem, trawiony zapałem
Nie byłem zrozumiany, kiedy się zdradzałem,
Ach! ty czytać miłości nie umiałaś we mnie!

Salema.

A ty! sam mię rozumieć nie mogłeś wzajemnie!
Jakże? z smutku mojego niceś nie wybadał,
Nie poznał wzroku, co tak twemu odpowiadał!
Głos, oko, nie zdradzałyż mojego płomienia
Nic cię nie nauczyły i łzy i westchnienia?
Z pod téj palmy gdy przed mym zniknąłeś już okiem
Biegłam myślą za tobą wraz z piasków oblokiem,
Na przeciw ciebie twoją błąkałam się drogą,
Ślady twéj stopy moją powtarzałam nogą,
Zapomnieć cię na chwilę, nie znalazłam mocy,
Widziałam ciebie we dnie i widziałam w nocy
Cicho mówiłam tobie: twe życie jest mojém,
Powróć mi moje serce błądzące za twojém.

Usłyszałeś mię przecie — widzę cię nareszcie
Faranie mój! — O nieba, pioruny przyśpieszcie!
Zniszczcie mię!

F a r a n.

Ukryj ziemio występnych przed światem
Ona jest siostrą moją!

S a l e m a.

On jest moim bratem.
Do czegoż mimowolnie przyszłam nieszczęśliwa!

F a r a n.

Jak głośno srogi sędzia we mnie się odzywa.

S a l e m a.

Jak wielki nasz występek.

F a r a n.

Lecz nie nasza wola.

S a l e m a.

Ojciec idzie. Schrońmy się.

F a r a n.

O nieszczęsna dola!

SCENA DZIEWIĄTA.

F a r a n, S a l e m a, A b u f a r, T e n a i m a, A z e l i d a, F a r a z m i n.

A b u f a r (do Azelidy).

Dzięki niebu o córko! już się wszystko zmienia,
Skończyła się obawa, moje udręczenia,

Niechaj sercu wypocznę w uczuciu tak miłém,
Daruj synu, twych cierpień ja przyczyną byłem,
Myśląc że Azelida twoich uczuć celem,
Wyklinałem twą zbrodnią, lecz teraz z weselem,
Syna, którego kocham, oskarżać przestaję,
Twą sławę, moją miłość znowu ci oddaję,
Połączmy uściśnienia z tak drogą przemianą.

F a r a n.

Ojcze mój!

A b u f a r.

Niech już wszystkie cierpienia ustaną.
Córko moja.

S a l e m a.

O nieba!

A b u f a r.

O szczęsne zjawienie,
Jakże tę chwilę zniosę, jakże ją ocenię!
Wyznaj przedemną.

S a l e m a.

Ojcze!

A b u f a r.

Milczycie oboje
Jakoważ tajemnica?

F a r a n.

Znaj występki moje!
Wyznaję, ty bądź ojcze méj zbrodni mścicielem,
Nie, nie Azelida mojéj miłości jest celem
Ale...

Abufar.

Dosyć! — Milszego nie żądam wyznania
Wymień, wymień jéj imie.

Salema.

Do twych nóg się skłania
We krwi ciebie niegodnéj, zmaż występki nasze.

Abufar.

Czy już sobie uczucia odkryliście wasze?

Faran.

Opuszczeni od niebios, nieszczęśni w téj chwili,
Zbrodnieśmy sobie nasze i miłość odkryli.

Abufar.

Bez bojaźni, ażeby mszczące się niebiosy...

Faran.

Czujemy ciężkie żalu i sumienia ciosy.

Salema (upadając do nóg ojca).

Ukarz nas.

Faran.

Oto zbrodnie i cierpienie moje!

Salema.

To mych smutków przyczyną — Ukarz dzieci twoje
Nie jestem więcéj godną twéj córki imienia.

Abufar.

Nie jesteś nią!

Faran.

O nieba!

Salema.

Jakież przeznaczenia!

Abufar (wskazując Salemę).

Oto jest dziecię, które niewiasta omdlała
Na chwilę przedeśmiercią w moje ręce dała.

Salema.

Ja byłam tém dziecięciem?

Faran.

Czyż to omamienie!

Salema.

Jaż to opowiadałam me własne zdarzenie?

Abufar.

Zawsze tego Salemo! słuchałem z rozkoszą,
Jakąż mi moje trudy nagrodę przynoszą!
Ja cię między mojemi dziećmi wychowałem;
Nie wiedziano kto jesteś, mą córką cię zwałem,
W obawie, byś od siostry, żebyś od Farana
Nie tak była kochana z innéj krwi wydana,
Obiedwie was Farana nazwałem siostrami
Tak i równość i miłość żyła między wami —
Ach! gdy mi niebo każe żegnać was na wieki
Spokojny do wiecznego snu zawrę powieki.
Bo skończę jak mój ojciec, gdy się przed nim stawię,
Ztamtąd, jak on mnie niegdyś, wam pobłogosławię
Tak, niechaj oczy moje, wasze zawrą dłonie,
Spełni się co twa matka wróżyła przy zgonie:
Pomoc sierocie późną nagrodą się staje.

(do Salemy i Farana).

Wasza miłość niewinna, ja ci syna daję.

Salema.

Na wieki niechaj będzie moją twa rodzina.

Abufar.

Jeszcze ja ściskam siostrę w żonie mego syna.

Faran.

Połączeni będziemy służyć ci oboje,
By nagrodzić niechętne przewinienia moje.

Abufar.

Farazminie! ostatnie odkryj twoje chęci.

Farazmin.

Azelida...

Abufar.

Niech z sercem wiarę ci poświęci.

Azelida.

Czyliż nie chcesz bydź więcéj Persyi rycerzem?

Farazmin.

Dla miłości arabskim zostanę pasterzem.

(do Abufara).

Wszyscy niech cię kochamy o ciebie troskliwi.

Abufar.

Podajcie sobie ręce — i żyjcie szczęśliwi.

(Faran, Salema, Farazmin, Azelida klękają przed Abufarem).

A z e l i d a.

Farazminie!

S a l e m a.

Faranie!

A b u f a r.

Żyjcie długo razem
Bądźcie szczęścia jak cnoty jesteście obrazem.

WOLNY MULARZ.

KOMEDYA w JEDNYM AKCIE

PANA KOTZEBUE.

(Drukowana w Warszawie 1819 roku.)

WOLNY MULARZ.

OSOBY.

Hrabia von Hecht	*JP. Żółkowski.*
Karolina jego synowica	*JPani Kurpińska.*
Baron	*JP. Dmuszewski.*
Janek służący Hrabiego	*JP. Damse.*

Scena w Niemczech.

POKÓJ.

SCENA PIERWSZA.

Karolina (sama).

Nadaremnie go dręczę, nic powiedzieć nie chce!
Że też to nas kobiety tak ciekawość łechce.
Nie ta ciekawość, która czynnym duszom wspólna,
Co dla wszystkich otwarta która uczuć zdolna,
Nie chcemy my znać tyle co mężczyzni sami,
To tylko chcemy wiedzieć co kryją przed nami.
I chociaż często bywa, że rzecz warta mało,
Jednak to samo cieszy, że się ją poznało —
Po prawdzie — Jest to próżność — Ale to zwyczajne!
Przyjemno jest to wiedzieć, co drugiemu tajne,
A ten szczęśliwy, ten się nad wszystkich wynosi,
Który ważną wiadomość, najpierwszy ogłosi.
Miło rzecz najsmutniejszą ogłosić przed światem,
Niech każdy mdleje, płacze, co chce cierpi na têm;
Têm lepiéj. — Dla nas dosyć, gdy się powiedziało:
Takie jest przeznaczenie, tak się stać musiało. —
Niegodziwe mularstwo! Te jedne sekreta
Dla których się i trapi i wstydzi kobieta,
Każdy mularz jakoweś dni miewa zajęte,
Bierze zawsze z szuflady coś dobrze zamknięte,

Ładuje do kieszeni. — Nie świadom nikomu,
Cichaczem i ukradkiem wynosi się z domu
I idzie. Bóg wie dokąd, i Bóg wie co działa,
A żona nadaremnie ciekawością pała;
Pytać go się, mistycznym uśmiechem odpowie,
Lub baje nie do rzeczy, albo dzieckiem zowie,
Jakby to już nic wiedzieć nie wolno kobiecie?
Żeby to choć połowę, żeby cząstkę przecie.
Ale może rzecz mniejsza, aniżeli sława
Zwyczajnie, jaka schadzka, wieczorna zabawa;
Jednak to jest gorszące że gdy piękność bada,
Siła zimna jak kamień, nic nie odpowiada. —
Kocham Barona, ale przysięgam na duszę,
Nim go zaślubię wszystko pierwéj wiedzieć muszę.
Gdy nie powie — Nie chcę go — Chłopiec wyśmienity,
Szkodaby było. — Ale cóż potém gdy skryty?
Sprobuję. — Jednakże to naszą próżność mami,
Męzką siłę i skrytość pokonać wdziękami.
Gdy się uda, zwycięztwo tryumf na mnie sprawi,
Nie uda się, on za to stałością się wsławi.

SCENA DRUGA.

Hrabia, Karolina.

Hrabia.

Dzień dobry Karolino!

Karolina.

Kłaniam uniżenie!

Czegóż taka posępność.

Hrabia.

Znowu mam zmartwienie.

Karolina.

Zmartwienie! przy dostatkach!

Hrabia.

Co to wszystko znaczy?
Przyznam się Karolino, że jestem w rozpaczy,
Z wszystkich hrabiowskich figur widzisz najnędzniejszą
Znowum oka nie zmrużył całą noc dzisiejszą.

Karolina.

Czy mularstwo, nieprawda?

Hrabia.

Cóżby? ledwo żyję!

Karolina.

I ja na to choruję. Nic się nie odkryje?

Hrabia.

Próżne troski, to djabeł sam wyśledzić może,
Ledwo com się dowiedział że tu mają loże,
W pobliskości ulicy najmuję mieszkanie
Na przeciwko ich okien. — Drogo płacę za nie
Czuwam, z domu nie wyjdę, i siedzę i siedzę,
Myśląc że jakim trafem coś przecie wyśledzę,
Nie zamykam okienic, w ścianach wiercę dziury
Ale wszystko daremnie. — Czekam miesięc wtóry
I mimo że najsroższym goreję zapałem
Na jotę więcéj nie wiem, co dawniéj wiedziałem.
I po to mię nadzieja postawia u źródła,
By mnie już bliżéj siebie tém dotkliwiéj zwiodła?
I czy ich wreszcie zły duch czyli anioł strzeże,
O tém także ni śladu. — To już rozpacz bierze!
Człowiek się niszczy, trapi — Blada moja postać
Wróży mi, że nie długo mogę febry dostać. —
Wyjść z tego niepodobna. — Żadnego sposobu.

Karolina.

Ach tak! To nas potrafi zapędzić do grobu!

Hrabia.

Wczoraj, jak to wiem pewno, byli w jednéj sali,
Lecz wszystkie drzwi zamknęli, zatarasowali,
Jakby lis się wyciągam, podnoszę na pięty,
Lecz ni słyszę, ni widzę, jak gdyby zaklęty.

Karolina.

Słyszałam że tam Janek miał być na szyldwachu,
Może on. —

Hrabia.

Cóż, ten cymbał umarłby ze strachu!

Karolina.

Ale on jest głuptawy, więc go się nie boją,
I być może, że łatwo znalazł drogę swoją.

Hrabia.

Więc go wołaj. — Może co wybadamy z niego.

Karolina.

Lecz ja będę się wstydzić. — Przy takim...

Hrabia.

To czego?
Mościa panno! Tu wstydzić wcale się nie godzi,
Trzeba wszystko odważyć kiedy o rzecz chodzi.

Karolina (do drzwi).

Janek!

SCENA TRZECIA.

Ciż sami. Janek.

Janek.

Jestem.

Hrabia.

Rozkazy wypełniłeś moje?

Janek.

Toby było! A jużci!

Hrabia.

Jak na szpilkach stoję.

Cóż tedy?

Janek.

O wiem wszystko.

Hrabia.

Mówże! nikt nie słyszy.

Janek.

Oho! Panie! Już wiemy kędy djabeł dyszy.

Hrabia.

Gadajże?

Janek.

Noc już była — Już sowy latały,
Gdy ich się zewsząd roje jak duchów sypały,
Każdy się w ziemię patrząc powoli posuwał,
Co cztery kroków wzdychał, a co dziesięć spluwał.

H r a b i a.

Wieleż ich było?

J a n e k.

Mało brakło do tysiąca.

H r a b i a.

Cymbale! Pewnieś patrzał oczyma zająca.

J a n e k.

O ja śmiało patrzałem.

H r a b i a.

Jakże wyglądali?

J a n e k.

Tak różnie — Ci wysocy — A drudzy téż mali.
Tak jak zwykle widziemy ludzi na ulicy,
Z resztą to widzę tacy jak i my grzesznicy —
Jeden z nich lewą nogą tak posunął żwawo
Że...

H r a b i a.

No cóż?

J a n e k.

Zaraz potém posunął i prawą.

K a r o l i n a.

Niespodzianie wielkieśmy rzeczy usłyszeli.

J a n e k.

Ho! Ja dobrze uważał. —

H r a b i a.

Jakież suknie mieli?

J a n e k.

Wszyscy byli odziani różnemi płaszczami,
Jedni byli bez lasek, a drudzy z laskami;
Szczególniéj sam się dziwię (że się przyznać muszę)
Jedni pokładli czapki, drudzy kapelusze —
Potém kto tam rozpozna ten lud czarowany?
Może on tak wygląda, choć nie tak ubrany.

H r a b i a.

Cóż przecie szczególnego widziałeś?

J a n e k.

Nie mało,
Za każdym krokiem tak coś szumiało, błyskało!
Potém. — Niektórzy byli dosyć Pańskiéj miny
Nieśli w ręku...

H r a b i a.

Cóż nieśli?

J a n e k.

Jakoweś maszyny,

H r a b i a.

No jakież? Czy cię tylko oko nie zwodziło.

K a r o l i n a.

Cóż?

J a n e k.

Coś to tak nakształt parasola było.

K a r o l i n a.

Ha, ha, właśnie deszcz padał.

J a n e k.

Co to u nich znaczy!
Z nich żaden jak my wierni, pomoknąć nie raczy,
Na niego, kiedy tylko kropla deszczu padnie,
Zasyczy jak na węglu i wnet wyschnie ładnie.

H r a b i a.

Ale potrzeba było przez szpary, kominy,
Wewnątrz potrzeba było śledzić wszystkie czyny.

J a n e k.

Toć było!

H r a b i a.

Cóż widziałeś?

J a n e k.

Wszyscy płaszcze kładli. —

H r a b i a.

I cóż więcéj?

J a n e k.

I laski.

H r a b i a.

Bodaj się zapadli! —
To przedpokój. Lecz wewnątrz? Nie umiesz nic sprawić.
Nie kazałem ci gapiu drabinki przystawić,
Żebyś patrzał przez okno. —

J a n e k.

Tak Panie, — rozumiem. —
12 Ale jednak przez deski przeglądać nie umiem.
Mam wzrok dobry, i przez szkło zobaczę bez chyby,
Lecz nie sposób, gdy deski zasłaniają szyby
Przyparłem się do okna tak iż ledwiem dyszał.

H r a b i a.

Lecz przecie słyszeć mogłeś.

J a n e k.

Zapewnie, żem słyszał.

H r a b i a.

Cóż?

J a n e k.

Było jak naszego kantora śpiewanie,
Czasem gdzie niegdzie gwoździe wbijali po ścianie —
Klaskali też, tupali — i do rzeczy wcale. —

K a r o l i n a.

Więc już wiemy dokładnie!

H r a b i a.

To wszystko? — Cymbale.

J a n e k.

Nie wszystko — Wiem ja jeszcze — Oni także jedli
13 Ja sam na to patrzyłem. —

H r a b i a.

Jak do stołu siedli?

J a n e k.

Ach nie — W kuchni. —

H r a b i a.

Cóż było?

J a n e k.

Pieczone zające.
Suto naszpikowane duże i gorące.
Wreszcie, zkąd ta zwierzyna, to jest inna sprawa,
Może to i z samego piekła jest potrawa?
Bóg to tam wiedzieć raczy. — Śpiewali, klaskali.

H r a b i a.

Jakże?

J a n e k.

Tak jak zazwyczaj w teatralnéj sali. —
Potém mówił mi kucharz, choć to człowiek skryty.

H r a b i a.

Cóż kucharz? No cóż przecie?

J a n e k.

Że każdy był syty.

K a r o l i n a.

Doprawdy?

J a n e k.

Potém —

H r a b i a.

No cóż? — Nie powiem nikomu,
Potém — Gadajże przecie!

J a n e k.

Szedł każdy do domu. —

K a r o l i n a.

Bydź może. —

J a n e k.

Tak jest, ale w próżnéj potém sali
Szatani przez całą noc, grali, tańcowali.

H r a b i a.

I cóż my wiemy?

K a r o l i n a.

Jedno wiemy doskonale
Że pożądany Janek nie widział nic wcale.

H r a b i a.

Idź do djabła.

J a n e k.

Spełniłem pańskie rozkazanie,
Djabeł nie da się łatwo malować po ścianie (odchodzi)

S C E N A C Z W A R T A.

H r a b i a, K a r o l i n a.

K a r o l i n a.

Nie, mój wujaszku! z tego widzę nic nie będzie.

H r a b i a.

Kto się na posłów spuszcza, na koszu osiędzie,
Jeśli się tu wywiedzieć nie znajdę sposobu
Za kwartał już się pewno przeniosę do grobu
Ciekawość mię umorzy — Już mi sił nie staje,
Z tém się kładę na łóżko i z tém rano wstaję,

Karolina.

Ale — jeszcze nam jedna droga jest otwarta
Bądź Wpan sam mularzem! —

Hrabia.

Ejże? Tam do czarta
Bydź może — Jestem żwawiec — Ale moje dziecię!...

Karolina.

No cóż?

Hrabia.

Tak! — Ty wiesz dobrze żem katolik przecie,
A tam wszyscy kląć muszą radzi czy nie radzi.

Karolina.

Może nie, a spróbować przecie nie zawadzi.

Hrabia.

Zapewnie — tylu hrabiów tego się nie bali
Wszak aby tylko zacząć, pójdzie się i daléj,
A w dobréj kompanii i tchórz bywa śmiały.

Karolina.

Ale zastrzegam sobie wiedzieć sekret cały.

Hrabia.

Słowo w słowo wszystkiego będziesz nauczona.

Karolina.

A więc najpierwéj trzeba uprzedzić Barona.

Hrabia.

Strach trochę, ale śmiało. Da się to pogodzić.

Karolina.

On właśnie o téj porze zwykł do mnie przychodzić.

Hrabia.

Kto? Strach!

Karolina.

Ej nie! Pan Baron — Przyjdzie niezawodnie
Ja wychodzę wujaszku! przyjmijże go godnie
(z filuteryą). Bydź grzecznym dla Baronka sam interes radzi.
On WPana do Loży dzisiaj zaprowadzi (wychodzi).

SCENA PIĄTA.

Hrabia (sam).

Dzisiaj jeszcze! Dalipan! Toby była sztuka!
Ach! ciekawość już niemal z każdéj żyły puka,
Tak jest! Niech to ma w świecie najśmieszniejszą postać,
Choć na starość, mularzem muszę gwałtem zostać. —
Przebóg! Co książe powie gdy do stołu siędę?
I przy nim po mularsku jeść i spijać będę
Gdy pozna wschód na mojęm czele uświetnionem
I z oczów błyskającą Kometę z ogonem. —
Drogi Hechciku! Książe rzecze pełen względu,
Dla ciebie pierwszy urząd i ty dla urzędu,
Skromnie, grzecznie odpowiem. Ja sługa nikczemny —
Ale Pan odpowiada: Twój opór daremny!
Rozum, zasługę, wierność, cenię w twéj osobie
I na dowód nagrody, ministrem cię robię,
Wtenczas po całym dworze wrzawa, zamięszanie,
Każdy się spieszy, korzy, składa winszowanie,
A ja grzecznie dziękując z ukłonem głębokim,
Tu miłym ale Pańskim uśmiechnę się okiem,
Tu klepnę po ramieniu, tu za rękę ścisnę,
Temu wyszego stopnia obietnicą błysnę,

Na swoję stronę wszystkie umysły kojarzem —
O łosie! Oby rychło już zostać mularzem!

SCENA SZÓSTA.

Hrabia, Baron.

Baron.

Pozwolisz Mości Hrabio!

Hrabia.

Baronku kochany
Nigdy, jak dziś nie byłeś dla mnie pożądany —
Żądza i niecierpliwość w sercu mojém pała
Ciekawość niestłumiony ogień we mnie wlała
Ugasić go, ty tylko, tyś jeden jest w stanie
Niechaj cię wzruszy proźba, i szczere żądanie.

Baron.

Z całego serca, jeśli w mojéj mocy będzie.

Hrabia.

Czemuż nie? Tyś jest mędrzec uwielbiony wszędzie.
Rycerz, prorok! Tak sama zdradza ciebie postać.

Baron.

Cóż to jest?

Hrabia.

Krótko mówiąc — Chcę mularzem zostać.

Baron.

Czy tak?

H r a b i a.

Ach tak jest! — Jeśli pomódz mi nie raczysz,
Na śmiertelnéj pościeli wkrótce mnie zobaczysz.

B a r o n.

Żałuję, jednak daruj, że szczerze wyznaję,
Iż tam ciekawość wcale wstępu nie nadaje.

H r a b i a.

Toby było za katy! — Ale co to szkodzi?

B a r o n.

Pospolita ciekawość światła nie dochodzi,
Miłość prawdy do niego znajdzie tylko drogę.

H r a b i a.

A więc posłuchaj WPan — Tak, zaręczyć mogę
Że prawda, miłość prawdy jest moim ołtarzem.

B a r o n.

Jeśli tak jest, bydź może, że będziesz mularzem,
Lecz ważne jeszcze jedno zostaje pytanie,
Zastanów się, i powiedz czyli będziesz w stanie
Wytrzymać wszystkie próby i mężnie i stale?

H r a b i a.

Próby? wszak krwi do tego nie potrzeba wcale?
Wszak tylko atramentem podpisać się każą?

B a r o n.

Już ci nie krwią, a na to wszyscy się odważą;
Wreszcie stały, i na krew winien być gotowy.

H r a b i a.

Zapewnie — lecz to przecie nie z karku nie z głowy?

Choć to podobno nie raz u was się trafiało,
Nie prawdaż?

Baron.

Nie wierz WPan — czasem — bardzo mało.

Hrabia.

Cóżkolwiekbądź — Za ślady puszczę się twojemi.

Baron.

Czy także wejdziesz śmiało w loch głęboko w ziemi?

Hrabia.

W loch głęboki? Tam nie wiem co ja z sobą zrobię.
Czy tam ciemno? czy straszno?

Baron.

Tak ciemno jak w grobie.

Hrabia.

Ach! aż mię dreszcz przechodzi. Lecz niech co chce będzie
Do piwnicy, do grobu, pójdę, pójdę wszędzie.

Baron.

Wiele trzeba odważyć. — Kto męztwa nie straci,
W nagrodę najwierniejszych zyska sobie braci.

Hrabia.

Miłość braterska całą zajmuje mą duszę —
Jednak mam prawo mniemać, i z pewnością tuszę
Że ci bracia są szlachta?

Baron.

Tak jest, szlachta świetna,
Jeśli nie krew nią czyni, to dusza szlachetna,

Miłość praw i ludzkości, czyste obyczaje,
To czyni ludzi bracią, to szlachectwo daje.
Krom tego, wszystkie inne godności są niczém,
Każda różnica znika przed braci obliczem.

H r a b i a.

Co do tego, wybacz mi! Mam zdania osobne,
Doktorki, sekretarze, te i tym podobne
Mogą być dobrzy ludzie, nie ma co powiedzieć,
Warto jest czasem z niemi pomówić, posiedzieć,
Lecz nie sposób każdego nazywać się bratem.

B a r o n.

Ha to darmo. — W tym związku wszystko stoi na tém.

H r a b i a.

Ależ pomyśl, przecie sam masz tytuł Barona,
A ja Hrabia zupełny.

B a r o n.

Tam osoba czczona
Nie tytuł.

H r a b i a.

A cóżbym ja bez tytułu znaczył!

B a r o n.

Ja temu nie winienem.

H r a b i a.

Ach! czybyś nie raczył
Obmyślić jaki środek.

B a r o n.

Być żaden nie może.

Hrabia.

Na wszystko się odważę, i wszystko odłożę,
Chcę się wreszcie do owéj powszechności zniżyć,
Albo raczéj tę nizkość do siebie przybliżyć,
Ależ braterstwo z każdym JMci Mości Panem
Nie zgodzi się ni z rodem, ani z moim stanem;
A sądzić téż nie mogę, by rzecz była wartą,
Skazić klejnot herbowny plamą niezatartą.

Baron.

Godność człowieka tylko płaci w naszym kole,
Herb szlachectwa jaśnieje na szlachetnym czole,
Jeśli w tém jego przesąd widzi co trudnego,
Wtenczas nasze mularstwo niczém jest dla niego.

Hrabia.

Godność człowieka, proszę! o Filozofowie!
Zkąd się wam owa godność uroiła w głowie?
Kto się jéj będzie kłaniał: z nią równał przy złocie?
Godność człowieka nie jest w mych przodków klejnocie,
Wreszcie niech każdy jak chce sam siebie ocenia,
Dla mnie gdzie nie ma Grafa, tam nie ma znaczenia.

Baron.

Czyń WPan jak chcesz, wszak ja nie jestem tu winą,
Proszę, czy można mówić z Panną Karoliną?

Hrabia.

Tak, można.

Baron.

Spieszę, ledwo że nie zapomniałem,
Że Pannie Karolinie kwiatów obiecałem;
Muszę pójść (odchodzi).

Hrabia.

Śliczny Baron — Nie pojmuję wcale —
Z ciekawości i z gniewu w łeb sobie wypalę.

SCENA SIÓDMA.

Karolina, Hrabia.

Karolina.

No jakże wujaszeczku! mogęż się zapytać?
Może już jak mularza mam honor przywitać?
Daléj! proszę o wszystkie sekreta i znaki.

Hrabia (zamyślony).

Nic z tego, czy ja młodzik, zapaleniec jaki
Ażebym tam dla czegoś... (do Karoliny) Ach! jestem w rozpaczy.

Karolina.

Wujaszku! co się stało, co to wszystko znaczy?
WPan tak zagniewany!...

Hrabia.

Dziw mi że to znoszę!

Karolina.

Ale racz mi powiedzieć.

Hrabia.

Wystaw sobie proszę,
Jam myślał że tym związkiem wzniosę się, zaszczycę,
A tam jak słyszę, nawet nie wszyscy szlachcice.
Czemże ja będę gdy mi Hrabiostwo odbiorą?

Karolina.

Ach! ależ tajemnica.

H r a b i a.

Nadto jesteś skorą,
Nie, kto się Hrabią rodził, ten Hrabią zostanie.

K a r o l i n a.

Więc nic się nie dowiemy, daremne staranie?

H r a b i a.

Lecz wiem sposób, nasz Baron wielbi twoje wdzięki,
Ale zaczém pozyska ofiarę twéj ręki,
Musi ci wszystko odkryć. Jeśli twardéj duszy,
Do złamania sekretu miłość nie poruszy,
Wtenczas zrób mu mały dyg i odpraw z Laufpasem;
Traktuj bacznie i śmiało, ja wyjdę tymczasem.

K a r o l i n a.

Ha! zobaczę, sprobuję.

H r a b i a.

Przemówi nasz niemy
Tym mu sposobem od ust kłótkę odedrzemy.

(Odchodzi).

SCENA ÓSMA.

K a r o l i n a (sama).

Bardzo jestem ciekawa czy przecie zwyciężę;
Uśmiech, umizg, pokona i najtwardsze męże,
Dumni mężczyzni zawsze chcą grać pierwsze role,
A jednak jeden uśmiech wywiedzie ich w pole.
Ale stój! O nieszczęście łatwo tu zawadzić.
Nuż on wcale nie zechce tajemnicy zdradzić,
Dla Wujaszka łatwoby stratę ponieść można.
O daruje wujaszek. Ja będę ostrożna,

Lepiéj trzymać co Bóg dał, niż tam czegoś badać,
Trudniéj zyskać kochanka niźli go postradać.

SCENA DZIEWIĄTA.

Baron i Karolina.

Baron (z bukietem).

Dzień dobry mojéj pani!

Karolina (zimno).

A dzień dobry!

Baron.

Proszę.
Na rozkaz wybór wiosny w hołdzie jéj przynoszę.

Karolina.

Co WPanu do wiosny? sam to Baron przyzna,
Że do wiosny jest najmniéj podobny mężczyzna:
W wiośnie kwiaty otwarte i serca widziemy,
Mężczyzna zawsze skryty, i zimny i niemy,
Wszystko ożyje wiosny promieniem dotknięte,
Ale serce mężczyzny zawsze jest zamknięte.

Baron.

Pani przeto mocniejsza niż słońce wiosenne,
Bo znasz moje życzenia i serce niezmienne.

Karolina.

Nic nie znam — Nie mój Panie, i najtkliwsze oko
W serce mężczyzny sięgnąć nie może głęboko,
Wymowa pięknie płynie, lecz wierzyć nie radzi,
Serce istotnie tkliwe zwierzeniem się zdradzi,
Nie czeka na kochanki i tęskność i łkania,
Samo sobą się zdradza, mówi bez pytania,

Najszczęśliwsze kiedy to co czuje opowie,
Bo ten co nic nie dzieli, używa w połowie.

Baron.

Tak ja czuję — wyjąwszy jedno — nieskończenie.

Karolina.

Otóż jest! obraz męża, zaraz wyłączenie!
Właśnie ja też to jedno chcę poznać i wiedzieć;
Możesz to mieć za słabość, lub co chcesz powiedzieć,
Nazwij to grzechem Ewy, który w nas widzicie,
Krótko mówiąc, chcę wiedzieć co w Loży robicie?

Baron.

Nawet to co pod karą mówić zabronione?

Karolina.

Można wszystkich oszukać, lecz nie przyszłą żonę.

Baron.

Pani i na mój honor względu mieć nie raczy?

Karolina.

Słowo miłości więcéj niźli honor znaczy.

Baron.

Na skazę obowiązków miłość nie nastawa.

Karolina.

Co mnie do tego. Miłość ma osobne prawa.

Baron.

Lecz kto kocha ten sławę kochanka ocenia.

Karolina.

Pierwsza miłość niż sława. Tak jest bez wątpienia!

Baron.

Kto złamie prawa sławy, ten i miłość zmieni.

Karolina.

Kiedy tak, więc jesteśmy odtąd rozłączeni.

Baron.

Pani! z takiéj przyczyny czyż to tego warte?

Karolina.

Nasze serca nie stałe, bo wasze uparte!

Baron.

A gdybym jéj powiedział, że się zgromadzamy
By cicho dobrze czynić. Że skromność kochamy,
Że chcemy by ten, który w naszém gronie staje,
Uczył się takim zostać, jakim się wydaje,
Że chcemy serca nasze braterstwem uzacniać.
I bez obłudy w cnocie ćwiczyć się i wzmacniać,
I gdy powiem że to jest cała tajemnica,
Jeszczeż nie wypogodzisz posępnego lica?

Karolina.

Nie wcale, nie tak ja się odurzyć gotowa,
Trzeba mi wszystko wyznać od słowa do słowa;
Gdyby to tylko było, na cóż się kryjecie?
Wszak to wypełniać można i na całym świecie.
Mnie cudów trzeba.

Baron.

Dobrze! a więc słowo złamę;
Tak jest, prawdziwa miłość wszelką zrywa tamę,
Jednak błagam twéj łaski.

Karolina.

Łaski nic nie dopnie,
Więc daléj od A do Z, i to wszystkie stopnie.

B a r o n.

W pierwszym...

K a r o l i n a.

Cóż tedy w pierwszym?

B a r o n.

Tam robimy złoto.

K a r o l i n a.

Aha! to już Wujaszek przeczuł. W drugim?

B a r o n.

Oto.....

W drugim się zwykły topić dyamenty wszelkie,
Z których się robić zwykły...

K a r o l i n a.

Dyamenty wielkie?

B a r o n.

W trzecim...

K a r o l i n a.

Cóż tedy w trzecim?

B a r o n.

Świadomi sposobu,

W trzecim wywołujemy dawne duchy z grobu.
W czwartym dystylujemy miłosne napoje.

K a r o l i n a.

Ach!

B a r o n.

W piątym być niewidzialnym, skryć osobę swoją.

Karolina.

I to wam się udaje?

Baron.

Mamy pewną drogę

Że łatwo...

Karolina.

Już od śmiechu wstrzymać się nie mogę!

Baron.

W szóstym uniwersalne lekarstwo robimy,
Które rozdajem darmo gdy pomoc widzimy.
W siódmym...

Karolina.

Daléj!

Baron.

Do tego rzadko kto dochodzi;
O siódmym i o ósmym mówić się nie godzi.

Karolina.

No, sześć tak wielkich cudów to już dla mnie dosyć
O receptę z czwartego chciałabym go prosić.

Baron.

Ale to są czcze słowa, a wyznam otwarcie.
Że mularz lubi prawdę, choćby w samym żarcie.
Nie chcę cię Pani zwodzić. I dla tego właśnie...

Karolina.

Cóż tedy?

Baron.

To com mówił dokładniéj objaśnię.

Złoto, którém nas nasza zatrudnia robota,
Jest to przestać na swojém, najbogatsza cnota;
Dusze sobie stworzone spajać w węzeł święty,
Oto są powiększone nasze dyamenty,
Duch, którego sięgamy rad zdrowych zaszczytnych,
Jest to prawdziwa mądrość wieków starożytnych,
Napój miłosny, który staramy się robić,
Jest to uprzejmość by nią cnotę przyozdobić,
Śmierć czyni niewidzialnym, a nasza nauka
Jest by na nią pamiętać, nader rzadka sztuka.
Uniwersalne leki wynaleźli starzy,
Jest to wstrzemięźliwością zdobić czerstwość twarzy.
Otóż są to mularstwa cuda i zamiary;
Ósmy stopień zawiera najpiękniejsze czary,
Ten kto do niego zdolnym swe serce uczyni,
Najgłębsze tajemnice wyśledzi świątyni,
Najpiękniejsze na ziemi rozpocznie koleje,
Temu ziemia zakwita i niebo się śmieje,
Lecz sam do tego stopnia nigdy nie dochodzi,
Wierna jedynie miłość do niego przywodzi,
Bo celem tego stopnia jest miłość rodzinna,
W której wszelka szczęśliwość mieścić się powinna,
Bez niego żadna droga nie będzie skończona,
A ósmy stopień daje tylko dobra żona;
Pani! do tego stopnia szczera miłość woła,
Tego co swéj przysięgi zapomnieć nie zdoła;
Który woli z miłości uczynić ofiarę,
Niż serce kochające splamić przez niewiarę,
Który równie we wszystkiém od zdrady daleki,
Tam wierność, tobie miłość przysięga na wieki.
Czystéj miłości związki zawrzyjmy wzajemne,
I on ma tajemnice drogie i przyjemne,
Ma słowo, ma swe znaki Jeśli będę w stanie —
Słowo...

Karolina.

No słowo?

B a r o n.

Tak jest.

K a r o l i n a.

Znak?

B a r o n.

Pocałowanie.

K a r o l i n a.

Jakto? mniemałżeś WPan bym tak była płocha,
Zmuszać tego do zdrady co tak szczerze kocha?
Ja co chciałam doświadczyć, i dobrze się stało!
A gdyby serce twoje stałości nie miało
Do zachowania wiary słowu raz danemu,
Tak i jabym nie miała ufności ku niemu,
Lecz kiedy tak jest....

B a r o n.

Pani!

K a r o l i n a.

Teraz mn j się boję.

B a r o n.

Karolino! nie zwlekaj! wyrzecz szczęście moje!

K a r o l i n a.

I my w miłości także stopnie stanowiemy;
W pierwszym stopniu miłości bywa uczeń niemy,
W drugim stopniu jedynie mówi przez spojrzenie,
A w trzecim już mu wolno by przerwał milczenie.
Całować może rękę, kiedy czwarty zyska,
A w piątym ściskające niechaj dłonie ściska,
W szóstym już się szczęśliwie całusek wydarza,
Po czém siódmy prowadzi prosto do ołtarza.

Baron.

Ach w tėj loży zapewnie prędko idą stopnie,
Prędko trzeci otrzyma kto dwóch pierwszych dopnie,
A jeśli w czwartym stopniu już może się zoczyć,
Pani! pewnie już piąty wolno mu przeskoczyć?
(prosząc) Lekuchny całuseczek!

Karolina.

Wujaszek nadchodzi;
Dalėj więc do porządku!

SCENA DZIESIĄTA.

Ciż sami. Hrabia.

Hrabia.

No! jak się powodzi?
Cóż słychać moje dzieci?

Karolina (cicho do niego).

Poszło nie źle wcale,
Już wiem wszystko, opisał wszystko doskonale.

Hrabia.

Doprawdy?

Karolina.

Spowiadał się.

Hrabia.

O dziecię jedyne!

Karolina.

Dostałam cztery stopnie.

Hrabia.

Jak to za godzinę?

Karolina.

Ho! Gdyby to odemnie tylko zależało,
Miałabym już i szósty. —

Hrabia.

To prawdziwie śmiało.

Karolina.

To wszystko idzie prędko, rzecz tak jest konieczną!

Hrabia.

Czy straszną?

Karolina.

O nie, wcale.

Hrabia.

Ale niebezpieczną?

Karolina.

Ha! prawda.

Hrabia.

No powiedzże.

Karolina.

Ha, wujaszek każe.
A zatém na ryzyko mówić się odważę.

Hrabia.

Czy ci oczy zawiązał?

K a r o l i n a.

Ach tak jest! podobno.

H r a b i a.

Potém cię zaprowadził w komórkę osobną?

K a r o l i n a.

Ach to nie, ale krótko przyznać się wypada,
Do Loży, w któréj bożek miłości zasiada.

H r a b i a.

Co? to wolne mularstwo? czy byłabyś zdolna...

K a r o l i n a.

Wolna! ach mój wujaszku! jam już nie jest wolna.

H r a b i a.

Panienko ostrzegam cię. Może podstęp jaki...

K a r o l i n a.

Ha! teraz już zapóźno, mam słowo i znaki.

H r a b i a.

Powiedzże co to znaczy? (żartem do Barona). Ejże Mości Panie!

K a r o l i n a.

Nasze słowo jest: Tak jest, znak: Pocałowanie.

B a r o n (rzuca się do szyi Hrabiego).

Hrabio! niech moje serce bratem zwać cię może,
Zechciéj uznać za prawą nową naszą Lożę,
Naczelnikiem jéj szczere prawdziwe kochanie,
Namysł pierwszym jéj stróżem, a drugim wytrwanie
Podskarbim naszym ciągła oszczędność i praca
Sędzią jest pobłażanie, co do zgody wraca,

Za marszałka na zawsze niechaj służy grzeczność;
Ona ozdabia miłość, pomnaża stateczność,
Z temi urzędnikami niechaj praca wzrasta,
Póki głos nie zawoła, że już jest dwunasta.

Hrabia.

Wszystko to pięknie, dobrze, lecz to dla niéj wiedzieć,
Ale co to jest mularz? proszę mi powiedzieć.

Baron.

Wolny mularz dla chluby nie prawi o cnocie,
Nigdy nie dba o pozór kto ma rzecz w istocie,
Stały, roztropnych zasad nigdy nie odmieni,
I człowieka jedynie jak człowieka ceni.
Wiernemu bratu pomoc braterską podaje,
I prawdę gdy ją kocha bez trwogi wyznaje,
W milczeniu dobrze czynić jest jego rozkoszą,
Żądze w nim nad rozsądkiem władzy nie podnoszą,
W nim serce światła, światło umie serca użyć,
I obudwoma pragnie współbliźnim usłużyć,
Przyszłość mając w pamięci śmierci się nie lęka,
Niższym gardzić nie umie przed wyższym nie klęka,
A w sobie godność ceniąc w drugich ją uznawa,
Cześć jego mają wieczną Bóg, i król i prawa,
Jeśli z tkliwą kochanką swe szczęście skojarzy,
Będzie tém dla swéj żony, czém jest dla mularzy.

Karolina (z wdzięcznem przybliżeniem się do Barona).

Lecz jednéj tylko rzeczy niech się jeszcze dowiem,
(z filuteryą). Wszyscyż mularze tacy?

Baron.

O tém późniéj powiem.

WYJĄTEK Z TRAGEDYI

MARYA SZTUART

WOLNO TŁUMACZONÉJ Z SZYLERA. *

* Pamiętnik Warszawski 1822. T. I. Nr. 3. Str. 222.

AKT III.

SCENA PIERWSZA.

Hanna, Marya.

(Marya spieszno z pomiędzy drzew wybiega. Hanna Kenedy zwolna za nią postępuje).

Hanna.

Pani! wstrzymaj się nieco; ach! nie chciéj tak spieszyć.
Ledwo dążę; wejdź w siebie!

Marya.

Dozwól się ucieszyć,
Niech przebiegną tę łąkę uskrzydlone nogi, —
Więc istotnie więzienia przebyłam już progi?
Już mi światła podziemne sklepienie nie kryje?
Niech tém wolném powietrzem odetchnę, ożyję. —
Ach! tak jest — czuję, czuję że z grobu wychodzę.

Hanna.

Zbyt smutne omamienie! nie zwódź się tak srodze,
Więzienie twoje nieco tylko rozszerzono,
Muru tylko nie widzisz pod tych drzew zasłoną.

Marya.

Dzięki wam drzewa, co mi kryjecie więzienie.
Dozwól mi, niech trwa wiecznie to słodkie marzenie,

Kiedy ręka na chwilę kajdan się pozbywa,
Niech się łudzę że wolna, że jestem szczęśliwa.
Przestwór niebios nad sobą widzę roztoczony,
Otwarte przed mém okiem niezmierzone strony.
Widzisz góry, które mgła ledwo dostrzedz daje,
Tam to moja ojczyzna, tam Szkocyi kraje.
Te błądzące obłoki co pod niebem krążą,
One dom mój widziały, ku Francyi dążą.
Pozdrówcie moje kraje, gdziem szczęśliwa rosła —
Ja z więzienia innego nie mogę mieć posła.
O! powietrzne żeglarze! nie chciejcie mię minąć,
Ktoby mógł do was dostać i z wami popłynąć —
Wolne, wolne dążycie w kraje ukochane;
Wy nie jesteście Anglów królowéj poddane —
Tam daleko krążący rybak sieć rozwodzi,
O gdyby mię litośny wziął do swojéj łodzi
Jakbym go nagrodziła...

Hanna.

Nie widzisz téj straży?
Żadna tu do nas litość przyjść się nie odważy.

Marya.

Nie, nie, pociesz się Hanno! my już wolność mamy;
Nie napróżno więzienia otwarto mi bramy,
Ta mała łaska większe nadzieje mi wróży,
Silna pomoc miłości tajemnie mi służy;
Lestera to jest dzieło. Tak Hanno! powoli
Chcą nieznacznie rozszerzać miejsce méj niewoli,
Coraz się zwiększać będzie wolność dziś zaczęta,
Aże tego zobaczę, co skruszył me pęta.

Hanna.

Po wczorajszym wyroku... wolność niebezpieczna,
I tym więzy zdejmują, których wolność wieczna
Na łonie śmierci czeka.

Marya.

Słyszysz te trąb wrzawy
Jak w koło napełniają lasy i murawy?
Słyszysz Hanno! O gdybym mogła dosięśdź konia,
Jakbym szczęsna pędziła przez góry i błonia!
O bolesne wspomnienia! głosie dawno znany
Jakże ty mię przenosisz w kraj mój ukochany.

SCENA DRUGA.

Ciż sami. Paulet.

Paulet.

Tak jest Pani! spełnione twe dawne żądanie,
Wiedz, że królowa wkrótce na tém miejscu stanie,
By cię o tém uprzedzić, przybywam zawczasu.

Marya.

Jako?

Paulet.

Słyszysz te trąby z poblizkiego lasu,
Pani! to jest królowa. Ciesz się!

Marya.

O rozpaczy!

Paulet.

Będziesz z nią mówić.

Hanna.

Pani! bledniesz?

Paulet.

Cóż to naczy?
Przeraża cię jéj bytność? jakaż w tobie zmiana?

Marya.

Wcześniéj spełnia się prośba niż była żądana.

Paulet.

Zbierz twe siły, teraz ci potrzebna wymowa.

Marya.

To zbyt prędko. Ach! na to nie byłam gotowa.

SCENA TRZECIA.

Ciż sami. Melvile.

Marya.

Ty Melvilu przybywasz! — daruj moję trwogę;
Schrońcie mię, ja z nią mówić, widzieć jéj nie mogę.

Melvile.

Pani! zyskaj przytomność, zbyt to ważna chwila.

Marya.

Jak mię długo czekana nadzieja omyla,
Od tak dawna, tém tylko zapełniałam duszę,
Jak trafię do jéj serca, przekonam i wzruszę,
Dziś wszystko zapomniałam co mię zbawić miało,
Samo bolesne czucie w sercu się zostało.

Melvile.

Przytłum wszystko, wnet koniec twych cierpień się ziści.
Upokorz się.

Marya.

Nie, nigdy!

Melvile.

Pomnij na twą całość,
Nie mów nic o twych prawach, błagaj jéj wspaniałość,
Pamiętaj! że Elżbieta panią samowładną,
Spraw tylko niech kajdany z twojéj dłoni spadną,
A wszystko się ukończy.

Marya.

To nad moje siły,
Jakże mię własne moje życzenia zdradziły!
Czuję, złe tylko zrządzi to smutne spotkanie,
Któż tak nagle krzywd tyle z pamięci wymaże?
Kto czuje com ja zniosła!

Melvile.

Tak konieczność każe,
Gdy w to miejsce wchodziła, zmieniła się cała,
Czułością twarz powlokła i rzewną łzą zlała.

Marya.

Burleigh pewno z nią idzie?

Melvile.

Nie, Lester iść radził
On ją do tego skłonił i sam tu sprowadził.

Marya.

Lester?

Melvile.

Jego to dzieło i życzliwość nowa.

Marya.

Ach! tak, wiedziałam o tém.

M e l v i l e.

Co mówisz? — Królowa.

SCENA CZWARTA.

Ciż sami. E l ż b i e t a, H r a b i a L e s t e r, D w ó r.

E l ż b i e t a (do jednego z oficerów).

Sama powrócę — Dwór mój wysłać do Londynu,
Chcę uniknąć tłumem się cisnącego gminu.

(Dwór się oddala. Elżbieta uważa okiem Maryą mówiąc dalej do Melvila:)

Mój dobry lud za nadto do mnie przywiązany
Bez miary, zabobonnie wielbi swoje pany,
Bogom się a nie ludziom taka cześć oddaje.

(Marya wsparta na Hannie podnosi się na te słowa, pogląda na wpatrującą się w nią Elżbietę, przerażona, rzuca się napowrót na łono Hanny).

M a r y a.

Ach! w tém oku żadnego czucia nie poznaję.

E l ż b i e t a (do Melvila).

Cóż to jest za kobieta?

M e l v i l e.

Boże!

E l ż b i e t a.

Cóż to znaczy?

L e s t e r.

To więzienie ci pani lepiéj wytłumaczy.

E l ż b i e t a.

Co słyszę? któż się ważył?

Lester.

Pani! już się stało,
Spełnisz, czego twe serce tak dawno żądało,
Niebo samo twe kroki w te strony prowadzi.
Dokonaj, co wspaniałość, co ci litość radzi,

Melvile.

Królowo! na nieszczęsną rzuć łaskawem okiem,
Która korząc się niknie przed twoim widokiem.

(Marya usiłuje postąpić ku Elżbiecie, ale drżąca, zatrzymuje się w połowie drogi, na twarzy widać gwałtowne walki jej duszy).

Elżbieta.

Któż tu wspomniał pokorę i żal przewinienia?
Dumną widzę kobietę, co wśród poniżenia
Tém zuchwalszą się staje...

Marya.

Więc i to znieść muszę —
Próżna szlachetna dumo! opuść teraz duszę,
Precz pamięci czém byłam, czém jestem, co znoszę,
Stopę, która mię depcze, niech łzami uroszę —
Siostro! niebios wyroki twéj sprzyjały stronie,
Szczęsne zwycięztwo twoje uwieńczyło skronie;
Pokorna wielbię bóstwo co ciebie wspierało —
Ale wzajem błagam cię, bądź i ty wspaniałą,
Poniżona twa siostra przed tobą uklęka,
Niech drżącą u nóg twoich, podniesie twa ręka.

Elżbieta (usuwając się).

Na twém miejscu tu jesteś — i ja dzięki składam,
Że jak ty dziś przedemną, przed tobą nie padam.

Marya.

Pomnij na los śmiertelnych, niebo grozi dumie,
I łatwo berło królów w pęta zmienić umie,

I ty byłaś w więzieniu — znaj jak los omyla,
Lękaj się Boga, który do twych nóg mię schyla —
Mamże w obliczu świadków, korzyć się daremnie?
Dla twojéj własnéj chwały siebie szanuj we mnie,
Uszanuj krew Tudorów, co w obu nas płynie
Cała moja nadzieja w téj tylko godzinie —
Nie bądź tak niedostępną jak skała wśród toni,
Co majtkowi od burzy dosięgnąć się broni;
Od słów które przemówię, od łez które leję
Zawisło moje życie i wszystkie nadzieje;
Ale na tę pogardę, surowość w twym wzroku
Cofa się każde słowo i łza niknie w oku.
Jakąż szczęśliwą prośbą zdołam cię nakłonić,
Nie chciéj wreszcie tak smutnéj odwagi mi bronić.

Elżbieta.

I cóż mi masz powiedzieć? Spełnione twe chęci —
Chciałaś mię widzieć, widzisz. Wygładzam z pamięci
Wszystko, co pomnieć każe sprawiedliwość ostra,
Zapominam królową, jestem tu jak siostra,
I nadto się poniżam, bo dobrze wiesz o tém,
Że po trzykroć zabójczym grożono mi grotem.

Marya.

Jakże słowa ułożyć, jakże je wyrazić,
Żeby cię mogły wzruszyć, nie mogły obrazić.
Dodaj mocy mym słowom, wspieraj mię o Boże!
Oddalaj każdą strzałę, co ją zranić może. —
Siostro! niesłuszną́ś dla mnie i okrutną była,
Równą tobie królową w więzienieś wtrąciła.
Sama, ufna w twą dobroć okryta żałobą,
Jak siostra nieszczęśliwa stanęłam przed tobą,
A ty mimo zniewagi królewskiego rodu,
Mimo praw gościnności ludów i narodu,
W kajdanach mię wtrąciłaś w podziemne sklepienia,
Obnażona z mych skarbów, dostojeństw, imienia,

Bez przyjaciół, pomocy, bez posługi prawie,
W ohydnym niedostatku dni na jękach trawię. —
Ale ni słowa o tém — wszystko zapomniane,
Niech niepamięć zagrzebie niedole doznane,
Same tylko wyroki trzeba o to winić,
Nie moja, nie twa wina coś musiała czynić,
Mimowolnie nieszczęsnéj posłuchałaś rady,
Duch piekielny wysłany za naszemi ślady,
Z młodych lat nas ozionął jadem nienawiści,
W którym złe, chytre dusze szukając korzyści,
Rozniecały jéj płomień. — Zdrajcy niewołani
Podnieśli zbójczy oręż przeciw własnéj pani,
Bo ten jest los monarchów: własnemi niezgody
Budzą z piekła nienawiść i burzą narody.

(Zbliża się z tonem poufalszym i przyjaznym).

Wszystkom już rzekła, błoga wspiera mię otucha.
Przemów! teraz nas siostro nikt obcy nie słucha,
Jesteśmy same, teraz niech wiem o méj winie!
Rozkaż! wszystko ci wyznam i wszystko uczynię.
Czemuż wtenczas nie byłam mówić z tobą w stanie
Gdym tak żywo prosiła o twe wysłuchanie;
Wszystkoby się skończyło; nieba by nie dały
Byśmy się w tym dniu smutnym, w tém miejscu widziały.

Elżbieta.

Od tego mię raczyły uchronić niebiosy;
W nieszczęściu twojem pani nie żal się na losy,
Dumie to twego rodu przypisuj i sobie,
Od młodości przychylność łączyła nas obie,
Gdy Gwizyusz ten starzec dumą upojony,
Co zuchwale na wszystkie targa się korony
I mojéj pozazdrościł; ciebie chciał nakłonić.
Moim się herbem, moją purpurą osłonić.
Cóż nie uczynił, żeby miecz utopił we mnie!
Oto nawet przez ciebie pobudzon tajemnie.

Uzbroił lud szalony, króle i kapłany
Ażeby tron mój wydarł, od przodków mi dany.
Nakoniec, twoich życzeń, twoich rad świadomy,
Rzucił na mnie, w mym kraju Watykańskie gromy;
Lecz zwyciężyłam wrogi. Nieba poznać dały,
Że niesłusznie w ich imie uzbrajać się chciały.
Szczęśliwy mój lud widzę, spokojne powiaty,
Pola kłosem ciążące i handel bogaty,
Wojska, porty, okręty i kwitnące miasta,
Sztuki, przemysł się mnoży, ludność kraju wzrasta.
Otóż dowody przeciw Gwizyusza dumie,
Że podobna królowa panować nie umie.
Chytry! nie w ten cel trafił, do którego mierzył,
Na moję godził głowę, lecz w twoję uderzył.

Marya.

Niebo moją obroną i śmiem sobie wróżyć,
Że tak krwawo twéj władzy nie zechcesz nadużyć.

Elżbieta.

Któż mi tego zabroni? twój dom mi przykładem,
Karóla, Gwizyusza pójdę teraz śladem,
I mnie nakoniec będą ich bezprawia wspierać,
Oni mię nauczyli jak pokój zawierać.
Powiedz mi, gdybym teraz skruszyła twe pęta,
Jakaż będzie twéj wiary rękojmia dość święta
Od któréj nie uwolni Watykanu głowa?
Przemoc tu tylko pewną, a żadna umowa.

Marya.

Srogie masz podejrzenia — gdyby nie twa wola
Mogłażby jaka w świecie poróżnić nas dola?
Zawszem nieprzyjaciółką i obcą ci była,
Gdybyś mię naślednicą tronu ogłosiła,

Tak jak słuszność mieć chciała; ty byłabyś pewną,
Ja wierną przyjaciółką, wdzięczną tobie krewną.

Elżbieta.

Za morzem twoi krewni, w klasztorach i w Rzymie —
O chytrości! po to chcesz następcy mieć imie,
By jeszcze gdy ja żyję wierność ludu słabić,
Szlachetną młodzież państwa w chytre sidła wabić
Aby przyszłą królowę wszystko uwielbiało,
A ja...

Marya.

Oby ci niebo długo rządzić dało!
Żyj i panuj! będę ci podległą do zgonu,
Nie, nie żądam już więcéj twoich królów tronu,
Wszystkie już czucia długiem stępiłaś więzieniem,
Niczém teraz nie jestem, jak Maryi cieniem.
Tak, wszystko czegoś chciała spełniła twa władza,
Stało się — teraz ogłoś co cię tu sprowadza?
Ogłoś twe przebaczenie, bo nie daję wiary,
Byś tu przybyła z twéj się urągać ofiary.
Dokończ, ach! dokończ siostro! stargaj me kajdany,
Puść wolną do Szkocyi w kraj mój ukochany.
Podwójnym blaskiem pomnoż tronu twego świetność
Dałaś poznać moc twoję, daj uczuć szlachetność;
Słowo wszystko zakończy, nie chciéj go odwlekać,
Czekam na nie — zaklinam, nie daj dłużéj czekać;
Biada ci, biada! jeśli twa siostra, królowa
Nie usłyszy od ciebie zbawiennego słowa,
Jeśli próżna pokora, moje łzy i modły,
Jeśli inne zamiary tutaj cię przywiodły,
Na nieba poprzysięgam, za świetną koronę,
Za wszystkie kraje twoje morzem otoczone
Nie chciałabym przed tobą stać jak ty przedemną.

Elżbieta.

Jeśli, jak sercu memu litość jest przyjemną,
Jeżeli całą przeszłość zapomnę łaskawa,

Jeśli dobrocią moją przytłumię głos prawa,
Jakąż pewność mieć mogę, że zwodnemi wdzięki
Znowu na mnie morderczéj nie uzbroisz ręki?
Może już czyha który, może Narfolk nowy
Czeka służyć twéj dumie, mnie zdradzić gotowy.

Marya.

Siostro! siostro! miarkuj się! — Boże daj mi siły!

Elżbieta.

Prawda, że niejednego twe sidła zdradziły,
Niebezpieczno młodzieży dać się tobie zwabić,
Umiesz równie kochanków, jak i męża zabić.
Smutnym Norfolk przykładem.

(do Lestera).

(Przypatrz się jéj twarzy.)
Czemuż imie Norfolka wściekłość w tobie żarzy?
Że twoje tajemnice śmiem przed Lordem głosić?
Sama wprzód twe zwycięztwa umiałaś wynosić —
Otóż piękność, przed którą wszyscy męże drżeli,
Z którą się żadna z niewiast równać nie ośmieli.
Przyznaję ją — zaiste dość łatwa to sława,
Zwykle zbyt głośna piękność powszechną się stawa.

Marya.

Błądziłam jako młoda wielkością zwiedziona,
Lecz mego życia żadna nie kryła zasłona.
Królowa, czczych pozorów nie miałam na względzie,
Świat mię zna i oskarża i sądzić mię będzie.
Gardziłam zwodną maską, a nawet nie taję,
Lepszą jestem w istocie niż mię świat uznaje,
Lecz ty drżyj, gdy twe cnoty pozorne dla oka,
Kiedyś fałszem barwiona opuści powłoka.

Lester (wchodzi między królowe).

Nieba! aż na to przyszło! pani! w takim stanie
Takaż to jest pokora i umiarkowanie?

Marya.

Ach! już nadto znosiłam, zniosłam serce twarde,
Surowe okrucieństwo i zimną pogardę.
Precz dobroci! wróć w niebo cierpliwości święta,
Ty wściekłości rozerwij krwawe twoje pęta,
Wystąp długo tłumiona, wesprzyj mię na nowo,
Uzbrój jadem wściekłości każde moje słowo.

Elżbieta.

Spieszmy.

Lester.

Królowo! niech jéj smutny stan nie wini,
Daruj jéj, nieprzytomna nie pomni co czyni.

Melvile.

Opuść to smutne miejsce, zapomnij go pani!

Marya.

Anglowie wiarołomnéj królowéj poddani,
Chytremi występkami Anglia łudzona,
Lat dwadzieścia ohydna plami ją korona,
Gdyby Bóg sprawiedliwość obudził surową,
Tybyś u mych nóg drżała, bom ja twą królową.

SAFO

TRAGEDYA W 5ciu AKTACH

FRANC. GRILLPARZERA

PRZEŁOŻONA Z NIEMIECKIEGO.

Safo, o któréj tłumaczeniu przez K. Brodzińskiego była wiadomość, ale rękopismu F. S. Dmóchowski nie wynalazł, odszukaną została w Bibliotece teatralnéj w Warszawie, staraniem naszego znakomitego artysty p. Winc. Rapackiego. Jemu zawdzięczamy że ją tu pomieścić możemy.

Oryginał niemiecki wyszedł w Wiedniu w r. 1819, przypisany p. K. A. West, jako *druga* dramatyczna próba autora i w tym samym roku po polsku ukazał się na Warszawskiéj scenie. Pisany wierszem nierymowym, przełożony został prozą. Autor wiernie trzymał się oryginału co do układu sztuki, lecz tłumaczył swobodnie, skracając i więcéj się starając o efekt sceniczny, niż o wierne odwzorowanie poetycznych zalet i piękności formy. Znać że to jest tłumaczenie wykonane z pospiechem dla teatru więcéj niż do druku. Pomimo to sądzimy, że i dla teatru i dla literatury wydanie téj pamiątki będzie zajmującem. Rękopism teatralny z podpisem Brodzińskiego, poprawiony jest przez niego.

10. Sierpnia 1872. Drezno.

SAFO.

OSOBY.

Safo		*Pani Ledóchowska.*
Faon		*P. Werowski.*
Eucharis	jéj niewolnice	*Panna Nacewiczówna.*
Melita	jéj niewolnice	*Pani Kurpińska.*
Rhamnes niewolnik		*P. Kudlicz.*
Wieśniak		*P. Damse.*

Słudzy. Wieśniacy.

Pasterz	*P. Swiergocki.*
Jeden z ludu	*P. Jastrzębski.*
Jedna z dziewic	*Pani Mierzyńska.*

W roku 1819.

AKT I.

PLAC OTWARTY.

(W głębi morze — brzegi po lewéj stronie skaliste. — Na samym brzegu ołtarz Wenery. — Po prawéj stronie sceny wejście do groty krzewami zarosłéj, daléj kolumnada czyli galerya ze wschodami do mieszkania Safony. — Po lewéj stronie wysoki krzew róży i darniowe siedzenia.)

SCENA PIERWSZA.

(Zdala słychać flety, lutnie, i pomięszane okrzyki ludu).

Rhamnes (spieszno wpadając).

Powstańcie, powstańcie, kto słyszy. — Zbliża się — Już przybywa! o czemuż siły moje chęciom zrównać nie mogą! — Spieszcie! wychodźcie!

Eucharis, Melita i służące (wybiegają z galeryi).

Melita.

Jesteśmy, czego wołasz?

Rhamnes.

Zbliża się.

Melita.

Kto? Bogowie!

Rhamnes.

Safo!

(Okrzyk z głębi).

Chwała! Safo chwała!

Rhamnes.

Tak, chwała Safonie, chwała!

Melita.

Cóż to ma znaczyć?

Rhamnes.

Ach czy nie wiesz! Safo wraca z Olimpu, wieniec zwycięztwa otrzymała, pojmujesz? W obliczu całéj Grecyi za pienia swoje otrzymała zwycięztwo. Lud zgromadzony ciśnie się za nią z radosnemi okrzyki, jéj imię obłokom podaje. A ja to byłem, ja, który głos jéj ośmieliłem, i rękę po lutni wodzić nauczałem.

Lud (w głębi.)

Chwała Safo, chwała.

Rhamnes.

Przecież weselcie się, widzicie jéj wieniec!

Melita.

Ach! spieszmy, spieszmy naprzeciw.

Rhamnes.

Zostańcie, zostańcie, zginiecie w tłumie ludu! raczéj dom uprzątnijcie, niewolnik, tylko służąc chwali swego pana.

Melita.

Czy widzisz obok niéj— widzisz?

Rhamnes.

Kogo?

Melita.

Postać szlachetną, jak boga lutni i łuku.

Rhamnes.

Widzę, widzę, ale oddalcie się.

Melita.

Sam nas zwołałeś!

Rhamnes.

Tak jest żebyście wiedziały, że wasza pani się zbliża, lecz w domu tylko cieszcie się.

Melita.

Ale my przyjdziemy.

Rhamnes.

Nie, nie, do domu rozkazuję. (oddala ją). Zaraz przybywa! o radości!

SCENA DRUGA.

(Safo kosztownie ubrana; na wozie ciągnionym przez lud, złota lutnia w ręku, na głowie wieniec. Obok niéj Faon w prostém ubraniu, lud w różnych grupach wóz jéj otacza).

Lud (wchodząc).

Chwała Safo, chwała!

Rhamnes mięszając się między lud).

Chwała ci droga pani!

Safo.

Dziękuję wam przyjaciele, ziomkowie. Dla was tylko cie-

szy mnie ten wieniec. Ciśnie on poetę, ale zdobi obywatela. Nie moja, wasza chwała i radość niech będzie. Tu gdzie młodości spędziłam lata, gdziem się ośmieliła uczucia moje rozgłosić, gdzie mnie z szumem cyprysów duchy ojców moich pozdrawiają, gdzie nie jeden świadek usiłowań moich spoczywa, tu tylko czuję wartość wieńca mojego.

Jeden z ludu.

O dzięki bogom! żeśmy twoi ziomkowie! Czy pojmujecie jéj skromność, te słowa więcéj ją chwalą, niż cała Grecya.

Rhamnes (cisnąc się ku niéj).

O witaj! witaj pani moja!

Safo (zstępuje z wozu i pozdrawia uprzejmie stojących).

Witam cię kochany Rhamnes — Artander — I ty tu, mimo słabego wieku Kalisto, Rodope. Płaczecie moi ziomkowie! Oko, tak jak serce razem się wypłaca! łzy za łzy — ach — przestańcie!

Jeden z ludu.

Powitaj na ziemi ojców, między ludem!

Safo.

Wdzięczna córka téj ziemi pomnożyć pragnę jéj chwałę nowym obywatelem. Oto jest Faon. Potomek świetnego rodu, z świetnym niech się połączy. Młodzieńcze lata jego, ale męzka mowa i czyny. Trzeba ramienia rycerza, głosu mówcy, rady przyjaciela, obrony niewinnych, w nim wszystko znajdziecie i nie szukajcie więcéj.

Faon.

Czémżebym ja ubogi młodzian tyle chwały zasłużył? któż temu uwierzy?

Safo.

Uwierzy każdy, bo widzi rumieniec skromności twojéj.

Nic sobie nie przyznajesz i dla tego przyznają ci wszyscy. Zasługa i milczenie zawsze są w parze. Jego kocham, na niego padł mój wybór. On to z górnych krain poezyi zwabił mnie na kwitnące doliny, i ziemskiemu szczęściu powrócił. Przy nim niech z wami pasterskie życie przepędzam. Głos lutni dotąd przez was uwielbiany tylko, niechaj odtąd rodzinne szczęście opiewa, niechaj kochany będzie.

Lud.

Żyj szczęśliwa na wieki.

Safo.

Dosyć, dziękuję wam przyjaciele, pójdźcie za Rhamnesem, przy puharach i tańcach wesołych zakończcie dzień powitania, dzień powrotu siostry do kochanéj rodziny. (do wieśniaków którzy ją żegnają). Bądźcie zdrowi, i ty, i ty i wszyscy.

(Rhamnes i wieśniacy odchodzą).

SCENA TRZECIA.

Safo, Faon.

Safo.

Otóż Faonie, tak tu żyje twoja kochanka. Wdzięczność za dobrodziejstwo, uprzejmość za miłość, tak zawsze przeplatam dni moje. Spokojną dotąd i szczęśliwą byłam. Ach jeźli od ciebie choć połowę w zamian otrzymam! Wcześnie rodzice moi zstąpili do grobu. Młodą rodzinę moję ujrzał Acheron. Znam co jest niewdzięczność, doznałam obłudy, znam omamienie miłości i przyjaźni, nauczyłam się tracić i zapominać. Ale ciebie Faonie, twojéj miłości nie byłabym w stanie utracić. Dla tego wybadaj sam siebie, nie znasz jeszcze mocy czucia mojego. Nie daj mi nigdy doznać aby moje przepełnione serce, twoje próżném znalazło.

Faon.

Pani!

Safo.

Nie tak, czyliż ci serce nie wskazuje słodszego imienia?

Faon.

Daruj, sam nie wiem co mówię, co czynię z nizkiéj doliny wyniesion do szczytu chwały, do któréj tylu godniejszych wzdychało, upadam i w wielkości szczęścia sam się znaleźć nie mogę. Lasy i brzegi uciekają, nikną obłoki i nizkie chaty, i ledwo się mogę przekonać, że wszystko trwa na miejscu, a tylko ja płynę z potokiem szczęścia.

Safo.

Pięknie pochlebiasz, ale Faonie, pochlebiasz.

Faon.

Ach, jeżeli to ty jesteś, którą od wysp pelopejskich aż tam, gdzie się posępne trackie góry, z greckiemi łączą doliny, gdzie tylko usta greckie boskim przemawiają językiem, wszędzie sława pod gwiazdy wynosi, jeżeli to ty jesteś? jakże wzrok twój zniżył się do młodzieńca, który bez imienia i chwały, innego mieć nie może zaszczytu, nad tę lutnię która przez to tylko jest szanowaną, że jéj twoja ręka dotyka.

Safo.

Albož to lutnia trącona, swojéj pani sławę opiewa?

Faon.

Ach! odkąd myśleć począłem, odkąd drżąca dłoń moja ciebie naśladując zaczęła błąkać się po strónach lutni, stał twój boski obraz przedemną, kiedy w gronie rodzinném, przy ogniu domowém siedziałem, a siostra moja Teano pieśń twoją śpiewać nam miała, zamilkli swawolni młodzieńce, dziewice

pospuszczały robotę, słuchały z natężeniem, aby najmniejsze ziarnko złota nie zaginęło, a kiedy śpiewać zaczęła o pięknem dziecku miłości, o żalach bezsennej nocy, o grach attyckich, jakże każdy słuchał i w milczeniu oskarżał swój oddech, który radosne piersi częściej podnosił. Potem Teano skłoniła głowę zadumana, a wpatrując się w dogorywające ognisko mówiła. Jaka też jej postać, — zdaje mi się że ją widzę przed sobą. Między tysiącem niewiast poznałabym Safonę. Wnet gwar rozpoczął się w chacie, każdy czerpał w swoim wyobrażeniu aby cię nowym wdziękiem ozdobił. Ten dawał ci oczy Pallady, ten ramię Junony, ten czarowny pas Afrodyty. A ja tylko milczący wstałem, szedłem w samotne nocy krainy, ztamtąd wyciągałem ręce do ciebie, a gdy powiew Zefira, wonia kwiatów, światło bladego księżyca obijały się o czoło moje, wtenczas czułem cię bliską, obraz twój krążył nademną w obłokach.

Safo.

Przybrałeś mię własnem twojem bogactwem niestety! gdybyś je miał kiedy odebrać!

Faon.

A gdy mnie ojciec do gonitw Olimpijskich wyprawiał, gdy się po drodze wszędzie odgłos rozlegał, że lutnia Safony zwycięztwo otrzyma, wtenczas tęsknota wydzierała mi serce ku tobie, rumaki moje bez życia padły nim wieże olimpijskie zoczyłem. — Przybywam. Nie nęciły mię gonitwy konne i na wozach, nie pytałem o zwycięztwo. Ciebie miałem widzieć, koronę niewiast. Teraz nadszedł dzień walki o pienia. Daremnie śpiewał Alceus, Anakreon. W tem rozlega się głos ludu, tłum się rozbiega, przechodzi ze złotą lutnią niewiasta. Wśród zamilkłego tłumu biała niewinności szata spływała na wdzięki światłu wzbronione jako strumień po wzgórkach kwiecistych. Brzegi jej palmowym i laurowym liściem ozdobione, oznaczały pokój i chwałę, które są potrzebą i nagrodą poety. Jak czerwona zorza około słońca, opływał ją płaszcz purpurowy z pod czarnych włosów jak księżyc ciemnej nocy, ja-

śniała korona znamię dalekiego, błyszczącego panowania. Tysiączne okrzyki, poprzedziły przeczucie moje nim je wyrzec zdołałem, kiedy już śpiewałaś, kiedy już przy okrzykach zwycięztwa, strojna lutnia odpadła twéj dłoni. Ja cisnę się przez tłumy, a dosiężony wzrokiem twoim, zawstydzony, bez duszy stałem. Ach! lepiéj ty wiesz to odemnie, który dotąd na pół tylko ocucony, nie umiem rozeznać, co się prawdziwie działo. a co tylko snem moim było.

Safo.

Pomnę, jak milczący zawstydzony stałeś. Cała istność była tylko w oku twojém. Kazałam ci iść za mną, szedłeś niepewny, zadziwiony.

Faon.

Któżby mniemał, że pierwsza z Greków spojrzy na ostatniego z ich rodu?

Safo.

Źle sądzisz o szczęściu i o sobie. Nie gardź darami bogów które na usta, czoło i serce narodzonemu dziecięciu zlewają. Wdzięki ciała pięknym są darem, a użycie jest życia najwyższym celem. Muzy nie nadaremnie wybrały sobie laur bezowocny, zimny, bez kwiatu i woni, ciśnie on tylko obiecując nagrodę za nie jednę ofiarę. Tęskno jest na szczycie chwały, uboga sztuka zawsze jest przymuszoną (wyciągając ręce do Faona) żebrać u obfitości życia.

Faon.

Dla czegóż co ty mówisz nie uznać za prawdę?

Safo.

Faonie! podzielmy nasze dary od Bogów, w téj grocie, w tych krzewach, w obwodzie tych kolumn milczących cieszmy się życiem naszém jak bogowie, którzy nic nie pragną, niczem nie przesyceni, cieszą się wiecznie równém użyciem.

Twojém jest co mam, zbiory moje tém mię tylko ucieszą, że ty ich używać będziesz. W twoim domu już jesteś. Sługi będą tobie, za przykładem twéj pani posłuszne. Pokażę im, ich pana. Przybywajcie, przybywajcie!

F a o n.

Safo! czémże ci nagrodzę dług mój, który co chwila się zwiększa.

SCENA CZWARTA.

(Ciż sami). R h a m n e s, E u c h a r i s, M e l i t a, S ł u g i, S ł u ż ą c e.

R h a m n e s.

Pani wołałaś?

S a f o.

Zbliżcie się, oto wasz pan.

R h a m n e s (zdziwiony na pół głośno).

Pan?

S a f o.

Któż tu mówi? co chcesz powiedzieć?

R h a m n e s (odstępując).

Nic.

S a f o.

Milcz więc. Oto wasz pan. Jego rozkaz jest moim. Biada nieposłusznemu. Najmniejsza chmura na tém czole będzie skargą na przestępnych. Przebaczę winę przeciwko mnie, lecz kto jego obrazi, gniew mój obudzi. Teraz przyjacielu wypocznij z podróży, użyj świętego prawa gościnności, poznaj chęci Safony.

Faon.

O czemuż zmysłów moich zebrać nie mogę abym się stał wszystkiém czém być pragnę. Żegnam cię więc.

Safo.

Nie na długo. Melita zostanie.

(Faon i słudzy odchodzą.)

SCENA PIĄTA.

Safo (długo patrząc za Faonem).

I cóż Melito?

Melita.

Co Pani?

Safo.

Więc tylko krew w tych piersiach krąży, a we wszystkich innych lód zimny. Widziały go, słyszały głos jego, jedném z nim oddychały powietrzem, a przecież pierwsze ich słowo: Co pani? Prawdziwie mogłabym cię znienawidzić, odejdź!

Melita (odchodzi milcząc).

Safo (która tymczasem siadła na darniu).

Więc nic mi wesołego nie masz powiedzieć? Widziałaś go, zważałaś, milczysz? Gdzież były oczy Melity? (bierze ją za rękę i sadza na kolana).

Melita.

Sama nauczyłaś mię pani, że dziewice nie powinny podnosić oczu przy obcych.

Safo.

O biedna! więc ty nie patrzyłaś na niego? (całuje ją). Ach ta nauka nie była do ciebie, do starszych tylko mniéj skro-

mnych, młodszym więcéj wolno, niżeli dorosłym (mierząc ją oczyma) Ale, jak ty się zmieniłaś w czasie mojéj podróży, nie mogę cię poznać, wyrosłaś i... (całuje ją znowu). O lube stworzenie masz słuszność, moja nauka i do ciebie się ściąga. (wstając). Czegóż tak milcząca, tak milcząca jesteś? nigdyś taką nie była! Nie pani, przyjaciółka stoi przy tobie, duma, gniew, wszystko co złego mieć mogłam nie wróciło ze mną do domu, w morzu wszystko utonęło gdym z Faonem płynęła. Miłość wszystko łagodzi. Jeźlim cię kiedy zmartwiła wybacz mi. Odtąd jak siostry żyć będziemy. Ja będę jeszcze dobrą, łagodną.

Melita.

Czyliż nią nie jesteś, nie byłaś?

Safo.

Ach tylko tyle że złą nie byłam. Wszakże Faon będzie szczęśliwym?

Melita.

Któżby nim nie był przy tobie?

Safo.

Uboga, czémże go zdołam uszczęśliwić? w najpiękniejszym kwiecie wieku swojego żąda on szczęścia, jakiego tylko młodość jest godna i zdolna, jakie ona tylko wyobrażać sobie est w stanie. Jemu świat otwarty, do niego cały należy, a ja, bogowie! wróćcie mi czasy upłynione! Zatrzyjcie w tém sercu dawne uciechy i troski. Com kiedyś czuła, mówiła, czyniła. niechaj wszystko nawet w przypomnieniu zmazane będzie. Wróćcie mi czasy kiedym niewinnemi usty zgadywała dopiero ziemskie uciechy, dopóki miłość obcą czarowną krainą jeszcze mi była. (spiera się na łonie Melity.)

Melita.

Co tobie jest pani?

Safo.

Stoję na brzegu przepaści, która mnie z nim rozłącza,

widzę szczęsne krainy, dosięgam okiem, ale stopa moja nie dotknie ich nigdy. Biada temu kogo z zaciszy próżny cień sławy wywabi. Słabą on łodzią burzliwe morze przepływa. Nie masz tam drzewa, cienia i kwiatu, niezmierność tylko otacza go w około. Gdy się dopiero namyśli powraca do opuszczonéj zagrody, ale nie zastaje już wiosny ani kwiatów, (zdejmuje wieniec i oglądając go smutnie) suche tylko liście szumiące słyszy.

Melita.

Jakże drogim powinien być ten wieniec, po który tysiąc sięgało, nikt nie otrzymał.

Safo.

Tysiąc po niego sięgało, nikt nie otrzymał. Nieprawdaż Melito? nieprawdaż? tysiąc po niego sięgało (kładąc znowu wieniec). Niechaj nikt sławny sławą nie gardzi. Nie jest to wdzięk czczy i bez znaczenia. Dotknięcie jego boską siłę nam wlewa. Tak, nie jestem tyle ubogą. Przy skarbach moich jego skarby położę. Ty się zdumiewasz Melito? Nie pojmujesz mnie? Szczęśliwa! staraj się byś mię nigdy nie zrozumiała.

Melita.

Czy gniewasz się pani?

Safo.

Nie, nie. Powróć do twoich rówiennic i donieś mi, kiedy twój pan chce się ze mną zobaczyć.

(Melita odchodzi).

SCENA SZÓSTA.

Safo (sama).

(Zamyślona, wspiera czoło na ręku, siada potém, biorąc lutnię deklamuje pieśń):

Córko Jowisza! bądź życzliwą chęci
Wieszczki, co tobie złotą lutnię święci

Sławna przez ciebie, dziś tobą szczęśliwa
Safo cię wzywa.

Niegdyś gdy strony ozwały się moje
Złote Olimpu rzucałaś podwoje
Wóz twój gołębie skrzydły złocistemi
Wiodły ku ziemi.

Często pytałaś któryż to kochany
Sercu twojemu śmiałby zadać rany,
Któż jest na ziemi, by nie był wzruszony
Wdziękiem Safony?

Gdy dziś unika późniéj będzie prosił
Gardzi darami sam je będzie znosił,
Gdy dziś nie kocha pod silniejszym grotem
Upadnie potém.

Teraz mi sprzyjaj najwyższa bogini
Będzie ci gorzeć ofiara w świątyni
Tobie poświęcę każde moje tchnienie
I wieczne pienie.

AKT II.

SCENA PIERWSZA.

Faon (wchodzi).

Tu przecież spokojność! Zgiełk uczty, odgłosy pieśni, nie dojdą tych drzew samotnych. Jak się wszystko we mnie zmieniło! odkąd opuściłem dom ojców moich! Zasłona jakaś okrywa mi przeszłość. Ledwie dzień wczorajszy, ledwie godzinę upłynioną pamiętam. Sam siebie się pytam, czy to ja w Olimpii obok niéj stałem, czy to moje imię lud z imieniem Safony pod obłoki wynosił, tak jest, wszystko mi odpowiada, a ja zdumiony, ledwo wierzę wszystkiemu. Nędzneż to stworzenie człowiek! Nadzieja zmysły jego obudza, a spełnienie onéj pogrąża go w śnie. Póki jéj nie widziałem, nie znałem jeszcze, póki mi ją wyobrażenie tylko zmyślonym pędzlem wystawiało, wtenczas łatwo mi się zdało za jedno jéj spojrzenie życie poświęcić, a teraz gdy już jest moją, teraz przy żniwie méj płochéj nadziei, teraz otoczony wszystkiém, stoję, myślę, i waham się. Biada mi, wnet zapomnę o sobie samym, o niéj, o rodzicach. O ojcze! dopieroż teraz wspominam ciebie! Nie dałem ci znać o sobie, może opłakujesz śmierć moją, może już wiesz, że syn twój wysłany do walki, na łonie Safony. Ale kto śmiue bliżać jéj sławie? Ona jest ozdobą, koroną płci swojéj. Niechaj ją zazdrość oczernia, przeciw całemu światu stanę za nią. A nawet mój ojciec niechaj

ją tylko ujrzy, wnet odrzuci przesądy, jakiemi go napoiły śmiałe spojrzenia niewiast jéj stanu. Ale któż się zbliża, uciekajmy, gdzież się schronić — tu. (Wchodzi do groty).

SCENA DRUGA.

Eucharis, Melita. Niewolnice z wieńcami i kwiatami.

Eucharis (wstając).

Więcéj, więcéj kwiatów przynoście. Ustrójcie dom, podwórze, kolumny i progi, dziś pani święto miłości obchodzi.

Dziewczęta (podając kwiaty).

Oto są. (zawieszają wieńce na kolumnach i drzewach). dobrze, ale Melito, gdzież są twoje kwiaty?

Melita (zalękniona patrząc na ręce).

Moje?

Eucharis.

Tak jest, zamyślona z próżnemi rękami przychodzisz.

Melita.

Zaraz przyniosę.

Eucharis.

Przyniosę mówi, a zostaje na miejscu. Co tobie Melito? Co to znaczyło że pani uśmiechając się uważała cię, i potém zagniewana oczy spuściła, widziałam żeś się rumieniła, zapominała. Gdy ci rozkazano podać puhar cudzoziemcowi połowę napoju wylałaś, pani kazała ci oczy spuścić i sama uśmiechnęła się. Cóż to ma znaczyć, wyznaj mi Melito?

Melita.

Ach, darujcie.

Eucharis.

Nie, nie masz tu łaski, wyznaj, spojrzyj na nas, o bogowie! łzy nawet kochana Melito, już nic mówić nie będę, nie płacz — daruj mi siostro! Gdzież są kwiaty, pójdźcie, pójdźcie, przynieśmy więcéj. (do Melity). Usiądź sobie, pomóż nam wić wieńce, ale nie płacz proszę cię (dziewczęta odchodzą).

SCENA TRZECIA.

Melita (sama).

(Siada i poczyna wić wieńce, po chwili trzęsie głową i kładzie około siebie zaczętą robotę.)

Nie mogę, czuję szum w głowie i bicie serca. Tu muszę siedzieć sama, opuszczona, zdala od ojców na cudzéj zagrodzie. Daremnie ręce wyciągam ku swoim, więzy je cisną. O ja nieszczęśliwa. Tu muszę siedzieć sama opuszczona, nikt mię nie słyszy, ani zważa na mnie. Ze łzami patrzę, jak krewni przyciskają się do piersi rodzinnych, a dla mnie w tym kraju żadne serce nie bije. Daleko wszyscy moi przjaciele. Dzieci skaczą około rodziców, całują ich ręce i włosy. Mój ojciec zdala morzem oddalony nie słyszy wołania, nie zna uścisku dziecięcia. Tak tu ze mną czynią, jakby mnie kochali, nie zbywa im na słowach łagodnych, ale to nie miłość, niestety, litość to tylko! Pochlebca łatwo zamieni piękne słówka na wzgardę i szyderstwo. Im wolno kochać, nienawidzić jak się im podoba, ozdobieni złotem i purpurą ściągają oczy na siebie, a niewolnica w cichym kryć się musi zakątku, kto na nią spojrzy? kto się o nią spyta? Bogowie! wyście mnie często wysłuchali, miejcie litość i teraz. Powróććie mię do swoich, niechaj się na łonie matki wypłaczę, ucieszę, sprawcie mi to bogowie, albo do siebie, do siebie mię weźcie!

SCENA CZWARTA.

Faon. Melita.

(Faon który podczas sceny Melity ukazał się na wstępie do groty, ale podsłuchiwając odsunął się, staje za Melitą dotykając jéj rękę.)

Faon.

Tak młoda, a tak smutna dziewico!

Melita (przelękniona).

Ach!

Faon.

Słyszałem że prosiłaś bogów o przyjaciela. Oto masz go przed sobą. Jednakowa boleść tak jak jedna krew połącza ludzi. Smutni wszędzie sobie są krewnemi. I ja żałuję rodziców, tęschnię do domu, podzielmy się smutkiem i pociechą. Milczysz? czy tak nieufną jesteś? Ja źle nie myślę o tobie. Spojrzyj na mnie. (wpatrując się w twarz). Ach to ty jesteś, zapewne cię smuci wypadek przy uczcie dzisiejszéj. Nie troszcz się.

Melita

(przy ostatnich słowach wychodzi z zadumania, pogląda na Faona, potém wstaje i chce odejść).

Faon.

Nie chciałem cię obrazić. Ty musisz ze mną pomówić. Nie puszczę cię. Uważałem cię dzisiaj, skromne wdzięki twoje zgasiły całą uroczystość. Któż ty jesteś? co cię tu zatrzymuje? Widziałem że przy stole służyłaś tylko. Niewolniki zowią cię rówiennicą swoją...

Melita.

Tak jestem nią (odwraca się i chce odejść).

Faon (wstrzymując).

Błagam cię.

Melita.

Panie! co chcesz od niewolnicy? Pójdę gdzie mi przystoi. (łzy tłumią jej głos). Weźcie mię bogowie, weźcie mię!

Faon (biorąc ją za ręce).

Wzruszoną jesteś, drżysz. Uspokój się. Pęta ciężą tylko tylko na ręku, myśl jedynie czyni wolnym albo służalcem. Zaufaj mi. Safo jest dobrą, słowo tylko powiem a bez okupu do twoich cię puści.

Melita (milcząc trzęsie głową).

Faon.

Bądź pewną że to uczyni. Albo czyliż tęskność do kraju dopiero obudzona, już zniknęła?

Melita.

Ach powiedz mi wprzódy, gdzie jest moja ojczyzna?

Faon.

Czy ty nie wiesz?

Melita.

W dziecinnym jeszcze wieku wyrwano mię od niéj, góry tylko i doliny zatrzymałam w pamięci, nazwiska nie wiem. Ale zdaje mi się że to było na wschodzie słońca, bo tam wszystko było jasnę i kwitnące.

Faon.

Więc to ztąd daleko?

Melita.

O daleko, bardzo daleko. Inne były tam drzewa, inne kwiaty, piękniejsze gwiazdy jaśniały, a ludzie byli dobrzy i otwarci. Żyłam w pośród wielu dzieci i głaskałam sędziwe

włosy ojca mojego, potém był tam piękny, złotowłosy młodzieniec z błękitnem okiem, prawie tak — jak ty.

Faon.

Milczysz? I ten młodzieniec był ci zapewne przyjemnym nieprawdaż? (biorąc ją za rękę).

Melita (cicho).

Byłam wtenczas dziecięciem.

Faon.

Tak miłém dziecięciem, i potém (puszczając jéj rękę).

Melita.

Byłam bardzo szczęśliwą. Ale raz obudziłam się w nocy. Dziki zgiełk obił się o moje uszy. Przyszła niewiasta, wzięła mnie na ręce i wyniosła w ciemną noc, i widziałam jak chaty gorzały, męże walczyli i upadali a potém zbliżył się zabójca porwał mnie za ręce, jęk i narzekanie otoczyły mnie. Znalazłam się na jednym okręcie, co jak strzała szybko płynął przez ciemne morze. Widziałam jak inne dzieci i dziewice płakały, ale coraz ich się liczba zmniejszała. Długie dni i nocy płynęliśmy, aż nakoniec sama zostałam między dzikiemi ludźmi. A gdyśmy na brzeg Lesbijski wysiedli, widziała mię Safo i kupiła Melitę.

Faon.

Czy twój los przykry był przy niéj?

Melita.

O nie — ona była dobrą, otarła mi łzy z oczu, uczyła mnie, wychowała bardzo łagodnie, bo chociaż gwałtowna ale dobra, prawdziwie dobra jest moja pani.

Faon.

A przecież nie możesz ojczyzny zapomnieć?

M e l i t a.

Ach! dość ją wcześnie zapomniałam, przy zabawach i pracy ale gdym sama, zawsze mi łzy przypominają moją zagrodę, i teraz tak tęschno mi było. Ale już wszystko dobrze. Jestem wesołą.

(Głos z głębi).

Melito?

M e l i t a.

Wołają mnie, odchodzę (podnosi zaczęty wieniec i kwiaty).

F a o n.

Cóż to masz?

M e l i t a.

Kwiaty.

F a o n.

Dla kogo?

M e l i t a.

Dla ciebie. Dla ciebie i dla méj pani.

F a o n.

Zostań.

M e l i t a.

Wołają mnie.

F a o n.

Pokaż mi twoje kwiaty.

M e l i t a.

Oto są.

F a o n (wyjmując różę).

Zatrzymaj tę różę (zatyka ją za suknię Melity). Niech to będzie oznaką, że nietylko w ojczyźnie ale i wszędzie można znaleźć przyjaciół. (tu Melita z spuszczonemi oczyma, z bijącą piersią stoi nieporuszona, Faon o kilka kroków się oddaliwszy, uważa ją z daleka).

(Wołają z głębi).

Melita?

M e l i t a.

Czy ty mnie wołasz?

F a o n.

Ja?... nie... to w domu.

M e l i t a (zbierając wieńce które jej upadły).

Idę już, spieszę.

F a o n.

Jakże Melito, od ciebie nie zyskam podarku?

M e l i t a.

Cóż ci uboga dać mogę?

F a o n.

Oto masz kwiaty.

M e l i t a (rzucając kwiaty).

Jako te kwiaty, które niewolnice zbierały, które przeznaczone dla... Nigdy.

F a o n.

Jakże więc?

M e l i t a (wpatrując się po drzewach).

Wszystko wyzbierane, nigdzie kwiatka nie widać. (patrząc

(na krzew wysoki). Na téj gałęzi widzę różę, ale wysoko nie dosięgnę.

F a o n.

Pomogę ci.

M e l i t a (wstępuje na darń).

Więc nachylę ci gałązki.
(wyciąga ręce, zniżając gałązkę z różą). Dostaniesz?

F a o n (nie patrząc na różę, uważa Melitę).

Jeszcze nie.

M e l i t a.

Ale teraz... ah!

F a o n.

Trzymam cię.
(gałązka wymyka się, Melita pada na ręce Faona).

M e l i t a.

Ah puść mnie.

F a o n (trzymając).

Melito! (szybko składa pocałunek na jéj ustach).

SCENA PIĄTA.

S a f o w powszednim ubiorze bez wieńca. Ciż sami.

S a f o (wchodząc).

Co widzę?

M e l i t a.

Ah, Safo!

F a o n.

Safo tutaj? (puszcza Melitę. Pauza).

S a f o.

Melito!

M e l i t a.

Pani!

S a f o.

Co tu masz do czynienia?

M e l i t a.

Szukałam kwiatów.

S a f o.

I szczęśliwie.

M e l i t a.

Ta róża...

S a f o.

Cóż ta róża?

M e l i t a.

Jest tak wysoko.

S a f o.

Może nie dość wysoko. Oddal się.

M e l i t a.

Mamże...

S a f o.

Odejdź.

(Melita odchodzi).

SCENA SZÓSTA.

Safo, Faon.

Safo (po pauzie).

Faonie!

Faon.

Safo!

Safo.

Tak wcześnie opuściłeś ucztę. Nie byłeś wesół.

Faon.

Nie przywykłem do głośnych zabaw.

Safo.

Do głośnych zabaw? Prawie wyrzuty mi czynisz?

Faon.

Jakto?

Safo.

Zbłądziłam może, że głośną i okazałą ucztę sprawiłam.

Faon.

Tak nie myślałem.

Safo.

Serce uradowane szuka wesołych zabaw, aby w powszechnem weselu niewidziane, tém się spokojniéj cieszyło.

Faon.

Tak jest.

Safo.

Musiałam się okazać wdzięczną sąsiadom za ich życzenia. Na przyszłość nic nam spokojności nie rozerwie, którą ja jak ty kocham.

Faon.

Dziękuję ci. (chce odejść).

Safo.

Odchodzisz?

Faon.

Chcesz? Zostanę.

Safo.

Jak wola twoja.

Faon.

Czy rozgniewaną jesteś?

Safo (wzruszona).

Faonie!

Faon.

Żądasz czego?

Safo.

Nic — ale — Widziałam cię z Melitą.

Faon.

Z kim? z Melitą? — Ah tak jest — I cóż?

Safo.

To jest przyjemne dziecię.

Faon.

Tak.

Safo.

Najmilsza z sług moich, z dzieci moich mogę powiedzieć, bo ją jak dziecię kochałam. Dotąd nie uwalniam jéj, bo nie chcę jéj opuścić w tak młodych latach.

Faon.

Pięknie czynisz pani.

Safo.

Nikogo więcéj nad nią nie kochałam. Chociaż nie obdarzona dowcipem, nie sposobna do sztuk pięknych, ujmuje przecie słodkiemi przymioty, jéj otwartość i skromność z uległością złączona przywiązują. I nieżyczyłabym nigdy, daruj mi to przyjacielu, aby płochy żart obudzał jakowe życzenia w jéj sercu, które niedopełnione, gorzko nas trują. Chciałabym jéj oszczędzić to smutne doświadczenie, jak tęschność pożera, i jak okrutnie dręczy miłość wzgardzona, Faonie?

Faon.

Co mówisz pani?

Safo.

Nie słuchasz mnie?

Faon.

Słucham. Miłość dręczy.

Safo.

Dziś nie widzę cię chętnym. Później o têm mówić będziemy. Właśnie téż tę godzinę zwykłam muzom poświęcać

Faon.

Tak dobrze, później.

Safo.

Teraz bywaj mi zdrów. I mnie w tej chwili spokojność potrzebna. Bądź zdrów.

Faon.

Czy odchodzisz?

Safo.

Jeżeli chcesz?..

Faon.

Żegnam cię...

Safo (nagle się odwracając).

Żegnam cię.

SCENA SIÓDMA.

Faon (sam).

(przez chwilę mocno zdziwiony). Odeszła! Zmysłów zebrać nie mogę. (patrząc na miejsce gdzie siedziała Melita). Tu siedziała piękna Melita — tu spocznę. (siada).

AKT III.

(Faon spoczywa na darninie).

SCENA PIERWSZA.

Safo (wychodzi z groty).

Nadaremnie! daleko krążą myśli moje, ale z niczém wracają. Cokolwiek czynię, przedsiębiorę, stoi zawsze przedemną. ten widok. O gdybym przed nim za granicę ziemi schronić się mogła. Jak ją trzymał. Jakiém okiem czytał w jéj oku! Precz, precz myśli okrutna. Ale na cóż dręczę się tylko może uwidzeniem, może tylko płocha przemienna chwila, wesołość a nakoniec mogęż sprawiedliwie jego czucie kłaść z moim na wagę? Nie, miłość niewiasty nie równa się męzkiéj. Zmienny jest umysł młodzieńca, wolny wstępuje na otwartą drogę! pełen sposobu i nadziei, siłą i odwagą, jak tarczą i mieczem uzbrojon, chęci jego nie znają granic. A jeźli napotka miłość schyli się, zrywa kwiatek poranny, ogląda go, cieszy się, obojętny nakoniec kładzie go za hełm do innych znaków zwycięzkich. Nie zna on cichego, a mocnego czucia w sercu niewiasty, jak cała jéj istność, myśli i chęci do niego tylko zmierzają, życzenia jak ptaszęta około gniazda koło miłości krążą, która jest razem jéj kolebką i grobem. Mężczyzna kocha, ale w sercu jego jest jeszcze miejsce do wszystkich innych uczuć. Często co nam zbrodnią jemu jest zabawką tylko. Niestety! że tak jest, a przecież tak jest! (oglądając się, postrzega

Faona.) Ha! to on! on to jest! zasypia! pokój i wesołość osiadły na jego skroni. Ach tylko niewinność tak może oddychać. Tak jest, więcéj we śnie, niżeli na jawie ci wierzę! Daruj mi podejrzenie! Uśmiecha się, otwiera usta. Obudź się, wymień imię Safony. Obudź się! (dotyka Faona, który przebudzony wyciąga ręce i na pół zawartemi oczyma woła).

Faon.

Melito!

Safo (przerażona.)

Ach!

Faon.

Kto mię obudził, kto mi spłoszył sen drogi? Ty to jesteś Safo! Ach tak jest, mój sen nie zwodził mię. Tak jesteś smutna... co tobie?... Ja wesół jestem. Smutek niedawny zniknął zupełnie, wolny oddycham.

Safo (przed siebie wciąż patrząc).

Melita!

Faon.

Ach bądź wesołą, tu jest tak wszystko błogo i przyjemnie, lekkiemi skrzydły spuszcza się wieczór, morze wznosi się i ciśnie ku brzegom, na przyjęcie pana światłości, cicho po topolach szumiące liście, o tajemnicach miłości rozmawiać się zdają.

Safo (chcąc się zbliżyć ku niemu wstrzymuje się).

Nie, zanadto serce jego poznałam!

Faon,

Już, już zniknął mój niedawny smutek, wierzaj mi Safo nigdy nie byłem tak przywiązany do ciebie. Bądźmy szczęśni i weseli! Ale powiedz mi co ty sądzisz o snach?

Safo.

Sny kłamią, a ja kłamców nienawidzę!

Faon.

Otóż właśnie cudowny sen miałem. Byłem niby w Olimpii tak właśnie, jak cię przy igrzyskach widziałem. Stałem w tłumie ludu, między łoskotem pędzących wozów. Wnet ozwała się lutnia i wszystko umilkło. Ty śpiewałaś o miłości, a ja do gruntu serca byłem wzruszony, przeciskam się do ciebie — i w tém, uważaj, i w tém niepoznaję cię. Widziałem jeszcze twą postać, purpura okrywała twoje ramiona, lutnia w białym ręku głos jeszcze wydawała ale twarz zmienia się, rozpływa jak mgła pod niebios błękitem, wieniec twój zniknął, zniknęła powaga z oczu, usta co dopiero boskie wydawały pieśni, ziemskim się uśmiechem przybrały, oblicze u Pallady pożyczone, zmienia się w lube dziecinne rysy, słowem ty i nie ty to byłaś, raz zdało się, że widzę Safo drugi raz...

Safo (gwałtownie)

Melita!

Faon.

Ach! przerażasz mnie. Któż ci powiedział że to ona? — wzruszoną jesteś — a ja...

(Safo daje mu znak aby się oddalił).

Jakto? mam się oddalić? słowo jeszcze jedno słowo niechaj ci powiem.

(Safo daje znak drugi raz.)

Faon.

Nie chcesz mię słuchać — mam odejść — idę. (odchodzi).

SCENA DRUGA.

Safo (sama).

(pauza). Pocisk rzucony! (uderzając się w piersi). O jak okropne męczarnie! Któż wątpić już może! Ona żyje w jego sercu. w jego myślach, sny nawet służą i pochlebiają zdrajcy. Safo wzgardzona dla niewolnicy. Nieba! Safo! Od Faona! Nie jaż to jestem, com królów u nóg moich widziała, igrając z koronami patrzyłam na dumnych, słuchałam i odrzucałam. Safo uwielbienie ludu greckiego! Niebaczna! czemuż zstąpiłam z gór laurem uwieńczona zkąd chóry muz nad gwiazdy się rozlegają, czemu zstąpiłam na ten padoł niewiary i występków. Tam było miejsce moje, tu grób tylko. Kto od bogów, bogom służyć wybrany, niech się z ziemianami nie wiąże. Los ludzki i nadziemski nigdy się w jedną czarę nie mieści. Jeden z obudwu światów musisz obrać, obrawszy. już się nie cofaj. Jedno ziarnko chwały skosztowane, równe jabłku Prozerpiny wiecznie cię do cieniów potępi i od żyjących oddzieli. Chociaż ci się miłość nawet i przyjaźń uśmiecha, stój nieszczęśliwy, chcesz róże zrywać a piersi cierniami kaleczysz. Chcę ją widzieć tę cudowną piękność co Safonę zwycięża, jedno dziecię z nieśmiałemi oczyma, którego usta dziecinność tylko zdradzają, które nic nie zna prócz bojaźni kary, żadnego jeszcze uczucia, prócz zabawek. Czy może uszły moim oczom jéj wdzięki? Melita... Chcę ją widzieć. Melita!...

SCENA TRZECIA.

Eucharis, Safo.

Eucharis.

Pani rozkazujesz?

Safo.

Melity żądałam. Gdzież ona jest?

E u c h a r i s.

Gdzie? w mieszkaniu swojem zapewne.

S a f o.

Szuka samotności. Cóż tam czyni?

E u c h a r i s.

Niewiem — ale dnia dzisiejszego dziwną mi się być zdaje. Rano była milcząca, zawsze we łzach, ale potém widziałam ją pięknie ubraną, i szła nad strumień, w ten lasek mirtowy.

S a f o.

Daléj, daléj.

E u c h a r i s.

Ciekawa co to znaczy, skryłam się za krzewy, i widziałam ją...

S a f o.

Z kim?

E u c h a r i s.

Z kim?

S a f o.

Daléj, daléj.

E u c h a r i s.

Tam zastałam ją w czystéj wodzie stojącą, suknie leżały na brzegu, niespodziewała się świadka i małemi rękoma myła spieszno twarz i szyję. Kiedy tak stała sama, Dyana wzięłaby ją za najmłodszą nimfę.

S a f o.

Chcę wiedzieć daléj, bez pochwał.

Eucharis.

Potém przybrała się, i wesoło śpiewając bieżała ku domowi, tak roztargniona, że nie czuła listków, które z boku na nią rzucałam. Przyszła do domu...

Safo.

Wołaj jéj do mnie.

Eucharis.

Melity?

Safo.

Tak jest. Melita słodkie, powabne imie. — Melita — Safo. — Idź, wołaj jéj. (Eucharis odchodzi).

SCENA CZWARTA.

Safo (sama).

(siada na darniu zamyślona oparta na ręku — pauza). Nie mogę, daremnie dumy przyzywałam, miłość staje w jéj miejscu. (zostaje w téjże postawie).

SCENA PIĄTA.

Melita, Safo.

(Melita skromnie, ale starannie ubrana, róże ma przy piersiach i w włosach, wchodząc, zatrzymuje się, ale gdy Safo nie rusza się z miejsca, przybliża się do niéj).
Jestem pani!

Safo.

(nagle się obracając zdziwiona). Ha! bogowie! piękna prawdziwie! (wspiera się na ręku zamyślona — pauza).

Melita.

Pani rozkazałaś mię wołać?

S a f o.

Ledwo gniew powściągnąć mogę. (głośno) Jakaż uroczystość kazała ci się tak ubrać?

M e l i t a.

Uroczystość?

S a f o.

Dla czego ten strój, te kwiaty?

M e l i t a.

Pani często mię napominałaś że sukien, któremi tak hojnie mnie obdarzasz nie noszę, że je na czas późniejszy, weselszy odkładam. Otóż to dziś właśnie ten dzień wesoły, dla tego przybrałam się nieco.

S a f o.

Wesoły dzień? nie wiem — dla czego?

M e l i t a.

Dla czego? Oto że pani wróciłaś, że dzisiaj... sama nie wiem, ale jestem wesołą.

S a f o.

Ha! obłudna!

M e l i t a.

Co! pani!

S a f o (miarkując się).

Zbliż się Melito, pragnę z tobą nieco pomówić, wiele ty masz lat?

M e l i t a.

Sama to wiesz pani, co się ze mną stało w dzieciństwie

żadna matka nie liczyła lat moich, ale myślę że mam szesnaście.

S a f o.

Kłamiesz.

M e l i t a.

Ja?

S a f o.

Mów prawdę.

M e l i t a.

Ja zawsze ją mówię.

S a f o.

Ledwie mieć możesz piętnaście.

M e l i t a.

Niechaj tak będzie.

S a f o (na stronie).

Tak młoda, a tak przebiegła w podejściu, nie, to być nie może. Natura nie może być tak fałszywą. Niepodobna, (głośno). Melito! Pamiętasz, kiedy cię przed trzynastu laty do mnie przyniesiono. Dzicy ludzie porwali cię, płakałaś i narzekałaś. Ulitowałam się, sierota bez matki i bez ojczyzny, wzruszyły mnie łzy twoje, dałam okup i w kwiecie młodych lat moich, przycisnęłam cię jak matka do serca. Chciano cię wziąść odemnie ale nie dałaś, trzymając się rąk moich, i tylko gdyś zasnęła, mogłam się uwolnić od ciebie. Pamiętasz ty to?

M e l i t a.

Jakżebym mogła zapomnieć?

S a f o.

A kiedy ciężka choroba jadem swoim cię otaczała, kto

trawił nocy bezsenne, czyje piersi były twojem posłaniem, kto sam walcząc ze śmiercią o łup ukochany, z troską i udręczeniem, zdołał cię przecie obronić?

Melita.

Safo to była. Cóż ja mam uboga, czegobym tobie nie była winną? (pada do nóg Safonie).

Safo.

Nie, nie, do serca mojego. Wiem ja, wiem, że ty z chęci, z woli twojéj nie możesz mię zasmucać. Serce przy sercu, oko w oko, równą prawdą, równem oddychamy uczuciem, zrozumijmy serca, ale nie słowa nasze.

Melita.

O Safo!

Safo.

Tak, ja się nie zwodzę, nieprawdaż?

Melita.

W czém?

Safo.

Jakbyś ty mogła, nie, to niepodobna.

Melita.

Co pani?

Safo.

Mogłabyś. — Idź zrzuć te prożne szaty, tak nie mogę cię widzieć. Ten strój obraża oczy moje... Skromny zawsze był ubiór Melity. Inne suknie mówię. Oddal się. — Stój, gdzie idziesz? zostań. — Patrz mi w oczy. Dla czego czoło ku ziemi? Lękasz się widoku mojego? Nie jesteś ty tak wstydliwą, kiedy Faon... Ha, rumienisz się!... Zdrajczyno! Sama siebie potępiasz. Nie słowa, lica twoje prawdę wydają

to jest blask zbrodniczych płomieni. Występna! to było przyczyną dziwnego zachowania się twojego przy uczcie, co ja nieśmiałością nazwałam, tak młoda, a tak chytra, tak kwitnąca a tyle jadu? Milczysz? Zbywa ci na słowach? Język kolący, nie umiesz syczeć? Odpowiadaj.

Melita.

Nie wiem pani co przez to rozumiesz?

Safo.

Nie wiesz? biedne dziecię — łzy — nie płacz. Łzy są tylko świętem prawem cierpiących, słowami odpowiadaj. Słowa już dawno świętość straciły! Ale nie używaj czczych wyra zów niewinności. Precz! te kwiaty! nie zakryją one ukrytego węża, zdejm tę różę.

Melita (milcząc zdejmuje wieniec).

Safo.

Mnie oddaj ten wieniec. Schowam go na upominek. A gdy liście prędko opadną, wspomnę na twoją wierność i moje szczęście. Czego żałujesz téj róży na piersiach, zdejm ją.

Melita (cofa się).

Safo.

Może znak miłości, precz z nią!

Melita (obiedwie ręce na piersiach kładąc, zakrywa różę).

Nigdy!

Safo.

Daremny opór, precz z tą różą.

Melita (kryjąc różę ucieka).

S a f o.

Ha! wężu, i ja umiem kaleczyć. (dobywa puginału). Precz z tą różą.

M e l i t a.

Bogowie! ratujcie! bogowie!

SCENA SZÓSTA.

Ciż sami. F a o n.

F a o n.

Kto woła? Ty Melito... Precz ze sztyletem. (pauza). Cóż to było? Ty Safo...

S a f o.

Jéj się pytaj.

F a o n.

Melito, miałażbyś?...

M e l i t a.

Jam winna, ja mówiłam to, co nieprzystoi niewolnicy.

S a f o.

Nie oskarżaj się fałszywie. Dość sama prawda ciąży na tobie. Biada mi! gdybym kiedyś potrzebowała twojéj wspaniałości. (tonem mocnym). Żądałam od niéj téj róży, nie chciała być posłuszną...

F a o n.

Nie chciała? dobrze uczyniła, nikt jéj tego kwiatu nie zdoła odebrać. Ja sam dałem jéj go w upominku że są jeszcze ludzie dzielący nieszczęścia drugich, była to kropla słodyczy do piołunu, który jéj obca duma do ust przytyka, dałem

jéj na zakład przekonania, że cichy umysł niewiasty najpiękniéj ją zdobi, że wieniec niewinności wyższą ma cenę nad dumne laury. Płacze! O nie płacz Melito! Czy i te łzy opłaciłaś wtenczas, gdyś ją wytargowała od zbójców? Jéj ciało jest twoim, pójdź uderz, ale żadnéj łzy nie wyciskaj. Łagodnie spoglądasz, żebrzesz litości, dla nielitościwéj. Ah! ty nie znasz jeszcze jéj dumy. Patrzaj czy nie błyszczy sztylet w jéj ręku? czy teraz nie jadem tchną jéj usta.

Safo (przerażona).

Faonie!

Faon.

O nie słuchaj słodkiego jéj głosu, pod sztylet cię wabi. I mnie nęciła i na mnie przymileniem, zmyślonem czuciem w swych pieśniach, z daleka ostrożnie zarzucała swe sidła. Omamiony, znużony nawet jéj podejściami, zmysłym utracił, i sam rzuciłem się do nóg jéj dumie. Twój wzrok dopiero wrócił mię sobie samemu, zadrżałem, rozpoznając powoli, że się w Medei domu znajduję i dopiero uczułem kajdany moje, nie ja, ale ona sama zdradziła czarodziejstwo swoje.

Safo (przerażona).

Faonie!

Faon.

Nie słuchaj! nie poglądaj na nią, jéj oczy tak jak ręce zabijać umieją.

Melita.

Ona płacze.

Faon.

Płacząc, nowe chce knować sidła.

Melita.

Mogęż ja patrzeć na jéj cierpienia?

F a o n.

I mnie mógłby wzruszyć jéj widok, dla tego uciekajmy. (ciągnie Melitę).

M e l i t a.

Nie mogę. Safo!

S a f o.

(wolnym głosem). Czy ty? Melito mnie wołasz?

M e l i t a (do nóg jéj się rzucając).

Ja to jestem, pani! oto róża, odbierz ją. Weź, weź życie moje. Gdzie jest twój sztylet?

F a o n.

(przybiegając, różę wydziera i podnosi Melitę).

Twoją jest, twoją, nikt ci jéj wydrzeć nie może. (ciągnąc Melitę). Precz, precz z jéj oczów! (odprowadza ją).

S a f o.

(ręce wyciągając). Faon!

AKT IV.

NOC.

SCENA PIERWSZA.

Safo.

(wchodzi zamyślona — staje — po pauzie).

Jestżem ja jeszcze? Jestże co jeszcze? Noc co mię ciemnością otacza, nocą jest tylko a nie grobem. Mówią że okrutna boleść zabija, a ja żyję jeszcze. Noc spokojna, milczą wiatry, smutno i cicho, pozwieszane gałązki, a płacz mój jak obcy, zbłąkany wędrowiec w noc się zapuszcza. Ktoby na ziemi mógł zasnąć na długo, na bardzo długo, bez przebudzenia, na łonie mocnego, słodkiego snu, gdzie wszystko, wszystko, puls nawet spoczywa, żadna jutrzenka do nocnych trosków nie obudzi, żaden niewdzięczny — ktoby mógł tak zasnąć. Stój myśli, nie następuj węża. (stłumionym głosem) Zabójstwo jest zbrodnią okropną. — Ale jest zbrodnia, obok której zabójstwo niewinnością jest nawet, niewdzięczność, ona wszystkie zbrodnie zastąpi! kłamie, łudzi, wydziera, krzywoprzysięga, zdradza i zabija. Niewdzięczność! niewdzięczność! Brońcie mnie bogowie! brońcie przeciw mnie samej. Czarne myśli mię otaczają. Jego, jego wyżebrałam sobie u bogów, chciałam go wynieść nad wszystko, nad grób, nad śmiertelność, na skrzydłach sławy chciałam go przenieść w krainy potomności. Wszyst-

kiem czém jestem, co mogę i zdołam, chciałam go razem uwieńczyć. Łagodne słowo tylko żądałam otrzymać w nagrodę. O bogowie żyjecież wy jeszcze? (jakby nagłą myślą uderzona) Tak wy żyjecie! od was ta myśl! o bogów posłańcze! niech pojmę, zachowam głos twój. Do Chios niech Melita popłynie, do Chios, tam oderwana od zdrajcy, niechaj się cała w boleść zamieni, niech zdradę udręczeniem opłaca. Dzięki wam bogowie za tę myśl. — Spieszę, wykonam. Rhamnes!

SCENA DRUGA.

Rhamnes, Safo.

Rhamnes.

Co rozkażesz pani?

Safo.

Ona jest moim dziełem, czémby była bezemnie? Tak, ale jeżeli do Chios miłość z nią popłynie niewolnica przy trzodzie czyź mniéj będzie szczęśliwą odemnie w złotym gmachu? Ach, jéj szczęście za wysoko jest dla rąk moich. Bogowie! oddalcie mnie za odległe morza, na bezludną skałę, chmurom i falom tylko dostępną, wszystko co żyje oddalcie odemnie, ale wymażcie ostatnie chwile z mojéj pamięci. Dajcie mi wieczną wiarę w miłość jego a wielbić będę losy moje, wesoła osiądę pustynie, przy każdem udręczeniu, niechaj sobie powiadam, gdyby on to wiedział! On myśli o mnie! onby mnie ratował. Ach tą myślą każdą bym ranę zgoiła.

Rhamnes.

Pani! wołałaś mnie!

Safo.

O Faonie! cóżem ci uczyniła! Przy lutni otoczona marzeniami mojemi, patrzyłam spokojnie na ziemię, któréj troski

nie dochodziły do mnie. Z pieśni powstawało, do pieśni wracało czucie moje, tak mi kwitnęła swoboda, a teraz okrutnik zdarł mi zasłonę, uszedł i zostawił mię w pustyni świata!

Rhamnes.

Pani! tak późno w nocy, nad wilgotnym brzegiem morza!

Safo.

Znasz ty czarniejszą zbrodnię nad niewdzięczność?

Rhamnes.

Ach! nie.

Safo.

Okrutniejszą?

Rhamnes.

Nie, prawdziwie nie.

Safo.

Godniejszą przekleństwa i kary.

Rhamnes.

O! wszystkie kary niech na nią spadają.

Safo.

Nieprawdaż? Lwy, tygrysy, hyeny, są wszystkie występki, ale niewdzięczność, jest to wąż, nie tak że piękny, gładki, ubarwiony, a jadowity — ah!

Rhamnes.

Wejdź pani, zdrowszą się uczujesz. Dom twój już świetnie przybrany. Faon cię czeka.

Safo.

Faon mię czeka?

R h a m n e s.

Tak pani! widziałem go, chodził zamyślony, niespokojny, mówił cicho do siebie... stał przy oknie.

S a f o.

Czeka na mnie mówisz. Rhamnesie na mnie czekał?

R h a m n e s.

Na kogożby pani?

S a f o.

Na kogo? na kogo? Nie na mnie. — Ale daremnie czeka. — Słuchaj.

R h a m n e s.

Pani!

S a f o.

Wiesz że w Chios mieszka jeszcze przyjaciel mojego ojca.

R h a m n e s.

Tak, wiem.

S a f o.

Odwiąż coprędzéj najbliższą łódkę przy brzegu, jeszcze téj nocy do Chios popłyniesz.

R h a m n e s.

Sam?

S a f o.

Nie. (pauza).

R h a m n e s.

Któż ma być ze mną?

Safo.

Co mówisz?

Rhamnes.

Kto ze mną popłynie?

Safo (prowadząc go na drugą stronę sceny).

Pójdź! milczenie i ostrożność—rozumiesz? Idź, przywołaj Melitę do mnie... ale... cicho, żeby on nie słyszał.

Kto?

Safo.

Kto? Faon, gdy wyjdzie... (zatrzymuje się).

Rhamnes.

Cóż pani?

Safo.

Poprowadź ją łagodnie czy przemocą do przygotowanéj łodzi i płyń natychmiast spieszno do Chios.

Rhamnes.

I tam?

Safo.

Tam oddasz ją gościnności wiadomego domu, niechaj jéj strzegą, aż jéj zażądam. Niech z nią surowo nie postępują. Dosyć ma kary, rozumiesz?

Rhamnes.

Spieszę.

Safo.

Nie trać chwili.

R h a m n e s.

Rano już tam będziemy. Zaufaj pani słudze wiernemu.

(Odchodzi).

SCENA TRZECIA.

S a f o (sama).

Idzie — jeszcze — Ach przyzwyczajenie, przywiązuje do znienawidzonéj nawet istoty. (zamyślona) Idą — nie, to wiatr. — O jakże bije mi serce! Idzie chętnie, nie przeczuwa, że raz ostatni. Uchodźmy, nie chcę — nie mogę jéj widzieć.

(spieszno odchodzi).

SCENA CZWARTA.

M e l i t a, R h a m n e s.

M e l i t a.

Tu miała być pani nasza, mówiłeś? Nie widzę jéj.

R h a m n e s (oglądając się).

Nie! prawdziwie niemasz jéj. — Dopiero tu była. Więc pójdź za mną.

M e l i t a.

Gdzie?

R h a m n e s.

Zapewne wyszła tam na brzeg morza.

M e l i t a.

Tam ona nigdy nie chodzi.

R h a m n e s.

Ale może dzisiaj.

M e l i t a.

Czemużby dzisiaj?

R h a m n e s.

Czemu? tak — ponieważ — sama mi o tém mówiła. (Co jéj mam powiedzieć?)

M e l i t a.

Co tobie? Mówisz ale oczy nie śmią potwierdzać słów twoich. Czemu tak jesteś niespokojny? Powiedz mi gdzie Safo, muszę iść gdy mnie woła a jeżeli nie wiesz, ja jéj sama poszukam.

R h a m n e s.

Czekaj! nie możesz odejść.

M e l i t a.

Czemu?

R h a m n e s.

Musisz iść ze mną.

M e l i t a.

Gdzie?

R h a m n e s.

Do... Ale pójdź tylko do brzegu, dowiesz się.

M e l i t a.

Bogowie! co to ma znaczyć?

R h a m n e s.

Pójdź lube dziecię, północ wnet minie, czas nagli, pospieszmy.

M e l i t a.

Cóż to jest, mam się oddalić na odległe brzegi?

Rhamnes.

Bądź spokojną, albo to Chios tak daleko?

Melita.

Tam? — Nigdy.

Rhamnes.

Musisz, tak każe pani twoja.

Melita.

Safo?

Rhamnes.

Spiesz się, spiesz.

Melita.

Nie, pójdę do niéj.

Rhamnes.

Nie możesz.

Melita.

Do nóg upadnę, wysłucha mię przecie. —

Rhamnes.

Nie możesz, na krok.

Melita.

Co? ty Rhamnesie!

Rhamnes.

Nie mogę inaczéj, pełnię rozkaz méj pani.

Melita.

Daj się ubłagać.

Rhamnes.

Cóż ci pomoże. Chociaż widzisz łzy w moich oczach muszę być posłusznym. Spiesz się dziecię, spiesz.

Melita.

Widzisz mię u nóg twoich, miéj litość! A więc nikt mnie nie słyszy, nikt mnie nie obroni?

Rhamnes.

Nadaremnie przebudzisz wszystkich. Pójdź za mną.

Melita.

Nie, nigdy. Któż się nademną zlituje?

SCENA PIĄTA.

Ciż sami. Faon.

Faon.

To głos Melity — ha zuchwały — śmiesz na nią rękę podnieść?

Rhamnes (puszcza Melitę).

Faon.

Niepłonne były moje przeczucia. Niespełniłeś twojéj ofiary. Teraz drżyj!

Rhamnes.

Pełniłem tylko wolę pani mojéj.

Faon.

Ona ci to rozkazała? O Safo, Safo! poznaję cię teraz. Czas jeszcze zerwać węzły, które nas łączą. — Tak się stanie.

Ty zbyt skory wykonawco cudzéj złości, dla czego? — Melito ty zbladłaś? drżysz?

Melita.

Ah! nie!

Faon.

Dziękuj bogom, że jéj najmniejszéj krzywdy nie wyrządziłeś. Każdą jéj łzę śmiertelnym byś płacił oddechem. Zmordowana jesteś, spocznij Melito. Już jesteś bezpieczną. Tu spojrzyj okrutny, taką istotę chciałeś krzywdzić?

Rhamnes.

Nie panie!

Faon.

A cóż?

Rhamnes.

Tylko — ale daruj, co chciałem dopełnić, teraz nie mogę, więc dozwól niech się oddalę.

Faon (puszczając Melitę).

Na Bogów! muszę wiedzieć miarę ich przestępstwa. — Co miałeś?

Rhamnes.

Miałem się z nią oddalić.

Faon.

Gdzie?

Rhamnes.

Nie mogę wyjawić.

Faon.

Nie wyznasz?

Rhamnes.

Muszę być posłusznym, nie zdradzę tajemnicy.

Faon.

Więc to żelazo niech ją odkryje. Ha, Safo sama podałaś mi broń na siebie (wyciągając puginał) nie ukrywaj dłużéj!

Melita.

Faonie! pamiętaj na Bogi! Do Chios miałam popłynąć.

Faon.

Do Chios?

Melita.

Tak jest, tam mieszka przyjaciel Safony, do niego miałam się udać.

Faon.

Tam za morze?

Melita.

Łódką przywiązaną do brzegu.

Faon.

Łódką?

Melita.

Tak jest. (do Rhamnesa) Nie także Ojcze mówiłeś?

Rhamnes.

Nie nazywaj mnie ojcem, niewdzięczna, co panią twoją chcesz zdradzać.

Faon.

Łódką?

Melita (do Rhamnesa).

Cóż ja złego uczyniłam?

Faon.

Łódką? Tak, dobrze, od was Bogowie ta myśl przychodzi. Sami wskazujecie mi drogę. — Tak Melito, popłyniesz do Chios, ale nie sama, ze mną. Opuść tę nieprzyjazną ziemię, gdzie wszędzie zazdrość, nienawiść i zemsta cię sciga! - Ze mną, ze mną Melito! Spiesz się! (bierze ją).

Melita (do Rhamnesa).

Rhamnes!

Rhamnes.

Panie! zastanów się!

Faon.

Pamiętaj co sam czynić miałeś, że w moim jesteś ręku. (do Melity). Pójdź!

Rhamnes.

Mieszkańcy téj wyspy, przywiązani do Safony, na jedno jéj skinienie gotowi się wziąść do broni, słowo wyrzeknę, a wnet tysiąc oręży...

Faon.

Słusznie mówisz, prawie byłbym zapomniał w czyich się ręku znajduję. Ty pójdziesz z nami.

Rhamnes.

Ja panie?

Faon.

Tak ty, ale tylko do brzegu. Nie zazdroszczę Safonie takich służalców. Gdy staniemy na miejscu, możesz powrócić i opowiedzieć twéj pani.

Rhamnes.

Nie, nigdy!

Faon.

Posłuszeństwo.

Rhąmnes (odwracając się ku domowi).

Spieszcie! ratujcie! kto słyszy!

Faon (zastępując mu drogę i wznosząc puginał).

Nędzny!

Melita.

Stój!

Faon.

Posłuszeństwa żądam.

Rhamnes (uchodząc w przeciwną stronę).

O wieku nieużyty! czemu żeś mi siły, a nie chęci odebrał.

Faon (do Melity).

Teraz pójdź!

Melita.

Gdzie?

Faon.

Do łodzi.

Melita (uciekając od niego naprzód).

Bogowie! mogłażbym?...

Faon.

Pójdź! spokojne morze wzywa nas! Tam na tamtych brzegach mieszka pokój i bezpieczeństwo (chwytając ją) ty drżysz?

Bądź spokojną na ręku kochanka twojego. Na ręku moim, na koniec świata zdołam cię unieść.

Melita.

O Faonie!

Faon.

Spiesz, gwiazdy, morze i wiatr, wszystko nam sprzyja, (do Rhamnesa) prowadź nas.

Rhamnes.

Panie!

Faon.

Lękaj się śmierci. (wszyscy wychodzą).

SCENA SZÓSTA.

(Pauza). Eucharis (pokazuje się na wschodach).

Eucharis.

Rhamnes! (schodz) zdało mi się głos jakiś słyszeć. Nie, niemasz nikogo. Och! jakiś zły duch panuje w całym domu. Od czasu jak Safo wróciła, wszyscy się unikają. Na czole każdego widać smutek i podejrzenie. Szukałam Melity, nie zastałam jéj na posłaniu. A pani przechadza się samotnie po nocy. Ah żeby jak najprędzéj dzień się zrobił. Cóż to jest?

Rhamnes (z głębi).

Na pomoc! na pomoc!

Eucharis.

To głos Rhamnesa.

Rhamnes (bliżéj).

Przybywajcie!

Eucharis.

Bez tchu jest prawie. Rhamnes, cóż to ma znaczyć?

SCENA SIÓDMA.

Rhamnes (spieszno). Eucharis.

Rhamnes.

Wstawajcie! wstawajcie wszyscy — gońcie! — Na pomoc!

Eucharis.

Powiedz przecie.

Rhamnes.

Wołaj pani, i wszystkich sług.

Eucharis.

Po co?

Rhamnes.

Nie czas mówić, spiesz.

Eucharis (spiesząc na wschody).

Bogowie! ratujcie nas!

Rhamnes.

Już nie mam siły. Ha zdrajcy nie cieszcie się. Morscy Bogowie brzydzą się występnemi. (powoli więcéj sług przybywa). Spieszcie na brzeg, wołajcie mieszkańców, ścigajcie! nie pytajcie! gońcie tylko.

SCENA ÓSMA.

Ciż sami. Safo.

Safo.

Cóż to jest? zkąd to narzekanie?

Rhamnes.

Och! pani, ja to jestem.

Safo.

Ty tu Rhamnesie? gdzie jest Melita?

Rhamnes.

Nie masz jéj, uciekła z Fa....

Safo.

Stój!

Rhamnes.

Z Faonem uciekła.

Safo.

Nie.

Rhamnes.

Tak jest. Zwyciężył słabego starca, w téj saméj łodzi przezemnie przygotowanéj, uprowadza swoją zdobycz.

Safo.

Kłamiesz!

Rhamnes.

O gdyby tak być mogło.

Safo.

I gdzież wasze pioruny Bogowie? Tylkoż na mnie macie pociski. Już-że zemsta i słuch i ramię straciła! Tu, tu zgromadźcie pioruny wasze na głowy zdrajców. Zniszczcie ich jak mnie niszczycie. Nadaremnie. Safo, nie masz Bogów, sama bądź sobie pomocą. (powoli zapełniają scenę wieśniacy i niewolnicy z pochodniami). Ha! oto ludzie! dzięki wam, dzięki wy litościwi! Wy sprawcie to, co nie chcą przyjaciele, spieszcie za niemi, pomnijcie, że każda chwila oczekiwania nowym mię sztyletem zabija. Kto mi ją przyprowadzi, kto mi tę rozkosz sprawi, bym się jéj zapytała: „com tobie winna?“ (zalewając się łzami). Za co mię zabijasz? Nie, wściekłość tylko i zemsta — kto mi ich przyprowadzi, niech odbierze skarby moje — życie — spieszcie, spieszcie!

Wieśniak.

Z niemi tylko wrócimy. (odchodzą).

Safo.

(do odchodzących). Dziękuję wam! w waszych rękach jest życie moje. Moją zemstą uzbrojeni, ścigajcie! zaklinam na wszystkie bogi! — (słudzy i wieśniacy odchodzą). Odeszli — Teraz oddycham. — Niech spocznę.

Eucharis.

Drżysz pani!

Rhamnes.

Pani! miéj litość nad sobą.

E u c h a r i s (chwiejącą Safonę wstrzymując).

Bogowie!

S a f o (na ręku Eucharis).

O śmierci! gdzież jesteś!

AKT V.

(ZACZYNA DNIEĆ).

SCENA PIERWSZA.

Safo, Eucharis, Niewolnice.

Safo siedzi oparta na darniu, nieporuszona w ziemię patrząc, w niejakiem oddaleniu stoi Eucharis, w głębi więcéj niewolnic, Rhamnes wchodzi.

Eucharis (kładąc palce na usta).

Cicho! cicho!

Rhamnes.

Czy śpi?

Eucharis.

Jéj ciało czuwa, ale duch spać się zdaje. Już od trzech godzin widzę ją w tym stanie.

Rhamnes.

Przecież trzeba było do domu...

Eucharis.

Mówiłam, nie chce się oddalić. — Nic nowego jeszcze?

Rhamnes.

Nic jeszcze. Na całym morzu żadnego śladu łodzi.

Safo (porywając się).

Łodzi, gdzie?

Rhamnes.

Pani, jeszcześmy nic nie widzieli

Safo (kryjąc twarz w ręce).

Nic jeszcze.

Rhamnes.

Poranek zbyt zimny, dozwól pani...

Safo (milcząc nie pozwala).

Rhamnes.

Daj się uprosić pani — wejdź do domu.

Safo (czyni znak powtórny).

Rhamnes (odstępując).

Ach! jéj widok przeraża mnie!

Eucharis.

Widzisz? Jak się lud gromadzi?

Rhamnes.

Zobaczmy.

Eucharis.

Idą do brzegu, tu przybywają.

Safo (nagle wstając).

Ha! (podczas słów następujących stoi niecierpliwie słuchając).

E u c h a r i s.

Tam wejdź na skałę, może zobaczysz.

R h a m n e s.

Pójdę. (wstępuje na skały).

E u c h a r i s.

Prędzéj, prędzéj, widzisz co?

R h a m n e s.

Dzięki Bogom, idą, idą.

S a f o.

Ach!

R h a m n e s.

Brzeg zarosły krzewem, dotąd ich oczom mojem zakrywał. Mnóstwo czółen pospiesza do brzegu.

E u c h a r i s.

A oni są-ż między niemi?

R h a m n e s.

Przy blasku słońca nie mogę rozpoznać. Ale otóż już spieszą z wiadomością. Pasterz biegnie, daje znak laską, zapewne są schwytani, tu przyjacielu, tu przybywaj. (zstępuje ze skały).

E u c h a r i s.

Pani, bądź już spokojną.

SCENA DRUGA.

Ciż sami. Wieśniak.

Wieśniak.

Witaj pani.

Eucharis.

Jakże? prowadzą ich?

Wieśniak.

Tak jest.

Rhamnes.

Gdzie?

Eucharis.

Jak?

Wieśniak.

Daleko już byli. Faon zręcznie żegluje. Ale przecież spostrzegliśmy ich łódkę, pospieszamy i otaczamy go. Kazaliśmy odwrócić, nie chciał, w jednéj ręce Melitę, w drugiéj trzymał żelazo, ale uderzenie rudlem skrwawiło skronie Melity.

Safo (zakrywa oczy).

Wieśniak.

Upadła, wziął ją na ręce, my korzystając z chwili, porywamy go i prowadziemy. Już wysiadają oboje, widzicie.

Safo.

Ha, precz ztąd.

Rhamnes.

Już idą.

Safo.

Któż mnie obroni od ich widoku? Uciekajmy, broń mię bogini. (spieszy w głąb teatru, obejmuje ołtarz, służące obok niéj).

SCENA TRZECIA.

Faon prowadzi Melitę, Wieśniacy, Safo w głębi ze Służącemi.

Faon.

Precz, niech się nikt dotknąć nie waży. Broń tylko ale nie siły straciłem. Ta ręka dla jéj obrony Alcyda siły nabierze. Tu Melito, tu! nie drżyj! dopóki ja oddycham, tyś jest bezpieczną. Wy mężowie! wyście śmieli ranić niewinność! Tak okrutną tylko jedna wzgardzona niewiasta być mogła. Jakże ci jest Melito?

Melita.

Dobrze.

Faon.

Ach! twoja postać inaczéj świadczy, ta bladość, to drżenie, zdradza pierwsze kłamstwo z ust twoich. Nadaremnie starasz się gniew mój przytłumić, westchnienie twoje podnieca go tylko. Tu spocznij. Tu cię pierwszy raz poznałem, tu niech miłość dokona dzieła swojego. (do ludzi). Gdzie jest Safo?

Melita.

Ach nie wołaj jéj.

Faon,

Bądź spokojną. Alboż nie jestem wolny! kto jéj dał prawo mojéj się woli sprzeciwiać. Są jeszcze sądy w Grecyi. Niech zadrży dumna niewiasta. Gdzie jest Safo?

Wieśniak.

Tu zostaniesz.

F a o n.

Kto mnie zatrzyma?

W i e ś n i a k.

My wszyscy.

F a o n.

Jestem wolny.

W i e ś n i a k.

Byłeś nim, winny nigdy nie jest wolnym, obrażona gościnność zemsty wzywa.

F a o n.

Czyż wy mężowie zemście jednéj niewiasty tak cierpliwie służycie. Mnie sprzyjajcie, mnie krzywdę wyrządzono.

W i e ś n i a k.

Safo niech sądzi.

F a o n.

Starcze! i ty nie rumienisz się, tak mówiąc? Któż to jest Safo, któréj wolą i gniew chcesz nazywać prawem? Ta kże was wszystkich usidliła? Pójdę, doświadczę jéj mocy.

W i e ś n i a k.

Precz!

F a o n.

Muszę ją widzieć. Safo! gdzie jesteś. Lękasz się, drżysz przedemną? Ha tam przy ołtarzu niewolnicami otoczona. Do mnie (przeciska się przez lud, niewolnice odstępują na strony, Safo uchylona na stopniach ołtarza).

W i e ś n i a k.

Nieszczęsny! jak śmiesz....

F a o n.

Co chcesz czynić, przy Bogów ołtarzu! Niebo nie słucha

modłów o zemstę. Wstań (porywa Safonę — ona nie patrząc na niego spiesznym krokiem postępuje naprzód sceny).

Faon (za nią idąc).

Unikasz mnie? Musisz odpowiedzieć. Drżysz? Słusznie. Wiesz coś uczyniła. Jakiém prawem śmiałaś mnie wolnego obywatela pogonią i więzieniem znieważać. Czy ty wysłałaś po mnie tych zbrojnych ludzi? Odpowiadaj. Cóż to, oniemiała słodka mowa poety?

Safo.

To nadto!

Faon.

Gniewem rozogniły się lica. Tak zrzuć maskę, bądź czém jesteś.

Safo.

To nadto! uzbrój się serce moje!

Faon.

Odpowiadaj! czy ty wysłałaś tych ludzi?

Safo (do Rhamnesa).

Idź, przyprowadź moją niewolnicę, jéj tylko szukać kazałam.

Faon.

Precz, niech się nikt do niéj nie zbliża. Powiedz jaki jéj okup. Rodzice i przyjaciele pomogą mi wykupić szczęście moje od twéj chciwości.

Safo (wciąż odwrócona).

Chcę zatrzymać co jest moje. Melita zostanie.

Faon.

Nie zostanie, przysięgam na Bogi. Sama utraciłaś prawo do niéj, mierząc w jéj łono zbójczym żelazem. Jéj usługi, ale nie życie zapłaciłaś. Jeszcze raz, wiele żądasz okupu?

Safo (do Rhamnesa).

Spełnij mój rozkaz.

Faon.

Precz! Śmierć gdy się jéj dotkniesz! Także już serce twoje wyzute z ludzkości, że się niczém nie wzruszy? Roztrąć lutnię niech usta twoje zamilkną w pieniach, nie znieważaj boskiéj sztuki. Kwiatem jest ona, który promieniem niebios rozwinięty ku niebu się podnosi, pod niebo wonie swoje rozszerza; ty użyłaś jéj jako powabnéj trucizny. Niebaczny jakże inaczéj wystawiam cię sobie, w pięknych dniach mojéj młodości. Łagodnym zdawał mi się twój umysł, jak pieśni twoje i serce czyste jak twój głos. Jakaż cię Cyrce dziś przemieniła! Nie odwracaj oczu odemnie! Niech widzę ten wzrok, niech poznam czy to te same usta, których mojemi dotykałem, czy to te oczy tak łagodnie się uśmiechające, czy to ta sama jest Safo? (odwraca ją ku sobie. Safo spogląda na niego, ich spojrzenia spotkały się z sobą).

Safo (z boleścią).

Biada mnie!

Faon.

Tak to ty jesteś, to był głos Safony. Co mówiłem niech to wiatry rozniosą, niech nic z tego w sercu mojém nie zostanie. Jak po burzy okropnéj, czuję mój umysł spokojny, i jak było niegdyś wypogodzony. Poznaję cię znowu, tém mi znowu jesteś czém niegdyś byłaś, kiedy szczęśliwy na mojéj zagrodzie jeszcze cię nie widziałem, widzę ten sam boski obraz, który ludzkim być tylko sądziłem. Okaż się boginią, Safo przebacz i pobłogosław.

Safo.

Występny!

Faon.

Nie, zaprawdę nie jestem nim. Nie zwodziłem cię, kiedy ci miłość przysięgałem. Kochałem cię, jak kochamy wszystko co dobre i piękne. Ale tobie Safo z wyższemi tylko łączyć się przystoi. Nikt bezkarnie od mieszkania Bogów nie zstąpił

między śmiertelnych. Ręka na złotéj lutni oparta, poświęcona jest, niech się nie dotyka tego, co jéj nie godne.

Safo (odwrócona do siebie),

Precz złota lutni w przepaści morskie, jeśli tak drogą jesteś.

Faon.

Błędny! walcząc sam z sobą, daremnie przywoływałem do serca dawne uczucia, w które we śnie tylko wierzyłem, a które w istocie nie były. Stanąłem przed tobą, a niepojęty twój obraz, równie mię silnie przynęcał, jak odwodził od ciebie, w gniewie za małą cię sądziłem dla gniewu mojego — w zastanowieniu się, widzę cię za wysoką na miłość moję. Tylko równi sobie łączą się łatwo i szczęśliwie. Nakoniec ujrzałem cię i poznałem kto dla mnie, dla kogo ja stworzony jestem. Pójdź Melito! pójdź, Pani twoja łagodną jest i dobrą. Okaż jéj wzrok twój, niech pozna dzieło swoje, twoją niewinność i cnotę.

Melita (z bojaźnią przystępując).

Pani!

Safo (zatrzymując ją).

Precz odemnie!

Melita.

Och!

Faon.

Więc tak jest istotnie jak o niéj sądzić nie ważyłem się Do mnie Melito! do mnie! Nie błagaj o łaskę w moich oczach, nie obrazi ciebie jéj duma, nie zniży się twoja niewinność. Nie zna ona ciebie ani siebie, inaczéj samaby się unižyć powinna. Do mnie Melito, do mnie!

Melita.

Nie, niechaj przed nią na kolanach zostanę jak dziecięciu przed matką przystoi, niech mnie karze, jeśli widzi potrzebę, jéj woli zawsze będę posłuszna.

Faon.

Nie do niéj, tylko do mnie także należysz. Ta pokora mnie poniża. Nad prośby są prędsze i sposobniejsze środki.

Melita.

Nie, ja wszystko z jéj łaski mieć pragnę. Największe szczęście na niéj wymuszone, byłoby dla mnie niedolą. Tak, na kolanach zostanę, dopóki wzrok, słowo łagodne przebaczenia nie powie. Na tém samem miejscu często cię błagałam i zawsze odeszłam wesoła, ach! i teraz puścisz-że mnie ze łzami od ciebie? Pani! błagam twojéj dobroci!

Safo.

(stoi, głowę mając wspartą na Eucharis).

Faon.

Możesz-że słysząc ją — być zimną i milczeć?

Melita.

Ach nie! jéj usta milczą, ale serce mówi do mnie. Safo! bądź sędzią między nim a mną. Każ mi iść za nim, pójdę, rozkaż uciekać od niego a wszystko, — wszystko... Bogowie! Ty drżysz pani, nie słuchasz mię!

Faon (trzymając Melitę i klęcząc razem).

Miłość ludziom, bogom pokora należy. Oddaj co nasze odbierz co twoje. Pomnij kto jesteś i co czynisz?

Safo.

porywa się przy ostatnich słowach, rzuca wzrok na klęczących, odwraca się i spieszno odchodzi, niewolnice z Eucharis za nią).

Melita.

O ja nieszczęśliwa!

SCENA CZWARTA.

Ciż sami prócz Safo, Eucharis i Niewolnice.

Faon.

Wstań, nie błagaj ludzi, są jeszcze Bogowie!

Melita.

Nie, ja żyć nie mogę w jéj gniewie, ja com w jéj oczach wszystkie moje postępki badała, teraz przewinienie tylko wyczytuję. Cóż ona teraz nie cierpi!

Faon.

Nie sądź o niéj według siebie. — Inne uczucia to dumne serce zajmują.

Melita.

Chociaż się dumną wydaje, dla mnie zawsze dobrą była, chociaż surowa, ale zawsze w dobrych zamiarach, dla mojéj korzyści. Biada mi! gdybym to kiedy zapomnieć miała.

Rhamnes.

Tak, biada ci, gdybyś to uczyniła!

Faon.

Czegoż drżycie, gdy tak ją łagodną wystawiacie?

Rhamnes.

W gniewie odeszła, a jéj gniew tak jak miłość jest bez granic. Przeto drżyjcie...

F a o n.

Cóż ona uczynić może?...

R h a m n e s.

Śmiercią ukarać niewierną niewolnicę.

F a o n.

Kto to mówił?

R h a m n e s.

Prawa krajowe.

F a o n.

Ja ją obronię.

R h a m n e s.

Ty? A któż ciebie obroni?

F a o n.

Gdyby mnie ta ziemia pochłonąć i to morze porwać miało, jeszcze w jéj bronieniu nie stracę odwagi.

R h a m n e s.

Któż to ty jesteś, abyś słowo twoje kładł na wagę z sądem całéj Grecyi? Któż to ty jesteś, co śmiesz sam jeden Safonę znieważać. Zuchwały ty nie znasz jéj wartości bo zamały jesteś, abyś ją ocenić był w stanie. Że cię kochala. że z prochu niewdzięcznego węża podniosła, który teraz szarpie serce téj, w któréj sama zazdrość innéj nie wynajdzie skazy, nad tę chyba, że niegodnemu wszystko poświęciła! Zamilknij, sama ta wyniosłość z którą teraz przeciw niéj mówisz nie jest twoją. — Safo ją w ciebie wpoiła. Gdybyś dotąd w stanie twojéj nikczemności pozostał, śmiałżebyś mówić przeciw téj, którą Grecya uwielbia?

F a o n.

Nie przeczę jéj chwały.

R h a m n e s.

Nie możesz. Na gwiazdach zapisane jéj imie z gwiazdami tylko zagaśnie. W odległych czasach, na dalekich ziemiach, między obcym ludem, gdy nas i nasze groby wiatry rozwieją, jéj pienia z ust do ust przechodzić będą, żyć będzie jej imię i twoje. Tak i twoje. — Bądź dumny nieśmiertelnością, którą ci zbrodnia zapewnia. W przyszłych wiekach po setnych pokoleniach, które czas jeszcze do grobu powtrąca każde usta powiedzą; Safo śpiewała te pienia, Faon był, który ją zabił.

M e l i t a.

Faonie!

F a o n.

Bądź spokojną.

R h a m n e s.

Nędzny cieszycielu. Głosem zatrwożonym doradzasz spokojność. Niech drży i zna swój występek, przynajmniéj takiéj zemsty nie wydrzesz Safonie. Ty nie przeczysz jéj chwały w pieniach. A któréj-że możesz jéj odmawiać? Możesz-że wątpić o jéj sercu? ty, który czém tylko jesteś, jéj sercu winieneś. Spojrzyj w około, nie masz tu nikogo, coby jéj dobrodziejstw nie wielbił, ktoby o jéj cnotach w domu, przy pracy i przy zabawach nie rozprawiał, nie masz serca któreby nie biło, na wspomnienie, że jest Metyleny obywatelem, ziomkiem Safony. Pytaj się téj drżącéj wspólnicy twojéj co winna swéj pani. Czém-że by cię niewolnica zająć mogła, jeżeli nie tém, czém ją Safo uczyniła! jeżeli nie temi przymioty, które w nią z siebie przelała. Żałuj, żałuj i rozpaczaj! Co poczniesz? gdzie pójdziesz? Nie masz na ziemi schronienia dla ciebie. Niewdzięcznego każdy jest nieprzyjacielem. Gdziekolwiek się schronisz, poprzedzać cię będzie rozgłos i obwieszczać

ludziom: oto morderca Safony! wyzuty z praw, będziesz błądził po krainach z tą, którą zgubisz obroną twoją. Każdy Grek zamknie drzwi gościnne przed tobą. Każdy bóg wzbroni ci wstępu do świątyni swojéj, drżący uciekać będziesz od ofiarnych ołtarzy, gdy kapłan winnych wywoływać będzie, a gdzie się schronisz, czarna z pod ziemi posłanka zemsty, trząść będzie węże nad tobą i wrażać w uszy imię Safony, dopoki cię grób nie pochłonie, który sam wyryłeś.

Melita.

Stój, stój!

Faon.

Stój, mamże zmysły utracić?

Rhamnes.

Utraciłeś je znieważając Safonę. Sytym bądź teraz dzieła swojego.

Melita.

Spieszmy do niéj.

Faon.

Bogowie! wspierajcie mnie!

SCENA PIĄTA.

Ciż sami. Eucharis.

Eucharis.

Czy ty tu jesteś Rhamnesie? spiesz.

Rhamnes.

Gdzie?

Eucharis.

Do Safony, lękam się o nią.

Rhamnes.

Niestety!

Eucharis.

Szłam za nią do podwojów i ukryta śledziłam bacznie co czyni. Tam stała na kolumnie oparta, wpatrując się jak rozległe morze obija się o brzeg skalisty. Milcząc, niewzruszona, tam wysoko stanęła, zbladła, z otwartemi oczyma, równa marmurowym posągom. Czasem tylko zrywała kwiaty i klejnoty z szat swoich, a rzucając je w morze, pilnie za lecącemi patrzyła. Już chciałam się zbliżyć, gdy w tém o ściany rozległ się dźwięk, który słysząc, zadrżała. Była to złota lutnia, zawieszona na kolumnie po której strunach wiatry igrały niezgodny dźwięk morzu podając. Ciężko odetchnąwszy jak od bogów natchniona powstała, rzuciła oczy na lutnię i nagle na śmiertelnych rysach jéj twarzy pogodny się uśmiech rozjaśnił. W tém ozwał się głos Safony, głos niepodobny do dawnych jéj pieśni: „Mnie wzywasz towarzyszko, mnie napominasz.“ „Rozumiem cię, rozumiem. Na upłynione czasy baczną mnie czynisz. Dzięki ci.“ Jak potém dostąpiła do kolumny, jak zdjęła lutnię wysoko zawieszoną nie wiem, bo na to zadrżałam jakby piorunem przestraszona. — Ale późniéj widzę ją trzymającą lutnię u piersi bijących. Wnet bierze zwycięzki Olimpijski wieniec na ołtarzu wiszący, przybiera nim czoło i płaszcz purpurowy na ramiona zarzuca. Ktoby ją wtenczas pierwszy raz widział jak stała na wysokich stopniach ołtarza, z lutnią w ręku, z czołem wzniesionem ku niebu, jaśniejącą nadludzkiem spojrzeniem, wtenczas by ją zapewne jako niebiankę pozdrowił i do modłów kolano zniżył. Ale gdym ją w téj postawie milczącą i nieporuszoną widziała, uczułam przestrach i żal boleśny. Jéj wzrok był wzrokiem tamtego świata — przeto pospieszyłam.

Rhamnes.

I opuściłaś ją. Spieszmy. Ale ach! Oto idzie!

SCENA SZÓSTA.

Safo bogato ubrana, jak w pierwszym Akcie, płaszcz purpurowy na ramionach, wieniec na głowie, złota lutnia w ręku, przed orszakiem niewolnic, schodzi po stopniach galeryi i postępuje uroczyście naprzód — długa pauza.

Melita.

Ach! Safo! Pani!

Safo (poważnie i spokojnie).

Czego żądasz?

Melita.

Spadła z oczu moich zasłona. Dozwól mi znowu być twoją niewolnicą. Odbierz co twoje i przebacz.

Safo (zawsze spokojna).

Czy tak o Safonie rozumiesz, że ona od ciebie darów potrzebuje? Co mnie należy, już wszystko otrzymałam.

Faon.

Ah! Safo słuchaj!

Safo.

Zdaleka. Bogom jestem poświęcona.

Faon.

Jeżeli kiedy łaskawie słuchać mię raczyłaś...

Safo.

Mówisz o rzeczach które minęły. Ciebie szukałam a sie-

bie znalazłam. Nie pojąłeś serca mojego. Więc oddal się. Na pewniejszym brzegu niech kwitnie moja nadzieja.

Faon.

Więc mnie nienawidzisz?

Safo.

Kochać i nienawidzieć. — Czyliż nie ma trzeciego jeszcze wyrazu? Byłeś mi drogim, jesteś i zawsze będziesz, jako spólnik podróży, którego igrzysko losu na krótką żeglugę do naszéj łódki sprowadza, a gdy do brzegu dopływamy, każdy swoją ścieszką się udaje i tylko czasem w dalekiéj krainie, czasem tylko z westchnieniem o nim wspominając...

(łzy nie dozwalają jéj mowić).

Faon (wzruszony).

O Safo!

Safo.

Przestań, niech się w pokoju rozłączemy. (do innych na scenie będących). Wy coście słabości Safony widzieli, darujcie, z słabością Safony chce was pogodzić. — Łuk naciągnięty dopiero, okazuje swą siłę. (wskazuje na ołtarz w głębi) Rozniećcie płomień Afrodycie. Niech jasno ku rannéj zorzy się wznosi. Staje się. Teraz oddalcie się, zostawcie mnie samą, sama z mojemi niech się naradzam.

Rhamnes.

Tak chce, oddalmy się wszyscy.

(Wszyscy odchodzą).

Safo.

(występując naprzód), Potężne Bogi! Hojne dary zyskałam od was. Od was mam serce tkliwe, duszę myślącą, moc tworzenia co myślę. Hojne dary zyskałam od was, dzięki wam potężne Bogi! Wyście słabą niewiastę uwieńczyli zwycięztwem

i moją chwałę poety na odległe ziemie dla wieczności rozsiali. Obcemi usty brzmią pieśni moje. I Safo razem tylko z ziemią zaginie. Dzięki wam. Dozwoliliście mi dotknąć się tylko uwieńczonéj czary życia ziemskiego, ale nie wypić jéj słodkiego napoju. Patrzcie, posłuszna, odrywam ustom tę słodką czarę i nie piję. Dokonałam co wola wasza mieć chciała. Przeto nie odmawiajcie ostatniéj nagrody. Kto wam posłuszny, nie zna słabości, choroba nie toczy jego ciała, w pełnéj sile w kwiecie istnienia, szybko w wasze mieszkanie wzlatuje. To mi sprawcie bogowie, tę wielka nagrodę mi dajcie. Nie dozwólcie, aby kapłanka wasza stała się pośmiewiskiem swych wrogów. Wyście kwiaty rozwiali, zniszczcie drzewo do gruntu. Dajcie mi dokonać jakem zaczęła — Chciejcie mię uwolnić, już się za słabą czuję do walki. Dajcie mi zwycięztwo! (natchniona). Płomień się żarzy, słońce się wznosi, czuję. Jestem wysłuchana! Dzięki wam! Dzięki Bogowie! Faon, Melito przybywajcie! (całując w czoło Faona). Całuje cię przyjaciel z dalekich światów (ściskając Melitę). Umarła matka przesyła ci ten uścisk. Tam przy Afrodyty ołtarzu niech się wola losu dopełni (spieszy do ołtarza i Faon z Melitą).

Rhamnes.

Cóż zamyśla? cała jéj postać jaśnieje, blask Bogów zdaje się ją otaczać.

Safo.

(wstępując na brzeg wzniesiony, ręce nad głowy kochanków wyciągając — mówi).

Miłość ludziom, a Bogom posłuszeństwo. Używajcie szczęścia które wam kwitnie. Pomnijcie na mnie. Tak wypłacam ostatni dług życia. Błogosławcie ich Bogowie a mnie przyjmijcie do siebie. (skacze w morze ze skały).

Faon.

Safo! Safo!

Melita.

Bogowie! pada, umiera.

Faon.

Ratunku, daléj do brzegu, ratunku! (niektórzy odchodzą).

Rhamnes (wstąpiwszy na skałę).

Bogowie! odwróćcie! jeśli ją woda ku téj skale uniesie, roztrąci ją. Niestety! stało się!

Faon.

Do łodzi, ratunku!

Rhamnes (zstępując).

Stój! już nie czas. Życz jéj spoczynku. Że gardząc zdradliwą ziemią, głębiom się morza oddała.

Faon.

Nie żyje?

Rhamnes.

Nie żyje!

Faon.

Biada mi! nie — to być nie może.

Rhamnes.

Tak jest. Zwiędły wawrzyny, przebrzmiały struny. Ziemia nie była jéj ojczyzną! (wznosząc ręce). Do Bogów wróciła!

WYJĄTEK Z TRAGEDYI

GRILLPARCERA

POD TYTUŁEM

SAFO.

PRZEKŁAD WOLNY.

SAFO.

UŁAMEK PRZEKŁADU WIERSZEM.

(PRZEKŁAD WOLNY). *

* Ułamek ten umieszczony w Nr. 5. r. 1821 (Maj) Pamiętnika Warszawskiego (str. 68 — 81) razem z przekładem: *Szczęścia* Szillera, podpisanym K. Br., niewątpliwie jest Brodzińskiego. Wzmiankę o nim znajdujemy w spisie prac, który wydrukował Dmochowski, gdzie są wymienione całe *dwa akta*. Tu się tylko uchował jeden i to nie cały. Przyłączamy go jako należący do zbioru prac jego. *P. K.*

S a f o uwieńczona na igrzyskach Olimpijskich, wraca uroczyście do Mityleny z Faonem, wśród okrzyku spółziomków i niewolników swoich.

AKT I.

SCENA PIERWSZA.

Safo, Faon, Lud, Niewolnicy.

Safo.

Dziękuję przyjaciele, dziękuję ziomkowie!
Dla was mi tylko miły ten wieniec na głowie.
Ozdabia on ziemiankę lecz ciśnie poetę,
Mnie ztąd cieszy, że waszę pomnaża zaletę.
Na téj ziemi, gdzie młode snuć zaczęłam lata,
I marzyć o pięknościach czarownego świata,
Gdzie w dziecinnéj senności nieznane zapały
Wahającą się zdolność do sławy wzywały,
Tu, gdzie cień cyprysowy grób ojców pokrywa,
Gdzie nie jeden lat młodych rówiennik spoczywa.
Tu mój wieniec prawdziwą ozdobą się staje,
I śmiałość moja mniéj mi występną się zdaje.

Rhamnes, (stary niewolnik).

Pojmujecie ziomkowie te jéj skromne słowa?
Więcéj niżeli wieniec zdobi ją ta mowa —
Powitaj Pani nasza!

S a f o.

Witaj mój Rhamnesie!
I Ty tu mimo wieku? i ty Orgenesie,
Ty Kalisto! — Witajcie! — zrosiliście lica: —
Równie jak serce, niech się wypłaca źrzenica,
Łzy za łzy — Ach przestańcie!

J e d e n z l u d u.

Witaj w ojców ziemi!
Sławna na świecie, szczęsna żyć między swojemi.

S a f o.

Wdzięczna, obywatele! czémże wam nagrodzę?
Oto nowego do was mieszkańca przywodzę,
Oto Faon! Wiek młody, ale męzka siła,
Świetna ziemia dla równie świetnéj go zrodziła;
Trzeba ręki rycerza, czy poety strony,
Przyjacielskiéj pomocy, wymownéj obrony?
W nim to wszystko znajdziecie.

F a o n.

O Safo! ta chwała
Za cóżby mi od ciebie przyznaną być miała,
Czémże na nią zasłużył ubogi młodzieniec?

S a f o.

Oto wszystko, co mówię stwierdza ten rumieniec.

F a o n.

Dziwić się tylko, milczeć serce moje zdolne.

S a f o.

Zasługa i milczenie zawsze sobie spólne. —
Tak, wiedzcie przyjaciele! to mój ulubiony,
Na niego padł mój wybór — On był przeznaczony,

By pełen darów, władzą niewolącą skromnie,
Na szczyt obłoków blizki, przybliżył się do mnie,
By mię wrócił do ludzi na kwitnące błonie.
Tu przy nim, między wami, w pasterskiéj osłonie,
W prostocie niechaj żyję, myrt za laur zamienię,
Na domowego tylko szczęścia uwielbienie
Zagram na lutni, któréj dotąd hołd składacie,
Kochać was ją nauczę, tak, kochać ją macie.

Lud.

Chwała ci Safo, chwała!

Safo.

Dosyć — Bądźcie radzi,
Udajcie się z Rhamnesem, on was poprowadzi.
Niech się tańce rozpoczną, winem ciężą stoły,
Uczta niechaj powrotu skończy dzień wesoły,
Powrotu siostry waszéj obchodźcie wesele.

(do wieśniaków żegnających ją).

Bądź zdrów! Ty i ty i ty! wszyscy przyjaciele!

(Rhamnes i wieśniacy odchodzą).

SCENA TRZECIA.

Safo.

Tak tu żyje twa Safo, poznasz jéj szczęśliwość
Dzięki za dobrodziejstwa, za miłość, życzliwość,
Tak jéj się zawsze wiodło w téj życia przemianie,
Na tém zawsze przestałam. — W szczęsnym będę stanie.
Gdy i ty, choć w połowie oddasz, co ci daję,
Jeśli ci ta zamiana wielką się nie zdaje?
Nauczyłam się tracić, być mężną w żałobie.
W młodych latach rodziców opłakałam w grobie,
Najbliżsi rodu mego, gdy nie jednę ranę
Zadali w serce siostry do nich przywiązane.

Częścią losu igrzyskiem, częścią z własnéj winy,
Ponieśli wiek kwitnący w Erebu krainy.
Wiem, jak dręczy niewdzięczność, jak obłuda zrania,
Znam ja chytrość przyjaźni, niestałość kochania,
Nauczyłam się tracić, tłumić nawet chęci;
Ale to, co nie zniknie w sercu i pamięci,
Twoją miłość utracić, siłybym nie miała, —
Przeto poznaj się. — Nie znasz, co w tych piersiach pała?
Niech nie czuję, niech kiedyś z żalu nie umieram,
Że pełne dałam serce, a próżne odbieram.

F a o n.

Pani!

S a f o.

Czyliż słodszego nie masz w sercu słowa?

F a o n.

Czyliż uczuciom moim starczyć może mowa! —
Z nizkiego ojców stanu, stojący u celu,
Do którego możniejszych dążyło tak wielu,
Ginę w tym zbytku szczęścia. — Widzę jak zdaleka
Las, brzegi, nizkie chaty i góra ucieka,
A gdy to wszystko stoi, nie pomnę zdumiały
Że mnie tylko jednego niosą szczęścia wały.

S a f o.

Słodko pochlebiasz, ale pochlebiasz Faonie!

F a o n.

Tyżeś to jest istotnie, téjże ściskam dłonie?
Którą od wysp Pelopsa aż tam, gdzie daleki
Trak się łączy górami z swobodnemi Greki,
Wszędzie kędy odległe od ludów i krajów,
Kronion wywiódł wyspy nad morze Danajów,
Tam, gdzie brzegi Azyjskie jasny Feb ogrzewa,
Gdzie boską mową grecki lud po grecku śpiewa:

Którą wszystko pod słońcem wielbić się jednoczy;
Jeżeli ty to jesteś? Jakże twoje oczy
Zniżyłaś na młodziana, który bez znaczenia
Bez sławy własnych czynów, bez przodków imienia,
Nie ma innéj zalety, jak téj lutni stróna,
Którą wielbią, że twoją ręką jest dotkniona?

Safo.

Źle strojna, kiedy własnéj Pani brzęczy chwałę.

Faon.

Ach! w owych jeszcze czasach, gdy ręce nieśmiałe
Głos trwożliwy z niepewnéj wywabiały stróny,
Twój obraz stał przedemną: kiedy otoczony
Gronem rodzinném żyłem na ojców siedlisku,
Gdy Teana, ma siostra, przy ognia połysku
Czarne zwinki przyniosła, by czytać twe pienie
Jakże głośnych młodzianów ujęło milczenie,
Jak się wtedy od robót dziewice skupiły,
Aby żadnego ziarka złota nie straciły,
A gdy czytać zaczęła o pięknym młodzianie,
O żalach na samotne nocy przeczuwanie,
O Bogini miłości, o grach Andromedy,
O zabawach Atissa. — O jakże to wtedy
Każdy czuwał milczący, skarżył swoje tchnienia,
Że uczuciem wzmocnione piersi podnoszenia
Za głośno przeszkadzały. — A wtedy Teana,
Na poręczy swojego krzesła zadumana,
Patrząc się w ciemną izbę, jak téż (rzecze) ona
Przed oczyma mojemi stoi ubóstwiona?
Zda mi się, że ją widzę: — gdyby nawet stała
W gronie tysiąca niewiast, jabym ją poznała.
Wnet każdy niecierpliwym zdjął ustom okowy,
Udręczał wyobraźnią, ażeby wdzięk nowy
Twojéj nadał postaci — Ten Pallady oczy,
Ten Knidejskiéj Bogini przyznał pas uroczy,

Ja sam tylko milczący, zasmucony wstaję,
W samotne świętej nocy idę ciche kraje,
Tam zabłąkany ręce wyciągam do ciebie,
Gdy światło z wozem Luny krążące po niebie,
Gdy głośne wiatrów tchnienia, gór i dolin wonie,
I rosa razem moje opłynęły skronie,
Wtenczas byłaś ty moją, stałaś przy mym boku,
Obraz Safony krążył na innym obłoku.

Safo.

Ach! ty mię tylko własném bogactwem odziałeś,
Biada mi! gdybyś kiedy odebrał, co dałeś.

Faon.

Do igrzysk Olimpijskich od ojca wysłany,
Kiedy po drodze słyszę rozgłos powtarzany,
Że tam lutnia Safony o wieniec za pienia
Będzie walczyć, zwyciężać — Jakże bez wytchnienia
Utęskniony pędziłem. Konie popadały,
Zaczém wież Olimpijskich me oczy dojrzały.
Przybyłem, — ani wozów warczących gonitwy,
Ni kręgów gra wesoła, ni szermierzów bitwy,
Nie zwabiły mych oczu. — Zwycięztw nie patrzałem,
Choć jedno z najświetniejszych moim było działem,
Ją bowiem chciałem widzieć, ją, niewiast koronę —
Nareszcie dni nadeszły pieśniom naznaczone;
Próżno nucą Alceje i Anakreony.
Nagle gwar powstał, lud się dzieli rozkupiony,
W tém przez tłumy zdumione z złotą lutnią w ręku,
Postępuje niewiasta. — Z ramion pełnych wdzięku
Oznaka niewinności szata śnieżnobiała,
Na zabronione światłu członki upływała.
Strumień-to był, co wzgórki przepływał majowe,
Brzegi w laury ozdobne i liście laurowe,
Mir z sławą oznaczając, piękną myśl wywodzą,
Że ich pragnie poeta, one go nagrodzą.

Jak słońce otaczają różane obłoki,
Tak onę płaszcz purpury opłynął szeroki,
A z nocy czarnych włosów korona wspaniała,
Jak księżyc, znak dalekiéj władzy rozświecała.
Wtenczas, że ty to byłaś serce mi mówiło,
Wnet ludu uniesienie mój domysł stwierdziło;
Jako potém śpiewałaś, jak wieńcem zdobiona,
Z rąk lutnię upuściłaś wstydem zrumieniona.
Jako potém trafiony twych oczu postrzałem,
Zawstydzony młodzieniec i bez duszy stałem,
To wiesz lepiéj, ja dotąd nie zgaduję prawie,
Co z tego we śnie tylko, co było na jawie.

Safo.

Wiem, jak skromny, milczący stałeś przy mym boku,
Jak całe życie w twojem tkwić się zdało oku,
Które, chociaż od ziemi wzniesione nieśmiało,
Przecięż iskrę z ukrytych płomieni zdradzało.

Faon.

Któżby sądził, że pierwsza z greckiego imienia
Na ostatniego z Greków obróci spojrzenia.

Safo.

Nie krzywdź siebie i losów — Szanuj Bogów dary!
Które narodzonemu, z przepełnionéj czary
Na czoło i na usta i na serce leją,
By pełne życie niosło tą ziemską koleją.
Piekny dar piękność ciała! Śmiałość i odwaga
Zdobi tę podróż życia i losy przemaga,
Ale życia najwyższym celem jest użycie. —
Nie próżno zimnym laurem Muzy się wieńczycie!
Bez owoców, bez woni, ciśnie skroń człowieka,
I nagrodę za wiele ofiar mu przyrzeka.
Tęschno jest być na szczycie, wciąż uboga sztuka,
(wyciągając ręce do Faona)
Żebrząc u pełni życia pocieszenia szuka.

F a o n.

Kiedy ty mówisz, Pani! któż nie wierzyć zdoła.

S a f o.

Więc oba niechaj wieńce zdobią nasze czoła;
Sztuka z życiem wzajemną niech się czarą poją,
Na tych wzgórkach, w tych grotach, które róże stroją,
Tu bogom równe szczęście niechaj z nami gości,
Którzy ani pragnienia ni znają sytości.
Lecz wiecznego użycia równe chwile pędzą,
Z losami się nie kłócą i czasu nie szczędzą.
Twojem jest wszystko moje. Przez ciebie użyte
Dopiero mię ucieszą dziedzictwa obfite,
Patrz w koło, oto własność twéj woli oddana,
Niechaj cię sługom moim pokażę za Pana,
Mój przykład ich nauczy, jak ci mają służyć
Dziewice! niewolnicy!

F a o n.

Któż sobie śmiał wróżyć
Los mojemu podobny!

SCENA CZWARTA.

E u c h a r i s, M e l i t a, R h a m n e s służący etc.

R h a m n e s.

Wołałaś nas Pani!

S a f o.

To wasz Pan — I dla tego jesteście zwołani...

R h a m n e s.

To nasz Pan?...

S a f o.

Któż tu mówi, co?

R h a m n e s.

Nic.

S a f o.

Więc milczenie!
To wasz Pan! mówię; każde jego polecenie
Waszym jest obowiązkiem, moją znaczy wolę,
Biada więc nieposłusznym! — Chmura na têm czole
Skarżyć będzie te moje łamiących rozkazy,
Mnie samêj dotyczące zapomnę urazy.
Lecz kto jego obrazi, ten mój gniew obudzi. —
A teraz cię zostawiam staraniu tych ludzi,
Użyj praw gościnności podróżą strudzony,
Szczęsny używaj pierwszych darów twéj Safony.

F a o n.

O gdybym mógł me zmysły zebrać wśród wytchnienia;
Żegnam cię nie na długo.

S a f o.

Bądź zdrów, do widzenia;
Czekać będę na ciebie. Melita zostanie.

(Faon i służący odchodzą).

SCENA PIĄTA.

S a f o, M e l i t a.

S a f o (długo za Faonem patrzywszy).

I cóż mówisz Melito?

M e l i t a.

Co Pani?

Safo.

Niebianie!
Więc tu tylko krew płynie — Wszędzie same skały,
Patrzyły się na niego, głos jego słyszały,
Tchnęły tym wiatrem, który z jego igrał włosem,
Przecież zimne: *co Pani?* pierwszym ich odgłosem!
Mogłabym cię nie kochać — Idź!

Melita (milcząc odchodzi).

Safo (usiadłszy tymczasem na darniu).

Słuchaj więc przecię
Nie masz mi nic powiedzieć? — Mówże lube dziecię!
Byłaś przy nim, czyż twoje oczy nie widziały
Nic godnego rozmowy, dziwu i pochwały?

Melita.

Wszakże sama mówiłaś, że to nie przystało
Młodym córkom na gości poglądać się śmiało.

Safo.

O biedna! więc tyś oczy natenczas spuściła?
To nie ciebie się tycze, nie, Melito miła!
Do starszych, śmielszych tylko były te przestrogi,
Lecz jak ty się zmieniłaś w czasie mojéj drogi,
Tak wyrosłaś, tak teraz — O dziecię kochane!
Masz słuszność, te przestrogi i tobie są dane. —
Lecz czemuś tak milcząca, nic ze mną nie dzielisz?
Tyś mię zawsze cieszyła, dziś mię nie weselisz?
Z siostrą tu tylko mówisz, już nie z twoją Panią,
Duma, gniew, prędkość w drodze zostały się za nią,
W morzu, gdym z nim płynęła, wszystko zatonęło,
To jest właśnie miłości czarodziejskie dzieło,
Że wszystkiemu swém tchnieniem dawną zacność wraca,
Jak słońce, co i chmury piorunne pozłaca.

Daruj mi, jeśli kiedy jedném przykrém słowem
Mogłam ciebie zasmucić — Odtąd w szczęściu nowém
Jak siostry żyć będziemy. — Przy nim, razem wszędzie,
I tylko miłość jego różnicą niech będzie —
Będę dobrą, dadzą to Bogi najłaskawsze!

Melita.

Czyż nią Pani nie jesteś? czy nie byłaś zawsze?

Safo.

Tak, nie złe dobrem zwiemy — Cóż kochanko droga!
Wszak on będzie szczęśliwym?

Melita.

Przy tobie...

Safo.

Uboga,
Cóż ja jemu dać mogę? — Tak szczęśliwy młodzian,
Pełen tylu łask Bogów, w tyle wdzięków odzian,
Umysł świeżo rozwity, wesoły, dumieje,
Licząc mnogie swe siły, niezmierne nadzieje,
Na skrzydłach z orła wzrokiem goni szczęście wszelkie;
Co tylko piękne. świetne, wysokie i wielkie,
Jego to jest: młodemu cały świat poddany.
A ja, czémże ja jestem? Potężne niebiany!
Wróćcie mi czas mój znikły. Niech będą zmazane,
Ślady cierpień i rozkosz głęboko deptane.
Com czyniła, cierpiała tęschnoty i chęci,
Wszystko aż do wspomnienia niech zniknie z pamięci,
Dajcie wrócić tym chwilom, gdy w wieku niewinnym,
Z niepewném jeszcze czuciem, z uśmiechem dziecinnym,
Z nowym jeszcze umysłem w świat wstąpiłam nowy,
Kiedy niewinną jeszcze natchnął dar Febowy,
Gdy bez dręczącéj wiedzy i bez doświadczenia,
Przeczucia tylko w moje przelewałam pienia —

O wróćcież mi miłości czarodziejskie gaje,
Obce nieznane jeszcze czarodziejskie kraje!

Melita.

Co tobie? droga Pani.

Safo.

Więc tęschna wesela,
Już stoję nad przepaścią, co mię z nim rozdziela!
Widzę, jak tam kraina uśmiecha się błoga,
Oczy jéj dosięgają, nie dosięże noga. —
Biada! kogo z zaciszy rodzinnego koła,
Uwodzący cień sławy i dumy wywoła,
Morzem on rozhukaném w słabéj płynie łodzi,
Ani tam drzewo kwitnie, ani kwiatek wschodzi,
Blada w koło niezmierność — Zdala tylko, zdala,
Widzi rodzinne strony, a od brzegów fala
Wraz swym jękiem głucho mu głos lubych podaje —
Wreszcie, gdy się namyśli, wraca w lube kraje.
Szuka — nie masz już wiosny, ni krzewów, ni woni,

(zdejmując wieniec i oglądając go z boleścią).

Same mu suche liście szeleszczy na skroni.

Melita.

Stu chciało tego wieńca, jeden go otrzymał.

Safo.

Stu chciało tego wieńca, jeden go otrzymał.
Tak...

(kładąc znowu wieniec).

Niechaj...
Niechaj nikt nie gardzi sławą komu sprzyja,
Nie jest to próżna mara, co z wiatrem przemija,
Kogo ona ożywia, czuje siłę Boga. —
Tak Boże złotéj lutni! nie jestem uboga,

Przeciw jego bogactwu, śmiało moje stawię,
Dary doczesne za kwiat tylko służą sławie.
Za wieniec chwil obecnych, za cel méj zazdrości,
Dam wieniec czasów znikłych, dam wieniec przyszłości.

(do Melity).

Ach! ty mię nie pojmujesz, ty się możesz dumieć?
Szczęsna! nie ucz się nigdy, nie ucz mię zrozumieć.

Melita.

Ty się gniewasz?

Safo.

O nie wiesz! nie, nie moje dziecię!
Idź do domu, donieś mi Faona przybycie.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM.

VII.

Przekłady i nasladowania.

Jana Kochanowskiego Elegije.

VIII.

Epigrammata łacin. z J. Kochanowskiego.

IX.

Z Antologii Greckiéj.

X.

Myśli wschodnie.

XI.

Dramata.